

**PETER STJERNSTRÖM**

Chłopiec Motyl

OKRUTNA BAŚŃ



Przystawiła synka do lewej piersi. Ostatni raz. Jej serce, znajdujące się tuż obok jego buzi, waliło gwałtownie, jakby miało świadomość, że już nigdy więcej nie będą tak blisko siebie. Jakby chciało naznaczyć go na zawsze równym rytmem matczynej woli życia i miłości. Miała wrażenie, że dziś bije głośniej od wszystkich serc na świecie. Oczy zaszczyły jej łzami. Zrobiła głęboki, spazmatyczny wdech, żeby opanować szloch. Zastanawiała się, czy inne karmiące matki też wiedzą, kiedy jest ten ostatni raz? A może pewnego dnia po prostu odkrywają, że to koniec, bo dziecko przeszło na inny pokarm? Czy im wtedy żal? Może czują ulgę, że to już? Dla niej ta świadomość była koszmarna. Ale z wiedzą tak już jest; gdy raz wejdzie się w jej posiadanie, nie da się powrócić do wygodnego życia w niewiedzy. Poszukiwanie wiedzy jest jak chodzenie z kamyczkiem w bucie. Boli, gdy się źle stąpnie.

Chłopczyk zamknął oczy i jak zwykle zaczął ssać. Oparł na piersi białą, pulchną piąstkę. W jego geście była stanowczość, chociaż paznokietki miał jeszcze tak cienkie, że niemal przezroczyste. Wsunęła swój mały palec do piąstki, która natychmiast się zacisnęła. Mocno. Niemowlę ma wiele zdumiewających umiejętności. Na kursach w szkole rodzenia położna mówiła, że teoretycznie mogłoby zawisnąć na sznurze, trzymając się rączkami, bo ma tak silny chwyt. Matka, jako entuzjastka nauki, oczywiście musiała to sprawdzić w praktyce. Fakt, zgadzało się. Dwunastotygodniowy synek wisiał przez piętnaście sekund

i nawet nie pisnął. Potem wymiękła, nie miała odwagi przedłużyć tego eksperymentu.

Drugą, wolną ręką owinęła mu nóżki połą swojej obszernej flanelowej koszuli. Manewrując delikatnie ramionami i tułowiem, ułożyła się w łóżku na dużej poduszce i odchyliła głowę do tyłu.

- Myślisz, że oni też to zrobią dziś wieczorem?

Mężczyzna siedzący przy stole nie odpowiedział. Podniósł wzrok i spojrzał na ścianę lasu za oknem.

- No powiedz, myślisz, że zrobią? - spytała ostrzejszym tonem. Zakasłał, dopiero potem spojrzał jej błagalnie w oczy.

- Kochana, weź jeszcze jedną tabletkę, co? Ja wziąłem trzy razy po dwadzieścia miligramów i czuję się względnie okej.

- Mógłbyś mi odpowiedzieć, zamiast gadać o koksie? Spytałam, co myślisz o tamtych?

- Nie wiem. Wydaje mi się, że tak. Dzisiejszy wieczór będzie pierwszy naprawdę odpowiedni. Czyli owszem, tak sądzę. Powinni.

- No wiem. Ale jednak.

Matka delikatnie pogładziła synka po miękkich włosach. Wir na czubku główki był przeciwny do ruchu wskazówek zegara, co ją bezustannie zdumiewało, ponieważ była to cecha recesywna. Jej wir był zgodny z ruchem wskazówek zegara i była to cecha dominująca. A zatem jego powinien również być zgodny z ruchem wskazówek zegara. Dziwne. Najwyraźniej natura zrobiła im kawał.

- Nigdy nic nie wiadomo - ciągnęła. - Nie ma pewności. Ktoś się może rozmyślić, nie?

Mężczyzna nie odpowiedział. Miał przed sobą na stole różne narzędzia, przybory i puszki. Wziął szmatkę i nabrał na nią trochę tłuszczu z otwartej, starej blaszanej puszki. Następnie zaczął go wcierać w skórzane szelki, które zrobił z pasków od plecaka znalezionej na strychu.

Domek kupili tanio jakiś rok wcześniej, gdy ceny mieszkań, domów i domków letniskowych spadły gwałtownie po finansowych zawirowaniach, które zapoczątkował krach na giełdzie, określany jako

„Black Monday”. Podatek od nieruchomości stał się tak poważnym obciążeniem, że wielu właścicieli domów o niskiej wartości rynkowej wolało oddać je za darmo, byle go nie płacić.

Stary domek zbudowany był z wapienia i znajdował się w parafii<sup>1</sup> Burs na południowo-wschodniej Gotlandii. Ostatnim właścicielem był samotny kowal, odludek, urodzony w samej końcówce XIX wieku. Był już bardzo stary i mieszkał tu jeszcze ćwierć wieku po tym, jak skończyło się zapotrzebowanie na jego usługi. Po śmierci kowala przez wiele lat domek stał pusty, bo spadkobierców odstręczało fatalne, ich zdaniem, położenie i kiepski stan, zważywszy na gołe i zimne wapienne ściany. Była to raczej stara kuźnia, a nie dom mieszkalny, dość obszerna, ze sporym paleniskiem niemal na poziomie podłogi. Wprawdzie dom miał elektryczność i bieżącą wodę, ale stary nie zgodził się na szambo, chociaż najbliższy sąsiad, rolnik, miał koparkę i był gotów je wykopać, nie żądając w zamian żadnej przysługi. Stary wolał iść za potrzebą do wychodka. Co drugą sobotę chodził się myć do łaźni w Burs. Był małomówny, ale zawsze uprzejmy.

Pod koniec lat osiemdziesiątych spadkobiercy wreszcie porozumieli się, żeby zwrócić się do pośrednika, który sprzedałby tę rudere. Zgodnie z ich przypuszczeniem nie była wiele warta. Dzięki oszczędnościom i niewielkiemu stypendium naukowemu młoda para mogła za bezcen kupić wymarzony domek. Innych chętnych nie było.

Młodym nie przeszkadzało zapyziałe wnętrze. Przeciwnie, byli zachwyceni, że sami je doprowadzą do porządku, co sprowadziło się do jego wysprzątania, pobielenia ścian i zakupu nowych łóżek.

W pobliżu domku leniwie płynęła rzeczka, dwadzieścia metrów w głąb gęstego lasu oddzielającego łąki, które ciągnęły się kilometrami wzdłuż kamienistych pływów wybrzeża Burs. Gdyby chcieli chodzić po pełnym kamieni, ostrym dnie, mogliby iść sto metrów od brzegu,  
i Parafie kościoła protestanckiego były do 2000 r. jednostkami podziału administracyjnego w Szwecji.

a woda sięgałaby im zaledwie do pasa. Dopiero dalej robiło się głęboko i występowały prądy podwodne. Woda była tu czarna, zimna.

Młodzi wycięli zarośla oddzielające domek od morza. Teraz mieli wspaniały widok na morze. To była ich Gotlandia, daleko od torów do gry w minigolfa i wodnych zjeżdżalni po zachodniej stronie wyspy. Tu byli z dala od ludzi, w ciszy i w bezpośrednim kontakcie z naturą. Jediną wadą było to, że bywali tu zbyt rzadko. Na co dzień prowadzili intensywne życie zawodowe razem z innymi młodymi naukowcami. Praca, czas wolny i życie rodzinne splatały się ze sobą w cudowny sposób. Znaleźli sens życia.

- Możesz mi podać torebkę? - odezwała się matka. - Chcę zobaczyć, co w niej jest.

Mężczyzna wstał od stołu. Usiadł obok niej na skraju łóżka i położył rękę na nagich plecach małego. Pogładził go kciukiem między łopatkami. Ciało chłopczyka było rozgrzane; zaraz się spoci, jak zwykle po chwili ssania. Mężczyzna otworzył kolorową, papierową torebkę, pokazując zawartość.

- Nie kupiłeś słonych żelkowych żabek? Przecież wiesz, że je uwielbiam.

- Nie było. Tylko te miękkie, czarne, posypane cukrem. Nie lubisz takich.

- Mają być brązowe, twarde, z posypką. Potrzebuję salmiaku<sup>2</sup>!

- odparła i odsunęła od siebie torebkę, nie ukrywając rozczarowania.

Westchnęła głęboko i już nie udało jej się powstrzymać łez. Płacz wstrząsał całym ciałem, aż mały puścił pierś. Przez dwie sekundy patrzył z rozżaleniem, potem zamknął oczy i zaczął krzyczeć.

- No już, już...

Mężczyzna przeniósł rękę z pleców małego na policzek kobiety.

- No już. Wszystko będzie dobrze. Uspokoila się trochę. Mały odnalazł sutek.

- Zaraz ci coś dam - powiedział mężczyzna.

2 Salmiak - słona lukrecja.

Wyjął z torebki dwa żelki: jedną rybkę słoną i jedną słodką, starannie oblizał je od spodu i złożył tak, że się skleiły.

- Proszę bardzo, specjalna kanapka rybna! Z odrobiną salsmiaku. Podstawił jej rybki. Kobieta przybliżyła usta i przegryzła na środku.

- Mmmm, jednak dobre - powiedziała.

Na jej twarzy pojawił się słaby uśmiech. Wytarła łzy wierzchnią częścią palca wskazującego.

- Nie rozumiem, dlaczego nie można dostać słonych żabek. Okej, daj mi resztę.

Włożył jej do ust odgryzione części rybek razem z palcem, ale zaraz go wyjął, widząc niechętną zmarszczkę między jej brwiami. Nie chciał więcej awantur, bo od kilku dni bez przerwy się kłócili albo płakali. W zasadzie chodziło im o to samo, ale musieli się wyładować na sobie. Kwestionowanie nawet własnego przekonania wynikało z ich postawy naukowej. Wątpić we wszystko, aż pozostanie jedna, jedyna hipoteza, która jest prawdziwa. Do chwili, gdy nowe fakty każą wszystko poprzestawiać na nowo.

- Skończy zaraz ssać?

- Tak, tę pierś.

- Dobrze, zrobię tatuaż, jak mu jeszcze trochę zostanie.

- Mhm... Wiem. Boże, jak ja tego nienawidzę.

- Przyjdź z nim zaraz.

Mężczyzna zostawił torebkę ze słodyczami na brzegu łóżka i wrócił na swoje miejsce przy stole. Wyjął maszynkę do tatuażu i przyłożył do nasmarowanego paska, by upewnić się, że działa jak należy. Tak, na pasku pokazał się tusz. Niezgrabnymi, ale czytelnymi wersalikami napisał krótkie, serdeczne pozdrowienie i imię dziecka.

Odstawił maszynkę i sięgnął po buteleczkę ze spirytusem salicylowym. Nalał sobie sporą ilość na rękę i zaczął trzeć dłońmi aż do odparowania. Spojrzał czujnie przez okno, jakby chciał sprawdzić, czy nie nastąpiła zmiana pogody albo światła. Jednak wszystko wyglądało tak samo jak przedtem: późnowiosenny wieczór, opary

unoszące się nad łąką jak tańczące rusałki. Trudno wyobrazić sobie lepszą noc na wyprawę w teren.

- Zasnął - powiedziała matka.

- To dobrze, dawaj go tutaj - odparł i rozesłał na stole jasnoniebieski kocyk.

- Ja chyba nie dam rady. Mogłabym wyjść, gdy będziesz to robił?

- No wiesz! Musisz go przytrzymać. Ja będę trzymał maszynkę i szmatkę. Mam tylko dwie ręce.

Kobieta podeszła do stołu, niosąc dziecko, w drugiej ręce miała torebkę ze słodyczami. Ułożyła małego na brzuszku i usiadła na krześle obok.

- Dobra, daj jeszcze jedną tabletkę. Chcesz kanapkę z bananów? - spytała.

- Poproszę.

Wyjęła z torebki dwa żelki w kształcie bananów i oblizowała od spodu. Złożyła je, wkładając do środka tabletkę i włożyła mężczyźnie do ust.

- Specjalna kanapka z bananów. Wiem, że uwielbiasz chemiczny smak bananowy, to octan amyli w wersji de luxe!

Zamruczał z zadowolenia. Jednak pora nie była odpowiednia, żeby cieszyć się smakiem. Chodzi o to, żeby nie spanikować. Trzymać myśli w ryzach i skupić się na tym, co istotne. Dał tabletkę kobiecie. Lekko odchyliła głowę, połykając gładko, bez popicia.

Mężczyzna zaczął starannie i delikatnie wcierać dziecku maść znieczulającą, którą wyciskał z aluminiowej tubki. Na etykietce było jedynie imię chłopca wypisane ręką matki. Do maści lidokainowej dodała jeszcze, według własnego przepisu, sporą ilość adrenaliny i prokainy, by wydłużyć czas działania i maksymalnie złagodzić ból. Jeszcze tylko kilka sekund przed tym, co nieuniknione i znieczulenie zacznie działać.

- Okej, przytrzymaj go za ramionka. I nie puszczaj, żeby nie wiem co, dopóki nie skończę. Rozumiesz? Szybko się uwinę.

- Wiem.

Odwrócił się do niej i położył ręce na jej barkach, potem zsunął na plecy i przytrzymał ją w długim, mocnym objęciu. Oparł czoło o jej czoło i utkwiał wzrok w jej oczach.

- Kocham ciebie i Jonasa ponad wszystko. Damy mu to teraz, dobrze?

- Damy mu to teraz - powtórzyła po nim. - Jesteśmy autentyczni, damy mu to teraz. Damy mu życie - imago.

- Damy mu życie - imago.

Pocałował ją w usta, głośny całus był znakiem, że koniec uścisków.

Odczekali więcej niż minutę, żeby lidokaina zaczęła działać. Chłopczyk spał spokojnie na kocyku. Minuta dłużyła się jak wieczność, w pamięci przesuwwały im się miesiące bezgranicznej miłości do dziecka. Przypomniało im się, jak rósł brzuch, jak chłopiec kopał w środku, jak krzyczał po przyjściu na świat, jak się po raz pierwszy odwrócił na bok, jak marudził, gdy zaczęły mu się wyrzynać pierwsze zęby, jak gaworzył, uśmiechał się i jakie miał miłe oczy.

A potem mężczyzna uruchomił maszynkę. Wydawała odgłos jak coś pośredniego między elektrycznym mikserem a borem dentystycznym, chociaż cichszy. Gdy igła przebiła naskórek, dźwięk stał się nieco stłumiony.

Natychmiast rozległ się krzyk chłopczyka. Przeciągły i głośny. Na jednym tonie, przez siedem sekund, dla jego małych płuc cała wieczność. Maszynka uparcie warczała mimo męczącego wrzasku. Chłopczykowi zabrakło powietrza, szybko nabrał tchu i znów się rozwrzeszczał. Krzyk przeszedł w wycie przerywane hip er wentylacją.

Skowyt dziecka zmieszał się z krzykiem matki, mężczyzny i wściekłym warczeniem maszynki.

- No, trzymaj go! - wrzasnął mężczyzna. - Przecież ty go puszczasz! Nie wolno ci go puszczać! Zaraz kończę!

- Przecież trzymam! Aż mu poczerwieniały ramionka, nie widzisz?

- Widzę. Cholera jasna, biedny mały.

Mężczyzna pracował szybko. Nadmiar tuszu i krwi ścierał szmatką, żeby widzieć, co robi. Spryskał środkiem dezynfekcyjnym



plecy dziecka i wytarł je chustami chirurgicznymi. Może nie wyszło tak ładnie, jak zaplanował, ale uznał, że może być. Z twarzy kapały mu krople potu, musiał się wyprostować, żeby nie spadały na małego. Tak czy inaczej ranka była wystarczająco duża. Wykańczał jeszcze szczegóły wzoru, zabrało mu to kilka minut. Chłopczyk krzyczał bez przerwy. Matka, patrząc na niego, płakała i jęczała. Chwilami aż tupiała w podłogę. Ale nawet na moment nie puściła synka.

Mężczyzna skończył, podniósł małego z kocyka, który był mokry od krwi; potu i płynu dezynfekcyjnego. Zaczął chodzić po pokoju, lekko kołysząc dziecko i usiłując go uspokoić. Nie pomagało. Podszedł do łóżka, gdzie kobieta znów usiadła przy poduszce. Chłopczyk wciąż krzyczał, już nie tak panicznie, ale uparcie. Chciał się ratować, chciał przeżyć.

- Podaj mu teraz drugą pierś. Niedługo trzeba będzie z nim wyjść. Matka wzięła dziecko i oparła się na poduszce. Odpięła jeden guzik koszuli i pokazała synkowi prawą pierś. Kapało z niej mleko. Starła je palcem i rozmazała na ustach małego.

Nadal płakała. W ciągu ostatnich dni wypłakała morze łez. Wydawały się nie mieć końca.

- Mógłbyś nastawić nową Madonnę? On uwielbia Madonnę. Zwłaszcza Vogue, to dwunasty kawałek. Przeskocz wcześniejsze i od razu nastaw ten.

Mężczyzna włożył krążek CD do odtwarzacza stojącego na gzymsie kominka, kilka razy nacisnął „forward”, a potem „play”. Zmniejszył natężenie dźwięku, podkręcił basy. Muzyka i nosowy głos Madonny wypełniły pokój.

*Strike a pose.*

Chłopczyk złapał ustami sutek i ssąc wracał powoli do życia. Ssał i ssał, kręcąc się niespokojnie. Pierś była jego jedyną opoką w życiu. Chwilami przerywał, żeby kątem ust nabrać trochę powietrza. Wydawał wtedy dźwięk, jakby mu się lekko odbijało.

Po pewnym czasie matka poczuła, że ciało znieruchomiało. Zasnął, zlany potem i z szeroko otwartą buzią pełną mleka, którego

nie zdążył przełknąć przed zaśnięciem. Z kącika ust ulało mu się trochę lepkiego i prawie przezroczystego płynu. Miał rączki pomarszczone jak u bardzo starego mężczyzny.

Matka pogładziła mokry od potu meszek na ciemieniu. Mały był spokojny, jak bokser po nokaucie. Kobiecie zabrakło łez, patrzyła pusto na ciało w swoich ramionach. Wiedziała, że najgorsze ma jeszcze przed sobą. Wolną ręką sięgnęła do torebki ze słodyczami i wyjęła kilka irysków, przytrzymała wargami i obróciła, odwijając i zrywając papierki jednym szarpnięciem. Wsunęła je sobie do ust. Czekoladowy, śmietankowy, miętowy - wszystkie na raz. Żuła euforycznie.

Mężczyzna stał już w przedpokoju, małym i tak niskim, że musiał się lekko pochylić. W rękę trzymał nasmarowane tłuszczem szelki. Miał na sobie starą kurtkę i wysokie, zielone gumowce z wywiniętymi brzegami, widać było białą filcową wyściółkę.

- Chodź - powiedział cicho. - Powinniśmy już iść.

- Czekaj chwilę, zmienię mu pieluszkę.

- Nie, będzie bez pieluszki, w samych szelkach. Musimy mu dać wszystko, wszelkie szanse.

Kobieta podeszła do niego, trzymając śpiące dziecko przed sobą, jak cenny dar, który ma zostać przekazany potężnemu królowi.

- Nie, ty go nieś, trzymaj pod kurtką, żeby mu było ciepło - powiedział i zarzucił jej na ramiona starą pikowaną kurtkę. - Po tej masakrze pewnie długo się nie obudzi. Biedactwo.

Noc była bezwietrzna i ciepła. Słońce znikło za horyzontem na północnym zachodzie, by za parę godzin znów wychynąć na północnym wschodzie. O tej porze roku noce nigdy nie bywały całkiem ciemne.

Przeszli kawałek starą drogą prowadzącą od szosy. Po jej jednej stronie biegł błotnisty rów, w którym nadal było trochę wody z wiosennych roztopów. Z obu stron rósł gęsty las. Silne wiatry wiejące jesienią i zimą uprzykrzały życie sosnom, które potrzebowały wielu lat, żeby wyrosnąć.

Przeszli przez rów w miejscu, gdzie było najgęściej i powoli przedzierali się przez las. Podłoże było miejscami podmokłe i ciężko się szło, ale wkrótce otworzył się przed nimi prześwit z podłużnymi zagłębieniami, jakby ziemia falowała. Niemal widzieli dawne dno morskie, które znajdowało się w tym miejscu, zanim wskutek wypiętrzenia zmienił się krajobraz. Najpierw było wybrzeże, potem las.

Mężczyzna szedł przodem, przytrzymując gałęzie tak, by nie uderzały w kobietę osłaniającą dziecko.

Milczeli. Powietrze było nieruchome.

Przeszli zaledwie dwieście, trzysta metrów, gdy mężczyzna zatrzymał się i rozejrzał po chaszczach. Zmusił się do uśmiechu, który bardziej przypominał grymas.

- To tu. Te poczwarki są w stadium spoczynkowym od przeszło roku. Teraz ich kolej.

Pokazał jej gęsty krzak, kolczasty i niegościnnie. Odchylił kilka gałązek i zajrzał.

- Idealny. Zobacz. Spojrzała do środka.

- Rzeczywiście, udało ci się zgrać w czasie.

- Wyglądają na pełne, prawda?

- Oj tak. Jeśli to nie zadziała, to...

Na krzaku było pełno szarawej substancji, która wyglądała jak oprząd, coś pośredniego między pajęczyną a śliną. Cieniusienka przędza stanowiła osłonę dla mieszkańców krzaka - setek, a może tysięcy rojących się lepkich larw i kokonów na każdej nawet najdrobniejszej gałązce. Rosnące tuż obok pokrzywy były prawie tak wysokie jak sam krzak.

Mężczyzna i kobieta spojrzeli po sobie i kiwnęli głowami. Rozumieli się.

Przez cienkie, lepkie ścianki kokonów prześwitywały różne wzory. Na pokrzywach i najniższych gałązkach leżały resztki narządów larwalnych, sprzed przekształcenia larw w poczwarki. Kilka poczwarek usiłowało się jeszcze uwolnić ze swojej „pidżamy”, czyli oskórka,

i wykonując gwałtowne ruchy powodowało jego pęknięcie. Był to fascynujący spektakl.

Jednak większość poczwerek zdążyła już zakończyć pierwszy etap przemiany się i kołysały się wolno, niemal niedostrzegalnie. Czekwały na stosowną porę, odwłok zakotwiczyły w poduszce z cieniutkiej przędzy. Wkrótce przejdą do następnej fazy.

Mężczyzna wyjął linkę i przerzucił przez jedną z mocniejszych gałęzi blisko pnia. Chwycił za drugi koniec z karabińczykiem. Następnie wyjął szelki i kazał kobiecie podać śpiące dziecko. Mały spał mocno, leżąc na jej rękach twarzą w dół. Mężczyzna delikatnie włożył mu szelki, przeciągnął pulchne nóżki i przełożył wąskie paski na krzyż od pasa w górę przez ramiona. Spiął je na karku karabińczykiem. Napiął linkę. Chłopczyk zawisł bezwładnie, jak obdarta ze skóry tusza świniaka w rzeźni.

- Pożegnaj się z nim. Pośpiesz się - powiedział cicho.

Matka przytuliła ciało do mokrego policzka. Szeptała mu do ucha słowa miłości, głaszcząc go po brzuszku. Pocałowała usta, oczy i czoło. Spał spokojnie.

Teraz mężczyzna przytulił małego i również szeptał mu do ucha.

Zdjął opatrunek z wytatuowanego miejsca i przesunął wiszące dziecko pod gałąź, na której zaczepił linkę. Napiął ją, by chłopczyk znalazł się w samym środku krzaka, a następnie delikatnie puścił przytrzymane wcześniej gałęzie, aż zakryły dziecko razem ze zwisającymi larwami. Drugi koniec linki przywiązał do pobliskiej sosny. Zawiązał węzeł i zawiesił na nim końcówkę linki zwiniętej w pętlę.

Mężczyzna i kobieta chwycili się za ręce. Między gałęziami prześwitywały plecy małego. Rana była wilgotna, ale nie krwawiła. Wszystko poszło zgodnie z planem. Krzak aż parował, buzował życiem.

Wreszcie nastąpił koniec łez. I zwątpienia. Byli kompletnie wyczerpani.

Gdy przytłoczeni ciężarem swoich myśli wracali przez las, chłopczyk nadal spał, wisząc na szelkach. Jego jedynym towarzyszem były niezliczone, rojące się larwy i lepkie poczwarki.

Promień porannego słońca świecił mu prosto w twarz. Obudził się z poczuciem, że się lepi, musiał zrzucić z siebie wszystko, żeby się ochłodzić. Machnął rękami, usiłując się uwolnić. Stopa uwięzła w czymś miękkim i musiał mocno kopnąć, żeby ją wyciągnąć. Wszystkie pory skóry miał rozszerzone, lał się z niego pot. Do tego piła go w pasie twarda gumka.

Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. A, prawda. Ale wczoraj wieczorem chyba nie było tak gorąco? Nie, było chłodnawo, prawie zimno. Dokładnie tak jak lubił. Przypomniawszy sobie, że przed samym zaśnięciem coś mu dziwnie zapachniało. Wystawił nos spod kołdry i stwierdził, że pachnie przegrzonym tosterem bez tostów. Sam prąd.

Gruba kołdra wylądowała na podłodze, prześcieradło, na którym leżał, było mokre od potu. Odwrócił głowę i spojrzał na kaloryfer pod oknem. Był nastawiony na maksymalne grzanie. Gdy w dodatku słońce zaświeciło prosto w okno malutkiej sypialni, zrobiło się w niej gorąco nie do wytrzymania. Zaciągnąłby zasłony, gdyby były. Wyciągnął rękę i wyłączył kaloryfer. Rozłożył nogi jak najszerzej i założył ręce pod głowę. Starał się wyobrazić sobie, że jest zimno.

Na drewnie niemalowanej boazerii było mnóstwo sęków i słoisk układających się w dziwne wzory, które wyglądały jak oczy i usta. Wesole, zgorzkniałe i szalone. Deski sufitu z takiego samego drewna

były węższe i jeszcze bardziej sękaty, co dodatkowo zwiększało liczbę oczu. Sufit wydawał się groźniejszy od ścian. Gapiły się na niego całymi tysiącami. Jakby się dziwiły, co on tu robi w ich świecie. Im bardziej się wpatrywał w jakieś oko, tym bardziej ono się na niego gapiło. Próbował rzucić im wyzwanie i patrzeć bez mrugania, ale oczywiście przegrał.

Spojrzał na zegarek leżący na krześle obok łóżka. Za kwadrans ósma. Wcześniej, zważywszy, że położyli się dwadzieścia po trzeciej. Mimo to czuł ożywienie, pewnie dlatego, że obudził się spocony. Nie ma sensu próbować jeszcze spać.

Wczorajszy wieczór był całkiem spokojny. Kolację zjedli w schronisku górskim. Potem Björne jak zwykle zaczął czarować kilka dziewczyn w barze. Trajkotał jak najęty i dowcipkował. Skończyło się znów jak zwykle - fajną imprezką, którą zorganizowali w swoim domku. I - jeszcze raz jak zwykle - po kilku godzinach dziewczyny podziękowały, mówiąc, że jutro też jest dzień. Śmiejąc się dodały, /c dawno tak się nie ubawiły. A ponieważ jeżdżą na desce, to może mogliby wszyscy jutro pojeździć razem? Człowiek nie ma szans i ui pójście do łóżka z dziewczyną, kiedy Björne tak plecie bez przerwy. () co mu chodzi: chce się przespać czy nie? Bo jeśli tak, to na pewno do tego nie doprowadzi, bawiąc się przez pół nocy w szarady filmowe. Ale fakt, było niesamowicie wesoło. Zwłaszcza kiedy Björne jak szalony bębnił drewnianymi łyżkami po swoim wielkim brzuchu. Dziewczyny potrzebowały dużo czasu, żeby odgadnąć, a brzuch Björnego zdążył mocno poczerwienić, zanim jedna w końcu wpadła na właściwy tytuł: *The Hunger Games*<sup>3</sup>.

Humor mu się poprawił na myśl o Björnem i jego brzuchu. Wstał i otworzył okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Czekał go zimny, iskrzący się od śniegu dzień na zboczu. Wydawało się, że nie wieje. Oby droga na szczyt była otwarta, żeby można było wje-

chać kolejką gondolową. Odczuwał jednocześnie grozę i zachwyt, gdy w grupie pasażerów jechał gondolą, kołyszącą się lekko na linie. Wszyscy pełni oczekiwania. W drodze po przygodę.

Björne spał na rozkładanej kanapie w dużym pokoju. Padł tam, gdy Jonas sprzątał po imprezie.

Gruźelkowate poduchy oparcia stały porządnie pod ścianą w nogach posłania, a pomyte kieliszki na ścierce kuchennej koło zlewu.. Resztki czipsów zostały wsypane z powrotem do torebek zamkniętych plastikowymi spinaczami.

Jonas włączył piekarnik i wydał z siebie głośną fanfarę.

- Björne, przed nami kolejny wspaniały dzień! Dzień dobry. Björne odwrócił się powoli na łóżku i odgarnął włosy z twarzy.

- Cześć, Jonas. A niech cię, miałem taki piękny sen. Śniło mi się, że zrobiłeś megaśniadanie: świeże bułki, jajka na miękko, sok pomarańczowy z miąższem i kawa ze spienionym mlekiem. A ty mnie budzisz do jakże bolesnej rzeczywistości.

- Spoko, poleż sobie. Zrobię śniadanie.

Jonas nalał wody do maszynki i nasypał kawę do filtra prosto z pudełka, bez miarki, wstawił rondel z wodą i sprawdził, czy piekarnik zdążył się nagrzać. Wyjął rzeczy z lodówki. Björne zrzucił kołdrę na podłogę i poczłapał do ubikacji, gdzie spędził dłuższą chwilę.

Jonas i Björne zakolegowali się na studiach prawniczych w Lundzie. Przypadli sobie do gustu już w pierwszym tygodniu. Większość studentów prawa chodziła w drogich markowych ciuchach, podczas gdy i Jonas, i Björne reprezentowali luzacki styl vintage z secondhandów. Swoją pierwszą rozmowę zaczęli od zdziwienia, że ich kolegów stać na takie drogie ubrania. Następnie przeszli do wielkich życiowych dylematów moralnych, by skończyć na komediowym programie zatytułowanym „Nowy facet mojej mamy”, który leciał w radiu w ich wczesnej młodości. Ulubieńcem obu był bohater akcji Thunder, którego kwestie znali na pamięć.

Björne ubarwiał swój świat żywą gestykulacją i częstym śmiechem. Jonas był bardziej powściągliwy, ale na większość spraw mieli podobne poglądy.

Po dyplomie obaj poszli do pracy w Urzędzie Podatkowym w Sztokholmie. W porównaniu do kolegów w eleganckich markowych ciuchach nie była to oszałamiająca kariera. Tamci zaczynali od posad notariuszy przy sądach rejonowych, a potem wsypywali w wielkie kancelarie adwokackie. Ale co z tego? Björnemu podobało się, że działa w sprawie słusznej społecznie. Dla Jonasa najważniejsze było, żeby mieć interesujące zadania i nie uczestniczyć w żadnej grze towarzyskiej, z którą - jak wiedział - mogło się wiązać ryzyko różnego rodzaju. Robić swoje i siedzieć cicho, taka była jego zasada.

- Długo jeszcze? Ja też potrzebuję - zawołał w stronę ubikacji.

- Spoko. Jeszcze minutka - odpowiedział Björne.

- Jakie mają być jajka?

- Ach, ty perfekcjonisto - zawołał Björne. - No więc chciałbym, aby żółtko właśnie zaczęło się ścinać. Żeby nie ciekło, ale też nie było ścięte. Jeśli to możliwe. Okej?

-Okej!

Björne wyszedł z ubikacji i wpuścił Jonasa, który zapalił kilka zapalek, żeby zneutralizować zapach.

- Mógłbyś wyjąć bułki z piekarnika? Najdalej za minutę będą gotowe.

Björne poszedł do kącika kuchennego i wyjął bułki. Długą łyżką zamieszał sok w dzbanku. Nalał sobie do szklanki i chciwie wypił kilka łyków. Nie był szczególnie skacowany, ale też nie czuł się zbyt świeżo. Tak się dobrze bawili, że nie musieli dużo pić.

Kilka minut później Jonas zawołał z ubikacji.

- Björne? -No?

- Możesz już wyjąć jajka.

- Chyba jeszcze nie. Zresztą skąd wiesz, przecież zostawiłeś tu swój zegarek.



- Już. Wyjmuj!

- Okej.

Björne zdjął rondel z kuchenki i splukał jajka zimną wodą.

Obu dobrze szło w Urzędzie Podatkowym. Zostali uznani za sympatycznych i pomysłowych facetów, którzy radzą sobie z trudnymi wyzwaniami. Już po pół roku zaproponowano im przejście do specjalnego wydziału prowadzącego dochodzenia wobec firm podejrzanych o zagrywki podatkowe graniczące z przestępstwem gospodarczym. Björne, fanatyk gier komputerowych, miał szczególny talent do odnajdywania danych w różnych systemach. Docierał do informacji zdawałoby się niemożliwych do odszukania i weryfikował je w sposób może nie do końca zgodny z obowiązującymi regułami i wytycznymi, chociaż faktem było, że ich wydział dysponował specjalnymi uprawnieniami. Jonas nieszczególnie radził sobie z komputerem, natomiast miał wybitne umiejętności analityczne. Często trafiał w punkt już na początku swego dochodzenia, przyczyniając się do oszczędności czasu i środków. Szef często chwalił go za „wyjątkowo trafną intuicję”.

Usiedli przy barku oddzielającym kącik kuchenny od reszty pokoju i zabrali się do jedzenia. Björne podśpiewywał wesoło i pełen oczekiwania rozsmarował na bułce grubą warstwę masła, które topiło się na gorącym pieczywie.

- Śniadanie to niewątpliwie jeden z najprzyjemniejszych posiłków.

- Równie miły jak obiad i kolacja, nie? - zaśmiał się Jonas, włączając zabrany z domu bateryjkowy spieniacz do mleka. - Dla mnie najprzyjemniejsza chwila w ciągu dnia to ta, kiedy piję pierwszą filiżankę kawy. Ale nie może być ani za mocna, ani za słaba, tylko akurat. Dokładnie w sam raz.

- Śniadanie w domku w górach jest fajne, ale najfajniejsze są śniadania hotelowe. Jak w Niemczech, gdy na stół wystawiają michę opakowań Nutelli. I małe, okrągłe serki w czerwonej plastiko-

wej osłonce. Cholernie dobre. I słodkie bułki z czekoladą w środku. Pycha...

- To nie plastik. -Co?

- Osłonki. To nie plastik. To wosk.

- Niech ci będzie. Ten... wosk ściąga się za pomocą sznureczka.

Jedli, gawędząc o wczorajszym wieczorze i o tym, że trzeba się odezwać do tych dziewczyn. Ciekawi byli, czy cała trasa zjazdowa będzie otwarta i czy można będzie trochę pojeździć koło wąwozu poza trasą.

Najedzeni, w milczeniu popijali kawę. Jonas wypił wcześniej, odstawił filiżankę i rękami poprawił włosy.

- Słuchaj, chciałbym z tobą o czymś pogadać.

- Okej?

- Trochę to mętne, ale w zeszłym tygodniu odezwała się do mnie Headhunterka. Zlecili jej pozyskanie mnie do innej pracy. A w każdym razie namówienie, żebym przyszedł na rozmowę kwalifikacyjną.

- O! Co to za praca?

- Nie chciała ujawnić, dopóki nie powiem, czy zgodziłbym się pracować w tej branży. Oczywiście spytałem, co to za branża. Odpowiedziała, że ta sama co teraz, chociaż firma jest prywatna.

- Co? Prywatne Biuro Podatkowe? To jakiś żart?

- Nie, to jest chyba jakaś wywiadownia gospodarcza. Powstają teraz jak grzyby po deszczu. Kombinacja biur detektywistycznego i audytu. Sprawdzają na przykład nadmierne wydatki na reprezentację, zbyt wysokie straty magazynowe, sprzedaż sfałszowanych lekarstw. Mak dalej. Oprócz tego otrzymują zlecenia nadzoru, nie bardzo wiem, czego dotyczą.

- A kto im daje te zlecenia? - spytał Björne, rozbijając następne jajko.

- Przede wszystkim firmy, ale również bogate osoby fizyczne. Firmy, które nie chcą iść ze swoją sprawą na policję, tym samym ryzykując, że stanie się publiczna i zaszkodzi ich reputacji. W dodatku problem często ma charakter międzynarodowy, czyli powstałoby

zamieszanie, gdyby miały się włączyć policje z różnych państw. Babka powiedziała również, że takie instytucje jak Policja, SAPO<sup>4</sup> i Urząd Podatkowy mogą kupować ich usługi, jeśli same nie dysponują odpowiednimi środkami.

- Wow. Brzmi dość paskudnie. To już nawet Wielki Brat zostaje sprywatyzowany... I co odpowiedziałeś?

- Że się zastanowię. Ona ma się odezwać po weekendzie. Co o tym myślisz?

- Sam nie wiem. Jednak to dość intrygujące. Dobrze płacą? Okazało się, że Jonas był w trakcie rozmowy z headhunterką

tak zaskoczony, że nawet nie spytał o pieniądze. Chwilę rozmawiali, rozpatrując wszystkie za i przeciw. Według Bjórniego mógł wziąć bezpłatny roczny urlop, żeby spróbować innej pracy. Jonas odparł, że właściwie dobrze mu tu, gdzie jest, tyle że praca zrobiła się trochę jednostajna.

- W tej wywiadowni miałbym podobno większą swobodę działania. Tak mi powiedziała. Interesuje ich tylko, żebym przynosił wyniki, a wtedy nikt nie będzie pytał, gdzie jestem ani ile godzin pracuję.

Żadnych pytań... To się Jonasowi zdecydowanie podobało. Co do wyników, zazwyczaj nie miał z tym problemu.

- Uważam, że powinieneś pójść na to spotkanie - powiedział Bjórne. - Bo co ryzykujesz? Nic, a zawsze się czegoś nauczysz.

- Tak, może masz rację - odparł Jonas. Zebrał ze stołu noże do masła, zamknął pudełko i zakręcił tubkę z pastą kawiorową. -Dzięki za rozmowę. Co ty na to, żeby teraz pojechać?

- Koniecznie - odparł Bjórne. - Jeśli nam się poszczęści, to obiad zjemy w domku na szczycie.

- A ty zawsze o tym...

- Właśnie, a propos.

- Co takiego?

4 SAPO - Sakerhetspolisen, czyli Policja Bezpieczeństwa.

- Jajka, tylko tyle. No więc jajka. Skąd wiedziałeś kiedy? Przecież siedziałeś w sraczu.

- O co ci chodzi? - Jonas uśmiechnął się, jakby już wiedział, co nastąpi.

- Były ugotowane wręcz idealnie. Co do sekundy.

Spotkanie z potencjalnym pracodawcą, bez żadnych warunków wstępnych. Tak to nazwała headhunterka i jeszcze zanim mu podała nazwę firmy, udało jej się nakłonić go do wypełnienia kilku testów. Jonasowi niezbyt się podobało, że zostanie prześwietlony przez firmę, o której sam nic nie wie, chociaż ona tak bardzo się nim interesuje. Mimo to zgodził się, co zapewne było wynikiem zręczności headhunterki, ale i jego ciekawości. Ani przez chwilę nie wątpił, że dobrze wypadnie w testach. Jeden polegał na uchwyceniu związków między seriami liczb, inny dotyczył słownictwa. Oprócz tego było mnóstwo pytań dotyczących moralności i etyki. Jak zachowałby się w różnych sytuacjach, gdyby zdarzyło się to czy tamto. Zwykła analiza przyczynowo-skutkowa, mieszanka filozofii i logiki. Jedyny sprawdzian, którego wyniku nie umiał przewidzieć, dotyczył charakteru pisma. Nieczęsto zdarzało mu się pisać ręcznie i wydało mu się to jakieś niedzisiejsze. Ale może to też jest sposób, żeby mnie przetestować, pomyślał. Aż mu zdrętwiał przegub, bo dawno nie zapisał ręcznie całej strony A4.

Właśnie siedział w recepcji, czekając na spotkanie. Było to ładne biuro, bez ostentacyjnego luksusu. Białe ściany i meble z jasnego drewna. Na ścianach dyskretne litografie w niezbyt grubych, drewnianych ramach pomalowanych transparentną białą farbą.

Za kontuarem siedziała młoda kobieta, która sprawiała wrażenie, że absolutnie nic nie robi. Pasowała do wnętrza, wyglądała porządnie

i schludnie, ale w neutralny, niczego nie sygnalizujący, sposób. Jonas zdążył odsiedzieć na kanapie około dziesięciu minut, gdy wstała i błyskając białym uśmiechem, nachyliła się nad kontuarem.

- Proszę wybaczyć opóźnienie. Pani Vesna Dyria zaraz po pana przyjdzie.

W tym samym momencie Jonas usłyszał kroki w korytarzu. Zobaczył wysoką, mocno zbudowaną kobietę o miłym wyrazie twarzy, która szła w jego kierunku z wyciągniętymi rękami w geście powitania. Usta pełne lśniących białych zębów wydawały się aż za duże jak na jej wychudzoną twarz. Chyba biega długie dystanse, pomyślał, prostując się, żeby dobrze wypaść podczas pierwszego spotkania.

- Jonas Ramm, jak się domyślam? Proszę wybaczyć. Musiałam zająć się pilną sprawą. Nazywam się Vesna Dyria.

Chwyliła jego prawą rękę i kładąc na nią swoją lewą, przypieczętowała uścisk. Długi i mocny. Ciekaw był, czy to dalszy ciąg sprawdzianu. Odpowiedział równie mocnym uściskiem i czekał, aż Vesna puści.

- Nie ma problemu - odparł Jonas. - Pooglądałem sobie te piękne albumy. Sztokholm jest naprawdę wspaniałym miastem.

- Tak, fantastycznym, prawda? Mamy szczęście, że tu mieszkamy. Witam w Apisec!

Dotknęła ręką jego pleców, drugą wskazała korytarz na znak, że ma z nią pójść. Minęli rząd zamkniętych drzwi i doszli do pokoju w końcu holu. Vesna pochyliła się i przysunęła twarz do skanera tęczówki.

- Niestety, montowali je chyba pigmeje - powiedziała, gdy rozległo się kliknięcie i drzwi otworzyły się automatycznie.

Pokój znajdował się w narożu budynku i był zalany światłem z dwóch okien wychodzących na dwie strony świata. Za nimi widać było korony drzew Humlegarden<sup>5</sup>. Wydawały się powyginane, suche. Mimo przedwiośnia zima wciąż nie odpuszczała.

5 Humlegarden - nieduży park w centrum Sztokholmu.

- Usiądź - wskazała mu fotel koło pieca kaflowego. Sama usiadła na kanapie po drugiej stronie niskiego, szklanego stolika. Poprawiła krótką spódniczkę, która ledwo osłaniała mocne, umięśnione uda.

- Pomyślałam, że może na początek opowiem coś o Apisec. Co ci o nas wiadomo?

- Prawie nic - odparł Jonas. - Możesz zacząć od początku. Wydało mu się, jakby spojrzała lekko podejrzliwie i pomyślał, że

może nie była to najbystrzejsza odpowiedź, skoro zaprosili go tu jako specjalistę od researchu. Szybko dodał:

- To znaczy, chętnie się dowiem, jak się sami prezentujecie. Vesna skinęła głową, wzięła ze stołu karafkę i naląła wody do szklanek.

- Chcesz wody? Ja piję dużo wody. Powinno się pić kilka litrów dziennie dla podtrzymania pracy nerek.

Odchyliła się do tyłu i splotła ręce za głową. Bluzka napięła się na biuście, krótkie rękawy odsłoniły spód mocnych mięśni, bardzo białych w zestawieniu z opaloną twarzą i krwiście czerwonymi wargami.

- Firmę założył na początku lat osiemdziesiątych mój ojciec Goran. Przyjechał z Belgradu, stolicy kraju zwanego wtedy Jugosławią. Dziś, jak wiesz, Belgrad jest w Serbii. Pracował tam na rzecz szwedzkiego przedsiębiorstwa budowlano-inwestycyjnego, które w dyktatorskich państwach Europy Wschodniej i świata arabskiego budowało systemy podziemnych bunkrów. Wykorzystali koniunkturę wynikającą ze strachu przed wojną jądrową i aż do upadku muru robili świetne interesy. Wtedy z dnia na dzień na całym świecie skończyły się budżety na takie rzeczy. Podczas budowy bunkrów dla Tity pod Belgradem Goran był szefem placówki, ale kiedy w końcu lat siedemdziesiątych dyktator zaczął mieć problemy ze zdrowiem, postanowił przenieść się do Szwecji. Ojciec założył rodzinę i chciał zapewnić bezpieczeństwo mnie i mamie. Uważał, że bez Tity Jugosławia się rozpadnie. Miał rację, choć potrwało to jeszcze dziesięć lat. Został niezależnym konsultantem przedsiębiorstwa budowlanego ze Skanii, dla którego

dotąd pracował i zaczął zajmować się zabezpieczeniami. Jego firma konsultingowa rozwijała się. Niecałe dziesięć lat temu odszedł ze stanowiska dyrektora generalnego Apisec, ale nadal odgrywa ważną rolę - można powiedzieć, że inspiruje wiele naszych działań. Więc jeśli do nas przyjdiesz, na pewno go nie unikniesz - powiedziała, kończąc pierwszą część swojej prezentacji głośnym, serdecznym śmiechem.

Następnie opowiedziała o firmie i ewolucji, jaką przeszła po przejęciu przez nią kierownictwa. Obecnie największe dochody czerpali z dostarczania informacji, chociaż wydział zabezpieczeń technicznych był wciąż bardzo ważny dla ich marki. Zapotrzebowanie na nadzór i ochronę rzadko podlegało istotnym wahaniom, jednak to właśnie dostarczanie informacji stało się głównym motorem wzrostu Apisec.

- W gruncie rzeczy informacja to niewłaściwe słowo, bo sugeruje, że sprzedajemy naszym klientom wór pełen liter i cyfr. A my nie jesteśmy sklepem tego rodzaju. Oferujemy wiedzę. Informacja wzbogacona o wiedzę na wyłączność, zweryfikowana przez Apisec, jest wyjątkowo cenna dla kogoś, kto ma odwagę, zdolności i odpowiednie pieniądze, by ją wykorzystać.

- Pomówmy teraz o tobie - powiedziała Vesna, gdy już przedstawiła przekrój zawodowy pracowników Apisec i zadania, w jakich się specjalizują. Wszystko zgodnie z prawem, co podkreśliła aż trzykrotnie, według Jonasa przynajmniej o dwa razy za dużo.

Poprawiła się na kanapie i pochyliła do przodu.

- Zacznijmy od najtrudniejszego. Jakie są twoje największe wady?

- Ojej! - Jonas udał zdziwienie. - Muszę się zastanowić. Co by to mogło być? Niełatwo jest spojrzeć na siebie w ten sposób.

- Oczywiście. A pierwsze, co ci przychodzi do głowy?

- Cóż - powiedział z wahaniem. - Może to, że jestem nieśmiały.

- Mów dalej.

- Nie chodzi o to, żebym bał się rozmawiać z ludźmi. Raczej o to, że zanim się komuś zwierzę, muszę go dobrze poznać. Nawet jeśli



wiem, że to porządny człowiek, zwlekam do końca z ujawnieniem czegoś o sobie.

- W jakim sensie jest to problem? I skąd wiesz, że to porządny człowiek? - spytała Vesna, dolewając mu wody.

- Problemem - i jednocześnie swego rodzaju zaletą - jest to, że ten ktoś najczęściej uważa mnie za osobę absolutnie nieciekawą. Jeśli nie ma się do kogoś pełnego zaufania, to nawet dobrze, gdy można uniknąć ciekawości z jego strony. Skąd wiem, że mam do czynienia z porządnym człowiekiem? To się czuje, prawda?

- Niezupełnie - odparła. - Większość ludzi gada z byle kim o byle czym. Myślą, że wszyscy są mili i dobrzy, podczas gdy... No, dobra... Zawsze byłeś nieśmiały?

- Zaczęło się w gimnazjum. Pewnie już wcześniej miałem takie skłonności, ale dopiero wtedy objawiło się to w pełni.

- Rozumiem. - Spojrzała na niego inaczej. Jakby chciała go przejrzeć tymi swoimi czarnymi oczami, dokładnie zeskanować niewidoczną osłonę wokół jego głowy. - Ciekawe. Wydarzyło się wtedy coś szczególnego?

- Zostałem oskarżony o coś, czego nie zrobiłem. Dyrektor wezwał mnie na dywanik, musiałem odpowiedzieć na mnóstwo pytań. To mnie nauczyło, żeby się nie wychylać. Rodzice nazwali to nieśmiałością, ale uważałem i nadal uważam, że to kwestia przetrwania. Jak mówiłem, nie odczuwam nieśmiałości wobec ludzi, którym ufam.

Zapadło krótkie milczenie. Jonas czekał na dalsze pytania. Vesna zamyśliła się, pocierając palcami policzek i podbródek, jakby rosła na nim swędząca broda.

- Zostałeś adoptowany, prawda?

- No proszę, widzę, że dokładnie mnie sprawdziliście. Owszem, zgadza się. Rodzice adoptowali mnie we wczesnym dzieciństwie.

- Co ci wiadomo o biologicznych rodzicach?

- Właściwie nic.

- Nie jesteś ciekaw? - spytała. - Ja bym była. Kiedy byłam małą, często wyobrażałam sobie, że zostałam adoptowana. Nawet powie-

działałam rodzicom. W końcu Goran miał dość i udał, że mi przyznaje rację.

- Nie, nigdy nie byłem ciekaw. Moi rodzice byli fantastyczni. A tamci, którzy mnie zostawili, pewnie mieli jakieś problemy i nie mogli się mną zajmować. W każdym razie tak to odebrałem. Ewentualnie, że byli narkomanami albo coś w tym rodzaju. Nie obchodzi mnie to. Jestem kim jestem dzięki moim rodzicom. Z początku byli dla mnie rodziną zastępczą, dopiero po kilku latach mogli mnie adoptować, gdy okazało się, że rodzice biologiczni nie zgłaszają żadnych roszczeń. Jeśli dobrze rozumiem, nawet ich nie było wtedy w Szwecji. W każdym razie nie został żaden ślad. Zresztą, o czym tu mówić, rodzice dali mi tyle miłości, ile trzeba. Kto chciałby dowiedzieć się, jak ciemne dziedzictwo tkwi w jego genach? Tak naprawdę liczy się tylko środowisko, w którym dorastamy. Powiedzmy więc w ten sposób: dostałem w spadku środowisko najlepsze z możliwych.

Jonas był przyzwyczajony bronić kwalifikacji rodzicielskich swoich adopcyjnych rodziców i robił to rutynowo, nie popadając w sentymentalizm. Nie zamierzał być jednym z tych adoptowanych dzieci, dla których całe życie jest walką o zrozumienie czegoś, co jest nie do pojęcia.

- Mhm... Pewnie tak - powiedziała Vesna, prostując szyję i lekko poruszając głową. Wygląda to raczej na zaprzeczenie niż potwierdzenie, pomyślał.

Jeszcze przez chwilę rozmawiali o dzieciństwie i młodości Jonasa. O studiach w Lundzie i o tym co w jego pracy w Urzędzie Podatkowym podoba mu się najbardziej. Jak ocenia swój wkład w działalność urzędu? I jak oceniają to jego koledzy?

Nie mógł się zdecydować, czy Vesna zasługuje na jego zaufanie. Sprawiała wrażenie osoby życzliwej i serdecznej, ale jednocześnie czuł, że wie o nim znacznie więcej, niż okazuje. Jakby wiele zadanych przez nią pytań było czysto retorycznych, skonstruowanych tak, by ocenić, jak Jonas odpowie, a nie co. Zrobiło mu się nieswojo, że nie wie, czego się po niej spodziewać, bo zazwyczaj potrafił dość szybko rozszyfro-

wać osobę, z którą rozmawiał. Jednocześnie pociągało go to nieznane. Skąd Vesna może tyle wiedzieć na jego temat? A może tylko bardzo umiejętnie stworzyła wrażenie, że ma taką wiedzę?

Przyszła pora na podsumowanie; Vesna wstała z kanapy, podeszła do okna, przysiadła na niskim parapecie i skrzyżowała ramiona na piersi.

- Obserwujemy cię od dość dawna. Właśnie tak działamy... prowadzimy rozpoznanie zwiadowcze. To jedna ze specjalności Gorana. Ma idealnie ostry węch. Twój - nazwijmy to - talent jest czymś, co potrafilibyśmy docenić w Apisec. Wydaje mi się również, że miałbyś poczucie, że twoje zdolności naprawdę się przydają.

- Aha... Jakie zdolności masz na myśli? - spytał Jonas. Siedział dalej, chociaż Vesna wstała.

- Myślę, że rozumiesz, o czym mówię. Masz wielką intuicję. Myślę też, że posiadasz rzadkie wyczucie, jak wykorzystać zdobyte informacje. Trafna analiza we wczesnym stadium może być decydująca dla projektu, nie tylko dla budżetu, również dla wyniku końcowego. Zysk na czasie...

- Na czym polegałaby moja praca, gdybym do was przyszedł?

- Miałbyś w znacznej mierze wolną rękę. Zazwyczaj najlepiej jest przejąć od starszego konsultanta jakieś częściowe zadanie i potem sukcesywnie całość spraw danego klienta. W pewnym momencie okazuje się, że klient stał się całkowicie uzależniony od twoich usług, a ty jesteś sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Pracujesz, kiedy chcesz i gdzie chcesz, ale naturalnie od czasu do czasu chcemy widywać tu naszych konsultantów. Osobiste spotkanie to nadal najlepszy sposób, żeby dzielić się doświadczeniami.

- Poproszę o więcej konkretów - odparł Jonas.

- Zacząłbyś od kilku z moich klientów. Mam na przykład takich, którzy chcieliby zbadać skutki licznych deregulacji z ostatnich dwudziestu lat w Szwecji. Międzynarodowe spółki wysokiego ryzyka wygrały mnóstwo przetargów na zarządzanie szkołami i placówkami medycznymi. Jednak tylko nieliczne dysponują pełnym obrazem

tego, jak rozkładają się zyski i, co nie mniej ważne, czy oceny dokonywane przez organy państwowe i samorządy są... jakby to powiedzieć... całkowicie bezstronne. To są kontrakty wartości wielu miliardów koron i równie mgliste jak włoska liga piłkarska. Szwedzi są absolutnie beznadziejni, gdy chodzi o łapówki. Przyjmują korzyść w postaci remontu swojego domku letniskowego wartości kilkuset tysięcy, a w zamian dają coś, co jest warte setki milionów, a nawet miliardy. Gdy w grę wchodzi tak niewielkie korzyści, trudno udowodnić celowe działanie. Szwecja jest prawdziwą żyłą złota dla międzynarodowych kombinatorów.

- Mogłabyś wymienić jakiegoś typowego klienta kupującego takie informacje? - spytał Jonas.

- Nie, żadnych nazw, dopóki nie podejmiesz u nas pracy. Cały dowcip polega na tym, że oni właściwie nie kupują od nas informacji, tylko płacą nam za to, żebyśmy byli po ich stronie. Z formalnego punktu widzenia nie zlecają nam żadnego zadania, bo to by nie wyglądało dobrze, tylko abonują nasze ekspertyzy z różnych obszarów. My pozostajemy właścicielami zebranego materiału. Oznacza to również, że mamy prawo sprzedać go ponownie. Szczerze mówiąc, wielokrotnie. Kilku naszych klientów ma związki z polityką, inni ze światem inwestorów finansowych albo, ogólnie rzecz biorąc, gospodarką. Ale wśród nich są również władze różnych szczebli. Umieszczają to w swoich budżetach w rubryce analiza sieci współpracy. Ale niczego nie ma na piśmie, sprawozdanie jest prezentowane ustnie podczas, że tak powiem, warsztatów za zamkniętymi drzwiami. I jak?

- Okej. Brzmi interesująco. Mam niezłe doświadczenie w tego rodzaju dochodzeniach, ponieważ mój wydział Urzędu Podatkowego ściśle współpracuje z policją i innymi organami. Działamy na podstawie czegoś, co biurokraci określają jako „interes państwowy”, no wiesz. Wszyscy siedzimy na tej samej gałęzi. Jeśli znajdziesz jakieś nieprawidłowości, to nikt nie pyta, jak do tego doszłaś. Mogę powiedzieć, że policyjny pion do walki z przestępczością gospodarczą nie zadaje zbyt wielu niewygodnych pytań naszemu urzędowi. Jest to z pożytku-

kiem dla wszystkich i uważam, że tak jest dobrze, dopóki służy obywatelom. A jakie byłyby warunki zatrudnienia? Mam na myśli urlop, zarobki i tak dalej?

Vesna Dyria po swoim kiwnęła głową i znów usiadła na kanapie. Sięgnęła do talerza na stoliku, wzięła cukierek i zaczęła starannie odwijać papieraek.

- Mmm... irysek AKO. Czekolada, śmietanka i mięta. Szwedzki klasyk. Trudno je dziś dostać. Kupuję bezpośrednio w fabryczce słodczy w Helsingborgu. Są prawie tak dobre, jak te dawniejsze, chociaż trochę za miękkie. Jakby za świeże. Za mojego dzieciństwa bardziej się ciągnęły. Cóż, jestem pies na słodczy. Pytałeś o urlop... możesz go brać, kiedy będziesz miał czas. Najważniejsze, żebyś dostarczył klientom właściwych informacji. Powinieneś zgłosić, kiedy i jak długo cię nie będzie; tak robi większość pracowników, chociaż nie jest to wymóg formalny. No i pensja. JEŚLI, podkreślam: JEŚLI postanowimy zaproponować ci pracę, zaczniesz od pensji dwukrotnie wyższej od obecnej. W dodatku mamy atrakcyjny system bonusów. Nie chcemy, żeby ktokolwiek od nas odchodził. Kiedykolwiek.

## TRZYNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ, SEMESTR WIOSENNY. STOCKSUND, PÓŁNOCNE PRZEDMIEŚCIE SZTOKHOLMU.

Jonas wcześniej wszedł w okres dojrzewania i wiosną wpadał w stan euforyczny. Kończyło się dzieciństwo, pulchniutki chłopczyk zamieniał się w przystojnego, młodego mężczyznę. Wkrótce będzie gotów do lotu, do zdobywania świata. Rósł centymetr na miesiąc, a świat wokół niego rósł jeszcze szybciej, wręcz rozkwitał przed jego oczami. Radość życia stała się słodczą zaostarzającą zmysły. Nic nie było niebezpieczne, mógł zrobić wszystko.

Pewnego wieczoru naszło go niezwykle silne przecucie. Jonas nie miał zbyt wielu kolegów, a dziewczyny nigdy się nim specjalnie nie interesowały. Ale teraz będzie lepiej. To przecucie było tak wyraźne, że nie mógł się mylić. Widział, czuł, wiedział to. Wszystko stało się takie proste. Wreszcie.

Opuścił Bolibompę<sup>6</sup>, bo miał śmiertelnie dość „Magazynu Bjornego” i nudnej pacynki-ślimaka, który nigdy nic nie mówił. Zamiast tego zalogował się na Lunarstorm<sup>7</sup> i na swojej ścianie napisał: *Kto chciałby mieć w jutrzejszym teście wszystkie trafne odpowiedzi?*

<sup>6</sup> Bolibompa - popularny blok programów telewizyjnych dla dzieci, jednym z nich był „Magazyn Bjornego”.

<sup>7</sup> Lunarstorm - szwedzki serwis społecznościowy, działał do 2010 roku.

Tata Mats zawołał, że pora jeść. Naleśniki, ulubione danie Jonasa. Zjadł sześć. Jego rekord wynosił jednaście, tyle zjadł zeszłego lata po pucharze piłkarskim.

Tata uważał siebie za mistrza świata w smażeniu naleśników. Jego naleśniki były cienkie, delikatne i przepyszne. Trik polegał na tym, żeby do ciasta dodać co najmniej cztery łyżki stołowe stopionego masła. Prawdziwego, żadnej margaryny. I energicznie, dokładnie rozrobić ciasto, żeby składniki się zmieszały i nie powstały żadne grudki.

Jonas wrócił do komputera najedzony i zadowolony. Zobaczył, że zgłosiło się siedem osób z klasy, chcących zaliczyć test na maksymalną liczbę punktów. Odpisał im: *Okej, widzimy się o wpół do ósmej przed wejściem do sali gimnastycznej. Podam pytania do testu. Odpowiedzi znajdziecie sobie sami.*

Dwadzieścia po siódmej powiedział mamie, że chce potrenować rzuty wolne na boisku szkolnym.

- Przecież tam jeszcze leży śnieg? - zdziwiła się Marie.

- Nie, tylko trochę, z brzegu. Zresztą Henke Larsson w dzieciństwie zawsze trenował na śniegu. Mówił o tym w Lilia Sportspegeln<sup>8</sup>. Pewnie dużo tego śniegu nie mieli, przecież mieszkał w Skanii przed swoim wyjazdem do Szkocji. Z kolei tam prawie ciągle pada, ale i tak trenuje.

- Okej, ale wróć najpóźniej o dziewiątej.

- Wrócę na ósmą. Jutro mam sprawdzian ze średniowiecza. Przepytasz mnie?

- Jasne, synku.

Niecały tydzień później rozpętało się piekło. Pięcioro uczniów odpowiedziało poprawnie na wszystkie pytania ze sprawdzianu z historii średniowiecza. Oprócz Jonasa było to dwóch chłopców, którzy zwykle mieli kiepskie stopnie, a teraz nieoczekiwanie okazali

8 Lilia Sportspegeln - program sportowy dla dzieci i młodzieży w szwedzkiej telewizji publicznej SVT.

się najlepsi w klasie. Wychowawca nabrał podejrzeń i wieczorem zadzwonił do rodziców, którzy od razu postawili dzieciaki pod ścianą za to, że przyniosły im wstyd w szkole. A te opowiedziały o spotkaniu z Jonasem, który podał im dwanaście pytań sprawdzianu. Nie pytali, skąd je zna, ale uwierzyli mu i odszukali odpowiedzi w podręczniku. Warto było spróbować.

Jedna z dziewczynek, opowiadając rodzicom o zaliczeniu wszystkich pytań, sama przyznała się do oszustwa. Jej najlepsza przyjaciółka również była na spotkaniu z Jonasem, ale na jedno pytanie nie odpowiedziała, bo nie zapamiętała wszystkiego. Oprócz niej jeszcze jedna koleżanka miała wszystkie odpowiedzi poprawne.

Telefony się grzały, rodzice dzwonili do siebie, wiadomość rozeszła się bardzo szybko. Wszystkie dzieciaki, które miały konta na portalu Lunarstorm zaświadczyły, że Jonas zaoferował im możliwość przygotowania odpowiedzi na wszystkie pytania. Jego oferta pojawiła się na ekranie około szóstej wieczorem. Okazało się, że zainteresowanych było więcej, ale tylko kilkoro przyszło się z nim spotkać. Zrobili zrzut ekranu z wpisem Jonasa, a potem wysłali mailem do wychowawcy i innych rodziców.

Wielu z nich dzwoniło potem z awanturą do rodziców Jonasa. Jak mogli pozwolić, żeby ich synalek deprawował nasze aniołki? To na pewno jakiś przekręt internetowy, cały ten internet jest po prostu groźny dla dzieci, nic tylko pornosy i oszustwa. Grozili doniesieniem na policję, a nawet pobiciem. Mats i Marie starali się zachować spokój, choć coraz wyraźniej wychodziło na to, że Jonas dopuścił się poważnego oszustwa. Było to do niego zupełnie niepodobne. Większość dzieci w klasie wykasowała go z grona znajomych na Lunarstorm i Playahead. Ci, którzy mieli komórki, przysyłali mu SMS-y, że jest obrzydliwym typem.

Zatelefonował wychowawca i przekazał, że Jonas z rodzicami ma stawić się następnego dnia u dyrektora. Powiedział, że szkoła podchodzi do tego zajścia bardzo poważnie oraz że Jonas jest elementem, który ma zły wpływ na kolegów.



Jonas był wzburzony. Wszystko, co wcześniej wydawało się tak wspaniałe, przerodziło się w koszmar. Powiedział rodzicom, że absolutnie nie ściągnął pytań od wychowawcy. Mats i Marie prawie się nie odzywali, byli bardzo zmartwieni, Jonas płakał rozpaczliwie i bronił się, że to nie jego wina, że odgadł wszystkie pytania. Rodzice stwierdzili, że nie podejmą żadnych decyzji, dopóki nie porozmawiają z wychowawcą i dyrektorem. Odebrali synowi komórkę, wyłączyli router i z ponurym niepokojem w oczach powiedzieli dobranoc. Jonas nie zmrużył oka tej nocy. Tkwił w półśnie, jak w kokonie.

Dzieci w klasie Jonasa były właściwie za małe na regularne sprawdziany. Jednak niepubliczna szkoła, do której uczęszczały, chciała się pokazać przed ambitnymi rodzicami z willowego przedmieścia. Zamiast stopni sporządzała obszerne opinie, które rodzice nauczyli się rozszyfrowywać jako zwykłe oceny. Poważniejsze sprawdziany zaczęły pojawiać się w trzeciej klasie, a w czwartej był jeden po drugim. Jonas chodził do szóstej klasy i już był wdrożony w ten system. Obszerne klasówki zarządzano często zamiast sprawdzania pracy domowej, a szkoła robiła wszystko, żeby uczniowie uważali je za ważne i prestiżowe. Wyścig miał zgodnie z mantrą szkoły zwiększyć „szanse dzieci na przyszłość”.

Dyrektor Stig Andersson przystąpił do przesłuchania Jonasa. Włożył tego dnia marynarkę i nawet zawiązał krawat, choć zazwyczaj chodził w swetrze i białej koszuli rozpiętej pod szyją. Siedział za biurkiem i spoglądał na Jonasa znad okularów, które zjechały mu na koniec nosa. Jonas ciekaw był, po co je nosi, skoro i tak zawsze patrzy w ten sposób. Choćby maszerując szkolnym korytarzem z tą swoją dziwną torebką wiszącą na rzemyku wokół przegubu.

- Tak, Jonasiu. Sam przyznasz, że sytuacja jest nieprzyjemna. Wiele osób odbiera ją jako bardzo, ale to bardzo przykłą, inne czują się oszukane. Czy mógłbyś nam opowiedzieć własnymi słowami, co się wydarzyło?

Jonas spojrzął na rodziców. Spoglądali poważnie, ale uśmiechnęli się do niego zachęcająco. Mimo okropnej, nieprzespanej nocy chłopiec poczuł się mocny. Żeby poprawić sobie humor, włożył nową czerwoną bluzę Manchester United, chociaż była na niego trochę za duża.

- No więc napisałem na Lunarstorm, że kto chce odpowiedzieć poprawnie na wszystkie pytania, może się do mnie zgłosić w sali gimnastycznej.

- Kiedy to było?

- W środę wieczorem.

- A sprawdzian był w czwartek, nieprawdaż? - powiedział dyrektor, zwracając się do wychowawcy siedzącego obok, przy rogu biurka.

Wychowawca o imieniu Tobias miał dwadzieścia dziewięć lat. Był to jego drugi semestr w szkole. Zawód nauczyciela obrał po przepracowaniu kilku lat w wojsku. Zdobyte doświadczenie w kierowaniu ludźmi i w utrzymywaniu dyscypliny pasowało jak ulał do założeń programowych „Szkół Umiejętności”.

- Zgadza się - odparł Tobias. - Na pierwszej lekcji. Dyrektor kiwnął głową i odetchnął głęboko.

- Jonasie, to bardzo ważne, żebyś powiedział nam całą prawdę. Rozumiesz? W jaki sposób dowiedziałeś się, które pytania będą na sprawdzianie?

Jonas spojrzął na mamę, na tatę, a potem na wychowawcę i dyrektora. Przełknął gulę w gardle i poprawił się na krześle. Rozłożył ręce w geście, który miał znaczyć, że nie wie. Rękawy bluzy zwisały jak skrzydła.

- Po prostu je odgadłem.

Na kilka sekund zapadła cisza, potem dyrektor znów zaczął perswadować.

- Ale... jak ci się to udało? Widziałeś notatki wychowawcy?

- Nie, ale pan powiedział, które strony podręcznika wchodzi w zakres sprawdzianu. Nawet je zapisał na tablicy. Więc kiedy czytałem te strony, pomyślałem, że pewnie będzie pytał o to i o to. I tak było.

Dyrektor spojrzął na wychowawcę.

Wychowawca patrzył na Jonasa. Wpatrywał się w niego.

- Skąd mogłeś wiedzieć, że będzie dwanaście pytań? Równie dobrze mogło być piętnaście albo dziesięć. Nie uważasz, że to dziwne, że odgadłeś wszystkie?

- Udało mi się.

- Udało! - parsknął Tobias. - I pół klasy odpowiedziało poprawnie na wszystkie pytania. Im się też udało?

- Proponuję zachować spokój - odezwał się dyrektor.

- To nie było pół klasy - odparł Jonas. - Tylko pięcioro przyszło do mnie dowiedzieć się o pytania. Ja i czworo innych odpowiedzieliśmy poprawnie. Hanna pomyliła się w jednym pytaniu, tym o szczurach roznoszących dzumę. Napisała, że to wiatr. Co właściwie nie jest błędem, ponieważ dzuma faktycznie jest chorobą, która może być przenoszona drogą kropelkową, więc ona również odpowiedziała dobrze na wszystkie pytania...

Wychowawca zacisnął pięści i skrzyżował ręce, wsuwając je pod pachy. Dyrektor położył mu uspokajająco rękę na ramieniu.

- Zaczynijmy od początku. Złość prowadzi donikąd. Pytam jeszcze raz: skąd wiedziałeś, jakie pytania padną na sprawdzianie? Może w szkole zalogowałeś się do komputera wychowawcy? Jeśli tak było, to powiedz, nikt się nie będzie na ciebie gniewał. Chcemy się tylko dowiedzieć, jak to było.

- Tak jest, Jonasiu - wtrącił spokojnie tata. - Powiedz dokładnie, jak było. Prawda jest zawsze najlepsza.

- Ufamy ci - powiedziała mama.

Jonas był zaskakująco spokojny. Mimo oskarżeń ze strony dyrektora i wychowawcy, sam wiedział, czy jest winny, czy niewinny. Na prawdę miał słuch absolutny, jak Mozart na muzykę. Mozart był zaledwie dzieckiem, a już pisał symfonie i opery. Ten słuch dawał Jonasowi poczucie bezpieczeństwa, ale również świadomość, że nie jest taki jak inni. Rozumiał, że obnoszenie się z tym może być niebezpieczne. Jednak kłamstwo tylko by skomplikowało całą sytuację.

Powtórzył swoją wersję, mówiąc szybko jak karabin maszynowy.

- Okej. Powiem dokładnie jak było. W środę przed kolacją siedziałem w swoim pokoju i czytałem podręcznik do historii. Około szóstej odgadłem, jakie pytania padną. I wtedy spytałem na portalu Lunarstorm, czy ktoś chciałby je poznać. O pół do ósmej powiedziałem kilku osobom z klasy, które to będą pytania. Następnego dnia podczas sprawdzianu padły dokładnie te same pytania. Nie zaglądałem do komputera wychowawcy ani nic takiego. Zgadywałem. Miałem szczęście, niesamowite. A teraz ja również chciałbym zadać pytanie, mogę?

- Oczywiście - odparł dyrektor.

Jonas spokojnie nabrał powietrza przez nos i wypuścił, a potem zadał pytanie wychowawcy.

- Proszę pana, kiedy pan zapisał pytania do sprawdzianu? Niech pan się zastanowi. Proszę.

Dyrektor spojrzał na wychowawcę i kiwnął głową zachęcająco. Tobiasz długo myślał. W końcu odezwał się cicho, obojętnie:

- Siedziałem przy stole w kuchni i karmiłem dziecko, jednocześnie wpisywałem pytania do komputera, w wordzie. Skończyłem o szóstej wieczorem w środę. Pamiętam, bo gdy skończyłem, właśnie w telewizorze usłyszałem sygnał Bolibompy.

Umilkł na chwilę i zastanawiał się. Brwi podjechały mu na czoło, gdy powiedział:

- Boże, to niesamowite...

Jonas już nigdy więcej nie został oskarżony o oszukiwanie w szkole. Ale też nigdy więcej nie zgarnął całej puli. Przeważył instynkt samozachowawczy.

Gdy Jonas doszedł do wielkich drzwi wahadłowych Urzędu Podatkowego, stał w nich mechanik w kombinezonie. Z miną, jakby się nad czymś zastanawiał, trzymał w ręku śrubokręt. Na ziemi stała duża skrzynka z narzędziami. Na widok Jonasa machnął ręką, wskazując na nieduże, ale ciężkie drzwi obok. Jonas pociągnął je i wszedł do marmurowego holu. Przyłożył kartę do czytnika. Na wyświetlaczu pojawił się czerwony krzyżyk. Przyłożył jeszcze raz. Pojawiło się "zielone kółko. Codziennie ta sama historia. Powinien powiedzieć o tym któremuś z woźnych, ale nie chciało mu się. W końcu zawsze wchodził po drugiej próbie.

Ciasną windą wjechał na piętro swojego wydziału i mijając pokój Björnego, zajrzał do środka; może załapie się na przyjemny uśmiech przyjaciela i poprawi sobie nastrój? Björne był prawie zawsze roześmiany i miał szczególny dar zarażania innych swoją wesołością. Jeszcze nie przyszedł. Pokój Jonasa był obok. Wstawił swoją teczkę, a potem podszedł do kuchenki po przeciwnej stronie korytarza. Skoro nie ma Björnego, który by go wprowadził w dobry nastrój, musi wystarczyć kawa.

Zabrał do pokoju swoją neskę i usiadł za biurkiem. Włączył komputer, spojrzął w okno. Na szybach pojawiły się drobne kropelki, zaczęło padać. Dobrze, że przynajmniej nie jest to śnieg z deszczem, pomyślał.

Po drugiej stronie ulicy stał kilkupiętrowy budynek, w którym mieścił się dom starców. Nieczęsto działo się tam coś ciekawego. Trudno to nazwać widokiem, ale było i tak lepsze od wpatrywania się w beżową tapetę z włókna szklanego naprzeciw biurka. Wprawdzie powiesił sobie znalezioną w jakimś magazynku spłowiałą litografię Larsa Norrmana, ale nawet przedstawiona na niej mocno wystylizowana Afrykanka w czerwonej sukni nie potrafiła dodać urody pomieszczeniu.

Zadzwoił telefon, Jonas nie wiedział, kto to, bo wyświetlił się napis: *Numer zastrzeżony*. Okej, pomyślał, zdolni ci telemarketerzy, wszędzie się wepchną. W Urzędzie Podatkowym obowiązywała zasada, żeby nie wchodzić w żadne pertraktacje z telemarketerami, dlatego Jonas odebrał, odzywając się tonem pełnym rezerwy.

- Jonas Ramm, słucham.

- Cześć Jonasie, to ja!

- E... Cześć...?

- Co słychać?

- Dzięki. W czym mogę pomóc?

- Mówi Vesna. Vesna Dyria.

- A, cześć Vesna. Przepraszam cię za ten niemiły ton, ale dzwonią do nas telemarketerzy i nie ujawniają swojego numeru...

- Nic nie szkodzi. Możesz rozmawiać?

- Tak, jasne.

- Dobrze. Chciałam ci tylko powiedzieć, że zapoznaliśmy się z wynikami twoich testów i rozmowy kwalifikacyjnej. Odpowiada nam twój profil zawodowy i doświadczenie. Podjęliśmy decyzję, że chcielibyśmy cię mieć w naszej firmie.

- O, bardzo mi to pochlebia.

- Cieszę się, że tak to widzisz. I co ty na to?

- Chwileczkę, tylko zamknę drzwi, żeby mi nikt nie przeszkadzał.

Zerknął w okno. W domu naprzeciwko czterej starcy na wózkach

siedzieli przy stole w kuchni, obracając w dłoniach filiżanki z kawą.

Koło nich stał, migocząc na szaro, telewizor, pewnie transmisja zawo-

dów biathlonowych. Na balkonie obok paliła papierosa dziewczyna w szpitalnym uniformie. Widocznie się rozpadało, bo stała tuż przy drzwiach balkonowych, przyciskając ręce do tułowia. Nuda. Smutek. Świat jest tego pełen.

Jonas podjechał na krześle metr, może dwa i domknął drzwi nogą. Pomyślał o swoim dniu, takim samym jak wczoraj i zapewne jutro.

Chyba pora rozprawić się z tą monotonią?

- Tak... Wydaje mi się, że byłoby ciekawie spróbować czegoś nowego.

## 6

Miesiąc później, siedząc na słońcu w ogródku kawiarnianym na Medborgarplatsen, Jonas i Björne popijali piwo.

- Zdrowie, gratuluję - powiedział Björne. - Będzie mi ciebie cholernie brakowało.

- No coś ty, przecież będziemy się widywać - zaproponował Jonas. - W końcu jesteśmy prawie sąsiadami. Chyba, że się wyprowadzasz z Söder<sup>9</sup>?

- Miałem na myśli pracę. Teraz sam się będę musiał szarpać z tymi czubkami - odparł Björne, nabierając garść orzeszków z chili, które wrzucił do ust, odchylając głowę.

- Nie mów tak - powiedział Jonas. - Odniosłem wrażenie, że Api-sec cieszy się w naszym wydziale dobrą opinią. Bertil spojrzał na mnie z pewnym szacunkiem, gdy składałem wymówienie i powiedziałem, dokąd odchodzę. Rzucił mi spojrzenie „o kurde!” no wiesz. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że Apisec jest jednym z naszych źródeł informacji.

- Chciałeś powiedzieć „waszych”. Pamiętaj, że od dziś jesteś po drugiej stronie. Jak już zjadłeś tort pożegnalny, nie masz prawa mówić „my” o Urzędzie Podatkowym. Kurde, zżarłeś trzy kawałki, ja dostałem tylko jeden mizerny. Wszyscy rzucili się tak łakomie.

- Ha, ha, niech ci będzie.

9 Söder - południowa dzielnica Sztokholmu.



Przez chwilę rozmawiali o dawnych czasach i zwariowanych kolegach. Ale również o paru ciekawych sprawach, z którymi mieli do czynienia podczas kilku krótkich lat wspólnej pracy w Urzędzie Podatkowym. Ci wariaci byli w gruncie rzeczy fantastycznymi ludźmi i - co istotne - świetnymi fachowcami. Wszyscy pracujący w tym wydziale czuli, że wykonują ważne zadania, mające znaczenie dla pracy organów ścigania. Prawie zawsze ich dochodzenia kończyły się prokuratorskim aktem oskarżenia. Zebrany przez nich materiał zazwyczaj wystarczał do skazania. Mieli po prostu duży odsetek „trafień”. I czuli, że zostawiają po sobie ślad.

Björne zatrzymał przechodzącą kelnerkę, zamówił jeszcze piwo i orzeszki. Spytał, czy mają te smaczne angielskie *salt and vinegar chips*, na co kwaśno odpowiedziała, że od czasu, jak pytał kwadrans temu, nie przywieźli. Björne zrobił przeproszający gest.

- Opowiedz mi o tej kobiecie Vesnie - zwrócił się do Jonasa.

- Jak dotąd widziałem ją dwa, trzy razy. Wydaje się w porządku. Natomiast ten jej stary, który założył firmę, chyba musiał być niezłym kanciarzem. Twardziel z byłej Jugosławii, za czasów Tito był jakąś szyczą w bezpieczeństwie, ale zwiął do Szwecji, kiedy zanosilo się na koniec reżimu. Vesna ma bardziej akademickie podejście, zdaje mi się, że zanim przejęła firmę ojca, zajmowała się jakimiś badaniami naukowymi na Politechnice Sztokholmskiej. W dziedzinie technologii informacyjnych. Jest bardzo, ale to bardzo bystra.

- Kto tam jeszcze pracuje? Co to za typy?

- Właściwie jeszcze ich nie poznałem. Wydaje się, że większość ma bardzo dużą swobodę działania. Vesna ma zadzwonić wieczorem, żeby mi powiedzieć, co będzie w poniedziałek i tak dalej.

- Wiesz, jakiego rodzaju będziesz miał zadania?

- Nie wolno mi o tym mówić. Mamy absolutny zakaz mówienia, dla kogo albo nad czym pracujemy.

Björne kiwnął głową, robiąc ustami ryjek. Opuścił ramiona, przybierając pozę przesadnego podziwu i uległości.

- Cóż, rozumiem. Za dwie minuty wymażę z pamięci naszą rozmowę.
- Bardzo śmieszne. Daj spokój.

W tym momencie zadzwonił leżący na stoliku telefon Jonasa.

- Zastrzeżony numer, na pewno Vesna.
- Jasne - odparł Björne, przewracając oczami.
- Muszę odebrać.

Jonas wstał, odszedł kawałek, żeby Björne nie słyszał rozmowy i mocno przyłożył telefon do ucha. Drugą ręką zakrył drugie ucho, bo na placu było dość hałaśliwie, wydawało się, że pół Sztokholmu przyszło, żeby cieszyć się wiosną.

- Słucham, mówi Jonas Ramm.
- Cześć. Jak leci? Tu Vesna. Dobrze ci minął ostatni dzień w starej pracy?

Uświadomił sobie, że zakrywanie ucha nic nie daje, Vesna miała tak mocny głos, że byłoby ją słyszeć nawet bez telefonu. Maksymalnie ściszył komórkę.

- Tak, w porządku.
- Słuchaj, chodzi o przyszły tydzień. Muszę wyjechać. Ale Isabella wprowadzi cię we wszystko to, co najważniejsze. Praktyczne sprawy.
- Okej, Isabella, czyli ta z recepcji...
- Właśnie, jest prawdziwą opoką firmy. Zasuwa jak najęta, chociaż tego nie widać. Chciałabym, żebyś w przyszłym tygodniu przyjrzał się szkołom niepublicznym. Co ci wiadomo na ten temat?
- Niewiele. Sam chodziłem do niepublicznej podstawówki. Andersona. Wchodziła w skład sieci „Koncernu Umiejętności”. Każda szkoła miała w nazwie nazwisko któregoś z dyrektorów w tej sieci.
- Dobrze. Tak, wiem. Zaczynaj grzebać, myśleć. Zobaczmy się po moim powrocie. I wiesz co... Chciałabym, żebyś sobie popuścił cugli, rozumiesz? Witamy w Apisec!

- Ale...

Vesna Dyria zdążyła już odłożyć słuchawkę.

Nelly Josefsson przyjrzała się uważnie swojemu odbiciu w lustrze łazienki. Nie miało na to wpływu nowe, brązowe oświetlenie, zamontowane przez Jimmiego podczas odnawiania kuchni i łazienki po zimie. Przykra prawda była taka, że wyglądała jak wrak. Ostre wysklepienie górnej wargi, jeszcze miesiąc temu takie ładne, już zaczęło puszczać. Pod oczami miała worki, które wyglądały jak papierowe torby ze spożywczaka, suche i pomarszczone. Pora zarezerwować sobie następną wizytę w klinice. Tak to szybko leci, że chyba będzie najlepiej, jeśli jej wyznaczą jeden stały dzień w miesiącu.

Stała na wadze i stwierdziła, że wreszcie znalazła taką, która nie psuje się po dwóch tygodniach. Ważyła dokładnie tyle samo, co po jej zakupie trzy tygodnie temu. Zrobiła trzy kroki w tył i obejrzała swoje ciało w lustrze koło drzwi do sauny. I tak nieźle. A nawet cholernie fajnie, stwierdziła z zadowoleniem. Przesunęła dłonią po brzuchu i mocno polakierowanymi tipsami wyrwała kilka nieestetycznych włosów koło pępka. Włożyła biały frotowy szlafrok, potrząsając głową rozpuściła włosy na plecy i poszła do kuchni.

Od słońca zrobiło się strasznie gorąco. Może rzeczywiście te okna na taras są za duże? Jimmy ją ostrzegał. Ale klimatyzacja powinna sobie chyba z tym poradzić? Podeszła do wyświetlacza, żeby sprawdzić. Dwadzieścia jeden stopni i osiem kresek w kuchni. Prawie stopień za ciepło. Postukała w wyświetlacz, wprowadziła poprawkę i poszła po poranne gazety, które leżały na podłodze pod wrzutnią

w drzwiach wejściowych. Przy okazji znów spojrzała na swoje odbicie w dużym lustrze znajdującym się w przedpokoju. Chyba dziś mieli zamieścić duży artykuł na jej temat w „DI Weekend”?

Wróciła do kuchni i rzuciła gazety na wyspę. Odszukała błyszczący, kolorowy dodatek do „Dagens Industri”<sup>10</sup>. Owszem, to dziś. Na szczęście jakiś przyjazny redaktor techniczny wyretuszował jej twarz, bo wyglądała całkiem przyzwoicie. Nawet nie widać było zmarszczek wokół oczu, chociaż śmiała się szeroko. Zbliżenie bez dziwnych cieni. Wnętrze nozdrzy niewidoczne. Śnieżnobiałe zęby. Dobrze.

JEST SAMOUKIEM, brzmiał wytłuszczony tytuł na całą stronę pod jej zdjęciem. I podtytuł: *Fenomenalna Nelly Josefsson wciąż zapewnia inwestorom niebotyczne zyski*. Nelly parsknęła. Pomyślała, że gdyby sprawa dotyczyła mężczyzny, nie napisaliby, że jest samoukiem.

Wszyscy zakładają, że jeśli kobieta ma odnosić sukcesy w świecie finansów, to musi się uczyć od kogoś innego. Śmieszne. Ile razy ktośkolwiek napisał w tytule JEST SAMOUKIEM w odniesieniu do Geo-rgea Sorosa albo Warrena Buffetta?

Nelly przygotowała sobie podwójne espresso i połówkę grejpfruta, a potem wróciła do artykułu. Nie czytała go wcześniej, nigdy nie autoryzowała tekstów przed publikacją. Oczywiście zdarzały się potem jakieś pomyłki, ale gdyby miała poprawiać szczegóły, wzięłaby współodpowiedzialność za treść, a tego nie chciała. Na nastawienie autora raczej nie miała wpływu, a przecież to ono działało na czytelnika. Zajmowanie się drobiazgami, z których nie ma korzyści - to nie dla niej. Ona maluje szerokimi pociągnięciami pędzla.

Pisali to samo co zawsze. Nie ma nawet trzydziestu lat, blablabla... Nelly Josefsson jest przeciwieństwem giełdowego robota, ojtakojtakojtak...

10 „Dagens Industri” - dziennik specjalizujący się w gospodarce.

Pojawiła się znikąd, rozpoczęła, ale nigdy nie ukończyła studiów w sztokholmskiej Handelshögskolan<sup>11</sup>. Dziś, gdy większość transakcji akcjami i obligacjami opiera się na matematyce, kluczowych wskaźnikach efektywności i pościgu za informacją, fundusz Nektar Nelly Josefsson jawił się jako antyteza współczesnych technik finansowych. Założyła go w wieku dwudziestu dwóch lat i od początku działała, kierując się intuicją, bez podpierania się podstawowymi danymi o podaży i popycie. W pierwszym roku Nektar przyniósł nieprawdopodobny, aż trzystuprocentowy zysk. Fundusz był wprawdzie mały, ale prężny, jednak wzrost był wręcz sensacyjny. Od tamtej pory popłynął do niego strumień pieniędzy, mimo że z początku Nektar nie miał nawet porządnej strony internetowej.

Podczas gdy inni gracze podkreślali kursy popularnych akcji, często okazywało się, że Nektar w tym czasie sprzedawał akcje olbrzymiej wartości. Firma działała bezwzględnie, sprzedając nawet akcje, których nie posiadała, a jedynie pożyczła na krótko, żeby sprzedać podczas zwwyżki kursu i odkupić taniej, gdy kurs z jakiegoś powodu padał jak domek z kart. Na przykład kiedy pojawiał się nowy, nieznany konkurent, lansując dużo lepszy produkt za niższą cenę, albo dochodziło do klęski ekologicznej, która kosztowała zakład odszkodowania idące w setki milionów koron. Tak czy siak, nikt nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe, że Nektar zawsze umiał się wycofać na czas i z niezachwianą pewnością trafiał w punkt zarówno wtedy, gdy trwała hossa, jak i w czasach załamania rynku. Rutyniarze giełdowi nie uzyskiwali podobnych efektów, bo działali jedynie na podstawie powszechnie znanych faktów i formuł matematycznych.

Nektar różnił się od innych funduszy pod wieloma względami. Jednym z nich, szczególnym, był dobór ludzi, którym wolno było w nim lokować pieniądze. Większość funduszy hedgingowych wymagała, by inwestowane sumy były wręcz niebotycznej wysokości, co miało eliminować przypadkowych poszukiwaczy szczęścia,

11 Handelshögskolan - prestiżowa Wyższa Szkoła Handlowa.

tymczasem Nelly Josefsson miała tylko jedną zasadę. Zarządzała pieniędzmi wyłącznie tych inwestorów, których sama prześwietliła i zatwierdziła po osobistym spotkaniu. Bez żadnych wyjątków i dróg na skróty. Najniższa przyjęta przez nią suma wynosiła dwa tysiące koron i pochodziła od sprzątaczkę poznanej w jakimś hotelu. Gazety uwielbiały robić z nią wywiady, gdy Nelly puściła przeciek, że kobieta jest współwłaścicielką Nektaru. Co do innych współwłaścicieli funduszu obowiązywała zasada ścisłej tajemnicy.

Wielu zarządzających funduszami usiłowało podpiąć się pod Nelly, obserwując każdy jej krok. Zwłaszcza w dwóch ostatnich latach, gdy prasa branżowa zaczęła się rozpisywać o jej legendarnych sukcesach. Okazało się to trudne, ponieważ działania Nektaru były szybkie i chimeryczne. W ciągu kilku minut sprzedawała lub kupowała za ogromne sumy. Nawet gdy przy spadkach sprzedawała po gorszych kursach, to i tak wychodziła dobra średnia. Wszystko albo nic, niezależnie od tego, czy Nelly Josefsson kupowała, czy sprzedawała. Czasem nie działała przez pół roku i nagle odpalała. Nelly Josefsson, jak już powiedziano, stosowała tylko szerokie pociągnięcia pędzlem. Zdarzały się kleksy, ale na tle całości niewiele znaczące.

Większość z tych stwierdzeń czytała już w innych artykułach. Najbardziej interesowały ją zdjęcia. Zaśmiała się z zadowoleniem. Pokierowała nimi dokładnie tak, jak chciała. Poszli na łatwiznę. Choćby droga miała sto metrów szerokości, pan redaktor i tak wjedzie do rowu, jeśli w jego polu widzenia pojawi się ładna dziewczyna.

Na jednym ze zdjęć z uśmiechem wyjmowała z piekarnika blachę świeżo upieczonych bułek. W rzeczywistości kupiła je chwilę wcześniej w piekarni na Riddargatan. Na innym, na całą szpalte, siedziała na huśtawce zwisającej z wielkiego dębu w Lill-Jansskogen<sup>12</sup>, ubrana w białą sukienkę, a jej długie czarne włosy powiewały uwodzicielsko. Na kolejnym, czarno-białym zdjęciu wsiadała do ciemnego BMW, trzymając pod pachą rakietę do tenisa, ubrana w krótką, białą spód-

12 Lill-Jansskogen - laszek w północnej części Sztokholmu

niczkę i obcisłą koszulkę, pod którą jej piersi wydawały się ogromne, gdy siadając za kierownicą pochyliła się do przodu. No i obowiązkowe zdjęcie biznesowe, na którym siedzi w czarnej garsonce i wpatrując się w ekran monitora, jednocześnie rozmawia przez telefon. W designerskich okularach, chociaż w gruncie rzeczy miała idealny wzrok. Ha, ale duże te zdjęcia, pomyślała. Jej asystent zgarnie setki tysięcy koron za tę kryptoreklamę. Absurdalny reportaż, ale bardzo śmieszny.

Wiejskie prostaczki, pomyślała.

Dzień był uratowany.

Jonas nigdy nie lubił jeździć windą, zwłaszcza taką małą. Nie lubił poczucia zamknięcia. W tej windzie na dodatek coś brzęczało nieprzyjemnie, jakby w środku był rój komarów. Jednak już nie będzie miał problemów z kontrolowaniem swoich emocji, od dziś mu nie grozi, że będzie się w niej tłoczył z nudnymi ekspertami podatkowymi. Miał to już za sobą. Poczował przyjemne podniecenie. Podjął dobrą decyzję, a gdyby coś wyszło nie tak, to zawsze może wrócić do Urzędu Podatkowego.

Winda, którą jechał na piętro Apisec, była z rodzaju tych starych, z rozsuwaną wewnętrzną kratą. Sam szyb znajdujący się pośrodku klatki schodowej był otwarty, otaczał go żelazny płótek pomalowany na szaro. Jonasowi przypominał gigantyczną pajęczynę. Oto utkwilem w pajęczynie Vesny, pomyślał, uśmiechając się.

Winda szarpnęła, zgrzytnęła i zatrzymała się między piętrami. Jonas nie zdążył pomyśleć, co się stało, gdy z tyłu dobiegł go syk. Nieprzyjemny odgłos, jakby wydawał go osobnik gotów zrobić wszystko dla zaspokojenia swoich potrzeb. Jonas odwrócił się i spojrzał przez kratę. W mgnieniu oka spiął się, gotów do obrony. Przez następne sekundy panował totalny spokój, potem zagrożenie nabrało wyraźnego kształtu.

Przed sobą, na kracie okalającej windę, miał ogromnego pajaka. Niebiesko-czerwonego i błyszczącego. O dzikich oczach i wilgotnych ustach pełnych kolców zamiast zębów.



Jonas cofnął się powoli w kąt windy.

- Fabian, przestań! - odezwała się młoda kobieta, która zeszła po schodach i stanęła za pajakiem. - Zeskakuj, i to już. Śpieszymy się do przedszkola. Nigdy więcej nie pozwolę ci nosić tego kostiumu, jeśli będziesz się tak zachowywał.

Spojrzała na Jonasa i uśmiechnęła się, wyraźnie spięta.

- Bardzo przepraszam za mojego Spidermana. Winda staje między piętrami przy najmniejszym zakłóceniu. To rodzaj zabezpieczenia. Ale wystarczy nacisnąć na guzik, żeby znów ruszyła. Jeszcze raz bardzo przepraszam.

Mały Fabian-Spiderman nie tylko nie wyglądał, jakby przepraszał, ale jeszcze pokazał język.

Jonas uśmiechnął się z udawaną obojętnością.

Wysiadł na piętrze zajmowanym przez Apisec, drzwi do biura otworzyły się automatycznie.

Wszedł do recepcji. Isabella stała na środku, trzymając wazon z kwiatami.

- Witaj, Jonasiu.

- Dziękuję.

- To od Vesny z przeprosinami, że sama nie może cię przedstawić personelowi. Chodź, pokażę ci twój pokój. Postaram się odpowiedzieć na wszystkie pytania, jeśli będziesz je miał.

Pokój miał powierzchnię około dwudziestu metrów. Białe ściany, wysoki, z elegancką sztukaterią. Otwarte na oścież francuskie okno balkonowe wychodziło na podwórko, gdzie aż kipiało od ćwierkających ptaków. Olbrzymia lipa, wysoka jak dom, rozpostarła gałęzie, obejmując nimi całe podwórko. Jonas pomyślał sobie, że dałby radę przejść po barierce na najbliższą gałąź.

- Tu jest wszystko, co ci będzie potrzebne - powiedziała Isabella, wskazując wielkie biurko. - Komputer, telefon, tablet i „niezbędnik”, czyli księga, w której znajdziesz wszystkie procedury, loginy oraz

nazwiska i telefony do kolegów. Krótkie charakterystyki osób, a także dane adresowe. Okej?

Spojrzała na niego pytająco, a Jonas poczuł, że powinien coś powiedzieć. Jednak nie wiedział, od czego zacząć. Na czym właściwie ma polegać jego praca?

Patrząc na niego z powściągliwym uśmiechem, Isabella zaciągnęła mocniej swój koński ogon.

- Wiem, co czujesz - powiedziała. - Każdy z nas kiedyś zaczynał. Wyluzuj się. Najważniejsze, żebyś słuchał swojej intuicji, tak zawsze mówi Vesna. Nie ma znaczenia, jak długo będziesz się musiał adaptować. Jeśli nie wiesz, co masz robić... nie rób nic. Uwierz mi, że z czasem będziesz miał roboty aż nadto.

Spojrzał na nią z ulgą, chociaż wciąż go uwierało nieprzyjemne uczucie, że nie wie, czego od niego oczekują. Pomyślał, że Isabella rzeczywiście jest jak opoka - otwarta i pełna zrozumienia. Jeśli reszta kolegów jest taka sama, będzie mu tutaj dobrze.

- Kiedy wraca Vesna?

- Nie wiem. Nie ma w zwyczaju się meldować. Za kilka dni. Albo za kilka tygodni.

- Powiedziała, że powinienem się zająć jakąś sprawą związaną ze szkołami niepublicznymi...

- O, świetnie! No to już wiesz. Powodzenia, do zobaczenia! Odwróciła się i wyszła, zanim zdążył coś powiedzieć. Idąc korytarzem, mówiła coraz głośniej, w miarę oddalania się od Jonasa:

- Spokojnie sobie poczytaj! Dla mnie najważniejsze, żebyś zbierał kwity za wszelkie wydatki i zakupy. Wpadnij do mnie później, zaprowadzę cię do stołówki i na taras. Przy okazji przedstawię cię i przywitasz się z osobami, które są dziś w pracy. Zawsze ktoś jest. Okej?

Okej, pomyślał bez większego przekonania. Usiadł za pustym biurkiem i odchylił się do tyłu na lekko bujającym się fotelu biurowym. Nigdy nie sądził, że kiedykolwiek będzie pracował siedząc na tak wygodnym fotelu. Czyżby prawdziwy Aeron? Ależ tak, na pewno. Będzie musiał opowiedzieć Björnemu. Björne lubił rozprawiać

o designerskich meblach, chociaż nigdy nie było go stać na nic droższego od Ikei. Padnie z zazdrości. Właśnie Björne opowiedział mu o klasycznym fotelu biurowym Hermana Millera. Pewnego razu, w piątek, idąc na piwo do Riehe, zaszli do Nordiska Galleriet i wypróbowali, jak się siedzi na Aeronie.

Isabella zostawiła otwarte drzwi do pokoju. Nie wiedział, jakie tu są zwyczaje. Czy ludzie siedzą przy drzwiach zamkniętych, czy otwartych? Wszystkie mijane drzwi pokoi były zamknięte. Ale czy to znaczy, że ktoś jest w środku, czy, przeciwnie, że zamykają pokój tylko wtedy, gdy wychodzą? W Urzędzie Podatkowym było mnóstwo niepisanych zasad w tej kwestii. Drzwi otwarte na oścież znaczyły, że oczekujesz gości. Uchylone - że można wejść jedynie w ważnej sprawie. Jeśli były przymknięte, można było pukać. Jeśli zamknięte, nie wolno było przeszkadzać. Jonas postanowił zostawić drzwi otwarte. Bo co się może stać?

Przerzucił kartki „niezbędnika”. Poczytał o swoich kolegach, przyjrzał się ich zdjęciom. Wszyscy się uśmiechali, mieli rozpięte kołnierzyki białych koszul i bluzek. Fotografie były zrobione w bardzo jasnym świetle, które nadało im wręcz anielski wygląd. Goran jako jedyny nie potrafił podporządkować się obiektywowi. Czujnie patrzące czarne oczy były głęboko osadzone, okolone zmarszczkami, nad nimi srebrna czupryna. Te oczy wpatrywały się w Jonasa. Przeczytał opis pod zdjęciem.

*Goran Dyria założył Apisec w 1982. Ekspert od zabezpieczeń technicznych, ma międzynarodowe doświadczenie. Obecnie pracuje w niepełnym wymiarze godzin, głównie prowadząc warsztaty dla personelu zarządzającego i jako osobisty coach do spraw bezpieczeństwa. Lubi gotować i spędzać czas z rodziną i przyjaciółmi. Ciekawostka: szachowy mistrz Jugosławii w latach 1974, 1975 i 1976.*

Jonas poczuł, że ktoś mu się przygląda.

Podniósł wzrok.

Wpatrywały się w niego dwa płonące węgle. Goran.

Nelly Josefsson przycisnęła ostrze do szyi mężczyzny i uśmiechnęła się najbielszym z uśmiechów. Skóra napięła się pod naciskiem. Stali na kamiennej podłodze przed dużym lustrem w przedpokoju. Trzymała go w żelaznym uścisku mimo, że był znacznie wyższy od niej. Nie wyglądał na kogoś, kto zamierza stawiać opór, prędzej jak przestraszony chłopczyk, który zdaje sobie sprawę, że wystarczy jakikolwiek nagły ruch i tętnica szyjna wybuchnie jak islandzki gejzer. Nóż był tak duży i ostry, że wystarczyłoby jedno szybkie cięcie i poszłoby pół szyi. Głowa zawisłaby na strzępie, jak oddarty róg kartonu na mleko, a gęsta krew spływałaby na białą koszulę coraz wolniej, w miarę słabnącego bicia serca. A ona by się śmiała. Wiwatowałyby i śmiałyby się.

Nelly spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Lekko wydeła wargi i pokręciła głową, żeby spojrzeć na siebie pod różnym kątem. Z zadowoleniem odnotowała, że włosy sięgały jej prawie do pasa, gdy wygięła głowę do tyłu.

Nóż był nadal mocno przyciśnięty do szyi mężczyzny. Druga ręka przytrzymywała go za pas z tyłu.

Zerknęła na niego. Chyba próbował nawiązać z nią kontakt wzrokowy w lustrze. Może to jego ostatnia, desperacka próba doprowadzenia do tego, żeby ujrzała w nim człowieka? Oczy patrzyły błagalnie, przekonywały ją, że wbrew temu, co powtarzała, nie jest maszyną

do zabijania. Jednak nie udało mu się nawiązać z nią kontaktu wzrokowego. Nelly była absolutnie szalona - i śmiertelnie niebezpieczna.

- Zabiję cię - powiedziała sycząc. - Kurwa, zabiję. Zginiesz. Zabiję cię, bydlaku. Maksie Baumgarten, zaraz zginiesz, rozumiesz? Błagaj o życie. Zaraz... kurwa... umrzesz, rozumiesz?

Długa grzywka przylepiła mu się do czoła. Nie śmiał się poruszyć.

- Rozumiesz? Zaraz umrzesz!

Wykrzyczała mu to prosto do ucha. Trzymała twarz przy jego głowie, nabierała powietrza przez nos i wydychała prosto do ucha, niemal się hiperwentylując. Kąciki ust drgały od przyływu adrenaliny. Źrenice miała wielkie jak czarne oliwki.

Bał się odezwać. Nic nie mów, nie ruszaj się, wystarczy moment i to się stanie. Nóż był ostry jak brzytwa. Może miał nadzieję, że nie zdąży zboleć. Zrobi się gorąco, gdy krew tryśnie na pierś. Potem już nie będzie żył. Jakby liczył na to, że zaraz się to skończy. Zaraz przypieczętuje się jego los.

- Umrzesz - szepnęła przez zęby. - Umrzesz. Za chwilę umrzesz. Puściła pas i mocno złapała go za podbródek. Odwróciła jego

głowę tak, by spojrzeli sobie w oczy w lustrze. Twarz przy twarzy, czworo wpatrujących się w siebie oczu. Otworzyła szeroko swoje. No to patrz. Spójrz w oczy śmierci. Ty nędzny robaku.

Palcem wskazującym pociągnęła za kącik jego ust, o mało go nie rozdarła. Jednak nie odważył się odwrócić głowy, bo rozciąłby sobie szyję o ostrze noża. Opierał się resztką sił, usta miał rozciągnięte prawie od ucha do ucha. Nadal patrzyli sobie w oczy.

- Teraz! - wrzasnęła. - Zginiesz teraz!

Nagle rozluźniła chwyt i odepchnęła jego podbródek. Zamachnęła się w stronę jego serca. Ale zamiast zatopić mu w piersi nóż, cisnęła nim z całej siły o drzwi. Utkwił w drewnianej ramie okalającej wrzut na pocztę. Jej architekt wewnątrz, Jimmy, nalegał, by wewnętrzną stronę stalowych drzwi pokryć tekowym drewnem. Miał rację, nóż drgający na tle teku wyglądał wyjątkowo ładnie. Wręcz seksownie.

Mężczyzna błyskawicznie się odwrócił. Spojrzał na nią i odepchnął o pół metra. Rękawem koszuli startł pot z czoła. Uniósł ręce w obronnym geście.

Przez chwilę gapili się na siebie bez ruchu. Które z nich zrobi następny krok, skoro pozbyła się broni?

Odpiął gruby pas w dżinsach. Ciężka klamra opadła na udo. Rozpiął ostatnie guziki rozdartej koszuli, ściągnął ją i rzucił za siebie. Był podniecony, jego pierś podnosiła się jak miech przy każdym oddechu. Jednym szarpnięciem rozpiął rozporek i spuścił spodnie na podłogę.

Nelly zmierzyła go wzrokiem.

Nie miał kalesonów. I ani jednego włosa na ciele. Dokładnie tak, jak lubiła. Fiut podniósł się powoli, trochę na skos w lewo. Drgał figlarnie, pokazując na nią. Wierzchem biegła gruba żyła, wijąc się od podstawy aż po lśniącą żołądź.

Podeszła i objęła go za szyję i ramiona. Czubek głowy przycisnęła do jego piersi i spojrzała na fiuta, który wskazywał prosto na nią i podążał za każdym jej ruchem. Pieszczotliwie przesunęła długimi włosami po brzuchu i udach mężczyzny.

Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Powoli zakręciła językiem w ustach i nie odrywając wzroku od jego oczu splunęła prosto na żołądź. Ślina spłynęła po prąciu.

Potem złapała go mocno i zaprowadziła do sypialni.

Jonas pod koniec swego pierwszego dnia pracy w Apisec był zadowolony, ale zmęczony.

Mimo swoich osiemdziesięciu lat Goran okazał się istnym wulkanem energii. Zaczął od tego, że usiadł wyprostowany na szczebelkowym krześle w kącie pokoju Jonasa i przez parę godzin mówił niemal bez przerwy. Rozprowiał o wszystkim, co mu tylko przyszło do głowy; oczy patrzyły wesoło, śmiech czaił się w kącikach ust. Miał bardzo barwne życie - choć to mało powiedziane - a najbardziej zaskakujące było chyba to, że był hipisem i mieszkał przez kilka lat w Indiach. Jonas myślał, że takimi rzeczami zajmowali się jedynie młodzi ludzie z Zachodu, ale Goran twierdził, że w Indiach było wielu tak zwanych pionierów zarówno z byłego Związku Radzieckiego, jak i z Jugosławii. Na północy Indii istniały wspólnoty rolnicze podobne do kołchozów i można było tam wyjechać, jeśli się umiało wykazać, że chce się przyczynić do zwiększenia ich wydajności. Jednak według Gorana, który ze śmiechem o tym opowiadał, prowadzili tam równie niewydajną działalność jak młodzież z Zachodu. Zresztą mieszkał nie tylko w Indiach. Był wszędzie i wszystkiego spróbował.

Wziął na siebie obowiązki Isabelli i przedstawił Jonasa kolegom, którzy tego dnia byli w pracy. Po wspólnie zjedzonym lunchu na tarasie nieoczekiwanie ziewnął szeroko i zaczął się żegnać. Odchodząc, powiedział mu jeszcze - pewnie po raz dziesiąty w ciągu spędzonych

razem godzin - żeby kierował się swoim wewnętrznym kompasem, a wszystko będzie dobrze.

Jonas posłuchał tej rady. Popołudnie spędził, zapoznając się z nowymi narzędziami pracy, przeglądając foldery i pliki na serwerze Apisec. Szczególne miejsce zatrudnienia, łagodnie rzecz ujmując. Jednak wszyscy, z którymi zetknął się tego dnia, wydawali się mieć do niego pełne zaufanie i byli bardzo sympatyczni. Wprawdzie ludzie w Urzędzie Podatkowym również byli tacy, ale w Apisecu pracownicy okazywali sobie życzliwość w sposób wręcz żywiołowy. Jonas był przekonany, że będzie się tutaj dobrze czuł, zwłaszcza gdy już rozgryzie, czego od niego oczekują. Poza kierowaniem się swoim wewnętrznym kompasem.

Po powrocie do domu na wycieraczce w przedpokoju znalazł list. Jakieś pismo urzędowe, pomyślał i rzucił na stolik.

Postawił buty na chodniczku koło szafy i przeszedł dalej do jedyne go pokoju. Otworzył drzwi na balkon, na którym ledwo mieściła się skrzynka na kwiaty, zawieszony na balustradzie mały stolik kempingowy z tekowego drewna i dwa staroświeckie, żeliwne krzeselka kawiarniane.

Nalał trochę wody do skrzynki, starając się ocenić, jak się mają bratki, które posadził parę dni temu. Owszem, całkiem dobrze, na pewno się przyjmą. Przysiadł na chwilę i poczuł, że ogarnia go senność. Wrócił do pokoju i rzucił się na łóżko, w dzień służące jako kanapa zarzucona ładnymi, różnokolorowymi poduszkami w jedwabnych poszewkach. Zamknął oczy i natychmiast zasnął.

Gdy zadzwonił dzwonek, Jonas nie umiał powiedzieć, czy przespał cały dzień, czy tylko krótką chwilę. Zerknął na zegarek. Siódma. Ale rano czy wieczorem? Spojrzał w okno i uznał, że to musi być światło wieczorne, nie poranne.

Zerwał się z kanapy i poszedł otworzyć. Zanim doszedł do drzwi, otworzyła się wrzutnia na listy i odezwał się głos jak z puszeki:



- Dostawa pizzy! Mam ją wcisnąć przez szparę czy otworzysz wreszcie?

Björne, no jasne. Przecież się umówili, miał kupić coś do jedzenia.

- Cześć stary, wchodź!

Björne wszedł i uśmiechnął się szeroko.

- Kurde, wyglądasz, jakbyś się właśnie obudził. Masz co najmniej kilka włosów w nieładzie.

- Padłem po przyjeździe do domu. Ten pierwszy dzień był zupełnie szalony. Całkiem możliwe, że dostałem pracę w wariatkowie. Wprawdzie bardzo przyjemnym, ale zaludnionym przez kompletne dziwadła.

Björne podał Jonasowi pudełko z pizzą, zsunął buty i rzucił kurtkę na podłogę.

- Ha, ha, mniej więcej tak samo jak w Urzędzie Podatkowym. Czyli poczułeś się jak w domu?

- Mmm. Dzięki. Nie, naprawdę jest okej. Fajni ludzie. Tylko ciągle nie mam pojęcia, co mam tam robić.

- Z czasem się dowiesz. Ciesz się chwilą, jeszcze się narobisz. A właśnie, kupiłeś dom? To wygląda na kopertę Urzędu Geodezji - stwierdził Björne, pokazując na list leżący na stoliku w przedpokoju.

- A, to? Nie wiem, co to jest, jeszcze nie zdążyłem sprawdzić. Jonas podszedł do wnęki kuchennej, wyjął z lodówki karafkę z zimną wodą, postawił na tacy obok talerzy, sztućców i szklanek.

Następnie przysiedli na balkonie i zabrali się do jedzenia pizzy. Björne rzucił się na swoją ulubioną z polędwicą wołową i sosem bearneskim, jadł prosto z pudełka. Natomiast Jonas swoją pizzę z szynką parmeńską, mozzarellą z mleka bawolic i rukolą pokroił na cztery części i położył sobie na talerzu jeden kawałek.

Opowiedział o pierwszych wrażeniach z Apisec, a Björne złożył sprawozdanie z ostatnich wydarzeń w Urzędzie Podatkowym. Szybko się z tym uporali.

Björne zjadł swoją pizzę, dwa pudełka sałatki i gestem wskazał ostatni kawałek pizzy Jonasa, który został w pudełku. Jonas skończył

jeść i siedział, opierając rękę na balustradzie. Rzadko zdarzało mu się zjeść całą pizzę.

- Oczywiście, bardzo proszę - odparł Jonas.

- Nie mógłbyś przynieść tego listu? Wiesz, że jestem ciekawski.

-Björne uśmiechnął się szeroko.

- A, racja. - Jonas poszedł do przedpokoju po list. Wrócił i przed rozcięciem koperty starannie oblizał nóż.

- Zaraz zobaczymy.

Björne wydał z siebie dźwięk naśladujący odgłos werbli i sztucami wystukał kilka taktów na pudełku po pizzy. Jonas przeczytał i zrobił zdziwioną minę.

- Co tam jest? - spytał Björne.

- Nie wiem. Nie rozumiem. Pytają, czy zgadzam się zostać prawnym właścicielem niedużej leśnej działki w parafii Burs na Gotlandii. Wygląda na to, że jest tam również mały dom. Poprzedni zarejestrowani właściciele domu zniknęli bez śladu dwadzieścia siedem lat temu. Kilka lat temu do Urzędu Geodezji przyszedł testament przysłany przez jakąś kancelarię adwokacką. Wynikało z niego, że odziedziczyć ten dom, jeśli dotychczasowi właściciele zostaną uznani za zmarłych. Najwyraźniej zostali i to wiele lat temu. Teraz ruszyły biurokratyczne młyny, pytają mnie, czy przyjmuję spadek. Jeśli nie, nieruchomości zostanie przekazana do Powszechnego Funduszu Spadkowego i sprzedana na wolnym rynku, a pieniądze trafią do agencji, która zarządza takimi środkami na rzecz osób niepełnosprawnych. Chyba dają mi do zrozumienia, że powinienem się zrzec domu.

- Kurde, co ty opowiadasz? - wykrzyknął Björne. - Dwadzieścia siedem lat temu! Myślisz to samo, co ja?

- Tak... Domyślam się - odparł Jonas, wpatrując się w list. Między jego brwiami zarysowały się zmarszczki.

- Kurde, Jonas! To twoi rodzice! Twoi biologiczni rodzice...

Nelly leżała w łóżku z Maksem. Po udanej grze fabularnej kochali się kilka razy. Zapadał wieczór, po przeciwnej stronie Strandvagen, na Djurgarden i w Grona Lund<sup>13</sup>, właśnie zapalały się latarnie, rozświetlając wiosenne niebo.

- Wow, przez chwilę myślałem, że naprawdę to zrobisz - powiedział Max.

- I o to chodzi w grze fabularnej, nie? - odparła Nelly. Położyła się na brzuchu na wielkiej poduszce i patrzyła przez okno.

- Jeszcze jak. Kurwa, co za kop!

Leżał na boku, tuż obok, głowę oparł na łokciu i położył nogę na jej nodze.

- No. Jakbym była na haju. Od przemocy do seksu jest cholernie blisko. Gdybyśmy mieli to powtórzyć, nie wiem, jakby się skończyło. Następnym razem trzeba wymyślić coś spokojniejszego.

Max przesunął dłoń w dół, wzdłuż jej pleców. Zatrzymał się i palcem pogładził miękką skórę w miejscu, gdzie plecy przechodziły w pupę.

- Uwielbiam twoje znamię - powiedział. Głośno, z irytacją nabrała powietrza przez nos.

13 Djurgarden - wyspa i pełna zieleni dzielnica Sztokholmu, gdzie mieszczą się liczne muzea oraz Grona Lund, popularny park rozrywki.

- Dobrze, że komuś się podoba - odparła. - Wolałabym być bez skazy, ale widocznie nie można mieć wszystkiego.

Milczeli przez chwilę. Pomyślała, że na filmie ludzie w takiej sytuacji palą papierosy w łóżku. Najpierw się ostro kochają, potem papieros. Szary dym wije się przepięknie pod sufit. Jakby nie śmierdział. W rzeczywistości smród jest ohydny. Max nie palił, ma facet szczęście. W życiu nie poszłaby do łóżka z facetem śmierdzącym papierosami. Nie mówiąc o gościach, co żują snus, oni są jeszcze obrzydliwsi. Często mają coś czarnego za paznokciami. Pewnie snus, bo co? I nigdy tego nie wymyją. Fuj, co za paskudztwo.

Nagle zrobiło jej się nieprzyjemnie. Nie tylko od tych myśli o papierosach i snusie. Chodziło o coś innego. Coś było nie tak.

- Wiesz co? - odezwał się po chwili Max. Przytulił się do jej pleców i objął ramieniem.

- Mhm...

- Myślałem o wakacjach. Masz jakieś plany na lato?

Nelly poczuła się jak w pułapce. Nieprzyjemne uczucie nasiliło się, jak mdłości wędrujące od żołądka w górę. Niestety, знаła objawy i to aż za dobrze. Kurde, w życiu nie pojedzie z Maxem na żadne wakacje. Pozostaje tylko jedno. I to szybko. Facet jest wprawdzie dobry w łóżku, ale ile można słuchać jego gadania.

Bla, bla, bla.

Dostawała szału, gdy głądził. Nie mógłby się zamknąć? Akceptowała to tylko wtedy, kiedy świntuszył w łóżku. To jej się podobało. Umiał to robić. Świntuszenie de luxe, wtedy jego otwartość i dążenie do celu było fajne.

- Jeszcze się nie zastanowiłam - odparła, delikatnie odsuwając jego ramię. - Zależy od okoliczności. Nie mam zwyczaju planować na zapas.

Zaraz się zaczniesz, pomyślała.

- Może byśmy razem coś wymyślili? No właśnie. Cholera jasna.

Okej, powiedziała sobie, dam mu jeszcze szansę. Jedną jedyną, ostatnią.

- Zobaczymy - powiedziała, odwracając się tyłem. - Pośpimy trochę? Przesunął się i pochylił nad poduszką, usiłując zajrzeć Nelly w twarz. Odgarnął jej włosy z policzka, założył za ucho i pocałował ją.

- Moi rodzice mają willę na Majorce. Powiedzieli, że możemy przyjeżdżać, kiedy będziemy chcieli.

Wtedy pękła. Odwróciła się i spojrzała na niego ze złością.

- Jakie możemy? Jakie „my”? Żeby było jasne, nie jestem częścią żadnego „my”.

- Przepraszam, nie to miałem na myśli. Chciałem powiedzieć, że dla nich będzie okej, jeśli przyjadę z kumplami, dziewczyną czy choćby całym cyrkiem. Dom jest duży i pomieści mnóstwo ludzi. Leży w Port de Soller.

- To niech się cieszą. Cieszcie się - powiedziała lekceważącym tonem. - Rodzinka Baaauuuuumgartenów.

Max opadł na swoją poduszkę i patrzył w sufit. Nelly znów odwróciła się do niego plecami. Zapanowało milczenie.

- Wiesz, co ci powiem? - odezwała się po chwili.

- Co? - spytał niepewnie.

- Namyśliłam się. -I?

- Chciałabym, żebyś sobie teraz poszedł. Muszę się przespać. Wieczorem mam jeszcze gdzie wyjść. Muszę naładować akumulatory.

Max zerwał się. Gniewnymi ruchami wciągnął spodnie i zbierał swoje rzeczy. Chodził wokół łóżka wściekły.

- Ty jesteś nienormalna! Widujemy się od trzech miesięcy. Luźno wspominam, że moi rodzice są gotowi użyczyć nam swojego domu na Majorce, a ty natychmiast świrujesz i co, zerwiesz ze mną, bo napomknąłem, że mam rodziców? Okej, ogłaszam: tak, mam matkę, ojca i nawet rodzeństwo, które lubi się ze mną spotkać od czasu do czasu. Kurde, nie ma w tym nic niezwykłego, że ludzie lubią podtrzymywać

relacje, nawet je zacieśniać. Człowiek nie jest kosmitą przez to tylko, że lubi swoją rodzinę! Ale widocznie nie dotyczy to Nelly Josefsson, ty świrujesz z przerażenia, jak tylko zaproponuję, żebyśmy przez pięć minut zjedli razem śniadanie. I co, zerwiesz ze mną, bo wypowiedziałem zakazane słowo na R? No to posłuchaj: rodzina, rodzina, rodzina! To teraz koniec, to mi chciałaś powiedzieć? Kurwa, przecież z tobą nie da się rozmawiać! Mogłabyś, do cholery, coś powiedzieć! A może jestem dla ciebie tylko jakimś manekinem do pierdolenia się, co? No odpowiedz!

Nelly położyła jedną rękę za głowę. Z trudem zdusiła ziewnięcie.

- Kurde, ale ty dużo mówisz. Tak tak, tak tak, tak tak. Zawsze tak uważałam. Tak, najwyraźniej to koniec. Pa.

**MAJ, DWADZIESCIA DWA LATA WCZEŚNIEJ.**

Sobotnie popołudnie w motylami w parku Haga, na północ od śródmieścia Sztokholmu. Kilka starych, imponujących oranżerii, które dzięki entuzjazmowi grupy biologów przeistoczyły się w dżunglę, oazę doświadczeń przyrodniczych, pobudzając wyobraźnię zwiedzających. Wodospady i olśniewająca roślinność. Larwy, poczwarki i tysiące motyli. I do tego kiepska kawiarnia z główną atrakcją w postaci podstarzałego klauna, dawniej utrzymującego się z występów w cyrkach drugiej kategorii i programach dla dzieci.

Mats przyjrzał się swemu synkowi, ciekaw, o czym on myśli.

Chłopczyk patrzył z poważną miną na paskudnego klauna, który w odległości zaledwie kilku centymetrów od jego buzi wyczarował z ucha monetę. Na jego przymilnej, białej twarzy perlily się setki kropelek potu. Ruda peruka z plastikową łysiną na środku wyglądała jak mocno sfatygowany motek wełny, który przeleżał się zapomniany w jakimś pudle na strychu. Zęby błyszcząły żółcią na tle pobielonej twarzy.

Jonas nie wyglądał na rozbawionego. Wszystkie inne dzieci w kawiarence śmiały się, gdy klaun się tylko poruszył. Natomiast chłopiec w skupieniu naśladował jego ruchy jak cień.

Gdy klaun cicho zaszlochał i chwycił się za czoło, Jonas zrobił to samo.

Gdy klaun starł udawaną łzę z oka, Jonas również ją starł.

Gdy klaun rozciągnął usta w sztucznym uśmiechu, Jonas uśmiechnął się tak samo.

Ruchy chłopca były nieznaczne, powściągliwe. Z napięcia zrobiła mu się fałdka między brwiami. Totalne skupienie.

Matsa zaskoczyła ta koncentracja i idealne dopasowanie ruchów. Już kiedyś widział u syna to spojrzenie, jak u kota, który zwietrzył smakowity posiłek. Wyostrzone, uważne i absolutnie spokojne.

Chwilami miał wrażenie, że Jonas wyprzedza ruchy cyrkowca. To się nazywa wycucie, pomyślał.

Zerknął na żonę. Marie patrzyła to na Jonasa, to na klauna. Niepokojnie. Zobaczył, że ona też to widzi. Że pomyślała to samo. Oczywiście nie mogli patrzeć na nich jednocześnie, jednak chwilami wydawało się, że chłopiec wie z góry, co robi klaun.

Mats i Marie zostali rodzicami zastępczymi Jonasa, gdy mieli już za sobą wiele lat starań o dziecko. Nie było żadnego konkretnego powodu, że do upragnionej ciąży nie doszło. Po prostu nie zdarzyła się. Nie spróbowali in vitro ani podobnych zabiegów, tylko zdecydowali się na adopcję. Tyle jest na świecie osieroconych dzieci, które potrzebują, żeby przygarnęła je dorosła osoba albo para. Przekazanie swoich genów nie stanowiło dla nich celu samego w sobie. Mogli przekazać tyle innych rzeczy: miłość, opiekuńczość i pełen empatii światopogląd.

Byli parą pracowitych ludzi, solidnie wykształconych, mających stałą pracę, mieszkali w małym szeregowcu na północnym przedmieściu Sztokholmu. Było dla nich oczywiste, że zostaną zaakceptowani jako rodzice adopcyjni. Tymczasem zaś, w oczekiwaniu na wynik działania młynów biurokracji, zgłosili się jako rodzice zastępczy. Wprawdzie byli jeszcze młodzi, ale czuli się dojrzały i bardzo dorośli. Pragnęli poczuć odpowiedzialność i nadać sens swojej codzienności.

Liczyli się z tym, że jako rodzice zastępczy dostaną podrośnięte dziecko z trudnym zapleczem rodzinnym, któremu zapewnią kilka



spokojnych i bezpiecznych lat, dopóki rodzice biologiczni nie uprządkują swojego życia.

W ogóle nie przewidzieli, że dostaną niemowlę.

Jonas miał niecałe pół roku, kiedy do nich trafił, po tym jak znaleziono go w lesie. Nikt nie wiedział, dlaczego ani przez kogo został tam porzucony. Jego imię było wydrapane na pasku dziwnych szelek, w których wisiał. Znaleziono go gołego i zakrwawionego, w bardzo złym stanie. Koszmarny czyn jakiegoś psychopaty.

Początkowo władze liczyły, że jego biologiczni rodzice szybko się odnajdą. Jednak po kilku latach, kiedy dalej nie wiadomo było czy są Szwedami, ani w ogóle kim są, Jonas został oficjalnie uznany za sierotę. Dopiero potem Marie i Mats stali się jego prawdziwymi rodzicami.

Dla nich było to oczywiste i wspaniałe. Przecież był ich cudownym synkiem. Od zawsze i na zawsze.

Klaun skończył występ, większość dzieci podbiegła do niego, żeby popatrzeć na jego lśniącą, zieloną papugę, która wyglądała bardziej na wypchaną niż żywą. Lekko otarł pot z twarzy wielką kraciastą chustką do nosa, nie ścierając farby. Teraz uśmiechał się naturalnie. Pogłaskał po głowach kilkoro dzieci. Powiedział, że jeśli chcą, mogą posiedzieć na podłodze pod drążkiem, na którym przycupnęła papuga, podczas gdy on na zakończenie przeczyta krótką bajkę. Chciały.

Ale nie Jonas. Już nie był skupiony na klaunie, tylko na lodach Calippo w tekturowej tutce, prawie roztopionych. Przytknął tutkę do dolnej wargi, przechylił głowę i wlał sobie do ust lepki płyn o smaku krówki. Na dnie został tylko bury, nadtopiony sopelek.

- Fajnie było? Podobało ci się? - ostrożnie spytał Mats, chwytając pod stołem rękę żony. Jonas miał taką zafrasowaną minę. Martwi się czymś? Skąd ta ciągła powaga? Dlaczego nie robi tego samego, co inne dzieci?

Chłopiec głęboko nabrał powietrza przez nos i zrobił wydech przez otwarte usta. Fałdka między brwiami wygładziła się. Na twarzączce pojawił się uśmiech zadowolenia.

- Bardzo fajnie. Fajny ten klaun Manę. Podobał mi się.

- Cieszę się - powiedziała Marie, gładząc kciukiem rękę Matsa. Drugą ręką pogłaskała Jonasa po głowie i założyła mu za ucho długą grzywkę.

Czasem, gdy oboje byli z Jonasem, nabierało to jakiegoś dodatkowego wymiaru. Ciężar niepokoju powodował przyływ adrenaliny. Nawet gdy sytuacja wydawała się spokojna i przewidywalna, czuli przyspieszenie tętna, jakby przygotowywali się na niespodziewany zwrot wydarzeń. Nie było to zbyt przyjemne. Jednak każde z nich wiedziało, że drugie czuje to samo, co dawało im poczucie więzi w smutku. Miłość i niepokój, ręka w rękę. Tak jest, gdy się jest rodzicem. Tak wygląda odpowiedzialność.

- Pójdziemy jeszcze do dżungli - ciągnęła Marie. - To dopiero będzie!

- Oj tak, w środku jest supergorąco - dodał Mats tonem udającym entuzjazm.

Starał się pozbyć nieprzyjemnego wrażenia. Naprawdę nie ma powodów do niepokoju. Muszą skończyć z wyobrażaniem sobie różnych rzeczy. Jonas jest zwyczajnym chłopcem, chociaż zachowuje się jak stary malutki. Jeśli oni będą postępować jak zwyczajni rodzice, nie będą musieli się zadrećzać takimi myślami. Poklepał Marie po ręce, jakby dając znak, że pora ruszać.

Jonas spojrział na nich. W jego oczach nie było śladu niepokoju.

- No to na co czekamy?

Podczas gdy inne dzieci słuchały bajki, a ich rodzice siedzieli sobie spokojnie nad filiżanką kawy, oni mogli przez chwilę побыć w motywami zupełnie sami.

Na dżunglę składało się kilka olbrzymich oranżerii, zbudowanych tuż obok siebie, ściana w ścianę. Szwedzkie niebo i późnowiosenne słońce na zewnątrz w połączeniu z odtworzonym we wnętrzu środowiskiem tropików stwarzało bardzo szczególne wrażenie. Każda oranżeria była połączona z sąsiednią przez szluzę z ciężkich plastiko-

wych zasłon, które zwiedzający musieli odginać, żeby wejść głębiej w dżunglę. Im dalej szli, tym bardziej było gorąco i wilgotno. Przebiegali ścieżkami pod zwisającymi lianami i po kładkach przerzuconych nad strumykami, które płynęły wśród bujnej zieleni. Aż znaleźli się w samym sercu dżungli. I przygody.

Tu i ówdzie stały rzędy poziomo ustawionych patyków, które wyglądały jak suszarki. Było na nich aż gęsto od poczwarek, czekających na przeobrażenie w motyle. Setki małych kokonów. Beżowych, brązowych i w. innych barwach ochronnych. Kilka motyli, które już zdążyły wyjść z poczwarki, siedziało, susząc skrzydła przed wyruszeniem w pierwszy lot. Nie mogli nadziwić się, że w tak brzydkim kokonie może skrywać się coś tak pięknego. Prawdziwy cud.

Znajdowali się prawie w samym środku szklarni, gdy dżungla otworzyła się przed nimi. Zobaczyli sadzawkę, w niej mnóstwo grubych czarnych ryb, które jakoś nie budziły zaufania. Wystarczył jeden ruch płetwą ogonową, a już były po drugiej stronie sadzawki. Jakby skakały.

Jonas, który oczywiście przybiegł pierwszy, przystanął przed sadzawką. Było tu bardzo ładnie. Rozglądał się z nabożeństwem dookoła, wszyscy troje poczuli się jak w olbrzymim szałasie. O ileż lepszym od tego, który rodzice budowali mu, rozwieszając koce na stole.

- Patrzcie!

Jonas pokazał palcem na wielkiego motyla, który przeleciał jakiś metr nad nim. Był czarny, z czerwonymi płomieniami na skrzydłach rozpiętości pewnie dziesięciu centymetrów. Jonas stanął na kamieniu koło sadzawki i wyciągnął rękę do motyla, który zawisł kilkadziesiąt centymetrów nad nią. Wydawał się zaciekawiony tym, co chłopiec robi.

Jonas bez jakichkolwiek obaw otworzył dłoń. Był bardzo skupiony, znów pojawiła się fałdka między jego brwiami. I kocie spojrzenie.

Motyl wylądował na otwartej dłoni. Kilka razy zamachał skrzydłami, po czym je złożył. Od spodu okazały się szarobrązowe.

Mats i Marie spojrzeli na siebie bez słowa. Nie chcieli zakłócić tej pięknej chwili. Z tego, co im było wiadomo, motyle raczej unikają kontaktu z innymi zwierzętami, tym bardziej z ludźmi. To, że ten motyl wybrał dłoń Jonasa na miejsce odpoczynku, musiało być bardzo niezwykle. Chcieli, by chłopiec nacieszył się tą chwilą. By mu została w pamięci.

Nadleciał jeszcze jeden motyl. Nieduży, żółciutki, wylądował na środku głowy Jonasa. Nic nie ważył, mimo to Jonas natychmiast go wyczuł. Nie poruszając głową, spojrzął na niego. Fałdka między brwiami wygładziła się, po twarzyczce rozszedł się uśmiech.

Mats i Marie, nie patrząc na siebie, złapali się za ręce. Co się dzieje? Światło w dżungli zmieniło się, zrobiło się jakby ciemniej. Rozejrzeli się.

Ze wszystkich stron nadlatywały motyle. Małe, duże. Setki motyli we wszystkich kolorach tęczy. Dokąd one lecą?

Zrozumieli w tym samym momencie. Lecią do Jonasa.

Chłopiec stał na kamieniu w środku dżungli, zapraszając je otwartymi dłońmi.

Motyle najpierw krążyły nad nim, tworząc skrzydlatą chmurę, ale szybko znajdowały miejsca do lądowania. Siadały wszędzie. Na ubraniu, na rękach, na nosie, uszach, wargach, włosach, na całym ciele. Gdy tylko usiadły, składały skrzydła i zastygały.

W całej dżungli zapadła cisza.

Powietrze nawet nie drgnęło, nic się nie ruszało. Nawet czarne ryby z otwartymi paszczami. Za każdym razem, gdy któryś z siedzących motyli machnął skrzydłami, migotały kolory.

Pokryty od stóp po czubek głowy setkami motyli skrzydeł chłopczyk aż lśnił wszystkimi możliwymi kolorami.

Gdy Jonas przyszedł do pracy we wtorek rano, okazało się, że Vesna nadal jest w podróży służbowej. Poczuli jednak, że musi zamienić z nią kilka słów, więc zadzwonił do niej. Po wygłoszeniu kilku grzecznościowych formułek i uwag na temat wczorajszej prezentacji posłuchał swojej intuicji i przeszedł do właściwej sprawy.

Do listu.

Ledwo zdążył zreferować jego treść, gdy mu wydała pierwsze wyraźne polecenie:

- Jedź tam i zorientuj się. Daj sobie tyle czasu, ile będziesz potrzebował. Posłuchaj mnie. Weź taksówkę i jedź na Brommę<sup>14</sup>. Jestem prawie pewna, że mamy stałą umowę z linią obsługującą Gotlandię. Isabella załatwi ci bilet.

- Okej, dziękuję. Sprawą szkół niepublicznych zajmę się, gdy tylko wrócę.

- Dobrze, dobrze. W porządku. Na ile cię poznałam, na pewno potrafisz myśleć o kilku sprawach naraz. Tylko za bardzo sobie tego nie skomplikuj. Goran ma powiedzenie, które często powtarzamy w firmie: *Temu, kto podąży z wiatrem, nie przeszkadza wichura.*

Dwie godziny później Jonas wyjeżdżał wynajętym samochodem z Visby, kierując się na południowy wschód Gotlandii.

14 Bromma - stare sztokholmskie lotnisko zaledwie 8 km od centrum stolicy.

Po godzinie, zbliżając się do parafii Burs, zwolnił i opuścił szybę. Wiosna wdarła się przez otwarte okno. Zapach nawożonych pól. Energiczny warkot ciągników. Pełen zapachu świergot ptaków.

Spojrzał na GPS w komórce i porównał z mapą w liście od Urzędu Geodezji. To niedaleko.

Zjechał z głównej szosy i teraz miał przed sobą wąskie drogi i dróżki wysypane wapiennym tłuczniem. Spojrzał w lusterko, zobaczył, że wzbija tumany kurzu i jeszcze bardziej zwolnił.

Przez ostatnie sto metrów niemal pełzł, żeby nie przeoczyć ścieżki, przy której powinna się znajdować nieruchomość.

To musi być tu, pomyślał, skręcając w coś, co przypominało dwupasmową ścieżkę rowerową. Prowadziła prosto w las. Najwyraźniej od wielu lat nikt nie zawracał sobie głowy jej uprzątnięciem, bo zwisające gałęzie co i rusz zaczepiały o dach samochodu.

Poczuł, jak mu się wyostrajają wszystkie zmysły. Że jest zwarty, silny, gotowy.

A przecież przyjął sobie za punkt honoru, że nie będzie grzebać w przeszłości, bo kochał swoich rodziców ponad wszystko. Mimo to zaczął poszukiwania, chociaż nie wiedział, dokąd go to zaprowadzi. Dlaczego miałby przejmować się ludźmi, którzy się nim nie przejmowali? Ale czy miał wybór? Nie.

Kawałek dalej ujrzał dom. Nieduży, z wapienia, z czerwonym omszałym dachem. Otoczony gęsto rosnącymi sękatymi drzewkami i krzewami.

Wysiadł z samochodu i ruszył ostrożnie w stronę domu. Kilka okien było wybitych.

Drzwi, dawniej zapewne zielone, wychodziły na to, co niegdyś było podwórkiem.

Jonas nacisnął klamkę i ostrożnie pociągnął drzwi do siebie.

Tuż koło jego głowy rozległ się łoskot. Trzask. Z wybitego okna obok wyleciał duży ptak.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzył je na oścież i zajrzał, nie przekraczając progu. Zobaczył klepisko utwardzone kamieniami. Brudny stół, na nim ptasie gniazda, które wyglądały jak motki, dwa krzesła szczebelkowe na trzech nogach. Bardzo duży kominek, zaczynający się prawie od podłogi.

Stał przez chwilę, starając się stworzyć sobie obraz sytuacji. Co to za ruderka? Czy naprawdę mieszkali tu jego biologiczni rodzice? Czy to możliwe, żeby ktoś inny zapisał mu w testamencie ten dom? A może to skutek pomyłki w rejestrach i wzięli go za kogoś innego?

Nie miał pomysłu, co dalej. Wszystko stało się tak szybko, że nie miał czasu się zastanowić.

Wszedł do środka i rozejrzał się. Powietrze było wilgotne, jak w piwniczce ziemnej. Bardzo wątpliwe, żeby tej ruderze udało się kiedykolwiek przywrócić funkcję mieszkania dla ludzi. Spojrzał na sufit. Z grubych desek. Może nad nim jest strych? W takim razie gdzieś powinny być schody. Na suficie było mnóstwo plam od wilgoci, czyli dach musiał mocno przeciekać.

Spróbował się skupić, opanować gonitwę myśli. Zatrzymać dom? Może chociaż sama parcela przedstawia jakąś wartość? Czy powinien zamknąć drzwi za sobą i już nigdy tu nie wracać nawet myślami?

W tym momencie zobaczył obrazek na ścianie.

Osobę, którą przedstawiał.

Przecież to on!

Cofnął się i tyłem, potykając się, wyszedł z domu. Na podwórku padł na ziemię. Serce waliło jak oszalałe. Poczował, że musi się wypróżnić, jednocześnie dostał mdłości, chciało mu się wymiotować.

Jakoś zapanował nad tymi odruchami. Skulił się na trawie w pozycji embrionalnej i spróbował wyrównać oddech. Po chwili wróciła zdolność myśli.

Co za paskudny kawał...

Ktoś, może jedna osoba, może więcej, chce mu zrobić krzywdę. Dlaczego?

Przetoczył się na plecy i wpatrzył w chmury, które sunęły szybko po niebie, chociaż tu, gdzie leżał, było prawie bezwietrznie. Jednak od tego widoku myśli znów przyspieszyły. Zamknął oczy, spróbował oddychać wolniej. Powoli zrobiło mu się lepiej.

Poczuł, że musi z kimś porozmawiać, usłyszeć głos z rzeczywistości, nie będący częścią tego cholernego, idiotycznego aktu przemocy. Sięgnął po komórkę, chciał zadzwonić do Bj ornego, ale okazało się, że nie ma zasięgu. Rozejrzał się.

Na czworakach dotarł do kamiennego murku koło domu. Usiadł, opierając się i starał się wolno oddychać. Zamknął oczy, wciągając powietrze przez nos.

Uspokoił się i pomyślał, że musi tam wrócić. Musi się przekonać, czy dobrze widział. Przypominało mu to inscenizację z filmowego horroru. Rozłożony w czasie akt przemocy, w oczekiwaniu na ofiarę. Od jak dawna to przygotowywali? Od miesięcy? Lat? I kto to zrobił?

Nogi mu się trzęsły, gdy wstał i jeszcze raz wszedł do domu.

Rzeczywiście. Na ścianie, pod zakurzonym szkłem, w ramce, było jego zdjęcie. Jakby patrzył w lustro.

Rękawem bluzy starł kurz i przyjrzał się dokładnie. Fotografia była ucięta na poziomie piersi, miał na sobie biały fartuch. W tle było laboratorium. Jednak po bliższym przyjrzeniu się odkrył pęknięcia w tej inscenizacji. Spod czepka ochronnego wystawały włosy, znacznie dłuższe niż Jonas miał kiedykolwiek. Przede wszystkim zaś miał na twarzy szeroki uśmiech, który Jonasowi wydał się obcy. Sfotoszopowali go? Po co? Komu u diabła chciało się robić tak paskudny kawał w starej chałupie na Gotlandii? Fotografia była bardzo brudna, wszystko zostało zrobione niebywale przemyślnie.

I wtedy skojarzył.

No oczywiście...

Kompletnie chore. Niesamowite.

Patrzył na swojego ojca, biologicznego ojca, który na tym zdjęciu miał mniej więcej tyle lat, ile on teraz. A on jest jego kopią.



Zdjął fotografię ze ściany. Spojrzał na mężczyznę, który był do niego tak podobny. A więc to jest jego biologiczny ojciec? Kim był? Co robił w tym domku?

Uważnie przyjrzał się ramce. Może znajdzie jakieś ślady albo wskazówki? Oderwał tył i zobaczył, że na rewersie fotografii znajduje się odręczny napis. Charakter pisma wyglądał na kobiecy:

*Kochany synu. Jeśli to czytasz, oznacza to, że dokonaliśmy właściwego wyboru. Dziś przyjechałeś tu. Jutro trafisz dalej. Nie ma dla ciebie granic. Kontynuuj to. Powodzenia.*

*Kochamy cię na wieki.*

*P & M*

Odczytywał tekst raz za razem, usiłując go zrozumieć, ale szybko uzmysłowił sobie, że tu nie ma nic do rozumienia. Nie teraz. Nie tutaj. Musi nabrać dystansu, wyjechać stąd, pomyśleć.

W miarę jak ustępował szok, poczuł złość, przypływ energii do działania. Przygotuje się starannie, już nic nie wytrąci go z równowagi. Złożył zdjęcie na pół i włożył do kieszeni.

Wsiadł do samochodu. Nie mógł już dłużej wytrzymać w tym okropnym miejscu.

W dodatku poczuł, że musi coś zjeść i napić się. Spojrzał na GPS, największa miejscowość w pobliżu to Hemse. Na pewno znajdzie się tam jakiś sklep albo budka z kiełbaskami, żeby mógł się posilić, bo jego zapas energii był prawie na wyczerpaniu. Kiedy znalazł się na nieco szerszej drodze szutrowej, jakieś kilkaset metrów od domu, odzyskał zasięg. Zadzwoił do Björnego, który właśnie wracał do swego pokoju ze stołówki, gdzie zjadł późny lunch.

- Björne, nie masz pojęcia, co się stało - wykrztusił w podnieceniu. - Opowiem ci wszystko po powrocie, a na razie potrzebuję twojej pomocy. Byłem w tym domu na Gotlandii. Właściwie nadal jestem.

- Aha - odparł Björne wyczekująco. - Już? O cholera. Co mam zrobić?  
- Chodzi o ten list, który ci wczoraj pokazałem - ciągnął Jonas z szybkością karabinu maszynowego. - Nie wynika z niego, kto mi zapisał ten dom, ponieważ formalnie od wielu lat należał do Powszechnego Funduszu Spadkowego, aż do momentu, gdy widocznie władze dostały ten testament i wtedy musiały mnie spytać, czy chcę przyjąć spadek. Właściciele wiele lat temu zostali uznani za zmarłych. Więc formalnie nieruchomości zostaje mi przekazana z Funduszu Spadkowego, a nie przez poprzednich właścicieli. Pod warunkiem, że przyjmę spadek. Zresztą wszystko jedno. Strasznie to pokręcone, zapomnij o tym. Chodzi o to, że nie wiem, kto był poprzednim właścicielem, bo to nie wynika z pisma.

- Tak... mów dalej - powiedział Björne.

- Dlatego chciałbym, żebyś sprawdził, kto dwadzieścia siedem lat temu figurował jako właściciel nieruchomości. Mogę ci podać dokładną lokalizację, bo jest w tym piśmie. Tylko muszę się dowiedzieć, kim byli.

- Okej, wejście w system zabierze mi trochę czasu, ale na pewno się uda. Daj mi godzinę, zadzwonię, jak tylko ustalę ich nazwiska, a może znajdę coś jeszcze.

- Dzięki Björne, to strasznie fajnie z twojej strony. Mógłbyś jeszcze sprawdzić, kto jest właścicielem nieruchomości znajdującej się po sąsiedzku? Na południowy zachód od tej cholernej rudery. Wygląda na dość duże i stare gospodarstwo. Powinno być na mapie geodezyjnej. Zadzwon, gdyby się okazało, że tych gospodarstw jest więcej i trudno ci znaleźć to właściwe. Raczej nie ma, ale nie jestem pewien.

- Oczywiście. Spróbuję. Zadzwonię. Cześć.

Teraz już jechał szybko, mimo powtarzających się ataków mdłości. Podniecenie związane z odkryciem nieco ustąpiło i już nie mógł zapanować nad fizjologią. Jadąc do Hemse, musiał dwukrotnie zjeź-

dzać w bok i poszukać jakiegoś krzaczka, żeby się za nim załatwić. Na szczęście w schowku była rolka papierowych ręczników.

Björne oddzwonił w chwili, gdy Jonas siedział sam na piętrze w restauracji Hemse bar & Matsalar, skąd miał widok na pusty parking. Zamówił potrawę o nazwie smäck czy smäcka, czyli coś w rodzaju pieczeni rzymskiej, ale z gotlandzkiej jagnięciny. Do tego ziemniaki, borówki i napój jabłkowy. Może niezbyt wykwintny posiłek, ale całkiem okej. Dał mu bardzo potrzebną energię.

Björne powiedział mu, że właścicielami nieruchomości byli Marcus Groschinsky i Pia Larsson. Poprzednio zameldowani w Berg-shamra, na północnych obrzeżach Sztokholmu. Urodzeni w połowie lat sześćdziesiątych, różnica wieku między nimi wynosiła rok, dwa. Marcus Groschinsky został wpisany do ewidencji ludności w parafii Engelbrekta w Sztokholmie, a Pia Larsson w parafii Ljungarums w Jönköpingu. Aż do swego zniknięcia wykazywali niewielkie dochody i zadłużenie wynikające z kredytu na studia, które miały trwać od dziesięciu do dwunastu semestrów, kilka lat temu anulowane w związku z uznaniem ich za zmarłych. Marcus odbył zastępczą służbę wojskową w Naturhistoriska riksmuseet<sup>15</sup> i miał tam przydział mobilizacyjny aż do swojej śmierci. To ostatnie było cokolwiek dziwne, ale tak zapisano w ewidencji. Tyle jak dotąd udało się ustalić Björnemu.

Jonas w myślach uzupełnił to, co mu mówił Björne. Wiedział, jak wyglądał ojciec, a matka? Pia Larsson, to imię i nazwisko brzmiało bardzo neutralnie. Pochodziła ze Smalandii, ale czy to znaczy, że mówiła dialektem smalandzkim? Dlaczego ojciec odbył służbę zastępczą, czy był pacyfistą? Takim teoretykiem pokoju, który ma papierową wiedzę o konfliktach zbrojnych, ale żadnego pojęcia o empatii?

Usiłował odepchnąć od siebie myśli o biologicznych rodzicach. Jednak mu się to nie udawało, jakby się zsuwał do dziury, która się

15 Naturhistoriska riksmuseet - Państwowe Muzeum Historii Naturalnej.

nagle pod nim otworzyła, albo zapadał się w kurzawce. Nie chciał mieć z nimi do czynienia, na samą myśl o nich czuł pogardę.

W tym momencie dotarło do niego, że Björne czeka po drugiej stronie słuchawki.

- Wielkie dzięki, Björne, jesteś tam?

- Kurde, no pewnie. Spoko. Jak się czujesz?

- Okej. W porządku. Mam wrażenie... Sam nie wiem. Jest mi dziwnie. Ale muszę się przyzwyczać. Nie mam wyboru.

- Rozumiem. W publicznych wykazach chyba nie ma już co szukać, ale podejrzewam, że można by znaleźć znacznie więcej, gdyby poszukać poza siecią. W papierowych archiwach.

- Tak....

- A właśnie, pytałeś o sąsiednie gospodarstwo. Właścicielem jest niejaki Folke Hoas, w mocno podeszłym wieku, bo urodzony w 1925 roku. O dziwo nie w Szwecji, tylko na Ukrainie. Szwedzkie obywatelstwo uzyskał w 1929. Od tamtej pory mieszka na Gotlandii.

Umówili się, że spotkają się po powrocie Jonasa do Sztokholmu i skończyli rozmowę.

Jonas poszedł nalać sobie kawy z dużego termosu stojącego na lekko rozchybotanym stoliku obok stojaka na tace. Z dużego brązowego pudełka wziął kilka kruchych ciasteczek. Podłoga pod linoleum zaskrzypiała, co jeszcze wzmogło jego poczucie osamotnienia.

Marcus i Pia.

Kim oni byli?

Dlaczego go porzucili?

**JESIEŃ, DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ. PIWNICE  
PAŃSTWOWEGO MUZEUM HISTORII  
NATURALNEJ, POMIESZCZENIE KATEDRY ENTOMOLOGII.**

Dwa białe szczury leżały na wznak z odsłoniętymi brzuskami i łapkami przypiętymi metalowymi klamerkami. Czekwały na zastrzyk, ale tylko dla jednego z nich był to zastrzyk z roztworu soli kuchennej. Chodziło o to, żeby przed eksperymentem oba były w tym samym stanie fizycznym i zostały poddane tym samym zabiegom. Od dwunastu godzin nie były ani karmione, ani pojone.

Pia zręcznie wbiła igły w brzuszki i wstrzyknęła płyny. Po kolei. Szczury wydały z siebie krótki pisk.

Marcus odpiął klamerki i szybko, chwytając zwierzęta za skórę na karku, przeniósł do podłużnych klatek. Robił to tyle razy, że bez trudu potrafił trzymać po jednym w każdej ręce. Następnie zamknął klapkę z góry. Każda klatka miała czworo drzwiczek z dłuższego boku.

Zastrzyk zaczął działać, podczas gdy szczury zapoznawały się ze swoim nowym otoczeniem. Węszyły i biegały w kółko. Ten po zastrzyku z roztworu soli poruszał się normalnie, drugi był niespokojny, miał kanciaste ruchy.

Pia i Marcus poznali się rok temu, podczas tygodnia zapoznawczego na wydziale biologii. Ją pociągnęła jego powaga i naturalna uprzejmość, a jego połączenie pogodnego ciepła i suchej rzeczowości. Wkrótce stali się nierozłączni. Wszystkie ćwiczenia w laboratorium

wykonywali we dwoje, po zajęciach razem się uczyli, a wieczorami oglądali kolejne filmy z zasobów niewielkiej wypożyczalni, dzięki koledze, który tam dorabiał i nie był zbyt skrupulany przy pobieraniu opłat.

Pia poszła na studia prosto po maturze. Wychowała się w środowisku tak zwanego wolnego kościoła<sup>16</sup>. Było to pozytywne doświadczenie, chociaż nie miała takiego kontaktu z Bogiem, jaki obserwowała u innych członków swojej rodziny. Obie młodsze siostry były wręcz zakochane w Bogu i Jezusie. Jako osoba dość zasadnicza doceniała jednak wartość życia regulowanego przez przewidywalne zachowania i rytuały. Podobała jej się nawet obowiązująca we wspólnocie dyscyplina i hierarchiczność, zawsze było wiadomo, kto rządzi, jak i to, że miłość spływa z góry. Jeśli ktoś spośród wiernych potrzebował opieki lub miłości, inicjatorem był zawsze pastor albo jego żona. Oboje potrafili udźwignąć odpowiedzialność wynikającą z przywództwa, byli pełni miłości bliźniego i można ich było stawiać za wzór. Każda osoba będąca we wspólnocie czuła się dostrzegana i mogła się rozwijać.

Pii jednak trudno było pogodzić się z tym, że nikt w jej kościele nie interesował się nauką. Wyczuwała nawet dość wyraźny opór. Tymczasem właśnie nauka jest czymś naprawdę boskim, myślała. Tyle cudów, gdziekolwiek spojrzeć. Antybiotyki, insulina, maszyna parowa, komputery, rozruszniki serca, elektronowy mikroskop skaningowy, oczyszczanie wód, energia wiatrowa i tak dalej. Lista rzeczy, które ją cieszyły i fascynowały, była nieskończona. I wszystkie były dziełem ludzi, nie bogów. Czasem autorzy tych odkryć dokonywali ich dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, jednak najczęściej powstawały dzięki wiedzy, trafnym hipotezom i ciężkiej pracy. Wciąż pamiętała euforię, którą poczuła, gdy po licznych upadkach, otarciach i wylaniu wielu łez nauczyła się jeździć na rowerze. Rower był

16 Wolne kościoły (szw. frikyrkor) - protestanckie wspólnoty wyznaniowe niezależne od dawnego kościoła państwowego, czyli ewangelicko-augsburskiego.

wynalazkiem obalającym prawa przyrody, pozwalał przemieszczać się dużo szybciej niż na własnych nogach. Jazda była mniej męcząca niż bieg, a mimo to szybsza.

To doświadczenie było dla niej rozstrzygające. Prawa przyrody to ostateczne reguły gry. Kto je pozna, dozna tego, co w życiu najlepsze. Pokieruje nimi, okiełzna je. Może wtedy okaże się, że Bóg jest, a może nie. Tak myślała.

Marcus urodził się jako najmłodsze dziecko w mieszczańskiej rodzinie zajmującej apartament, a nie zwykłe mieszkanie, przy Eriks-bergsgatan w centrum Sztokholmu. Matka była panią domu, a ojciec profesorem medycyny w Karolińska Institutet. W pierwszych latach nauki chłopiec uczył się w położonej po sąsiedzku koedukacyjnej szkole Whitlockska. Był kimś w rodzaju samotnika i właściwie nie znał świata poza swoją ulicą i wielkim domem lotniskowym w Falsterbo. Rodzina Groschinsky odkryła to wspaniałe miejsce letniego wypoczynku zaledwie kilka lat po przyjeździe do Szwecji. To kąpielisko morskie było idyllą w przeciwieństwie do Odessy, skąd dziadek i babcia musieli uciekać na początku XX wieku ze względu na coraz częstsze pogromy żydowskich mieszkańców miasta. Ojciec został wychowany w Szwecji tak, by korzystać ze wszelkich przysługujących mu praw. I robił to, udzielając się zapamiętale w rozmaitych zarządach i towarzystwach. W domu był surowy i wymagający. Jego zachowanie cechowała złośliwość mieszcząca się w granicach poprawności. Za to matka była miła i uprzejma, choć „delikatnych nerwów”. Nawracające przygnębienie najlepiej leczy się pigułkami; nie ma się czym przejmować, choroba występuje tylko po kądzieli, zawsze podkreślał ojciec. Marcus miał dobre geny, co było udokumentowane mniej lub bardziej naukowo, choć ojciec był zdania, że mógłby w większym stopniu wykorzystywać swoje zdolności i zostać prymusem. Gdy słynna szkoła, do której chodził, przestała nadążać za duchem czasu i została zlikwidowana, poszedł do państwowej placówki. Wpraw-

dzie na Óstermalmie<sup>17</sup>, ale jednak. Przygodą stało się dla niego samo przechodzenie przez Humlegarden. Jego świat powiększył się jeszcze po przejściu do liceum Ostra Real, do klasy o profilu matematyczno-przyrodniczym. O tym, że zostanie przyrodnikiem, wiadomo było z góry. Ojciec lubił żartować, że najpierw rodzina ma się doczekać laureata Nagrody Nobla, a dopiero potem może być mowa o wolnym wyborze. Jednak, gdy okazało się, że stopnie z liceum wystarczają jedynie, by zostać przyjętym na biologię, a nie medycynę, którą studiował jego starszy brat, ojciec uznał, że Marcus ma spróbować prawdziwego życia. Odstawił syna od piersi. Marcus musiał wziąć kredyt studencki i rozejrzeć się za mieszkaniem. Nie zdziwił się. Już się przyzwyczaił do niepowodzeń i braku uznania. Uzyskana swoboda okazała się bardzo podniecająca, wręcz go oszołomiła. Uwolnił się od terroru pod przykrywką przywilejów, mógł się otworzyć i stać się tym kim chciał.

Pia i Marcus byli dumni, że znaleźli się w niewielkiej grupce studentów, starannie wybranych przez jednego z wykładowców do udziału w długofalowym projekcie badawczym, który miał na celu zweryfikowanie jego teorii. Praca miała trwać kilka semestrów, równoległe z ich regularnymi studiami. Liczyli na to, że dzięki temu spełnią kryteria niezbędne do rozpoczęcia własnej kariery badawczej. Przynajmniej tak im wielokrotnie powtarzał wykładowca, który naprawdę doceniał ich wkład, powierzając coraz więcej odpowiedzialnych zadań.

Długo pracowali nad budową labiryntu dla szczurów. Konstrukcja zabrała tak dużo miejsca, że pozwolono umieścić ją w nieużywanej części piwnic muzeum. Zbudowali ją ze zwykłych plastikowych klatek połączonych korytarzami z giętkich rur kanalizacyjnych zakupionych specjalnie w tym celu. Wszystkie drogi wiodące korytarzami od początkowych klatek do końcowych miały być dla szczurów absolutnie nieprzewidywalne. Zmieniając miejsca wyjścia z klatek,

17 Óstermalm - zamożna dzielnica w centrum Sztokholmu.



Pia i Marcus wpływali na zmianę trasy wybieranej przez szczury. Na podstawie przeprowadzonych eksperymentów udało im się stworzyć solidną bazę danych. Powtarzalność wyników świadczyła, że nie ma mowy o szczęściu czy przypadku. Poświęcili wiele tygodni na tę robotę pod entuzjastycznym okiem wykładowcy.

Ruszyły pomiary i od początku wszystko zagrało. Prace przygotowawcze przeprowadzono w sposób perfekcyjny i dalej też tak poszło. Laboratorium produkowało mnóstwo roztworów, które były dostarczane do piwnicy. Pia i Marcus wstrzykiwali je szczurom i badali ich biegi przez labirynt.

W dniu, w którym mieli zrealizować dwusetny bieg z roztworem o nazwie Dawka 3:11, padał ulewny deszcz i wiał silny wiatr. Właśnie badali skłonności do dziedziczenia. Jak zachowują się szczury, których rodzicom również wstrzyknięto specjalny roztwór? Czy wzmacnia to ich skłonności dziedziczne? Czy miały różne cechy w zależności od nasilenia stresu, któremu zostały poddane? Epigenetyka była niezwykle ciekawym obszarem nauki. Teoria, że na geny mogą wpływać czynniki zewnętrzne, była nowa i rewolucyjna. Granica między dziedziczeniem a środowiskiem już nie była tak wyraźna. Przypominała raczej dwa koła zębate, które mogą zaczepiać się o siebie.

Woda spływała po małych, zakratowanych okienkach piwnicy. Marcus i Pia musieli ustawić na podłodze kilka grzejników z nawiewem, żeby wilgoć i chłód nie wypaczyły wyników. Wykładowca zapowiedział, że temperatura w pomieszczeniu ma się zawsze utrzymywać na poziomie od szesnastu do osiemnastu stopni ciepła. Szybko nauczyli się, że jeśli się tylko porządnie ubiorą, wkładając długie kalesony i polary, spokojnie będą mogli spędzić tam wiele godzin. Studenci, którzy wyglupiali się, przesiadując po kawiarniach albo tłocząc się w bibliotece w dni, gdy już nie można było opalać się na trawniku, nie mieli pojęcia, ile tracą. Ta piwnica to była Nauka przez wielkie N.

Z chwilą, gdy otworzyli drzwiczki w klatkach, szczury ruszały w drogę.

Ten, któremu wstrzyknięto roztwór soli kuchennej, szybko wbiegał do najbliższego korytarza. Docierał na jego koniec i odkrywał, że ma przed sobą zamkniętą klatkę. Próbował ją sforsować, ale bez skutku. Musiał się wycofać wąskim korytarzem, co było wyczerpujące i zabierało dużo czasu.

Szczur, któremu wstrzyknięto specjalny roztwór, ruszał się niezgrabnie, ale bez namysłu dokonywał trafnego wyboru. Posuwał się długim, wąskim korytarzem i mimo skurczów mięśni nawet podbiegał. Chwilami musiał się zatrzymywać, gdy przez ciało przechodził spazm. Ale gdy w końcu docierał do końca korytarza, klapka uchylała się już przy pierwszym przyciśnięciu pyszczkiem. Otwierało się przejście do następnej klatki, gdzie czekała nagroda: pasza i woda.

Kolejny raz okazało się, że szczur, któremu wstrzyknięto Dawkę 3:11 trafił już przy pierwszej próbie.

Jonas wybrał numer telefonu Folkego Hoasa i zadzwonił. Po siedmiu sygnałach odebrała dziewczynka. Rezulutnie poinformowała, że Folke Hoas jest jej dziadkiem, ale już tu nie mieszka. Wiele lat temu przeprowadził się do domu Hóstsol<sup>18</sup>.

Hóstsol? Oczywiście jakiś dom spokojnej starości. Czy on przypadkiem nie mijał drogowskazu z napisem: Hóstsol? Jeśli dobrze pamięta, było to na skraju Hemse. Postanowił, że zaryzykuje i pojedzie tam.

Miał szczęście, od razu wpadł na dyrektorkę, na oko pięćdziesięcioletnią kobietę patrzącą wesoło spod siwej grzywki, równo przyciętej z włosów prostych jak drut. Jonas wyjaśnił, że Folke Hoas może być w posiadaniu ważnych informacji o jego nieżyjących rodzicach, którzy kiedyś mieszkali z nim po sąsiedzku. Dyrektorka odparła, że Hoas cierpi na zaawansowanego alzheimera i nieczęsto udaje się nawiązać z nim kontakt. W dodatku rok temu przeszedł udar i porusza się na wózku. Jonas spytał, czy mimo to mógłby spróbować zamienić z nim kilka słów. Owszem, zapraszam, to ten mężczyzna siedzący pod krzewem białego bzu. Ale proszę nie liczyć na dobry kontakt. Jonas spytał, czy nazwisko Hoasa jest typowe dla Gotlandii; pomyślał, że może to będzie dobry pomysł na zaczęcie rozmowy.

Okazało się, że był to dobry wstęp, w każdym razie do rozmowy z dyrektorką, bo aż się rozjaśniła i rozgadała. Opowiedziała mu, że setki lat temu na wyspach Ósel i Dago<sup>19</sup> mieszkało wielu Szwedów. Wyspy na Bałtyku miały pod wieloma względami więcej wspólnego ze sobą niż ze swymi stolicami, czyli Sztokholmem i Tallinem. Gdy pod koniec XVIII wieku cesarstwo rosyjskie powiększyło się o ziemie nad Bałtykiem, liczna kolonia szwedzka z Dago została w trybie mniej lub bardziej przymusowym przesiedlona na Ukrainę, gdzie niemal wyginęła z głodu i niedostatku. Przeżyło zaledwie kilkaset osób. Ludzie ci mówili po szwedzku, pielęgnowali własną kulturę, a nowe miejsce zamieszkania nazwali Gammalsvenskby. W ciągu następnych stu lat ich kolonia nawet się nieco powiększyła. W latach dwudziestych XX wieku, w powstającym wówczas komunistycznym Związku Sowieckim, różnorodność etniczna nie była pożądana. Kilkuset mieszkańcom Gammalsvenskby, zagrożonym kolektywizacją i prześladowaniami, udało się wyjechać dzięki szwedzkim kontaktom. Niektórzy popłynęli do Kanady, ale większość trafiła na Gotlandię. Wśród nich rodzina Hoasów. Inne to rodziny Knutasów i Buskasów. Dyrektorka powiedziała, że jej mężem jest jeden z Buskasów, których określiła jako porządnych ludzi. Nazywała ich Starszwedami. A Folke Hoas to dobry, szanowany człowiek, który przez całe życie był rzetelnym i sumiennym gospodarzem. Poradziła Jonasowi, żeby porozmawiał z nim o hodowli pszczół, bo to zawsze była jego pasja. Miał wiele uli, które rozstawiał na polankach w pobliżu swoich pól. Jonas podziękował i wyszedł na skąpane w słońcu podwórko, żeby spróbować porozmawiać z Hoasem.

Drobny, żyłasty mężczyzna nawet nie podniósł wzroku, gdy Jonas położył mu rękę na ramieniu. Mocno pochylony do przodu wpatrywał się w kamienny chodnik pod wózkiem.

19 Ósel i Dago - szwedzkie nazwy wysp Saaremaa i Hiiumaa należących do Estonii.

Jonas pomyślał, że może uda mu się nawiązać z nim kontakt, jeśli pochwali jego gospodarstwo. Potem zaczął opowiadać o swoich wrażeniach z parafii Burs, że to prawdziwa perła Gotlandii. Że otwarte przestrzenie są takie piękne, a na polach trwają teraz wyęte prace. Że był zdumiony, gdy zobaczył dzisiejsze wielkie ciągniki, które muszą kosztować majątek.

Żadnej reakcji. Folke nawet nie mrugnął.

Jonas pomyślał, że jednak popełnia błąd, usiłując wyciągnąć jakąś sensowną informację od człowieka, który wyraźnie przebywa w innym, dalekim świecie, gdzie nikt poza nim nie ma dostępu. Mimo to cały czas odnosił niejasne wrażenie, że coś ich łączy. Że Folke Hoas zna odpowiedź, której on szuka. To wrażenie było coraz silniejsze.

A gdyby spytać wprost? Liczyć, że Folke potem we własnym tempie obrobi w głowie to pytanie. Gdyby tak odczekać. Warto spróbować. Czuł, że to może odnieść skutek. Przypomniała mu się rada dyrektorki, żeby wspomnieć o hodowli pszczół.

Znów położył mu rękę na ramieniu.

- Panie Folke, a jak tam pana pszczoły?

Bez odpowiedzi, wzrok wciąż wbity w ziemię.

Jonas zaparł się, postanowił milczeć i czekać. Spojrzał w niebo. Gromadziło się coraz więcej chmur. Na zachodzie pociemniało. Może późnym popołudniem spadnie deszcz. Jakaś chmura zbliżała się do słońca. Niedługo pewnie całe niebo się zachmurzy. Szkoda. Rzeczywiście, chmura podpłynęła, zasłaniając słońce i zaparkowała tam na dobre. Od razu zrobiło się zimno.

Jonas spuścił wzrok i spojrzał na Folkego.

Hoas wyprostował szyję. Głowę zwrócił w stronę Jonasa.

Starzec patrzył mu prosto w oczy, mocno, badawczo. W jego wzroku nie było śladu demencji.

Jonas patrzył na niego równie uważnie.

Oko w oko.

Usta starego otworzyły się, odsłaniając resztki zębów.

- Sork motyl? - odezwał się jasnym, wyraźnym głosem, a na twarzy pojawił mu się cień uśmiechu.  
A potem jego spojrzenie znów zgasło.

Wyrzucenie gaduły Maksa natchnęło Nelly nową energią. Poczuli się jak po oczyszczającej kąpieli. Było oznaką, że potrafi działać. Zobaczmy, jak daleko mnie to zaprowadzi, pomyślała.

Stała przy oknie swego gabinetu i patrzyła na Norrmalmstorg. W dole ludzie przypominali insekty, szli albo rozbiegali się w różnych kierunkach, w tę i w tamtą stronę, na pozór bez ładu i składu. Czasem ich drogi się krzyżowały, ale nie wpadali na siebie. Dobrze naoliwione robaczki, pomyślała.

Na giełdzie od dłuższego czasu trwała hossa, jednak Nelly się zdecydowała. Pozbędzie się wszystkiego, zarówno dużych pakietów, jak i drobnicy. I tak zrobiła. Przed południem sprzedała wszystkie pakiety akcji, a pieniądze ulokowała w obligacjach skarbowych. Tam były bezpieczne.

Jej największa inwestycja, w spółkę kapitałową wysokiego ryzyka Public Growth, była niezwykle błyskotliwa. Spółka stworzyła duży portfel inwestycji w szkolnictwo i ochronę zdrowia. Dotarcie do akcji w spółce matce na Antylach Holenderskich nie było łatwe, ale w końcu się udało. Inwestowanie wprost w szwedzkie spółki córki byłoby oczywiście pozbawione sensu. Wprawdzie wygrały wszystkie przetargi i prowadziły to, co życzliwi określali jako szkoły i usługi opiekuńcze, jednak zyski wyprowadzały na bieżąco do spółki ulokowanej w raju podatkowym, a fałszywa wycena transferów pozwalała na uchylanie się od zobowiązań podatkowych. Dzięki skomplikowanym transak-

cyjnym w ramach koncernu spółki z siedzibą w Szwecji nigdy nie wykazywały zwracających uwagę zysków ani strat, ale spółka matka co rok zarabiała dużo pieniędzy. Było zatem oczywiste, że Nelly chciała zdobyć w niej udziały.

Okazało się to trudne. Jednak dzięki temu, że wielu dużych graczy pociągało robienie interesów z cudownym dzieckiem Nelly Josefsson, w końcu udało jej się dostać dość duży pakiet akcji właściwej spółki, na co zwróciła uwagę nawet część międzynarodowej prasy finansowej. Kupiła je od międzynarodowej spółki wysokiego ryzyka, która chciała się przerzucić na inwestycję rokującą jeszcze większy wzrost, czyli w amerykański gaz łupkowy. Zakup Public Growth znakomicie się opłacił, po drodze uzupełniła go o kilka mniejszych pozycji. Jednak minęły ledwo dwa lata i rozważyła to jeszcze raz. Jak się ma duże udziały w nienotowanych spółkach, należy stale oczekiwać potencjalnych kupców, tak brzmiała ulubiona zasada Nelly. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie potrzebna płynność finansowa. Należało przy tym wyczuć, który z partnerów w kolejce do ciebie jest tym właściwym. Z jej doświadczenia wynikało, że najczęściej ten, który wywołuje możliwie najmniej szy przyływ adrenaliny. Tak było i tym razem. Działając szybko, dopięła sprzedaż dużego pakietu za cenę, która ją satysfakcjonowała i która nie była wygórowana w stosunku do danych przedstawionych przez spółkę. Raczej przeciwnie. Jednak realny zysk po prawie dwóch latach był i tak astronomiczny. Piramida finansowa działała bezbłędnie.

Gdy gra toczyła się o wysoką stawkę, Nelly i jej malutki sztab prawie zawsze sporządzali pisemne analizy. Był to sposób, żeby przed decyzją przyswoić sobie jak najwięcej informacji. Z tych analiz korzystała tylko ona i jej najbliżsi współpracownicy, ale na wszelki wypadek w dokumentach nie figurowały ani ich nazwiska, ani nazwa funduszu Nektar. Chodziło o to, żeby raporty były tak neutralne, jakby napisał je ktoś z zewnątrz. Dopiero wtedy mogła zaufać swojemu instynktowi.

Analiza, która była podstawą akurat tej transakcji, liczyła sobie trzydzieści pełnych stron. Gdyby kiedykolwiek trafiła w niepowołane



ręce albo do publicznej wiadomości, byłaby to prawdziwa bomba zarówno dla rynku kapitałowego, jak i dla sceny politycznej. Otóż punktem wyjścia dla szkolnictwa, ochrony zdrowia i opieki społecznej nie były już potrzeby obywateli. W wyniku przetargów państwo przekazywało coraz większą część usług publicznych prywatnym firmom, a ich działalność sprowadzała się najczęściej do cięcia kosztów tam, gdzie były one największe, czyli kosztów osobowych. Już nie było różnicy między szkołą a fabryką samochodów. Obniżano wynagrodzenia i wprowadzano konkurencję kosztem poczucia bezpieczeństwa pracowników, naciskano na wydajność na każdej zmianie, zmniejszano liczbę zatrudnionych w każdej jednostce, poprawiano płynność finansową i minimalizowano ryzyko przy pomocy firm zewnętrznych. I tak dalej. Nie było w tym nic złego, dopóki nie powodowało to wzrostu ryzyka inwestycji. Co jednak następowało w coraz większym stopniu. Jak w wielu innych branżach, także i w usługach publicznych pojawiało się coraz więcej aferzystów usiłujących zebrać jak największy plon, nie myśląc o nowym zasiewie i następnym wzroście. Raport nie zawierał wyraźnych dowodów na to, że wiele z tego, co się dzieje w tej branży, jest przestępstwem lub czynem pozostającym na granicy prawa. Dopóki polityczna wola zmian na skutek jednostronnego lobbingu była niewielka lub żadna, ta rabunkowa gospodarka mogła trwać latami. Każda impreza jednak kiedyś się kończy; w raporcie opisano zarówno działanie układu, jak i kompromitujące szczegóły, a wszystko razem tworzyło obraz wielkiej czarnej chmury, z której lada chwila polecą pioruny i rozpęta się piekielna burza. Konkluzja raportu była jasna: te fakty trafią do świadomości społecznej, w krótkim czasie zmieni się całe nastawienie opinii publicznej i w ciągu kilku lat, a może tylko miesięcy, zmiecie cały ten rynek. Gdy już rozpęta się burza, nie wystarczy ani peleryna, ani parasol. Jedyne rozsądne rozwiązanie będzie całkowita ewakuacja.

Nelly odchyliła głowę do tyłu, potrząsnęła włosami i podsumowała sytuację. Pozbyła się wszystkich akcji i na większości zarobiła

mnóstwo pieniędzy. Nie ma faceta i zero ryzyka w portfelu. Jest nieźle - i tak powinno być przez jakiś czas.

- I już nic więcej nie powiedział? Całkiem odleciał?

Goran w podnieceniu mówił jeszcze szybciej niż zwykle. Chciał poznać cały przebieg zdarzeń w dniu, który Jonas spędził na Gotlandii. Szczegółowo, minuta po minucie. Oboje z Vesną, która zdążyła już wrócić z podróży, przyszli do jego pokoju, kiedy tylko dowiedzieli się, że już jest.

- Posiedziałeś u niego dłużej? - ciągnął Goran. - Co? No wiesz, takie *moments clarity* mogą się objawić w każdej chwili.

Jonas pokręcił głową.

Vesna miała zamyśloną minę i, jak to miała w zwyczaju, pocierała podbródek palcem wskazującym i kciukiem. Goran spojrzał na nią i rozłożył ręce.

- No i co, Vesna, co on ma teraz zrobić?

- Wiesz, Jonasiu, wydaje mi się, że sprawa, którą tropisz, to coś ważnego - odezwała się spokojnie. - Nie wiem, co to takiego, ale uważam, że powinieneś to pociągnąć. Mówiłeś, że powiedział „sork motyl”? Sork to przecież chłopiec w dialekcie gotlandzkim. Nie wiesz, co miał na myśli?

Jonas pokręcił głową. Spojrzał na Vesnę.

- Na pewno wiesz - powiedziała, uśmiechając się szeroko. - Myślę, że wiesz więcej, niż ci się zdaje. Wejrzyj w swoje odczucia, odwołaj się do swoich emocji. Czujesz coś, prawda?

- Nie, naprawdę - odparł. - Wiem tylko, że motyle mnie nie unikają. Chętnie na mnie siadają. Nie wiem dlaczego, widocznie wydzielam jakiś zapach, który lubią. Może biorą mnie za jakiś kwiat.

Próbował się uśmiechnąć, ale wypadło sztucznie. Prawdę mówiąc, to nie było śmieszne. W głębi duszy rozumiał, że wszystko się ze sobą wiąże.

Motyle, rodzice, przeczucia.

Vesna i Goran spojrzeli po sobie. Goran zrobił w jej stronę niecierpliwy gest, jakby dawał do zrozumienia, że powinna coś powiedzieć. Vesna założyła ręce za głowę i odchyliła się do tyłu na fotelu.

- Zastanawiam się, skąd stary Hoas mógł o tym wiedzieć?

- Nie wiem, nie mam pojęcia - odpowiedział Jonas. - Ale to pewnie on znalazł mnie w lesie, niedaleko tamtego domu. Miał ule w pobliżu. Zadzwońłem dziś do jego syna, który teraz prowadzi gospodarstwo i spytałem, czy słyszał jakąś historię o podrzutku. Coś tam słyszał, ale nie pamiętał szczegółów. Zawsze myślałem, że zostałem znaleziony w Sztokholmie, bo tu mieszkali rodzice. Wyobrażałem sobie, że leżałem w wózku na jakiejś polanie w Gardet<sup>20</sup>, którą ludzie mijają podczas niedzielnego spaceru. Jednak kiedy byłem w Burs, poczułem wyraźnie, że zostałem porzucony właśnie tam. Folke Hoas znalazł mnie i oddał opiece społecznej, która przekazała mnie rodzicom w Sztokholmie.

- Mhm, to wydaje się prawdopodobne - zauważyła Vesna.

Ciągnęli temat jeszcze przez chwilę, wracając do tych samych kwestii, ale nie posunęli się dalej. Potem Vesna zaproponowała, by wrócić do swoich zadań.

- Okej - odparł Jonas. - Domyślasz się, że jeszcze nie zdążyłem się zabrać za te szkoły niepubliczne.

- Spokojnie. Idź z wiatrem - powiedziała, wstając. Zapięła żakiet garsonki i poprawiła bluzkę.

20 Gardet - jedna z centralnych dzielnic Sztokholmu, gdzie oprócz osiedli mieszkaniowych są rozległe tereny zielone.

Stary latawiec Goran już zdążył wypaść z pokoju.

Jonas został sam i nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Po wymienieniu kilku SMS-ów z Bjórnem i ustaleniu, że spotkają się wieczorem, usiadł w fotelu przy oknie z tabletem i kołonotatnikiem.

Zaczął od googlowania o tym, co mu pierwsze przyszło do głowy. Największą grupę szkół niepublicznych w Szwecji stanowiły Vit-terhetsskolorna. Do jednej z nich sam chodził. Metodycznie klikał na jeden link za drugim, strona po stronie. Przeglądał artykuły. Następnie wszedł do archiwum prasowego, do którego miało wykupiony dostęp Apisec, i gdzie znalazł w znacznej części to samo co w internecie. Po pierwszym, pobieżnym czytaniu zalogował się do międzynarodowego archiwum prasowego i powtórzył całą procedurę. Było tu znacznie mniej artykułów, a tym samym mniej powtórzeń. Większość pochodziła z prasy ekonomicznej, dotyczyły procesu deregulacji w Szwecji i otwierających się w związku z tym nowych możliwości biznesowych. Zabrało mu to wiele godzin. Ale rzeczywiście odkrył wiele tropów, które warto sprawdzić.

Wkrótce poczuł się tak zmęczony tą masą nowych informacji, że zasnął na siedząco. Obudził się po pół godzinie i już wiedział dokładnie, jaki ma być jego następny krok.

## **DWADZIEŚCIA CZTERY LATA WCZEŚNIEJ, SIERPIEŃ. SVEG W HARJEDLEN.**

Tajscy zbieracze Somchai i Prasert spojrzeli na siebie niespokojnie. Co robić? Wiedzieli, że jeśli przerwą zbieranie, szef odliczy im co najmniej dwie stawki godzinowe. Powie, że się lenili i symulowali pracę. Nigdy nie przepuścił okazji, żeby ich zwymyślać i nawrzeszczyć na nich kiepską angielszczyzną, że człowiek w Bangkoku obiecywał przysłać mu samych robotnych ludzi. Parę dni temu obciął Prasertowi jedną stawkę godzinową za to, że przez kilka minut opatrywał sobie otarcie na nodze. Kalosze, które im wypożyczał za dziesięć koron dziennie, były przeznaczone dla kobiet i za małe na Praserta.

Według nich szef nie miał pojęcia, co to jest ciężka praca. Jemu to dobrze, chodzi sobie z pewną siebie miną, trzyma strzelbę na ramieniu i prowadzi na smyczy złego psa. Jeszcze ta śmierdząca, czarna maź pod górną wargą, ściekająca mu na zęby. Na co mu to, jak nie po to, żeby straszyć zbieraczy?

Pracowaliby o wiele lepiej, gdyby zgodnie z obietnicą dostawali porządne jedzenie i nie musieli spać pokodem w sali gimnastycznej razem z dwustu innymi Tajami. Na śniadanie gąbczasty chleb, który nazywali „limpa”, posmarowany słodkim, twardym i lepkiem masłem, na obiad zupa mięsna, a na kolację chrupki chleb z dużymi smażonymi plastrami kielbasy bez smaku. Najczęściej jadłospis powtarzał się przez wiele dni z rzędu.

Od ludzi, którzy byli tu raz albo nawet kilka razy, słyszeli oczywiście różne historie. Miejscowi Szwedzi byli zupełnie inni niż młodzież, która zaczęła przyjeżdżać na plażę Tajlandii. Ci tutejsi byli ciągle źli i rozdrażnieni. Młodzi Szwedzi przyjeżdżający do południowej Tajlandii byli raczej pogodni i sympatyczni, chociaż potrafili się okropnie upijać. Miejscowi, północni Szwedzi bardziej przypominali tych, którzy jeżdżą do Pattayi, kupować dziewczynki i chłopców.

W Szwecji można było zarobić, a w Tajlandii nie było dla nich pracy. Zdawali sobie sprawę z ryzyka, że zostaną oszukani, ale byli również Tajowie, którzy wracali do domu z całkiem pękatym portfelem. Przecież nie wszyscy w Szwecji są poganiaczami niewolników. Zawsze była jakaś szansa. Może im się poszczęści?

A tu taka sytuacja. Chyba powinni coś z tym zrobić? Przecież to do niczego niepodobne. Paskudny widok. Nigdy dotąd nie słyszeli, żeby Szwedzi zachowywali się w ten sposób. Owszem, Chińczycy, którym wolno mieć tylko jedno dziecko, czasem tak robili z dziewczynkami, wiadomo. Ale w Europie? W Szwecji?

Po krótkiej naradzie postanowili zawołać szefa. Może nawet powie, że dobrze zrobili? Może dostaną nagrodę, jeśli przyjedzie policja?

Przyszedł szef, złożyli dłonie przed sobą i zgięli karki, ale zerkając, czy na nich patrzy. Czy jest bardzo zły?

- *Please Mister Boss* - Somchai skłonił się głęboko. - *You must see*<sup>21</sup>.

- *Nopray* - odparł opryskliwie szef. - *You pick now, pray tonight*.

- *No. No pray, no pray! Look. We found this*. Prasert pokazał palcem, nie patrząc w oczy szefowi.

21 *Please Mister Boss...* itd. - (*ang.*) Proszę, panie szefie, musi pan zobaczyć. / Nie modlić się. Teraz zbierać, modlić się wieczorem. / Nie, nie modlić, nie modlić. Niech pan spojrzy. Odkryliśmy to. / Stare zwierzę. Pies. Nie ma problemu. Ja załatwić. / Tam, dalej. Zbierać, już. Pośpieszcie się. Dużo do roboty dziś. Tamto całe.

Tamten ostrożnie rozchylił strzelbą gałęzie krzaka. Spojrzał i pobladł. Podrapał się w czoło i rozejrzał niespokojnie. Był wyraźnie wystraszony. Jednak zaraz się pozbierał i zaczął pokrzykiwać.

- *Old animal! Dog. No problem. I fix!* Machnął im ręką, żeby szli zbierać kawałek dalej.

- *There, over there. Go pick now! Hurry up! We have much to do today. All this.*

Ze złością zatoczył ręką, wskazując torfowisko i rosnące tam krzaki jagód. Nie ma czasu na żadne przerwy. Trzeba utrzymać równe tempo podczas zbierania. Musiał dotrzymać obietnic, które dał swojemu szefowi i harmonogramu, żeby nie zdążyła tam dotrzeć inna grupa i wyzbierać wszystko do czysta. Gdyby zawiadomił policję o makabrycznym odkryciu, przypuszczalnie padłoby mnóstwo kłopotliwych pytań o warunki i bezpieczeństwo pracy.

Somchai i Prasert poczłapali ze swymi przyrządami do zbierania i wiadrami na nylonowych nosidłach.

Doszli do wskazanego miejsca i zerknęli za siebie. Zobaczyli, że szef wrócił, niosąc duży kanister. Odkręcił korek i polał naftą krzaki. Cofnął się kilka kroków, wyjął zapalnik, zapalił kilka i rzucił. Ogień buchnął z głośnym trzaskiem i od razu objął cały krzak.

Wiszący wewnątrz na szelkach dziecięcy szkielecik zniknął w czarnej chmurze dymu idącego ku niebu.



Zainteresowało ją, że wybrał akurat ten moment. Mail z jego zapytaniem przyszedł w dniu, gdy sprzedała wszystkie aktywa. Obudził jej ciekawość, a to zawsze było przez nią mile widziane. W dodatku pracował w firmie, która na stronie informacji kredytowej wykazywała duży obrót w przeliczeniu na jednego zatrudnionego, chociaż w Google prawie nie występowała. Bezpieczeństwo i informacja -może to jest branża, której należałoby się bliżej przyjrzeć?

A ponieważ nie miała żadnego nowego rynku do śledzenia ani żadnych planowych zajęć, odpowiedziała, że może przyjść już jutro. Gdyby on wiedział, jak rzadko przyjmuję klientów, pomyślała, uśmiechając się do siebie.

Gdy o umówionej godzinie, punktualnie, zadzwonił do drzwi biura Nektar, Nelly osobiście mu otworzyła. Był w jej wieku, w czarnym dopasowanym garniturze i wyczyszczonych butach, które z całą pewnością nie kosztowały nawet tysiąca koron. Jednak nie jest całkiem brzydki, pomyślała. Nie, wygląda nawet sympatycznie z tym delikatnym uśmiechem i fałdką na czole, która nadaje mu inteligentny wyraz twarzy. Jest sporo facetów, którzy nie zdają sobie sprawy, że są przystojni. Według Nelly seksowna była właśnie ta nieświadomość. Najwyraźniej ten należał do osobników tego rodzaju.

- Jonas Ramm, jak się domyślam. Nelly Josefsson to ja. Witam w biurze funduszu Nektar.

- Dziękuję, że zgodziłaś się tak szybko spotkać. To bardzo uprzejme - odparł Jonas.

- Zgadza się - przytaknęła. - Uprzejmość to moje drugie imię. Chodźmy do mojego gabinetu.

Szybko ruszyła korytarzem, a Jonas szedł, starając się nadążyć, o metr za nią. Po wejściu do pokoju podeszła do jednej z dwóch stojących przed kominkiem kanap sygnowanych znakiem firmowym Carla Malmstena. Gestem wskazała mu tę drugą.

- Kawy?

- Poproszę. Jaki ładny gabinet!

- Dziękuję. Wasze biuro jest niedaleko stąd, prawda?

Z pięknego srebrzystego termosu w kształcie dzbanka nalała kawę do dwóch filiżanek i podsunęła mu tackę z mlekiem i cukrem.

- Dzięki, piję czarną. Tak, zgadza się. Koło Humlegarden.

- Proszę mi opowiedzieć o Apisec. Czym się zajmujecie?

Jonas zaczął opowiadać, powtarzając tekst prezentacji spółki ze strony internetowej. Mówił o coraz większej potrzebie szerokiej analizy, o tym, że Apisec stara się uwolnić środki swoich klientów, aby mogli przeznaczyć je na właściwą działalność. A potem zaczął wyliczać wyjątkowe kompetencje Apisec na wielu polach, podkreślając rzutkość swojej firmy.

Kurde, najgorszy agent-sprzedawca, jakiego widziałam, pomyślała Nelly. Ludzi, którzy używają takich słów jak „rzutkość”, powinno się wieszać. Jednak dała mu mówić dalej. Bawiło ją obserwowanie, jak się facet męczy. Miał monotony głos i nieruchome spojrzenie. Wydawał się kompletnie niezainteresowany wciskaniem jej swojego produktu, co samo w sobie świadczyło, że musi mieć olej w głowie. Ciekawa była, o co mu właściwie chodzi. I jak ten słodziak zamierza do tego dojść.

Jonas zamilkł, w pokoju zapadła cisza. Nelly zajęła postawę wyczekującą.

- To tyle. A więc dlatego jestem tutaj. Jak napisałem w mailu, rozumiem, że sporo inwestowałaś w Public Growth. Może byś mi powiedziała, jaki jest twój stosunek do tego typu inwestycji?

Nelly uniosła jedną brew. Wiedziała, że jej rozmówcy tracą wtedy pewność siebie, zwłaszcza mężczyźni. Brak aprobaty ze strony atrakcyjnej kobiety to dla nich najgorsze, co im się może przytrafić. Cierpliwości nie wystarczało im dalej niż do fiutka. Czyli niezbyt daleko.

- Domyślam się, że nie możesz ujawnić żadnych szczegółów, ale powiedz mi, co ciągnie taki fundusz? Wzrost czy obroty?

Pora na drugą brew.

Pomyślała, że za chwilę facet chwyci się swojego magicznego sposobu, czegokolwiek; najczęściej był to jakiś żart albo próba odwrócenia uwagi, albo mieszanka jednego i drugiego.

Nadal się nie odzywała.

- E, może zapytam inaczej. Jak oceniasz ryzyko polityczne? Czy w waszej ocenie jest to istotny czynnik?

Ten facet nie jest taki jak inni. Żadnych żartów, żadnej agresji.

Wciąż nie odpowiadała. On, o dziwo, też nic nie mówił. Patrzył jej w oczy, w skupieniu, jakby próbował czytać w jej myślach. Powodzenia, pomyślała.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Żadne z nich nie odwróciło wzroku.

Okej, sama zagra agresją. Wstała, postanowiła pojechać na intuicji. Strzeliła palcami i machnęła ręką w stronę drzwi.

- Miło było poznać, ale nie wydaje mi się, żebym miała dla ciebie jakieś informacje.

- Ale...

- Proponuję, żebyś wychodząc wziął sobie nasze ostatnie sprawozdanie roczne, jest w recepcji. Poczytasz w nim o naszych największych inwestycjach i strategii portfelowej. To znaczy, jaka była na przełomie roku.

- Przecież dopiero przyszedłem... Mogłabyś przynajmniej... -zaoponował, ale przerwała mu z irytacją.

- Mogłabym przynajmniej... nie słuchać twojego głędzenia. Teraz wóz albo przewóz, pomyślała. Zachowa się jak facet czy jak myszka? Patrzyła na niego chłodno.

Oparł ręce na kanapie, jakby miał wstać, ale zatrzymał się w pół ruchu. Chyba zmienił zdanie. Miał poważną minę, między brwiami pojawiła się gniewna zmarszczka. Zamiast wstać, rozparł się na kanapie, kładąc jedną rękę na oparciu.

- Okej, przestań sobie stroić żarty - powiedział uprzejmie, ale stanowczo. - Muszę z tobą porozmawiać. Daj mi chwilę. Mam wrażenie, że moglibyśmy sobie nawzajem pomóc.

Dobrze. Zaliczone, pomyślała. Facet ma w sobie coś.

Znów usiadła.

Jonas przeszedł do rzeczy. Zainteresował się nią, gdy w artykuliku jednej z angielskich gazet finansowych przeczytał, że fundusz Nektar dokonał zakupu off-shore dużego pakietu akcji w spółce matce Public Growth. Opowiedział jej o swoim zadaniu, które polegało na ogólnym przyjrzeniu się sektorowi szkół niepublicznych. A w związku z tym, że szkoły są jedną z branż w portfelu Public Growth, ciekawi go pogląd Nelly. Nie owijając w bawełnę, spytał, ile odkryła przekrętów podczas sporządzania swoich analiz. Domyślał się, że przed zainwestowaniem pieniędzy starannie rozważyła wszelkie czynniki ryzyka politycznego.

Aż się zaśmiała w duchu. Dlaczego miałyby mu powiedzieć cokolwiek? Co za pajac pieprzony! Jednak ta otwartość sprawiła, że wierzyła mu, poczuła, że chce się dowiedzieć czegoś więcej. Zresztą, co jej szkodzi, że przegada chwilę z tym wariatem? Co złego mogłoby z tego wyniknąć? Nic, ryzyko, że coś na tym straci, było ograniczone.

Poczuła nawet, że opłaci jej się udzielić mu informacji.

Zaczęli rozmawiać o usługach społecznych, ale szybko zeszli na własne doświadczenia szkolne. Pochodzili wprawdzie z różnych środowisk, ale mieli bardzo podobne przeżycia. Nic dziwnego, byli niemal rówieśnikami i dorastali w tym samym mieście. Poznali ten sam świat wychowawców, planów indywidualnego rozwoju i tygodniowych bloków tematycznych, wiedzy o gospodarstwie domowym i prac ręcznych. Śmiali się, że rodzice uparcie nazywali wychowaw-

ców nauczycielami i cały czas usiłowali przetłumaczyć sobie oceny opisowe na stopnie znane im z własnych lat szkolnych. Najgorzej było wtedy, gdy próbowali uzgadniać między sobą godzinę, o której ich dzieci mają wracać wieczorem do domu. Inną w tygodniu, inną w weekendy.

Jonas opowiadał, jaką ulgę poczuł po przejściu do liceum, gdzie wreszcie znalazł kolegów o podobnych zainteresowaniach i mógł przestać udawać, że interesuje się sportem. Z kolei Nelly powiedziała, że już w pierwszej klasie liceum stworzyła mały fundusz, który miał wygenerować środki na bal maturalny. Chętne do zainwestowania w ten fundusz okazały się cztery koleżanki, które po dwóch latach ze zdumieniem odkryły, że impreza ma się odbyć w hotelu żeglarskim w Sandhamn<sup>22</sup>, a wszyscy goście zostaną zabrani na miejsce z nabrzeża Nybrokajen w karawanie złożonej z łodzi hybrydowych. Wprawdzie suknie i garnitury nieco się wygniotły, bo wszyscy musieli wciągnąć na nie kombinezony, ale nikt nie miał wątpliwości, że impreza zorganizowana przez piątkę dziewczyn przebiła wszystkie inne w tamtym roku. Nelly zarobiła te pieniądze dzięki kilkudziesięciu transakcjom w opcje Ericssona. I zasłużenie zatrzymała sobie nadwyżkę w wysokości czterdziestu tysięcy koron.

Nelly spojrzała na zegarek i odkryła, że minęła cała godzina. Dziwne, w ogóle jej nie irytował. Mogłaby rozmawiać z nim jeszcze dłużej, ale wolała nie kusić losu. Wiedziała, co będzie, gdy facet wpadnie w trajkot. Negatywne emocje wezmą górę i będzie chciała go wyrzucić. Obrzygać go. Szkoda by było takiego ciacha. Pora zamknąć sprawę. I zainwestować.

Nelly podeszła do biurka i wzięła kopię raportu o sektorze usług publicznych. Postanowiła dać go Jonasowi, ale nie mówiąc, że wszystko już sprzedała. Jeśli zgodnie z jej przypuszczeniem facet

22 Sandhamn - dawny port rybacki, obecnie marina; popularna miejscowość wypoczynkowa w archipelagu sztokholmskim.

ma olej w głowie, to sam dojdzie do tego wniosku już po przeczytaniu kilku stron.

Przyszła pora na kolejny trik z jej podręcznika jak manipulować facetem-facetami: dłoń na przegubie. Mężczyźni macho, chłopcy, stare dziady - nie było takiego, który by nie przepadł, gdy lekko dotknęła jego przegubu. Stosowała ten trik wiele razy, żeby zdobyć akcje, zdawałoby się niedostępne, albo żeby zmienić kierunek negocjacji, gdy groziło, że skończę się na niczym.

Usiadła obok niego na kanapie i ciepłą dłoń położyła na jego przegubie. Powoli, delikatnie pogładziła go palcem wskazującym i z powagą w spojrzeniu powiedziała:

- Weź tę teczkę. To raport, powinienes go przeczytać. Możesz użyć tej informacji jak chcesz. Nie zamierzam cię pytać, komu go pokażesz ani jak. To prawdziwa bomba i jeśli masz wszystko w porządku pod sufitem, postarasz się go tak wykorzystać, żeby osiągnąć to, na czym ci zależy, cokolwiek to jest. Masz tu nazwiska, schematy spółek, wszystko. Zakładam, że wasi klienci mają możliwość wpływania na rozwój sytuacji w kraju. Jedyne, czego żądam i w tej sprawie musimy być absolutnie zgodni, a więc jedyne, czego żądam, to żebyś mnie uprzedził, kiedy chcesz to zrobić i to ze znacznym wyprzedzeniem. Okej?

Wyciągnęła do niego rękę, w której trzymała raport. Jonas spojrzął i najwyraźniej zrozumiał powagę oferty.

Wolną ręką wziął od niej teczkę i kiwnął głową.

**GRUDZIEŃ, DWADZIEŚCIA OSIEM LAT WCZEŚNIEJ.  
KLARA NORRR HYRKDGRRD<sup>23</sup> W ŚRÓDMIEŚCIU  
SZTOKHHOLMU.**

Cały dzień do dupy, pomyślał diler Reine. Właśnie wrócił z Sollentuny<sup>24</sup>, gdzie udało mu się sprzedać kilka działek amfy i azjatyckiej hery.

Sollentuna jest fajna. Rockendrollentuna. Miał tam wielu dobrych klientów, zawsze załatwią forszę i nie zawracają głowy, że na krechę i takie inne. Interesy robiło się przy ławkach, w altanie przed budynkiem sądu okręgowego. Policja miała to w dupie. Dopóki siedzieli w tej altanie albo w domu spokojnej starości przy Malmvágen, było okej. Ale jeśli weszli do centrum, od razu ich stamtąd wyrzucali. Mieszkańcy Edvik muszą mieć spokój, kiedy kupują sobie czerwonego sikacza i połędwicę wołową.

Jednak dziś w altanie był jazgot jak cholera. Prawie nic nie sprzedał. Towarzystwo wołało chlać niż jarać. Nagrzani jak stado pawianów. Gliny zatrąbiły i zgarnęły Chrillego Petterssona, który był jak starszy brat dla tej paczki ćpunów. Głupole powiedziały, że to on załatwił Palmego. Co za kretyni. Naprawdę nie mieli nikogo lepszego od Chril-

23 Klara Norra Kyrkogard - stary cmentarz parafialny w centrum miasta.

24 Sollentuna - północna dzielnica Sztokholmu.

lego P.<sup>25</sup>? Reine ani przez moment w to nie uwierzył. Owszem, kiedyś to Chrille miał krótki lont i był wybuchowy. Jednego faceta zadźgał bagnetem, bo ten go potracił na ulicy. Ale ostatnio był z niego gadatliwy łach, nawet kurwy nie umiałyby postawić do pionu, a co dopiero załatwić premiera. Z Chrillego był cholernie dobry klient, mógł wciągać, strzelać i jarać, najlepiej wszystko naraz. Zawsze gotów imprezować, każdy mógł się z nim zabawić i naćpać. A teraz gliny zgarnęły go razem z jego grubym portfelem. Cały dzień do dupy.

Jeszcze ten ćpun Leffe. Po chuj przylazł tu, na cmentarz, skoro ledwo się ruszał? Nie mógł sobie poleżeć na swoim materacu w śmietniku w Hógdalen i tam kojfnąć? A on nie, musi mieć afgańską trawkę, żeby mu pomogła na ból w mięśniach? Od kiedy Leffe zawraca sobie głowę mięśniami? I jeszcze afgańska trawka, patrzcie, jaki się smakosz zrobił! Podobno szpanerska i mocna. Kiedy tu przyszedł, wyglądał jak nienormalny. Błady jak trup, rękami i nogami machał jak pajac na sznurku. Głędził coś, że dostał dwa patole, żeby wstrzyknąć sobie świństwo, które mu wcisnął jakiś gość. Że niby jakiś eksperyment naukowy. Ten skurwiel chciał badać, co Leffe wyprawia, gdy to gówno krąży mu w żyłach. Miał za nim chodzić godzinę, dwie. Coś tam truł, że chce sprawdzić, jakich wyborów Leffe będzie dokonywał. Kurwa, Leffe dostał jakiejś ohydnej piany ria pysku, kiedy to opowiadał Reinemu. A źrenice wystawały mu jak szczurze chujki. Kurwa, wpadł w taki dygot, a jak się wydzierał. Zaraz, jak se wstrzyknął, to dostał skurczu mięśni. I jeszcze zaczął rzygać, jak czternastka po wypiciu pierwszej lufki w życiu. Wtedy ten skurwiel się zmył ze strachu. No pomóż, kurwa, zawołał na koniec Leffe, zanim na oczach Reinego gruchnął na ziemię. Ale swoje dwa tysiące zatrzymał. Reine je przejął, bo Leffe był mu winny kupę szmalu.

No i co Reine miał z nim zrobić? Leffe padł na tym cmentarzu jak od pioruna. Leżał na świeżym śniegu koło nagrobka i wyglądał,

25 Chrille, właściwie Christer Pettersson - kryminalista i narkoman, domniemany zabójca premiera Szwecji Olofa Palmego w lutym 1986 roku, najpierw skazany, potem uniewinniony z braku wystarczających dowodów.



jak jaki anioł śmierci. Ręce i nogi jak połamane, sterczały na wszystkie strony. Paskudnie, kurwa. Nie mogą go zobaczyć przy Leffem. Gliny co i raz tu zachodzą, lepiej się zmywać i to już, żeby się to gówno nie przykleiło. Jeśli Leffe wstrzyknął sobie trefny towar, od którego można zejść i zeszywnieć jak ptasi szkielet, to pół Sztokholmu zgarną na przesłuchania bez końca. Wystarczy łomotu, jaki mu tam kiedyś spuścili, dziś nie chce więcej. Więc Reine się zmył.

A Leffe został gapiąc się w niebo martwymi oczami. Do dupy ten dzień.

Jonas już się zorientował, że dzień pracy w Apisec nie da się z niczym porównać. Kiedy pokazał Vesnie, co zdobył, obdarzyła go szerokim uśmiechem i uściskała, zanim jeszcze zajrzała do raportu. Następnie powiedziała, że zabiera się do czytania, a później pójdzie z nim na spacer do Humlegarden, żeby omówić następny krok.

Jonas tymczasem wrócił do swojego pokoju. Myślał o wyprawie na Gotlandię i o spotkaniu z Nelly. Wystarczyło kilka dni, a wydarzyło się więcej niż w ciągu wielu lat. Jakby zrzucił z siebie jakąś skorupę, która od dawna mu ciążyła i uwierała. Odkąd przeszedł do Apisec, poczuł lekkość i nabrał nowej energii. Poweselał.

Ta Nelly Josefsson jest naprawdę ekstra. Nakreślony przez media obraz osoby pracy twarzą do przodu, jak maszyna, był zgodny z rzeczywistością, ale Nelly miała w sobie coś takiego, że czuł się przy niej rozluźniony. Dużo się razem śmiali i na wiele spraw mieli podobne spojrzenie, chociaż byli z różnych światów.

Domyślał się, dlaczego. Oboje na początku mieli przechlapane i tym bardziej byli spragnieni rewanzu. Chcieli iść dalej, wciąż naprzód. Pytanie dokąd? I dlaczego? Nie miał pojęcia.

Wkrótce po tym, jak Vesna przeczytała raport, siedzieli na ławce pod wielkim dębem w północnej części Humlegarden. Na placu zabaw nieopodal hałasowały grupki przedszkolaków, a na nasłonecznionych częściach trawników wylegiwali się studenci i emeryci.

Aż nie do wiary, że za kilka godzin park zamieni się w jedno z najbardziej niebezpiecznych miejsc w Sztokholmie, gdzie w ciągu nocy dojdzie do co najmniej jednego rabunku, pobicia albo gwałtu.

Vesna promieniała. Raport zrobił na niej wielkie wrażenie, była przekonana, że bardzo im się przyda, tylko muszą zweryfikować szczegóły. Zleciła Jonasowi sprawdzenie kilku z nich, zamierzała też zaangażować do tego zadania kilku innych kolegów.

- Powiedziała, że możemy materiał wykorzystać w dowolny sposób? Oczywiście nie ujawnimy źródła. I oficjalnie nigdy nie weźmiemy odpowiedzialności za jego treść. Wszyscy wiedzą, że jak coś mówimy, jest to pewne na bank, ale i tak nazywamy to analizą trendów itp. Masz, weź sobie.

Podsunęła mu torebkę irysków. Jonas wziął jednego w brązowo--białe paski i odwinął papierek.

- Obiecałem jej tylko jedno: że powiem, kiedy zaprezentujemy ten materiał - powiedział i przed włożeniem iryska do ust zgniótł go z jednego końca. - W pierwszej chwili zdziwiło mnie, że w ogóle mi to pokazała. Jakby strzeliła samobója. Jednak sprawdziłem i okazało się, że sprzedała wszystkie akcje Public Growth. Więc pewnie jestem pionkiem w jakiejś grze.

- Aha. I pewnie dlatego sprzedała. Wiedziała, że będzie afera, kiedy to wyjdzie na jaw. Ale Public Growth to tylko fragment większej całości. To wielka branża i całe mnóstwo firm wyłonionych w wyniku przetargów. Nie rozumiem, do czego jej potrzebna wiadomość, kiedy przedstawimy ten materiał, ale nieważne. Słowo się rzekło. Zawiadomię cię. Jednak sądzę, że nastąpi to niedługo. A potem zobaczymy, co z tym zrobi nasz klient. Nad tym już nie zapanujemy i nie będziemy informować Nelly Josefsson.

- Rozumiem, zresztą ona się tego nie domagała.

Porozmawiali jeszcze o innych klientach, którzy mogliby być zainteresowani informacją, i jak modyfikować prezentację dla różnych grup docelowych.

Słońce tymczasem doszło do połowy ławki, gdzie siedziała Vesna. Odwróciła twarz do słońca i lekko podciągnęła spódnicę, żeby opalać nogi. Odrobinę rozchyliła krzepkie uda, żeby promienie sięgały jak najdalej. Miała grubą skórę, która wręcz pochłaniała promienie. Wyglądała, jakby mogła się opalić w ciągu zaledwie kilku minut.

- Boże, jak ja kocham to słońce - powiedziała. Zamknęła oczy i wystawiła nos do słońca.

- Tak, fajnie, że będzie teraz trochę lata - zauważył Jonas. Chwilę milczeli, rozkoszując się ciepłem.

Vesna wyciągnęła ręce przed siebie, rozsuwając palce. Zrobiła kilka głębokich wdechów i wydechów. Napawała się światłem padającym na jej powieki, rozświetlającym jej wnętrze.

Ni stąd ni zowąd przyleciał mały modraszek i usiadł Jonasowi na ręce. Powoli podniósł ją pod oczy, żeby podziwiać śliczne stworzonko. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Delikatnie dmuchnął ciepłym powietrzem.

Motyl wzbił się do góry i poleciał dalej. Znikł równie szybko, jak się pojawił.

Co to za historia z tymi motylami, które do mnie lecą, zastanawiał się. Zwykle odsuwał od siebie te pytania. Ale jak długo tak można? Dlaczego stary Hoas powiedział na niego „sork motyl”?

- Wiesz co? - przerwała milczenie Vesna, wciąż z zamkniętymi oczami.

- No co?

- Wystartowałeś u nas jak rakietka.

- A, no to dobrze.

- Widzę, że zrozumiałeś, jak się u nas pracuje. Liczy się tylko rezultat. Natomiast liczba przepracowanych godzin jest dla nas bez znaczenia, rozumiesz?

- Może i rozumiem. Dopiero co zacząłem, więc jeszcze nie wiem...

- Wiesz, wiesz. I o to chodzi. Że wiesz.

Jonas zaśmiał się, żeby rozładować sytuację, bo zrobiła się nieco dziwna.

- Ha, ha, ale szczęśliwy przypadek też się przyda, prawda?
- Szczęśliwy przypadek? Jaki przypadek? O czym mówisz? - spytała poważnie Vesna.
- Przecież wpadłem na Nelly przez przypadek. Nawet nie wiem, jak na nią trafiłem ani czego chciałem, kiedy się z nią umawiałem. Miałem po prostu cholerne szczęście.
- Jonas, to nie jest żaden przypadek.
- A niby co? Błyskotliwość? Po zaledwie kilku dniach w nowej pracy, z czego najwięcej czasu spędziłem w podróży na Gotlandię?  
Znow się lekko zaśmiał.
- Vesna przerwała opalanie, otworzyła oczy i spojrzała na niego.
- Intuicja, Jonasie. Masz szczególny dar. Zaakceptuj go. Pogódź się z tym. Otwórz się na niego.

TRZYDZIEŚCI JEDEN LAT WCZEŚNIEJ. UNIWERSYTET  
SZTOKHOLMSKI, DUŻE AUDYTORIUM W LABORTORIUM IM.  
ARRHENIUSA.

Pia spojrzała z niechęcią na siedzące przed nią dziewczyny. Boże, jak one się spiły podczas sobotniej fuksówki! I co za flejtuchy, w specjalnie porozdzieranych džinsach, prawie im widać pośladki. Piętrowo strzyżone, najeżone od żelu włosy i tak naróżowane policzki, że wyglądały jak rozpalone. Pia też uwielbiała muzykę i nie miała nic przeciwko temu, żeby czasem sobie potańczyć. Jednak co innego, gdy się tańczy ze znajomymi. Ale iść na imprezę, gdzie się nikogo nie zna, w dodatku zrobić się na dziwkę? W głowie jej się nie mieściło, że można chcieć tak wyglądać. Teraz siedzą we flanelowych koszulach i zachowują się, jakby nigdy nic. Pozują na terenowe przyrodniczki<sup>26</sup>. Zwarte i gotowe, trzymają notesy z niebielonego papieru. Takie niepoważne i fałszywe. Człowiek powinien się zdecydować, kim chce być.

Razem z Marcusem dość wcześnie wyszli z imprezy. Dopiero co się poznali i chcieli być tylko we dwoje. Mogli godzinami rozmawiać ze sobą o wszystkim, co im tylko przyszło do głowy. Jej uczucie do niego było bezgraniczne. Marcus był dobry i zawsze taki spokojny. W dodatku uwielbiał jej warkocze i krótką grzywkę. On również uważał, że te wylakierowane i nażelowane dziewczyny wyglądają, jakby

26 Chodzi o Faltbiologerna, największą młodzieżową organizację ekologiczną w Szwecji.

uciekły z psychiatrika. Jak dobrze, że mieli podobne zdanie w prawie każdej sprawie.

Podczas wykładów zwykle siadali na końcu sali. Zawsze były tam wolne miejsca i przynajmniej nie wchodzili w drogę tym, którzy tak się nagle zakolegowali się ze sobą, że musieli siedzieć w tłumie. Jednak tego dnia również Pia i Marcus usiedli jak najbliżej. Słyszeli, że człowiek, który poprowadzi wykład jest niezwykle interesujący, więc postanowili nie uronić najmniejszego szczegółu z tego, o czym będzie mówił.

Ray Gradino, entomolog, doktorant, był zaledwie kilka lat starszy od większości studentów przychodzących na jego wykłady, ale już uchodził za wschodzącą gwiazdę wśród szwedzkich badaczy świata owadów. Wychował się w USA, do Szwecji przyjechał na stypendium naukowe. Zamierzał zostać rok, ale zakochał się w tym kraju, jego przyrodzie i ludziach. A więc został. W pierwszych latach swojego pobytu spędzał długie godziny na łonie natury, żeby zaspokoić swoją palącą ciekawość. Nikt nie miał wątpliwości co do jego niezwykłych zdolności. Odkrył nawet nowy rodzaj mola, który został nazwany jego imieniem: *Micropterix Gradinella*.

Ray siedział na stole wykładowym, zwrócony do swoich słuchaczy. Miał lekko łobuzerskie spojrzenie i gęste, rozczochrane włosy. Ubrany był w białą, bawełnianą koszulę, obszerną i wymiętą, wytarte dżinsy i ciężkie buciory. Siedząc, ciągle machał nogami.

Pia już wcześniej zwróciła na niego uwagę, spotykała go na korytarzach i w wydziałowej kafejce. Zawsze chodził w znoszonych, ciężkich butach z czarnej skóry, z grubymi, czerwonymi i nie zawiązanymi sznurowadłami, nogawki miał niedbale wciśnięte za cholewkę. Kiedy szedł, wyglądało, jakby to buty decydowały dokąd zmierza, bo idąc, podnosił nogi wyżej i stawiał dalej niż inni. Sprawiało to dość śmieszne i dziwne wrażenie, ale przede wszystkim było w tym wiele uroku.

- Wiecie co? - zaczął Ray, mówiąc z nosowym, lekko amerykańskim akcentem. - Gdy wszystkie inne gatunki wygubią się nawzajem poprzez wojny i zniszczenie środowiska, na świecie pozostaną jedynie owady. Wśród nich nie ma tendencji do *art decline*, nawet przeciwnie. W samej Szwecji doliczyliśmy się w ostatnich latach przeszło tysiąca nowych gatunków. Połowa z nich jest dla *science* zupełnie nowa. Szacujemy, że tylko w Szwecji jest trzydzieści tysięcy gatunków owadów. Trzydzieści tysięcy, czy to nie *lovely*'? One są wszędzie, to mali *survivors*. W jednym, jedynym ogrodzie w środkowej Szwecji znaleźliśmy trzynaście nowych *families* owadziarek. Zdajecie sobie sprawę, jakie to znaczące? *Incredible!*

Studenci zaśmiali się z przymusem. Pomyśleli, że ten przesadny entuzjazm to z jego strony ironia.

- Śmiejecie się? - powiedział z szerokim uśmiechem. - Bez owadów świat zginie. To one zapyłają rośliny, z których wiele spożywamy. Albo te rośliny, które są zjadane przez mięso - to mięso, które my potem zjadamy. To nasz *duty*, żeby nauczyć się o nich więcej. W związku z tym, że jest to wykład wprowadzający, nie będę się rozwódził o różnych gatunkach, zamiast tego opowiem o ich życiu. Część z was pewnie wybierze inne ścieżki swoich studiów biologicznych, ale niektórzy być może podążą za mną w cudowny świat zamieszkały przez owady. Mam taką nadzieję!

Pii wydało się, że mówiąc to, Ray spojrzał na nią i na Marcusa. W sumie dlaczego nie? Owady wydawały się im obojgu fascynujące. Poszukała ręki Marcusa i ścisnęła ją. Marcus uśmiechnął się w odpowiedzi.

Ray zgasił światła i włączył projektor. Za nim, na ekranie, studenci zobaczyli kupkę zielonych kulek na liściu, którego odcień był prawie ten sam. A może kulki były przezroczyste i widać było przez nie kolor liścia.

- Zacznę od początku. Jak wygląda życie owada? Jest dość podobne do życia człowieka. Podobnie jak my, cały czas się przeobraża, aż do śmierci. Tę przemianę nazywamy metamorfozą. Cykl



życiowy owada składa się z trzech lub czterech części czyli stadiów. Pierwsze to jajo. Następnie jajo przeobraża się w larwę, która z czasem przemienia się w poczwarkę. Jednak nie wszystkie owady przechodzą stadium poczwarki, niektóre przechodzą od razu do ostatniego stadium. To ostatnie stadium, końcowe *lifecycle*, nazywamy imago. W dniu, gdy owad wyłania się z poczwarki, jest już dorosły, *ready to go*. Jeśli to owad skrzydlaty, skrzydła pojawiają się dopiero w stadium imago. Jako imago może się rozmnażać, pracować, żyć z pożytkiem dla innych i być częścią cyklu życiowego. Wiele owadów, w istocie wiele milionów dziennie, ginie w drodze do stadium imago. Jednak te, które osiągają to stadium, są doskonałe. *Look*. Sprawiają, że świat jest piękniejszy, przenoszą ziarna pyłku, przez co zapylają rośliny i przekazują geny *generations to come*. Imago to dla owadów *meaningoflife*.

Pia spojrzała na Marcusa, który wyraźnie pomyślał to samo co ona. Ta chwila w ciemności, gdy Ray demonstrował fantastyczne zdjęcia owadów, była wręcz magiczna.

Dobrze trafili.

Późne popołudnie. Jonas siedział w pracy, zastanawiając się nad następnym krokiem.

Myślał o słowach, które Vesna wypowiedziała w parku. Że powinien pogodzić się ze swoją intuicją. Nawet, jak powiedziała, otworzyć się na nią.

Intuicja towarzyszyła mu od zawsze, to akurat wiedział. Ale na razie tylko jak cień. Jak istota poruszająca się w pobliżu, niemal symultanicznie z jego myślami. Gdy się pojawiała i stapiała z jego myślami, odbierał to jako rodzaj pewności, że coś konkretnego się zaraz wydarzy. Nie za ileś godzin czy dni, lecz teraz. W tym momencie. Decyzje stawały się proste, oczywiste.

Jednocześnie wierzył w wartość analizy. Im więcej faktów, tym lepsze warunki do dokonania trafnego wyboru. Właściwie nie lubił błyskawicznych decyzji opartych na przeczuciu; czuł się pewniej, gdy przemyślał daną rzecz jeszcze raz. Doświadczył wielu nieprzyjemnych sytuacji, kiedy poszedł ślepo za swoim przeczuciem. Gdy natomiast dawał sobie czas na ponowne przemyślenie, intuicja się rozmywała. Czuł się wtedy lepiej.

Co by się stało, gdyby w większym stopniu polegał na swojej intuicji, zamiast się jej opierać? Kiedy starał się myśleć spokojnie i racjonalnie, jak to sobie najczęściej wmawiał.

Czy tak naprawdę jest różnica między wyważonym działaniem a pójściem za swoją intuicją? Jonas pomyślał, że przeczucie to doko-

nana przez mózg analiza wszystkich aktualnie dostępnych informacji. Wszystko to przetwarza się w głowie, a rezultat to intuicja, przeczucie. Czy da się wyćwiczyć tego rodzaju zdolność? Szybko przyswoić nową informację i dać jej uczciwą szansę, by równie szybko wpłynęła na nasze myśli i postępowanie? Czy niektórzy ludzie są w tym lepsi od innych?

Całe to rozważanie było właściwie zbędne.

Przecież znał odpowiedź.

Znał ją już jako mały chłopiec.

Gdy pojawi się następny impuls, nie będzie się opierał. Pójdzie za nim.

Jonas znał słowo „entomologia”, ale nigdy się nad nim specjalnie nie zastanawiał. Jednak kiedy zaczął szukać pod hasłem „badacz owadów”, szybko się pojawiło. Okazało się, że w Sztokholmie najwybitniejsi entomolodzy byli w Muzeum Historii Naturalnej. Zdziwił się, że badacze pracują w muzeum. Z drugiej strony niewiele wiedział o organizacji uniwersyteckich wydziałów przyrodniczych. Im więcej czytał o entomologach, tym lepiej rozumiał, że ważną częścią ich pracy było studiowanie gatunków i ich przyporządkowanie. Z tego punktu widzenia dobrze było pracować w muzeum. Zresztą muzea gromadzą bardzo różne rzeczy.

W sieci znalazł wydział entomologii w Muzeum Historii Naturalnej i zaczął przeglądać nazwiska znajdujące się w przegródce „kontakty”. Od kogo zacząć? I o co pytać?

Zatrzymał się na jednym z nazwisk i zdjęciu, które wydało mu się sympatyczne. *Profesor emerita* Gry Nair, specjalizująca się w motylach. Przeczytał jeszcze, że zajmuje się systematyką, taksonomią, bio-geografią i biologią oraz że badania terenowe prowadziła w Kostaryce, Meksyku, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Indiach. Wiek około siedemdziesięciu pięciu lat, wyglądała na twardą osobę, która może chodzić po górach cały dzień przy padającym deszczu z dwudziesto-kilowym plecakiem, nie tracąc przy tym znakomitego humoru.

Z czasu studiów w Lundzie pamiętał, że „emerita” znaczy mniej więcej „była”. Mężczyzna byłby „emeritus”, w przypadku kobiety jest „emerita”. Świat uniwersytecki dba o swoich emerytów, zapewniając im sensowne zajęcie i pozycję społeczną. A jednocześnie dając ciągłość badań, które nigdy nie przechodzą na emeryturę.

Emerita może mieć więcej czasu niż inni, pomyślał Jonas. Warto spróbować. Wybrał jej numer telefonu i już po pierwszym sygnale odezwał się wesóły głos z wyraźnie norweskim akcentem.

- Cześć, mówi Gry Oda.

- Przepraszam, pani profesor Nair?

- Tak, Gry Oda to moje imiona. U nas w Norwegii nadawanie podwójnych imion jest bardzo popularne.

Jonas przedstawił się i spytał, czy mógłby się z nią spotkać, bo chciałby jej zadać kilka pytań o motyle.

- A, motyle. Fajnie. Możesz przyjść jutro o jedenastej?

Jonas był pełen oczekiwania przed jutrzejszym spotkaniem z profesorem Nair. Jednocześnie nie bardzo wiedział, o co miałby ją pytać. Miał gonitwę myśli. Czy powiedzieć jej o swoim darze nawiązywania fizycznego kontaktu z motylami? Spytać, czy ma jakąś teorię, dlaczego cierpiący na demencję stary dziadek z Gotlandii nazwał go „chłopcem motylem”? Jeśli nawet w gruncie rzeczy właśnie o to mu chodziło, to przecież nie mógł od tego zacząć.

Gdy Björne zadzwonił i zaproponował, żeby po pracy poszli razem coś zjeść, uznał, że to dobry pomysł. Chciał rozproszyć myśli, posłuchać, jak Björne śmieje się i opowiada kiepskie dowcipy. Umówili się około siódmej w restauracji Ljunggrens przy garbie na Götgatan.

Gdy Jonas przyszedł, Björne już siedział na wysokim stołku barowym. Przed nim, na ladzie, stała duża spocona szklanica z piwem i miseczka orzeszków ziemnych w polewie Wasabi.

- Cześć, stary - odezwał się Jonas. - Ty to jesz? Jakbyś jadł kwas solny. Dla mnie są okropne.

- Wcale nie - odparł Björne, nabierając całą garść. Jedząc, mówił dalej. - Dla mnie pychota. No i fajnie łaskocze, kiedy policzki się rozpuszczają od środka. Jedna garść dziennie i nie musisz myć zębów. Tyle, że po pewnym czasie w ogóle nie masz zębów, ale to już inny problem.

Jonas się roześmiał i spytał, jak sytuacja. Björne odparł, że w pracy dzieje się dużo ciekawych rzeczy, o których absolutnie nie wolno opowiadać postronnym. Wszystko tajne przez poufne, opatrzone kryptonimem „ścieżki podatku VAT w UE i zestawienie międzynarodowych rejestrów obejmujących firmy zalegające z płatnościami”. Jego życie prywatne przedstawiało się równie dramatycznie. Nieoczekiwanie do jego łóżka ustawiła się kolejka dziewczyn, więc właśnie starał się ustalić jakiś plan. Pierwszeństwo miały laski, które były zainteresowane zarówno łóżkiem, jak i grami komputerowymi. Przeznaczył dla nich weekendowe wieczory. Pozostałym przydzielił dni powszednie, ale tylko te bez rozgrywek piłkarskich. I tu powstaje pytanie, czy w praktyce są takie dni. Czy miałyby brać pod uwagę mecze w lidze szwedzkiej, czy tylko europejskiej? Czy mieliby uprawiać seks podczas rozgrywek Ligi Mistrzów? A jeśli tak, to czy to dobrze, czy źle? Trudno skonstruować taki plan. Jest ryzyko, że będzie niesprawiedliwie. Tyle chętnych, tyle wyjątków. Może skończy się na tym, że wszystkim odmówi i powróci do życia w celibacie. W końcu był mistrzem w tej dziedzinie, więc może nie warto ryzykować tej pozycji.

Björne nawijał.

Jonas na przemian uśmiechał się i głośno śmiał.

Zamówienie przyjął kelner, który miał ogoloną głowę, wielką brodę i złote okulary w kształcie gogli. Najpierw zamówili po dużym piwie. Björne namówił Jonasa, żeby przed jedzeniem wypili shota z wódki cytrynowej. Po pięćdziesiątce, owszem, takie są najlepsze. W tej restauracji prawie zawsze jedli to samo, talerz mieszanego sushi. Björne jak zwykle spytał, czy mógłby dostać kilka dodatkowych kawałków przepyszego tuńczyka w tempurze. Proszę bardzo, kiwnął głową brodac.

Jonas opowiedział, co wydarzyło się od ich ostatniego spotkania i że już mu lepiej, bo od jego gotlandzkiej przygody minęło kilka dni. Opowiedział również o spotkaniu z Nelly Josefsson, nie wchodząc w szczegóły, dlaczego się z nią skontaktował. Björne wiele o niej słyszał, był pod wrażeniem. Spytał, czy naprawdę jest tak bezwzględna,

jak o niej piszą. Jonas odparł na to, że jest do bólu rzeczowa, ale wydaje się, że ma poczucie humoru. Dobrze się z nią dogadywał.

- Słuchaj, opowiedz mi o Vesnie i jej starym - powiedział Björne. - *The Dyrias*. Co to za dziwadła?

- Właściwie nie wiem - odparł Jonas. - Nie mogę ich rozgryźć. Wydają się w porządku, ale jednocześnie wszystko, co ich dotyczy, jest jakby lekko podejrzane.

- Co na przykład?

- Goran pojawia się nagle, ni stąd ni zowąd. W jednej chwili mi mówią, że wyjechał, a w następnej staje w drzwiach i świdruje mnie tymi czarnymi jak węgle oczami. I pyta „jak idzie”, a ja nie mam pojęcia, co odpowiedzieć, bo wciąż nie wiem, nad czym pracuję. Uśmiecha się, rozchylając wargi i odsłaniając wszystkie zęby. Jakoś tak zjadliwie.

- O kurde, ale paskudnie....

- Wiem, ale mimo to facet nie jest paskudny. Paskudnie wygląda i zachowuje się jak psychopata, ale czujesz, że to dobry gość. Rozumiesz?

- No nie. Doprawdy.

- Jak jest razem z Vesną, to cały czas gestykuluje w jej stronę, jakby ją chciał podkreślić. Jak trener piłkarski, tak trochę z boku.

- Jakiś podejrzany. A ona? Ta Vesna, jaka jest?

- Bardzo ją lubię. Naprawdę serdeczna, ale jednocześnie jakaś niejasna. Ciągłe masz wrażenie, że ona działa według planu. Nawet jak ci naleje filiżankę kawy, to jest w tym jakiś cel. Jakaś ukryta myśl. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Wiem, tacy ludzie są wszędzie - odparł Björne. - Psychole, którzy koniecznie muszą być mili. Oni są najgorsi. To ja już wolę pełno-krwistego psychopatę, którego da się przejrzeć. Co i rusz traci panowanie nad sobą i toczy pianę, dopóki nie sprzedasz mu duszy.

Jonas uśmiechnął się, słysząc tę kategorię analizę.

- Vesna nie jest psycholem. Przeciwnie. Jest bardzo fajna. Jednak coś mi się nie zgadza. Jest jakaś taka nieodgadniona. Trochę za dużo mówi o sobie, chętnie pokazuje swoje zdjęcia podczas uprawiania

różnych sportów i strasznie głośno się śmieje. Niemal bez przerwy. Ma wielkie usta, większe niż Mick Jagger. I zawsze płomiennie czerwona szminkę.

- Okej, wydaje się fajna. Słuchaj, może jeszcze po piwku?

- Może być. Opowiem ci o niej jeszcze jedną rzecz. -No?

- Po rozmowie, a była to swego rodzaju ocena, wracaliśmy z Humlan<sup>27</sup> do biura i wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Vesna powiedziała, że musi „zajść do damskiego”. I wiesz, co zrobiła?

Björne potrząsnął głową.

- Weszła do pisuaru w pobliżu pomnika Linneusza za Biblioteką Królewską. A mieliśmy co najwyżej trzy minuty do firmy. Ale okej, jak ci się zachce, to trudno. Chociaż ja bym wolał wytrzymać. Tyle że...

Jonas zrobił krótką pauzę.

- No co?

- Jeśli mi wiadomo, tam jest tylko rynna do sikania. Chyba że? Sam nie wiem...

Björne ze zdumienia zmarszczył czoło.

- O, kurde! Czy ona...

- Nie wydaje mi się. Nie. Zresztą może...

Korzystając z okazji, że przyniesiono im jedzenie, zamówili jeszcze piwo. Fajnie się siedzi i rozmawia z Björnem, pomyślał Jonas. Znali się od tak dawna, że prawie potrafili czytać w swoich myślach.

- No więc ten tuńczyk... - odezwał się Björne.

- ...to po prostu dar niebios - dopowiedział Jonas.

- ...dar Posejdona - dokończył Björne.

Björne nalegał, żeby po jedzeniu wypić grappę na trawienie. Tuńczyk, że tuńczyk może zaleć w żołądku jak talerz, więc potrzebuje pomocy, żeby popłynąć we właściwym kierunku. Jonas nie zjadł aż tylu roladek z tuńczyka i nie doświadczał tych samych dolegliwo-

27 Humlan - potocznie o parku Humlegården.



ści trawiennych, co przyjaciel, ale lubił grappę, więc uznał, że to dobry pomysł.

Potem Björne zdecydował, że trzeba iść do Himlen, czyli baru Niebo na najwyższym piętrze wieżowca Skrapan, znajdującego się kawałek dalej na tej samej ulicy. Kłębi się tam tłum „wysmakowanych dziewczyn”. Jonas był już w nastroju imprezowym, więc uznał, że to mega pomysł.

Przy wejściu na poziomie ulicy stała para napakowanych ochroniarzy w grubych kurtkach, chociaż był to ciepły, letni wieczór.

- Witamy. Dowody poproszę.

Wyciągnęli prawa jazdy, ochroniarz wpuścił ich niechętnie. Dość niecodzienne doświadczenie, więc szli do windy, śmiejąc się do siebie.

Załaskotało ich w brzuchu, gdy winda pomknęła na dwudzieste piąte piętro. Na dwudzieste szóste i ostatnie, gdzie znajdował się bar, trzeba było wejść po schodach biegnących tuż przy szklanej ścianie. Schodzący z góry, jeśli mieli lęk wysokości, przyciskali się do wewnętrznej ściany; kręciło im się w głowie od wysokości i fantastycznego widoku na Sztokholm. Dla Björnego i Jonasa, lekko znieczulonych kolacją, nie był to żaden problem. Byli tak pełni oczekiwań, że na zakręcie pokonywali po dwa stopnie.

Doszli do baru, gdzie grano lekki swing. Rozejrzeli się. Sporo gości było elegancko ubranych, dużo dziewczyn. Wymienili zadowolone kiwnięcia i podeszli do baru.

- Cześć, jak leci? Dwa razy Lynchburg Lemonade, proszę! - zawołał Björne do barmana, faceta z nawoskowanymi wąsami, sterczącymi na boki.

Zawsze było tak samo, Jonas nigdy nie mógł się nadziwić. Björne od razu wiedział, co zamawiać i w każdej sytuacji okazywał wielką pewność siebie. Gdyby Jonas był sam, musiałby najpierw przejrzeć kilkakrotnie od początku do końca całą kartę napojów. Jednak teraz będzie inaczej, od tej chwili będzie się wsłuchiwał w swoją intuicję.

Przebywanie z Björnem było cholernie fajne, wystarczyło surfować po falach jego przyboju.

Przyniesiono drinki, Jonas wypił łyk. Björne spojrzał wyczekująco.

- No i jak ci się facet podoba? -Niby kto?

- Jack Daniels.

- A... Tak, w porządku. Niezły.

- Destylarnia Jack Daniels znajduje się w Lynchburgu w stanie Tennessee. Kurde, to najlepsza Lynchburg Lemonade w całym Sztokholmie.

- Fakt, bardzo dobra.

Sącząc drinki, rozglądali się wokół siebie. Bar nie był typowy dla dzielnicy Söder. Należeli do najmłodszych gości, a tak zwykle nie bywało. Wielu obecnych wyglądało na zamożnych biznesmenów, mających duży fundusz reprezentacyjny. Przystojni, dobrze ubrani i z idealną opalenizną, choć to zaledwie czerwiec.

Jonas pomknął myślami do nadchodzącego lata, gdy Björne złapał go za rękę.

- Ty, spójrz tam.

- Co takiego?

- Czy to przypadkiem nie twoja kumpela Nelly Josefsson? Jonas odwrócił się.

Rzeczywiście.

Nelly siedziała z jakimś facetem przy stoliku pod wielkimi oknami od podłogi aż po sufit. On - przystojny urodą modela, w błękitnej, rozpiętej koszuli i drogim garniturze. Mówiąc, żywo gestykulował. Nelly patrzyła przez okno w sztokholmską noc. Słuchała go i z rezerwą kiwała głową. Facet mówił i jednocześnie obiema rękami odgarniał długie, jasne włosy, zakładając je za uszy. Najwyraźniej ciągle był z nich niezadowolony, bo bez przerwy je poprawiał.

Nelly milczała, wydawała się chłodna i obojętna. Światło letniego wieczoru rozświetlało jej twarz. Jonas patrzył na nią. Była piękna, długie rozpuszczone włosy lśniły jak leśne jezioro w Norrlandii w świetle księżyca. Jaskrawo żółta krótka bluzka bez rękawów kontrastowała z czarnymi włosami.

Chyba wyczuła jego spojrzenie.

Odwróciła się w stronę Jonasa.

Skinęła mu głową na przywitanie. Ani w jej wzroku, ani w mowie ciała nie było zdziwienia, wyłącznie stwierdzenie faktu. Może zauważyła go już wcześniej? Odniósł takie wrażenie.

Albo wiedziała, że tu jest.

Podniosła do góry palec wskazujący i odwróciła się do modela. Położyła palec na ustach, jakby prosząc, żeby zamilkł. Następnie powiedziała coś z obojętną miną, której Jonas nie potrafił odczytać. Mężczyzna umilkł i puścił włosy. Zgarbił się. Wypił duży łyk ze szklanki i spojrzał na nią. Drugi łyk, opróżnił szklankę. Wstał gwałtownie, przewracając krzesło i odszedł gniewnym krokiem, kierując się do schodów.

- Oops... - odezwał się Björne, który również obserwował tę scenę. Nelly wyciągnęła rękę i postawiła krzesło. Spojrzała na Jonasa i ponowiła chłodne skinienie głową, ale jednocześnie pokazała palcem, żeby podeszedł do jej stolika i zabrał Björnego. Podeszli się przywitać.

Jonas przedstawił Björnego jako kolegę ze studiów, a potem z pracy w Urzędzie Podatkowym. Poprosiła, żeby usiedli. Jonas pokazał gestem, żeby Björne usiadł naprzeciw niej, a sobie zorganizował krzesło od towarzystwa przy sąsiednim stoliku.

- Chłopcy wyszli na miasto przewietrzyć marynarki z H&M? *Going into car business, are we*<sup>7.2\*</sup> - odezwała się Nelly.

Björne, który już wiedział, że Nelly ma agresywny sposób bycia, szybko odnalazł się w sytuacji.

28 *Going into car business...* - (ang.) Wchodzimy w biznes samochodowy, tak?

- Ha, ha, dzięki za miłe słowa. Prawdopodobnie szyły je te same dzieci, które pracują dla H&M, ale swoją marynarkę kupiłem w NK<sup>29</sup>. To Filippa K, zrobiła kolekcję dla młodych spaślaków. Realizuje nowy pomysł, koncentrując się na osobach z zaburzonym odżywianiem. Albo szyje ubrania dla anorektyków, albo - jak w tym przypadku - dla otłuszczonych prawników o nieciekawej karierze zawodowej.

Nelly spojrzała na niego jak na paskudztwo przywleczone tu przez kota.

Jonas włączył się, mówiąc, że wcześniej byli w restauracji Ljunggrens i spytał, co ona jadła na kolację.

Nie odpowiedziała, tylko od razu przeszła do ich poprzedniego spotkania.

- Jak ci się podobały te materiały? - spytała, wbijając w niego wzrok.

- Dziękuję, świetne. Bardzo nam się przydadzą. Naprawdę.

- Nie zapomnisz o naszej umowie?

- Żeby cię uprzedzić przed wykorzystaniem raportu? Jasne, że nie. Obiecuję, że dam ci znać.

- To dobrze. Uważam, że to było bardzo dobre spotkanie. Informacje o waszej działalności są interesujące. Branża ochrony chyba wykazuje tendencje wzrostowe.

Björne jak zawsze chciał się włączyć do rozmowy. A ponieważ takt nie należał do jego najmocniejszych stron, spytał o faceta, który przed chwilą tak się rzucił do wyjścia.

- Ten gość, który tu był z tobą - zapomniał czegoś? Wyglądał, jakby mu się nagle zaczęło bardzo śpieszyć.

Nelly nie odpowiedziała. Jonas wywrócił oczami w stronę przyjaciela, dając do zrozumienia, żeby zmienił temat.

- Za dużo gadał - odezwała się po chwili Nelly, nie zaszczycając Björnego spojrzeniem. - Powiedziałam mu to. Tylko tyle. Nienawidzę facetów, którzy nie potrafią się zamknąć. Nienawidzę.

29 NK - (skrót od Nordiska Kompaniet) ekskluzywny dom towarowy.

Björne zrobił gest, że się wycofuje. Założył nogę na nogę i odchylił się do tyłu.

- Jonas. - Nelly nadal patrzyła na Jonasa.

Położyła mu dłoń na przegubie. Zmysłowy prąd elektryczny. -Tak?

- Ten twój kumpel. Czy on jest okej? Masz do niego zaufanie? Zaskoczyła go jej obcesowość. Jakby nie rozumiała, na czym polega rozmowa towarzyska. Chyba nigdy nie spotkał osoby tak jednostronnej. Ma jakiś feler,, czy co? Nie zamierzał sprzedawać Björnego.

- Absolutnie. To mój najlepszy przyjaciel. Gdy wokół niepogoda, grzmi i deszcz zacina, wtedy trzymaj się Björnego. W dodatku jest cholernie dowcipny.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Właśnie tak.

- Dowcipny?

Nelly wpatrywała się w Jonasa. Zapanowało milczenie. Słyszeć było tylko muzykę grającą w tle. Puściła jego przegub.

Po chwili odwróciła się do Björnego i zmierzyła go wzrokiem. A potem wyciągnęła do niego rękę.

- Przepraszam, że byłam dla ciebie niemiła. Ufam Jonasowi. Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Jeśli on mówi, że jesteś okej - i na dodatek dowcipny - to ja mu wierzę.

Björne chwycił jej rękę i zaśmiał się nerwowo.

- Kurde, ale mnie przestraszyłaś. Ha, ha, myślałem, że będę musiał zjeżdżać stąd, jak ten poprzedni facio.

Nelly się uśmiechnęła. Lody zostały przełamane.

Przez dłuższą chwilę rozmawiali o wszystkim i o niczym i było miło. Okazało się, że Jonas się pomylił - Nelly potrafiła prowadzić rozmowę towarzyską. Gdy się rozluźniła, była normalna, dowcipna, urocza, zwyczajna. Najwidoczniej ta kobra, która w niej siedzi, też

musi czasem odpocząć, pomyślał Jonas. Nawet śmiała się z żartów Björnego. Wtedy stawiała się jeszcze ładniejsza.

Przyszła kelnerka z pytaniem, czy wszystko dobrze, a Björne zamówił więcej Lynchburger Lemonades.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała Nelly, sięgając po torebkę leżącą na podłodze obok krzesła.

Gdy się pochyliła, bluzka jej podjechała, odsłaniając dół pleców na sekundę, może dwie. Wystarczyło. Siedzący obok Björne drgnął. Nelly wstała i odeszła. Przez moment milczeli. Potem Jonas spytał:

- I jak? Ona jest *cool*, prawda?

- Mm... - mruknął Björne, który nie bardzo słuchał. Wyglądał, jakby odpłynął myślami.

Gdy Nelly wróciła, Björne nadal był jakiś nieobecny.

Jonas i Nelly zaczęli rozmawiać o wakacjach. Żadne z nich nie miało planów na lato. Jonas właśnie zaczął nową pracę, więc nie wiedział, czego się spodziewać. Jednak przypuszczał, że mógłby wziąć parę tygodni wolnego. Nektar aktualnie nie robił żadnych inwestycji, więc Nelly właściwie nie miała się czym zajmować. Inna rzecz, że zawsze pojawia się coś nowego, dodała i powiedziała, że dobrze wychodzi na działaniu pod wpływem impulsu.

I wtedy Björne pochylił się nad stolikiem.

- Kurde, nie wiem jak to powiedzieć. Jakaś pokręcona sprawa.

- Co? - spytała Nelly.

- Niech będzie, powiem. Zwrócił się do Jonasa.

- Jonas, odwróć się do mnie tyłem. I nachyl się. Spoko, tylko pokażę coś Nelly. Muszę.

- Okej - Jonas zrobił tak, jak mu powiedział Björne. Gdyby wcześniej tyle nie wypił, może by to przemyślał, ale rozbawiło go, że dzieje się coś nieoczekiwanego.

- Przepraszam cię Nelly, ale kiedy się pochyliłaś, coś zobaczyłem.

Podwinął marynarkę Jonasa i wyciągnął mu koszulę ze spodni. Podciągnął ją kawałek, odsłaniając dół pleców. Jedną ręką trzymał brzeg marynarki i koszuli, drugą chwycił za pasek od spodni i pociągnął w dół, ukazała się bruzda pośladkowa.

Nelly spojrzała i wzdrygnęła się.

- Co jest? Co się dzieje? - spytał Jonas.

Björne spoglądał na Nelly, która to wpatrywała się w plecy Jonasa, to w jego twarz, to w Björnego.

Najwyraźniej nie wiedziała, co o tym myśleć. Złożyła dłonie i trzymała przed ustami, pod nosem. Miała gonitwę myśli. Rozbiegane oczy.

- Możesz już puścić - powiedziała cicho. Björne puścił koszulę i marynarkę.

- O co chodzi? - spytał Jonas, patrząc najpierw na Björnego, potem na Nelly.

Nelly spojrzała na Jonasa z poważną miną. Pokręciła głową.

- No mówcie! - zażądał.

Nelly odwróciła się do nich plecami i podciągnęła bluzkę, odsłaniając dół pleców. Jeszcze pociągnęła w dół spódnicę. Björne obserwował reakcję Jonasa. Który widział to wiele razy przedtem. W lustrze.

Znamię przyrodzone.

Ale nigdy u kogoś innego.

Nelly miała takie samo znamię jak on.

Wyglądało jak duży, zamazany szary motyl.

TRZYDZIEŚCI JEDEN LAT WCZEŚNIEJ. UNIWERSYTET SZTOKHOLMSKI,  
DUŻE AUDYTORIUM W LABORATORIUM IM. ARRHENIUSA.

Ray siedział na stole wykładowym i, uśmiechając się, patrzył na studentów. Na jego twarz padał odblask z projektora. Ray kochał swoją specjalizację i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że to uczucie może być zaraźliwe. A Pia i Marcus byli wyraźnie poruszeni. Mieli wrażenie, jakby mówił wprost do nich, jakby w pomieszczeniu byli tylko we troje.

- Motyle mają wielu wrogów. Największym zagrożeniem są pasożyty. Wśród nich na przykład rączycowate, które swoje jaja składają na oskórku larwy. Albo jeszcze gorsze, owadziarki, które składają jajo w ciele larwy przez wbite żądło. *And then what?* Otóż larwa pasożytnicza wykluwa się z jaja w ciele larwy motyla i zjada ją od środka. *Chew, chew, yummy, yummy*, aż zostaje sama powłoka. Wtedy larwa pasożytnicza przeobraża się w poczwarkę, pozostając w powłoce larwy motyla. Przygotowuje się do następnego stadium rozwoju. Już jest blisko celu, blisko stadium imago. Czy to smutne? Trochę jak w filmie „Alien”, prawda? Cóż, ewolucja. Kto się nie zbroi, staje się słaby i ginie. Natomiast gatunek, który najlepiej radzi sobie w ewolucji, może piąć się w górę w łańcuchu pokarmowym. Może taki jest właśnie sens życia,



by przetrwać jako gatunek? Może jedynie spirala DNA żyje wiecznie i reinkarnuje się wciąż na nowo? *Were only the vessel.*<sup>i0</sup> Jak sądzicie?

30 We're only the vessel - *{ang.}* tu: Jesteśmy jedynie środkiem transportu.

Jonas zmierzał ciężkimi krokami do głównego wejścia Muzeum Historii Naturalnej. Prowadziły do niego schody z kamienną balustradą po bokach. Towarzyszyło mu uczucie niepokoju w żołądku. Głęboko oddychał, wciągając do płuc świeże powietrze, żeby oprzytomnieć. Niewiele spał w nocy. Mimo to musiał się mocno śpieszyć, żeby zdążyć na spotkanie z emerytowaną panią profesor. Na szczęście przyjechał punktualnie, bo wziął taksówkę. Swoją drogą, gdy był na kacu, niewiele rzeczy było w stanie wywołać u niego takie mdłości jak jazda na tylnym siedzeniu nagrzanej taksówki z automatyczną skrzynią biegów. Kierowca jakby świadomie dręczył go, podkreślając ogrzewanie, a jednocześnie szybko i płynnie przyśpieszając. Niewinne spojrzenie w tylne lusterko. A w środku szyderczy uśmiech.

Wszyscy troje szybko wytrzeźwieli, gdy Björne odkrył, co ich łączy. Cokolwiek to było. Tak czy inaczej oboje, Jonas i Nelly, mieli takie samo znamię na plecach. Zawsze myśleli, że to znamię przyrodzone, teraz zrozumieli, że musi chodzić o coś zupełnie innego. To nie mógł być przypadek. Byłby jeden na miliard.

Ktoś ich naznaczył.

Ale dlaczego? Spekulacje nie zaprowadziły ich do nikąd. Ustalili tylko, że jest coś, co ich łączy, oboje zostali adoptowani i urodzili się w tym samym roku. Jednak wychowali się w zupełnie różnych środowiskach i mieli odmienne życie. Inną szczególną rzeczą było to,

że spotkali się właśnie teraz. Jonas opowiedział jej o swojej wyprawie na Gotlandię, o przesłaniu od biologicznych rodziców i o tym, jak go nazwał Folke Hoas. Nelly słuchała z zadziwieniem. Powiedziała, że już od pierwszej chwili, gdy tylko wszedł do jej biura, poczuła z nim dziwną więź. Po zamknięciu baru postanowili, że wkrótce znów się spotkają. Björne obiecał, że sprawdzi wszystkie oficjalne i nieoficjalne spisy ludności w Szwecji, aż do ostatniego zakamarka, może coś znajdzie. A Jonas miał pójść do Muzeum Historii Naturalnej, może przyjdzie mu coś do głowy, a może dowie się czegoś, co go zaprowadzi dalej.

A więc jest tutaj. W dzieciństwie bywał tu wiele razy, ale miał wrażenie, jakby to było niemal w innym życiu. Pamiętał fantastyczną wystawę dinozaurów, gdzie można było zobaczyć, jak z jaja wykluwa się velociraptor. Było to jednocześnie dość upiorne i namacalne. Dalej była Cosmonova, gigantyczna, owalna sala kinowa, gdzie wielokrotnie bywał z rodzicami.

Otworzył wielkie drewniane drzwi okazałego gmachu i wszedł do olbrzymiego holu. Było to okrągłe pomieszczenie, światło wpadało tu obficie z ogromnej kopuły znajdującej się około trzydziestu metrów nad marmurową podłogą. Podeszedł do recepcji, gdzie go poinstruowano, jak trafić do biur i laboratoriów katedry entomologii.

Pomieszczenia te znajdowały się w nieco dalszej części gmachu, w bok od sal wystawowych. Drzwi do katedry nie były zamknięte na klucz. Za nimi ciągnął się długi wysoki korytarz, gdzie już nie było recepcji ani żadnych wskazówek. Zobaczył jedynie rząd drzwi, jedne otwarte, inne zamknięte. Pomieszczenia były wysokie, miały co najmniej trzy i pół metra. Ściany wyklejone żółtą tapetą z włókna szklanego, zapewne wodoodporną. Cały korytarz wyglądał jak wielka łazienka z lat siedemdziesiątych. Nie jest to raczej styl high-tech, pomyślał Jonas, idąc bez pośpiechu korytarzem.

Przeszedł kilkanaście metrów, gdy ktoś puknął go w ramię.

- Jonas Ramm?

Kobięcy głos, skąd? Odwrócił się, żeby zobaczyć, kto to. Patrzyła na niego ciekawie kobieta bardzo niskiego wzrostu.

- O, dzień dobry. Nie zauważyłem pani. Przepraszam, że tak po prostu wszedłem.

- Dzień dobry, to ja jestem Gry Oda, witam serdecznie! - powiedziała po szwedzku, ale z norweskim zaśpiewem. Miała pogodny głos i wygląd.

- Dziękuję.

- Napijesz się kawy?

- Tak, poproszę.

Gry Oda ruszyła żwawo do automatu we wnęce kuchennej, znajdującej się kawałek dalej. Wzięła dwie plastikowe filiżanki i umocowała w brązowych uchwytych. Zapytała, czy Jonas pije czarną, czy z mlekiem. Jonas odparł, że czarną i pomyślał, że bardzo mu się teraz przyda prawdziwie mocna kawa.

Jej twarz była bardziej pomarszczona niż na zdjęciu na stronie internetowej. Może była starsza niż sądził, raczej pod osiemdziesiątkę. Za to aż tryska energią, pomyślał. Czekał na kawę, wytarła blat obok. I mocno, obiema rękami wykręciła ściereczkę, żeby nawet kropla nie spadła, gdy ją rozwiesiła porządnie na kranie.

- Chodź!

Włożyła mu do ręki filiżankę z kawą i ruszyła do swojego pokoju. Miała buty na gumowych podeszwach, prawie bezgłośnych, więc niemal frunęła przez korytarz. Idący zaraz za nią Jonas poczuł się wielki i niezdarny.

Pokój był duży i równie wysoki jak korytarz. Na środku stało szare, staroświeckie biurko, przy nim zwykle szczebelkowe krzeselko, a pod oknem pasująca do niego drewniana sofka i stolik z kraciastą serwetą. Gry Oda usiadła w jednym końcu sofki i zaprosiła Jonasa, żeby usiadł obok. Za oknem wychodzącym na pagórek z tyłu gmachu widać było grupkę dzieci w żółtych kamizelkach. Szły za młodą kobietą, która pokazywała im coś, gestykulując. Jakaś wycieczka, domyślał się Jonas.

- Proszę, poczęstuj się - podała mu talerz z kruchymi ciasteczkami. Wyglądały na własnej roboty. Wziął dwa i natychmiast zjadł, łapczywie, jak to na kacu.

- Mam ten pokój od czterdziestu lat. Mówią, że mogę tu zostać aż do śmierci. Tacy są mili. Odpowiadam im, że będą musieli długo czekać, bo postanowiłam, że na moje setne urodziny zaproszę ich na siedem rodzajów ciasteczek, ha, ha. Potem zobaczymy.

Rozbawiona zachichotała do siebie.

Jonas uśmiechnął się i wziął sobie jeszcze jedno ciasteczko. Przygotował się i przemyślał, co powie, ale w końcu zamiast tego wypaplał od razu, z czym przyszedł:

- To bardzo miłe, że zgodziła się pani mnie przyjąć. Tylko nie wiem, od czego zacząć. Żeby przejść do sedna: szukam swoich biologicznych rodziców i wydaje mi się, że sprawa ma coś wspólnego z motylami. Tak przypuszczam, chociaż nie umiem wyjaśnić dlaczego. Mam takie wewnętrzne przekonanie.

- Ojej - zdziwiła się Gry Oda. - Nie wiem, jak mogłabym ci pomóc, ale oczywiście zrobię, co się da. Możesz powiedzieć coś więcej?

Jonas przedstawił skróconą wersję swoich doświadczeń z motylami i wydarzeń z ostatnich dni. Gry Oda słuchała z zainteresowaniem.

- ...więc nic nie wiem o moich biologicznych rodzicach - podsumował Jonas. - Zniknęli i już wiele lat temu zostali uznani za zmarłych. Wiem, że mój ojciec nazywał się Marcus Groschinsky i chyba miał przydział mobilizacyjny do tutejszego muzeum. Wydaje mi się to trochę dziwne, jak można mieć przydział mobilizacyjny do muzeum?

- Groschinsky? To rzadkie nazwisko. Nie pamiętam go, ale tyle się tu ludzi przewinęło. Zresztą ja przez wiele lat dużo wyjeżdżałam i to na długo. Ale chyba wiem, o co chodzi z tym przydziałem mobilizacyjnym. W przypadku studenta z otwartym przewodem doktorskim uniwersytet mógł wystąpić do armii z wnioskiem, aby mógł odbywać służbę na swoim wydziale. Uważano wtedy, że uniwersytety i inne

wyższe uczelnie powinny działać również w czasie wojny. W całości, od profesorów po doktorantów. Oczywiście to już dziś nieaktualne.

- Czyli prawdopodobnie był doktorantem... Bardzo ciekawe.

- Jednak nie wydaje mi się, żeby bronił pracę u nas. Pamiętałabym, zwłaszcza z tym nazwiskiem. Więc pewnie w którymś momencie zrezygnował. Jak wielu innych, którzy nigdy nie kończą studiów.

- No tak, nic mi o tym nie wiadomo. A moja mama? Nazywała się Pia Larsson. Pamięta pani, czy była taka studentka? Nawet nie wiem, czy tu studiowała; wiem tylko, że jej kredyt studencki został anulowany po uznaniu jej za zmarłą. W każdym razie gdzieś studiowała.

- Niestety, nie mam pojęcia. Larsson to bardzo częste nazwisko.

- Czy są jeszcze spisy studentów z tamtych lat?

- Nie sądzę. W każdym razie nie tutaj. Może w Archiwum Państwowym są stare listy. Jeśli chcesz, mogłabym poprosić sekretarza wydziału, żeby je ściągnął. Potrwa to kilka dni. Które to były lata?

- O, jak dobrze. Warto spróbować. Domyślam się, że studiowali w połowie albo w końcu lat osiemdziesiątych.

- W takim razie zamówię rejestry z tych roczników. Czy za kilka dni możesz przyjść jeszcze raz?

Jonas pomyślał, że dobrze, iż posłuchał intuicji, aby skontaktować się z Gry Odą, bo okazało się to owocne. Może na podstawie tych rejestrów uda się coś ustalić. Już nie wiedział, o co by tu jeszcze pytać. Przez chwilę milczeli, popijając kawę i jedząc ciastka. Potem Jonas podziękował i zaczął się żegnać. Może do następnego spotkania przyjdą mu do głowy jakieś trafniejsze pytania. W tej chwili przede wszystkim chciało mu się jeść.

- Chyba jeszcze nie idziesz? Śpieszy ci się? Chciałam cię trochę oprowadzić. Mamy tu fantastyczne zbiory. Opowiedziałabym ci trochę o motylach. Co ty na to?

Jonas odpowiedział, że bardzo chętnie.

Zabrała go na szybki spacer przez sale i zbiory muzeum, które nie były otwarte dla zwiedzających. Mówiła szybko i bez przerwy, żywo

gestykulując. Od czasu do czasu zadawała mu pytanie, jak uczniowi, którego trzeba przywrócić do przytomności.

- Czy wiesz, jak się nazywa największy motyl na świecie?

- Nie, nie mam pojęcia.

- Największą rozpiętość skrzydeł ma ćma *Thyrsania agrippina*. Największy schwytany okaz miał rozpiętość ponad trzydziestu centymetrów, czyli nieco więcej niż wysokość strony **A4**. Co byś powiedziała, gdyby wleciała ci do sypialni? - zaśmiała się.

- O Boże, oszalałbym ze strachu!

Powiedziała, że niemal wszystkie motyle mają ssawki w kształcie rurki, które mogą zwijać pod głową. Za pomocą ssawki pobierają nektar i piją wodę. Pokazała ręką, jak się dostają do środka roślin. Podciągnęła rękaw i zakręciła palcami drugiej ręki. Niektóre prymitywne motyle mogą nawet pobierać stały pokarm, jak pyłek - te potwory są wyposażone w resztki gryzących narządów gębowych. Gry Oda zrobiła grymas, odsłaniając zęby i żując. Uśmiechnęła się w oczekiwaniu na jego reakcję. Rzeczywiście, Jonas aż się wzdrygnął na myśl o olbrzymich motylach, gryzących pożywienie. Zachichotała z zachwyty.

- Życie motyla najczęściej trwa tylko kilka tygodni - mówiła dalej. W Szwecji widzi się motyle przez całe lato, bo pojawiają się kolejne pokolenia i gatunki, które zastępują się nawzajem. Motyl, którego widzimy już w marcu lub kwietniu, to najpewniej osobnik, któremu udało się przezimować w dorosłej postaci. Jednak zdarza się to bardzo rzadko. Najczęściej motyl zimuje w postaci jaja, larwy albo poczwarki. Na jej pytanie, czy zna cztery stadia życia motyla, odpowiedział, że pamięta co nieco ze szkoły, uważał, że to absolutnie fascynujące. Tyle czekania i przygotowań, a takie krótkie życie.

Nastąpił dalszy ciąg szybkiej prezentacji niepublicznej części zbiorów. Gry Oda zatrzymała się tylko w kilku miejscach. Jednym z nich była sala, gdzie przechowywano „zmontowane ssaki”, czyli setki gęsto ustawionych wypchanych zwierząt. Jonas zwrócił uwagę na ciele z dwiema głowami. Miał wrażenie, jakby patrzyło na niego

wszystkimi czterema oczami, błagając, by je stamtąd zabrał. W innej sali znajdowały się „zbiory spirytusowe”, czyli duża ilość szklanych pojemników z różnymi zwierzętami zatopionymi w spirytusie i formalinie. Osobliwa mieszanka dużych naczyń ze zdeformowanymi embrionami zwierzęcymi aż po mniejsze pudełka pełne żuków. Gdy Gry Oda powiedziała, że roztwór, w którym są przechowywane, jest dość często wymieniany, Jonas musiał walczyć ze sobą, żeby nie zwymiotować. Wyobraził sobie, że musi wyłowić blade od formaliny zarodek słonia z XVI wieku i trzymać go w rękach, podczas gdy ktoś inny w przyspieszonym tempie wymienia roztwór.

Potem zwiedzanie nabrało iście kosmicznego tempa. Potruchtali na szerokie kamienne schody, które Gry Oda pokonywała po dwa stopnie na raz.

Na przedostatnim piętrze znajdowało się olbrzymie pomieszczenie z zasłoniętymi oknami i skąpym oświetleniem. Wzdłuż ścian, ale również w długich rzędach biegnących przez środek, ustawiono wielkie gabloty. Stały lekko nachylone, żeby przechodzący mógł łatwo dostrzec, co jest w środku.

Były to tysiące motyli przyszpilonych pod szkłem. Obok małe karteczki z łacińskimi nazwami.

Jonas miał podobne wrażenie jak podczas zwiedzania wielkiej świątyni. Wzniosły spokój, całkowicie ponad czasem i przestrzenią. Na zewnątrz życie pędzi bez opamiętania, a tu, w środku, od stuleci czas stoi w miejscu.

Liczba i różnorodność zgromadzonych okazów przyprawiała o zawrót głowy. Tyle pięknych stworzeń i żadne niepodobne do innych. Każdy motyl był wyjątkowy pod względem ubarwienia i wzoru na skrzydłach. Duże, małe, szerokie, podłużne...

W zachowaniu Gry Ody też było więcej namaszczenia niż poprzednio, chociaż bywała tu setki, może tysiące razy. Mówiła teraz ciszej i wolniej.

- Pięknie, prawda?

- Tak, rzeczywiście.



- Zwykle przyprowadzamy tu studentów biologii w pierwszym semestrze - mówiła prawie szeptem. - Można wyczytać z ich twarzy, którzy z nich wybiorą entomologię jako główny kierunek. Mają coś szczególnego we wzroku.

- Fascynujące - powiedział Jonas. Przeszedł mu dreszcz po krzyżu.

- Wiesz, Jonasiu, czasem gramy tu w pewną grę. To coś jak połączenie wróżby z dziecięcą zabawą w przyczepianie ogona świni.

-Tak?

- Zagramy?

Zabawna kobieta, pomyślał. Trochę jak stare dziecko. Psotne i zabawione, a przy tym pełne mądrości.

- Okej - odparł z pewną rezerwą.

Gry Oda zdjęła z szyi chustkę w perskie wzory, stanęła za Jonasem i kazała mu się pochylić. Następnie przewiązała mu oczy. Nic nie widział.

- I co teraz? - spytał.

- Obróć cię kilka razy, potem wejdiesz między gabloty i spróbujesz się wczuć. Jak będziesz gotów, dotknij szyby w gablocie.

- Co to znaczy gotów?

- U nas się mówi, że jesteś tym motylem, którego wskażesz. Taka zabawa, trochę jak horoskop. Każdy motyl jest inny, ma odmienne cechy i umiejętności. Zobaczymy, którym ty jesteś. Okej?

- Ojej. No dobrze.

Delikatnie go obróciła. Raz, dwa. Trzy, cztery, pięć razy. Wydawało mu się, że wystarczy, ale nie opierał się. Sześć, siedem, osiem, dziewięć i dziesięć. Zatrzymała się. Puściła go.

- Teraz - szepnęła Gry Oda.

Jonas zrobił krok w przód, poczuł, że kręci mu się w głowie. Musiał stanąć w rozkroku. Uśmiechnął się niepewnie. Zawrót głowy ustąpił. Wyciągnął ręce daleko przed siebie, sprawdzając, czy sięgnie do którejś gabloty. Sięgnął. Wtedy ruszył wzdłuż jednego rzędu. Szedł długo, aż do końca. Obszedł ostatnią gablotę i ruszył wzdłuż następnego rzędu, biegnącego środkiem sali. Nic nie poczuł. Nawet pomyślał, że

mógłby dotknąć palcem gdziekolwiek i zobaczyć, co będzie. I wtedy poczuł niejasny impuls, któremu postanowił ulec. Impuls był coraz silniejszy, stał się jak ciche brzęczenie w głowie, szedł za nim. Powoli przeszedł w poprzek sali, aż do gablot wzdłuż ściany wewnętrznej. Zatrzymał się przed jedną, zrobił krok w lewo. Podniósł palec wskazujący i powoli przesunął rękę w stronę ścianki gabloty. Prosto na szkło.

- Dobrze! Przytrzymaj palec, sprawdzę - powiedziała Gry Oda. Zdjęła mu chustkę z oczu.

- Możesz już spojrzeć.

Jonas otworzył oczy, napotkał psotny wzrok Gry Ody. Była wyraźnie rozbawiona.

Potem spojrzął, co jest za szybą pod palcem. Czarny motyl z pomarańczowoczerwoną skośną przepaską, na czubku przedniej pary skrzydeł miał białe plamki, na tylnej pomarańczowoczerwony pasek brzegowy. Wygląd dumny i silny. Na tabliczce obok napis: *Vanessa atalanta*.

Jonas spojrzął wyczekująco na Gry Odę. Uśmiechnęła się szeroko, uruchamiając wszystkie zmarszczki mimiczne wokół oczu.

- Ha, ha, ależ to ciekawe. Jesteś rusałką admirałem!

- Wow, brzmi dumnie!

- Tak, opowiedzieć ci? - spytała. Jonas przytaknął.

- Admirał jest cierpliwy i chętny do współpracy. Lubi trudne warunki, niepogodę i wiatr. Kocha wyzwania.

- Ha, ha, brzmi jak horoskop - powiedział Jonas, odsuwając rękę od szyby. - Zaraz mi pani powie, że powinienem się przygotować na spotkanie z nieznanym i że czeka mnie wielka miłość. Pod warunkiem, że się na nią otworzę.

- Cóż, może i tak - odparła. W jej głosie brzmiał śmiech. - Ale to nie koniec. Admirał jest motylem wędrownym. Jego zachowanie przypomina ptaki wędrowne. Motyl przemieszcza się z jednego miejsca na drugie, tam i z powrotem, w zależności od pór roku. A teraz posłuchaj, bo to coś niebywałego. Otóż w tej wędrowce nigdy

nie uczestniczą te same osobniki. Od jednej zmiany miejsca pobytu do następnej może minąć kilka pokoleń. Rozumiesz? Kieruje nimi wrodzona intuicja. Dzięki niej trafiają do domu. Jonas poczuł ssanie w żołądku.

Jakoś mu się to nie mieściło w głowie. Brzmiało jak science fiction. Ciekawe, ale niemożliwe.

- Ale... skąd on wie, dokąd ma lecieć? To znaczy, że nowo wykluty motyl wraca do miejsca, do domu, gdzie nigdy przedtem nie był? Gdzie wcześniej byli jego nieżyjący rodzice? A może nawet nie rodzice, tylko motyle z jeszcze odleglejszego pokolenia?

Gry Oda uśmiechnęła się radośnie.

- Właśnie tak! Nikt nie wie dokładnie, dlaczego ani jak to się dzieje. Jest to wciąż zagadka. Gratuluję Jonasiu. Bardzo ładnie, że jesteś wędrownym admirałem. I bardzo niezwykle.

Od kilku dni mieli gorącą linię. Dzwonili do siebie, esemesowali, podsyłali sobie linki. Pomysły, przemyślenia, tropy.

Kamienny blat wyspy w kuchni u Nelly był zarzucony papierami. Były to wydruki, które Björne przyniósł z pracy. Dużo pracował w ostatnich dniach, ale nie nad oszustwami podatkowych i innymi przestępstwami gospodarczymi, tylko nad tym, co mogło mieć jakikolwiek związek z historią Jonasa i Nelly. Kto ich naznaczył? I dlaczego?

Nelly już podczas tamtego spotkania w barze, opowiedziała im swoją historię. Szybko się z tym uporała, bo była szybka jak wichur, ale również dlatego, że niewiele wiedziała o sobie z czasów niemowlęctwa.

Jednak to co wiedziała, było wręcz zatrważająco podobne do historii Jonasa.

Nelly również była podrzutkiem. Została porzucona w lesie w Haverdal pod Halmstad. Człowiekiem, który ją znalazł, był pewien pediatra z Sofiahemmet w Sztokholmie. Miał letni dom zaledwie kilkaset metrów od tego miejsca.

Lekarz zadbał, aby dziewczynka szybko trafiła do młodej, bezdzietnej pary, której kilkakrotnie usiłował pomóc metodą in vitro, ale bez powodzenia. Małżeństwo Josefssonów zdążyło się już pogodzić z myślą o adopcji i gdy ruszyła machina lobbingowa prywatnego szpitala, jakim jest Sofiahemmet, nietrudno było przekonać władze

do zakwalifikowania ich jako rodziców adopcyjnych z pominięciem szczebla pośredniego, czyli rodziny zastępczej.

Kiedy Nelly była mała, rodzice mawiali „urodziłaś się pewnej letniej nocy w liściastym lesie, jako skrzydlata rusałka”. To wszystko, co wiedziała, chociaż dziś prychała na te sentymentalne słowa rodziców. Od wielu lat nie była w Haverdal i aż do teraz nie ciekawiło jej grzebanie się w przeszłości.

Björne wyłowił obraną marchewkę z kryształowego półmiska na blacie. Rozejrzał się i skrzywił z niezadowoleniem. Najwidoczniej Nelly czytała w jego myślach, bo z miejsca oznajmiła:

- Nie, nie mam żadnych dipów z mnóstwem zagęstnika, barwników i tłuszczów trans. Musisz się zadowolić witaminą A w marchewkach. Weź dwie, będziesz lepiej widział w ciemnościach. A jeśli zjesz więcej, to od karotenu będziesz miał ładną karnację. Spójrz na mnie, z roślin korzeniowych jem tylko marchew. I zobacz, kurde, jaka jestem fantastyczna!

Björne rzucił jej rozbawione spojrzenie. Rzeczywiście, fantastyczna. Tylko ona mogła powiedzieć coś takiego i nie wyjść na kompletną idiotkę. Nie sposób było stwierdzić: żartuje czy mówi poważnie. Potrafiła pieprzyć najgorsze głupoty w taki sposób, że brzmiały jak najbardziej czadowe dialogi z filmu Tarantino. Było to bardzo podniecające, Nelly wprowadzała go w stan prawdziwej ekscytacji.

Odgryzł kęs marchewki i wyprostował się. Powinien zrzucić parę kilo. Oczy pełne uroku i zwichrzone włosy to za mało, żeby zainteresować taką dziewczynę jak Nelly. Ona nie zadowoli się kimś, kto nie będzie miał na brzuchu co najmniej sześciopaka. Może nie był tłusty, ale miał zbyt rozlane kształty.

Usiadł na stołku barowym i próbował przybrać niedbałą pozycję, zakładając nogę na nogę, ale musiał pomóc sobie ręką i pociągnąć za nogawkę, żeby górną nogą wylądowała ponad kolanem dolnej.

- Powiedzieć wam, co znalazłem?

Nelly i Jonas skinęli potakująco. Björne nabrał powietrza i zaczął opowiadać, do czego doszedł:

- Z tamtych czasów nie ma, rzecz jasna, żadnych cyfrowych rejestrów. Dlatego nie da się szukać, wychodząc od słowa czy czegoś w tym rodzaju. Więc wpadłem na dość chytrą rzecz, z której - przyznaję - jestem dumny. Wymyśliłem, żeby użyć programu do wyszukiwania obrazków o podobnych właściwościach co wzór, który pokazuje, czego szukam. Nadążacie?

- Nie - odparła Nelly. - Ani w ząb. Jonas też miał minę, jakby nie rozumiał.

- To tak proste, że aż śmieszne. Wpisałem różnymi czcionkami słowo „znajda” i zrobiłem obrazki z tymi wariantami. Takie obrazki tekstowe jako JPG. Potem dałem polecenie wyszukania podobnych obrazków w bazach danych zawierających zeskanowane dokumenty. Ten program służy właściwie temu, żeby zestawiać różne wizerunki twarzy i wyszukiwać podobieństwa w bardzo dużych bazach danych. Ale okazało się, że działa również w przypadku obrazków słownych. Fajnie, co?

- Kurde, ale jesteś sprytny - Nelly była pod wrażeniem. Wzięła na wpół opróżnioną karafkę z wodą i podstawiała pod kostkarę, żeby ją dopełnić lodem.

- I co znalazłeś? - spytał Jonas, podsuwając jej swoją szklankę.

- Skrząc: wypróbowałem kilka różnych słów w postaci obrazków i przeszukując lata przed waszym urodzeniem i po nim, sprawdziłem mnóstwo archiwów. To znaczy, zrobił to mój komputer.

Patrzył na nich, starając się odczytać ich reakcję. Oboje mieli zacięty wyraz twarzy. Nelly zastygła z karafką w ręku. Powaga i oczekiwanie.

- Okej, no to posłuchajcie. Znalazłem czworo dzieci porzuconych dwadzieścia siedem lat temu. Żadnego porzuconego w najbliższych latach wcześniej ani później. W każdym razie żadnego znalezione. Was dwoje i jeszcze dwoje. To mógłby być przypadek, gdyby nie...

Umilkł.

- Gdyby nie co? - niecierpliwie spytała Nelly, energicznie stawiając karafkę.

Björne chwycił za brzeg blatu, rozczapierzając palce. Oparł się mocno i głęboko zaczerpnął tchu.

- Cała czwórka niemowląt miała między trzy a pięć miesięcy. Wszystkie zostały porzucone w lesie na początku lipca. W różnych miejscach Szwecji. Być może tego samego dnia.

Jonas i Nelly spojrzeli po sobie.

A więc jest ich więcej?

Co za syf. Pierdolony syf. Tak Reine podsumował sytuację po tym, jak ćpun Leffe na jego oczach wykorkował na cmentarzu Norra Klara.

Nikt o nic nie pytał, nikogo to nie zastanowiło, nikt nie węszył, nic.

Jasne, gadali i to sporo. To i owo się słyszało. Kurde, w końcu nie był to pierwszy raz. Wcześniej też bywało. I potem.

Ktoś mówił, że przyjechała karetka i zabrała zwłoki Leffego. Ktoś inny, że zjechali jacyś faceci w kosmicznych białych kombinezonach i maseczkach na twarzach i zgarnęli go do białego karawanu. Jeszcze inni sądzili, że Leffe został poddany jakiemuś eksperymentowi. Jednak większość była zdania, że dostał superszybkiego hifa, jakiegoś świństwa, na które umiera się w kilka godzin. Reine rzecz jasna pamiętał, co mu Leffe mówił, ale kurde, przecież nie będzie trzepał językiem. Że był jakiś pierdolony eksperyment, to jasne.

Jak kojfnie taki ćpun, to nie ma żałoby narodowej ani warty honorowej. Pewnie większość ludzi uważa, że bardzo dobrze. Najlepiej, jak taki zarażony jest martwy. W Sighstens Herrgard było ćpunów jak mrówko w, pomyślał, śmiejąc się w duchu, że ludzie nazwali tak szpital Sabbatsberg, odkąd ten laluś od mody<sup>31</sup> trafił tam z adidasem. Pierdolone ćpuny i pedały, dobrze im tak. Właśnie tak ludzie

31 Gra słów, chodzi o projektanta mody Sighstena Herrgarda; Herrgard znaczy również „dwór”.



myślą. I tak gadają, pomyślał Reine. To do niczego niepodobne, żeby on i jego kumple byli pakowani do jednego worka z ciotami.

Gówniana historia z tym felearnym towarem. Albo eksperymentem medycznym, chuj wie co to było.

Widać skończył mu się fart, bo go zgarnęli. Na centralnej stacji metra. Właśnie wracał metrem z Rockenrollentuny, więc nie miał jakiegoś megazapasu. Powiedzieli, że chcą tylko spokojnie pogadać. Żadnego przesłuchania, żadnych podejrzeń, tylko pogadać. Ale tak go ciągnęli do pokoju przesłuchań zaraz koło kas, że wykręcili mu ramię. Do tego kafelkowego bunkra, już tam kiedyś był. Ludzie na stacji gapili się się na niego, jakaś baba się nawet wydarła, że męć. Jak mu zwiczną ramię, to ich zaskarzy i załatwi sobie rentę inwalidzką do końca życia. Wrzeszczał, że boli, ale czy ich to rusza? Nie, śmiali się tylko.

Powiedzieli, że jak nie zacznie sypać, to resztę amfy, którą ma schowaną w skarpetce, będzie sprzedawał ptakom w Lill-Jansskogen. Z dna sadzawki poniżej skoczni. Ale najpierw poćwiczy skoki. W kajdankach. Ale się śmiali z własnych dowcipów. Świnie jedne.

Powiedział im, że nie wie, o czym mówią. Nic nie wie o tym gościu od nauki, który wciskał trefny towar ochlapusom i ćpunom. Przecież prawdę mówił.

Nie, nie wie nic o Leffem. Ani o Markko. Ani o Jorge. O Puckisie też nie. Nie, nie wie o tym czarnuchu z Botkyrka, od miesięcy go nie widział na mieście. I tak dalej. Owszem, słyszał, że albo nie żyją, albo przepadli. Nie, nie wie, skąd to świństwo. Żaden z jego zaopatrzeniowców nic nie słyszał. Tyle, że wyrabiają to gdzieś w głębi kraju, na jakimś zadupiu. W każdym razie nikt nie mówił, żeby było z prze-mytu.

Nie, nie widział gościa. Nie wie, jak wygląda. Dlaczego go wypytują? Przecież nawet nie dilował żadnemu z tych umrzyków. Zresztą przestał dilować. To, co ma przy sobie, to na własny użytek. Skąd u diabła miałby coś wiedzieć? Słyszał tylko, że gość mówił z angielskim czy amerykańskim akcentem i dawał im szmal, żeby wypró-

bowali to gównu. Tak mówili. Nie, nie pamięta kto. Szwecja staje się taka sama jak USA, tak słyszał. Tam wciskają więźniom nowe leki i obiecują skrócenie kary. Kurewsko mocną chemię i tym podobne gówna. Tamtejsze firmy farmaceutyczne i służba więzienna współpracują ze sobą. A jak się nie zgodzisz, rzucają cię czarnym pedałem. Albo od razu zaprowadzą na krzesło elektryczne.

Pomyślał, że widocznie wystarczyło tego sypania, bo go wywalili. Bez działek. Pewnie zachowają sobie na imprezę zakładową. Albo sami sprzedadzą. Gliny pierdolone.

Dla Marcusa przebywanie wśród lasów i pól było zupełnie nowym doświadczeniem. Większą część dzieciństwa spędził na Óstermalmie. W Humlegarden nie było ani grzędawisk, ani dzikich zwierząt. Jedyne odchody pochodziły od prowadzonych na smyczy małych piesków, tu i ówdzie dochodziły rzygowiny nocnych hulaków. Stureplan<sup>32</sup> i Óstermalm przejmują „nowobogaccy bez stylu”, jak mawiał ojciec.

Bycie tutaj było dla niego doznaniem przyprawiającym o zawrót głowy. Głębia lasu, dokąd nie dochodziły żadne odgłosy samochodów, gdzie świergot ptaków kładł się nad wszystkim jak mata izolacyjna, gdzie niemal czuł, jak drzewa, krzewy i trawy rosną po obudzeniu z zimowego snu. Sarny, łosie, zające, jastrzębie, dzięcioły i jeszcze obłędna wręcz liczba różnych robaków i owadów. Absolutna magia.

Zdawał sobie sprawę, że koledzy ze studiów mają znacznie więcej doświadczeń. Rodzice zabierali ich do lasu, odkąd tylko nauczyli się chodzić. Wielu działało w organizacji terenowych przyrodników albo w ruchu skautowskim.

Marcus zachowywał się jakby nigdy nic, jakby wycieczka nie robiła na nim wrażenia, ale w rzeczywistości była dla niego przeżyciem niemal mistycznym. Tak bardzo się cieszył, że dostał się na biologię zamiast na studia medyczne. Tu była Pia i tu była natura, czyli dwie

32 Stureplan - plac w centrum, na granicy Óstermalmu, gdzie mieści się wiele snobistycznych klubów i lokali.

przygody, o których kiedyś nie śmiałyby marzyć. No i Ray, tak interesującego i charyzmatycznego nauczyciela nie miał nigdy dotąd.

Podczas dwóch pierwszych semestrów surfowali po wielu różnych przedmiotach od chemii po geologię. Ale żaden nie mógł się równać z wykładami z bioróżnorodności i entomologii. Tam był Ray. Jego specjalizacje wydawały się znacznie bliższe rzeczywistości niż przedmioty teoretyczne.

Ray zawsze miał dla niego i dla Pii jakieś miłe słowo. Chwilami czuli się, jakby byli jego jedynymi studentami. Marcus był dumny, że Ray chętnie przebywa z nimi i na ich pytania zawsze udziela szczegółowych odpowiedzi. Najwyraźniej było mu przyjemnie w ich towarzystwie. Kiedyś powiedział nawet, że lubi ich *vibes*<sup>33</sup>.

Znajdowali się w lesie rosnącym wokół kopalni Skottvangs, w pobliżu Akers Styckebruk w Sörmlandii. Wydobywano tu rudę żelaza od XVI aż do początku XX wieku. W lesie było mnóstwo starych szybów wydobywczych, które dziś często wypełniała woda. Dzięki temu zawsze było tu wilgotno i gęsto od roślin, co z kolei sprawiało, że zwierzęta i owady dobrze się tutaj czuły.

Było pochmurno, około piętnastu stopni. Ray był inaczej ubrany niż pozostali uczestnicy wycieczki. Przypominał raczej gwiazdę rocka niż skrzata leśnego. Oprócz niedbale zawiązanych buciorów miał na sobie znoszone spodnie z brązowej skóry i przyduży wełniany sweter, dość dziurawy i pozaciągany. Siatka na motyle i stara torba polowa zwisała z szyi na rzemieniu, przerzucona na plecy jak gitara; do tego niegolony zarost i szelmowski uśmiech.

Cała grupa schodziła w dół po rzadko porośniętym pagórku leśnym, na którym było mnóstwo przekwitłych zawilców, gdy Ray zatrzymał się i usiadł na zwalonym drzewie. Odkręcił korek aluminiowej manierki i wypił duży łyk wody, aż mu pociekła na szyję. Wcale mu to nie przeszkadzało, tylko się uśmiechnął.

- *Weil*, przyjaciele! Ciepła wiosna poruszyła przyrodę. Widzieliśmy już ćmy *Paratalanta hyalinalis*, krocznika ogrodowiaka, *Aethes harmanniana*, modraszka ikara, dyblika lineaczka i co jeszcze? No właśnie, i przeplatkę atalia. Pomyślałem, że może tutaj zjemy, a później podzielimy się na mniejsze grupy. Rzucam wam wyzwanie: spróbujcie złapać ładny egzemplarz osmaganka plamka, to te piękne pomarańczowo-czarne, *remember!* Kto ma aparat fotograficzny, niech zrobi zdjęcie, ale równie dobrze można je łapać w siatkę, jutro je zakonserwujemy na ćwiczeniach w laboratorium. On jest taki *beautiful*. Spotykamy się w tym miejscu najpóźniej o trzeciej, przed udaniem się do samochodów. Okej?

Po kawie i kanapkach z jajkiem sadzonym Marcus i Pia wrócili na pagórek. Marcus nie chciał się tłoczyć z innymi, wołał zostać sam na sam z Pią.

Doszli do części lasu, która wyglądała na bardzo starą. Leżały tam grube pnie, butwiejące od co najmniej dwudziestu lat. Wielkie polodowcowe głazy narzutowe, całkowicie porośnięte mchem w różnych odcieniach. Ziemię porastały gęsto krzaczki borówki czarnej i mniej liczne borówki brusznicy. Sosny o prostych, nagich pniach, z których gałęzie wyrastały dopiero powyżej dziesięciu metrów wysokości. Świerki tak gęste, że ziemia pod nimi nie mogła oddychać. Pod potężnymi gałęziami tworzyły się jamy pokryte grubą warstwą pożółkłych igieł. Było tu jeszcze ciszej niż gdzie indziej, panował niemal nabożny nastrój. Pachniało wilgotną ziemią, jak wtedy, gdy wiosną mama Marcusa wsadzała nowe pelargonie do skrzynek balkonowych. Pia i Marcus podświadomie zwolnili, dopasowując się do niemal sakralnej atmosfery.

Tu i ówdzie widzieli wypełnione wodą stare szyby kopalniane. Czasem pojawiały się tak nieoczekiwanie, że mało brakowało, a wpadliby do środka. Nieduże, bezdenne dziury w ziemi, niegdyś ciasne i niebezpieczne miejsca pracy dla całych pokoleń chłopców i mężczyzn, którzy schodzili na dół, by wydobywać rudę.

Nastąpiła zmiana pogody. Niebo poszarzało, ochłodziło się. Powiał szybki, silny wiatr. Czuło się, że zaraz zacznie padać. Oboje mieli dobre buty i kurtki przeciwdeszczowe, więc nic im nie groziło, choćby nawet lało. Jednak prawdopodobieństwo, że znajdą teraz osmaganka, było bliskie zeru.

Marcus pomyślał, że chciałby kiedyś mieć domek w takim lesie. Gdzie on i Pia mogliby być zupełnie sami. Przez wiele tygodni. Tylko we dwoje. Gdzie mogliby wędrować, zbierać jagody i rozkoszować się przyrodą. W domku czytali, gotowali, może wypiliby po kieliszku wina i kochaliby się. Tak, nadal mówił „kochać się”, chociaż Pia czasem się z niego śmiała. Chyba wciąż uważała, że jest zbyt ostrożny. Z początku chciała, żeby w łóżku był bardziej zachłanny. Jednak Marcus nigdy dotąd nie miał dziewczyny, w każdym razie nie w ten sposób. Nie bardzo wiedział, czego się od niego wymaga. W dodatku uważał, że tego, co robią, gdy są ze sobą, nie można opisać inaczej. Była w tym miękkość, delikatność i szacunek. Miłość, czyli „kochanie się”. Pia wtedy z rozbawieniem klepała go po policzkach i drażniła się z nim. Chętnie używała takich słów jak „kutas”, „pizda” i „pierdolić”, chciała, żeby i on przynajmniej spróbował tak mówić. Sama to lubiła, chichotała wtedy i oczy jej błyszczały. Nawet spróbował, ale zupełnie mu nie szło. Czuł się, jakby miał piasek w ustach. Nie pasowało mu. Raz powiedział „ptaszek” i „cipka”, wtedy już w ogóle nie mogła się powstrzymać. - Czy my jesteśmy małymi dziećmi? - spytała zaśmiewając się.

Deszcz przyszedł z silnym podmuchem wiatru. Zaczął się od pojedynczych kropli, ale już po minucie przerodził się w ulewę. Pia powiedziała, że to ten rodzaj deszczu, który pojawia się i szybko przechodzi. Mżawka mogłaby trwać przez cały dzień, ale tu tak nie będzie. zaproponowała, żeby się skryli pod jakimś drzewem.

Weszła pod jeden z większych świerków, gdzie było tyle miejsca, że mogła siedzieć oparta o pień i nawet nie bardzo skulona. Marcus wszedł za nią. Pociągał nosem, miał nadzieję, że Pia nie poczuje

do niego obrzydzenia. Jego nos nie był przyzwyczajony do lasu. Na szczęście miał przy sobie papierowe serwetki.

- Jak tu przytulnie! - zawołała, gdy już się usadowiła w jamie pod gałęziami świerku.

- Rzeczywiście - przyznał Marcus, ścierając kapkę z nosa.

- Napiję się kawy. Ty też?

Otworzyła plecak, wyjęła termos w szkocką kratę i odkręciła korek.

- E, nie - odparł. - Teraz nie. Tyle już wypilem.

Położył rękę na jej nodze. Uśmiechnęła się, pochyliła, poczochnęła mu włosy i dała szybkiego całusa.

Potem nalała sobie kawy, odstawiła termos i wzięła kubek w obie dłonie. Patrzyła na las z uśmiechem, który zastygł na jej twarzy. Marcus patrzył na Pię. Miała grzywkę mokrą od deszczu. Jeden warkocz zwisał z przodu, drugi na plecach. Jaka ona jest wspaniała. Taka naturalna. Jakie to szczęście, że ją poznał.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Teraz nie słyhać było żadnego ptaka, tylko stłumiony szum ulewy na zewnątrz.

Marcus chwycił jej rękę. Spojrzała tak ciepło i położyła palec na ustach.

- Marcusie - wyszeptała ledwo słyszalnie. - Kocham cię. Las jest naszym domem. Powinniśmy tu zostać. Teraz przez chwilę pomilczymy i nacieszymy się nim. Niedługo deszcz ustanie. Wtedy wrócimy. I po drodze złowimy kilka pięknych motyli.

Jednak deszcz się jeszcze nasilił.

Marcus poczuł, że chce zobaczyć jeszcze inne lasy. Zanim umrze, musi zwiedzić wszystkie lasy świata. Razem z Pią. Będą podróżować, wędrować, odkrywać nowe gatunki owadów, kąpać się w strumieniach, gotować na kocherze i spać w namiocie. I kochać się. W świetle księżyca, na słońcu i w kompletnej ciemności.

Podryfował myślami do zielonych dżungli i czarownych lasów deszczowych. Widział, jak leżą na miękkim posłaniu z mchu albo na ciepłym piasku i pieszczą się nawzajem. Czule, uważnie.

Pia zapewne myślała o tym samym, bo miała rozmarzony i nieobecny wyraz twarzy.

Milczeli przez dłuższą chwilę, gdy kawałek dalej między drzewami dostrzegli jakiś ruch. Szybki. Marcus przysunął się do niej. Była skupiona, spięta. Zwierzę? Uciekająca sarna? Ale przed czym ucieka? Tak czy inaczej, ruch był niemal niesłyszalny. Zaraz. To nie zwierzę.

I wtedy zobaczyli.

Ray.

To Ray biegł między drzewami. Wprost na nich. Ręce wyciągnął przed siebie, głowę skierował do nieba. Woda lała mu się na twarz. Oczy miał zamknięte, usta szeroko otwarte, rozdziawione, pełne wody, która z bulgotem wylewała się z nich jak ze źródła. Mokry sweter opadł na przemoczone skórzane spodnie. Był już w odległości dziesięciu metrów od ich świerka, gdy nagle skręcił w prawo; jakby ktoś go szarpnął za niewidzialną smycz. Poruszał się szybko i bezgłośnie. Nie patrzył pod nogi, mimo to ani razu się nie potknął i nie był bliski przewrócenia się. Niemal frunął nad ziemią.

I tak, jak nagle pojawił się w ich polu widzenia, tak samo szybko zniknął.



*Pierwsze motyle fruwały już sto pięćdziesiąt milionów lat temu razem z dinozaurami pierzastymi. Gdy sto milionów lat temu zaczęły się rozwijać rośliny kwitnące, pojawiły się pierwsze motyle dzienne. Najstarsze znalezisko skamieniałego motyla dziennego liczy sobie pięćdziesiąt milionów lat.*

*Te miliony lat nauczyły ich niejednego.*

*Choćby sztuki przetrwania.*

*Niektóre poczwarki motyla wyglądają jak ptasie odchody. Inne udają ubogie w białko liście. Wszystko to, by nie stać się pożywieniem dla ptaków.*

*Bezpośrednio przed przekształceniem się w postać dorosłą poczwarka staje się zupełnie przezroczysta. Potem oskórek odpada od głowy po skrzydła. Motyl wydobywa się z niego z siłą porównywalną do Houdiniego, króla uwalniania się z łańcuchów, kajdanek i kaftanów bezpieczeństwa. Nowo powstały motyl walczy o wydostanie się, wykonując gwałtowne ruchy odnóżami.*

*Nie można narzekać na brak dramaturgii ze strony natury.*

*Po uwolnieniu się rozpoczyna się kolejna walka. Życie dorosłego osobnika. Przystępuje do niego natychmiast, pompując krew do wilgotnych skrzydeł. Dopiero po ich wyschnięciu, co trwa kilka godzin, motyl jest gotów odlecieć na swoich barwnych żaglach.*

*Metamorfoza. Dopiero co był więźniem zamkniętym w ciemnej, lepkiej i ciasnej celi. Teraz przemienił się w pięknego i wolnego osobnika, który może się kierować własną wolą.*

*Chyba, że kieruje się cudzą.*

## **TRZYDZIEŚCI LAT WCZEŚNIEJ, KILKA DNI PO WYCIECZCE DO LASÓW SORMLANDII.**

Ray siedział w swoim pokoiku, który znajdował się na strychu Muzeum Historii Naturalnej. Przed nim stało na biurku pudełko na buty.

Musi znaleźć więcej czynników łączących. Potrzebował fajnego eksperymentu uruchamiającego tok myślenia. Zabawy. Trochę improwizacji.

Motyle były jego największą pasją. Wykluwały się, fruwały, łączyły w pary, spijały słodki nektar i wydawały się cieszyć swoją egzystencją. Żyły idealnym życiem w idealnym ciele. Jednak rodziły się całkowicie pozbawione miłości i opieki ze strony rodziców. Po długiej walce w pierwszych stadiach rozwoju dojrzałe już motyle oddawały się beztrosce, miłości i radościom życia. Zastanawiał się, jak to możliwe. Jedyne, co dostawały w spadku, to odziedziczona intuicja, która najwyraźniej dawała niektórym gatunkom wręcz magiczne predyspozycje. Doskonała zwierzęca spirala DNA. Czy to jest wszystko, czego potrzeba, żeby teraz żyć na tej dziwnej planecie?

Ray kochał swoją terażniejszość. Cieszył się okazywanym mu szacunkiem, swoją rolą bohatera i naukowymi sukcesami, które rodziły jeszcze więcej sympatii i szacunku.

Czy uda mu się złamać kod? Znaleźć kod do szczęścia pojedynczego człowieka? Do sensu życia jednostki na tym świecie? Byłby wtedy nie tylko nieskończenie szczęśliwy, ale za jednym zamachem stałby się na wieki legendą. Teraźniejszość i przyszłość przekształca się w jedno. Ta perspektywa była warta każdego ryzyka i poświęcenia.

Uchylił przykrywkę pudełka. Na dnie leżało około trzydziestu motyli poczwarek, bliskich następnego stadium metamorfozy. Ich powłoki wydawały się kruche.

Najpierw przez minutę potrzasał pudełkiem delikatnie, wykonując niewielkie, drobne ruchy, jak drgania.

Zajrzał. Żadnego efektu. Drobne ruchy najwyraźniej nie mogły zmienić ani przyspieszyć procesu linienia. Nie zdziwił się.

Następnym razem działał energiczniej. Potrząsał na tyle mocno, że słycać było lekki stuk poczwarek o dno pudełka. Oczekał kilka minut, zanim uchylił wieko. Nadal żadnego efektu. Kilka poczwarek wydawało się wyschniętych i bez życia. Doświadczonym okiem ocenił, że zgasły w rozwoju. W rogu pudełka drgały jakieś łuski.

Wzruszył ramionami. Zawsze jakaś zmiana, pomyślał uśmiechając się do siebie. *Life is hard, deal with it<sup>M</sup>*.

Potrząsając pudełkiem po raz ostatni, pozwolił sobie na serdeczny śmiech. Odczuwał ogromne podniecenie za każdym razem, gdy mógł decydować o życiu i śmierci. Potrząsał mocno, niepohamowanie. Poczwarki obijały się od dna od pokrywki i ścian pudełka, grzechocząc tak, że obudziłyby to zazdrość niejednego zespołu flamenco. Trząsał długo, aż za długo i cały czas się zaśmiewał. W tym rechocie była zarówno bezdenna wściekłość, jak i bezgraniczna radość.

Wyśmiał się i przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu. Uspokoił oddech. Przez okienko w dachu spojrział na nocne niebo. Wieczór był jasny, widać było wiele mrugających gwiazd. Miał przed sobą całe uniwersum. Poczł zadowolenie z siebie i stwierdził pełen nadziei, że fiut nabrzmił mu przyjemnie. Zapowiadał się fantastyczny tydzień. Wszyscy go chcieli. On chciał wszystkich.

A potem otworzył pudełko. Zdjął przykrywkę i zajrzał do środka. Zobaczył jedną wielką mieszaninę martwych owadzi resztek. Jakby do pudełka ktoś wrzucił bombę.

Ale po odwróceniu przykrywki zobaczył, co udało mu się wymusić. Uczepione do niej od spodu były dwa świeżo wyklute motyle.

**NADAL TRZYDZIEŚCI LAT WCZEŚNIEJ, POZNA WIOSNA**

Pia z Marcusem znajdowali się w drodze do Klustret. Aż trudno było im w to uwierzyć. Do Klustret - na imprezę. Ray zaprosił ich, gdy wracali z wycieczki. Jechali jego samochodem i Ray był w znakomitym humorze, mimo że zmókł. Wprawdzie włożył suchą koszulę, którą miał w bagażniku, ale został w przemoczonych spodniach.

Nie spytali go, dlaczego jak szalenciec biegał po deszczu bez kurtki. Czuli, że nic im do tego. Jego sprawa. Nie miejsce na to i nie czas, na pewno nie teraz.

Przez całą drogę do Sztokholmu opowiadał o hodowli jedwabników morwowych i o tym, że nie należy ich wypuszczać na wolność. Taki hodowlany motyl, żeby przeżyć w nowym biotopie, musi mieć dostęp do jedynej właściwej rośliny-żywiciele, żeby mógł złożyć na niej jaja. Raczej nieprawdopodobne, żeby do niej trafił, jeśli się go wypuści ot tak. Problemem jest jednak nie tylko to, że nie potrafi przeżyć wśród dzikiej przyrody. Taki motyl, choć żyjący krótko, może stworzyć poważne problemy dla innych gatunków. Na przykład roznosić choroby i pasożyty. Nie mówiąc już o tym, czego może narobić jego popęd płciowy. Motyl ma w swoim krótkim życiu dwa zadania: podtrzymać przetrwanie swojego gatunku przez spółkowanie i zapewnić roślinom owocowanie przez roznoszenie ich pyłków. Ray opowiedział im wyczerpująco o pewnym amerykańskim badaniu, z którego wynikało, że potomstwo zrodzone w wyniku połączenia wolnych

motyli z hodowlanymi szybko traciło swoje instynkty, w tym instynkt przetrwania. Bardzo łatwo jest zniszczyć coś, co powstało w wyniku tysięcy lat ewolucji, jeśli się nie wie, z czym ma się do czynienia. Mówiąc, żywo gestykulował. Nie mieli wątpliwości, że Ray jest osobą, która wie, o czym mówi.

Marcus i Pia aż promieniali. Pomyśleć tylko: najpierw dał im prywatny wykład, a potem jeszcze zaprosił do swojej komuny na imprezę!

Klustret to duża willa dwa, trzy kilometry od Uniwersytetu i Muzeum Historii Naturalnej, przepięknie położona nad długą i wąską zatoką rozciągającą się między dzielnicami Ulriksdal i Stocksund aż do Sollentuny, nieco ponad dziesięć kilometrów od centrum. Wspaniałe wrażenie psuło tylko to, że z drugiej strony domu i niemal nad jego dachem przebiegał most Stocksund, z którego dochodził nieustający szum samochodów jadących z centrum na północno-wschodnie przedmieścia.

- Przynieście butelkę wina albo dwie. I ulubioną płytę, jeśli taką macie. Właśnie, mamy również odtwarzacz CD. Tematem przewodnim naszej imprezy są pastele, pamiętajcie o tym, gdy będziecie się ubierać. Ale tylko, jeśli macie ochotę, *that is. Very welcome*<sup>1</sup>. - rzucił na koniec przed pożegnaniem się z nimi.

Pia i Marcus nie wiedzieli nic o Klustret poza tym, że mieszka tam kilkoro najzdolniejszych studentów biologii i młodych naukowców. Opowiadano, że wynajęli dom niedrogo od jakiegoś starego i miłego milionera, znajomego Raya.

I oto stali na schodach prowadzących do dużej willi, pełni oczekiwania, każde z nich trzymało torbę, a w niej butelkę francuskiego stołowego wina. Pia czuła, że ładnie wygląda w letnim ubraniu, w białych czółenkach i nowej wiśniowej sukience z wypchanymi ramionami. Zrobiła też coś, czego zwykle nie robiła, mianowicie lekko uróżowała policzki i pomalowała usta jasnoczerwoną pomadką. Marcus włożył chinosa w kolorze pistacjowym i obszerną morelową koszulę z grubej bawełny z podwiniętymi rękawami. Pii udało się nakłonić

go do pewnych ustępstw, zwichrzyła mu włosy i grzywkę usztywniła żelem. Sama zrobiła to samo i tym razem dała spokój warkoczom.

Otworzył im Ray. Jego strój w ogóle nie nawiązywał do pasteli, czyli przewodniego tematu przyjęcia. Ubrany był w lniany garnitur w kolorze kości słoniowej, a pod obficie wypchaną w barach marynarką z podwójnym zapięciem miał rozpiętą białą koszulę. Nogawki spodni podwinięte i stopy bose, bez skarpetek i butów. Przywitał ich, otwierając szeroko ramiona, uściskał i pogłaskał po policzkach. Przyjacielsko i mocno objął Marcusa za ramiona, a Pię w pasie i poprowadził ich w głąb domu.

Weszli do dużego hallu, wysokiego na dwa piętra, z ciemną drewnianą podłogą i szarymi ścianami. Na prawo znajdowały się kręte schody prowadzące na piętro do galerii, która okalała hol. Zarówno tam, jak i na parterze znajdowało się około dziesięciorga otwartych drzwi pokoi, w których członkowie komuny mieszkali, uczyli się i pracowali.

Ray stanął na środku i gwizdnął na palcach.

- Halo, wszyscy! Chodźcie przywitać się z naszymi nowymi przyjaciółmi! Pią i Marcusem. Należą do najzdolniejszych studentów, jakich kiedykolwiek miałem.

Ludzie wychodzili z pokoi, odwracali się na schodach albo wyglądali ciekawie z dwóch dużych wspólnych pomieszczeń. Wprawdzie nie wszyscy ubrali się na pastelowo, ale ogólne wrażenie było takie, że Pia i Marcus poczuli się dopasowani do reszty.

Podeszła do nich drobna dziewczyna o wielkich jasnoniebieskich, nieco sennych oczach i nieoczekiwanie objęła Pię. Potem odwróciła się do Marcusa, oparła mu twarz na piersi, wsunęła mu ręce pod ramiona i łapiąc się dłońmi na jego plecach, chwyciła w długi, mocny uścisk. Marcus nie wiedział, co zrobić, odpowiedział kładąc jej ręce na plecach. Ostrożnie i powoli, jakby parzyła.

- To jest Ursula - odparł Ray. - Nasza ogrodniczka. Zawiaduje uprawami, zarówno na zewnątrz, w ogrodzie, jak i na Zielonym Strychu, *if you see what I mean*.

Pia nie rozumiała. Widziała po Marcusie, że on też nie, tylko się uśmiechał i rozglądał wokoło.

Ursula wypuściła go z objęć, teraz już mogli się przywitać ze wszystkimi obecnymi, mniej więcej trzydziestoma osobami. Byli to zarówno mieszkańcy Klustret, jak i zaproszeni goście. Ktoś włożył im w dłonie po kieliszku kiru z truskawką, która nie wiadomo, czy pływała po wierzchu, czy opadała na dno. Całość miała smak lata zaostzony wódką. Poczuli się naprawdę mile widziani. Ray wziął Pię za rękę i poprowadził w głąb domu. Ursula z Marcusem szli za nimi.

Weszli do widnego pomieszczenia o wielkich oknach wychodzących na cieśninę. Ray powiedział, że to Pokój Przyjaźni. W jednym rogu stał duży stół, na nim półmiski z sałatkami, plackami quiche Lorraine i butelki wina. Ray wyjął ich butelki z torby i postawił obok. W drugim rogu pokoju stał czarny fortepian. Siedział przy nim jakiś blondas, miał krótko ostrzyżone włosy po bokach, ale z tyłu długą kitę opadającą mu na lśniąca, jedwabną marynarkę; brzdąkał smętnie, improwizując. Sprawiał wrażenie, jakby tkwił w szklanej bańce.

Ray zaprosił ich, żeby usiedli na starych, wysiedzianych sofach Chesterfield z tu i ówdzie podziurawionym obiciem. Przed nimi na stoliku stała spora misa z kirem. Ursula dołąła Marcusowi do pustego już kieliszka.

- Kocham was, że przyszliście - odezwał się Ray do Pii. - Będzie *lovely* poznać was bliżej. Wydaje mi się, że spodoba wam się u nas. Wszyscy mieszkańcy Klustret są bardzo autentyczni.

- Autentyczni? Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała.

- Jesteśmy do siebie dość podobni. Większość wybrała życie w prawdzie. Być może wynika to stąd, że jesteśmy mniej lub bardziej związani z uniwersytetem i nauką. Odnosimy się krytycznie do starych prawd i nie wierzymy w dogmaty. Wiemy, że rzeczywistość podlega ciągłym zmianom. Chodzi o to, *aby follow the flow*. Na tym polega bycie autentycznym, prawdziwym. Co ty na to?

Pia spojrzała na Raya. Namyslała się, jednak miała wątpliwości.

- Autentyczny... Nie, jakoś nie. Wydaje mi się, że autentyczne to coś, co naśladuje rzeczywistość. Jak w filmie, w którym aktorzy odegrali autentyczne sceny, by opowiedzieć o czymś, co zdarzyło się w rzeczywistości.

Ray zaśmiał się. Pochylił się i chwycił jej rękę.

- Ha, ha. Pia, naprawdę jesteś autentyczna. Wdajesz się w taką rozmowę, gdy wieczór jeszcze wczesny - to świadczy o tym, że jesteś bardzo prawdziwa.

Pia z dumną miną ciągnęła swoje rozumowanie:

- Ależ tak! Opisywanie rzeczywistości jako prawdziwej albo autentycznej to jakby nakładanie drogi. Rzeczywistość jest jaka jest: albo jest, albo jej nie ma. To samo z autentycznymi osobami. Według mnie ludzie albo są, albo ich nie ma. Dopóki człowiek jest, chyba nie jest autentyczny? Dla mnie autentyczna jest ewentualnie woskowa kukła przedstawiająca człowieka. A człowiek jest chyba... ludzki, nie?

- Jesteś absolutnie *wonderful*. Ale z ciebie filozofka! Na pewno masz rację, to znaczy co do swojego oglądu świata. Jednak ja i tak chcę być autentyczny. Dla mnie to znaczy, że na nic nigdy nie ma jednej odpowiedzi. Nigdy nie mogę być do końca pewien, czego szukam. Nigdy nie mogę być pewien, dokąd zmierzam, ponieważ wszystko się zmienia. Widzę jakiś odległy cel *far away* i im bliżej niego jestem, tym więcej wyłania się szczegółów. To, co brałem sobie za cel, jest teraz zupełnie inne, znacznie bardziej złożone. Zatem nic nie jest prawdą na wieki, czyli najlepsze, co mogę zrobić, to starać się być autentycznym tu i teraz. Tak prawdziwym, jak tylko potrafię, wychodząc od tego, co wiem dziś. Prawda jest zmienna, jutro wstanie nowy dzień, przynosząc nową wiedzę. Rozumiesz?

Zapadło milczenie. Pia pomyślała, że znów się wpędziła w pułapkę. Że za łatwo przychodzi jej osądzać ludzi. Szufladkować. Nie powinna ulegać tak czarno-białemu myśleniu. To, co mówił Ray, zabrzmiało całkiem rozsądnie. Trzeba wytyczać nowe kierunki myślenia, przewartościowywać, wykazać odwagę.

- Okej. Teraz chyba rozumiem, co masz na myśli.



- W dodatku to takie ładne słowo: autentyczny.

- Tak, rzeczywiście.

Siedzący po drugiej stronie stolika Marcus rozmawiał z Ursulą. Śmiali się, jego kieliszek znów był pusty. Pii wydawało się czasem, że Marcus pije trochę za szybko. W krótkim czasie potrafił naprawdę sporo golnąć. Nie był wtedy bynajmniej nieprzyjemny; przeciwnie, stawał się jeszcze miłszy i przyjaźniejszy. Jednak co w tym dobrego, że człowiek się upije?

- Marcus, pójdziemy coś zjeść?

- Oj tak, jestem strasznie głodny.

Wstali i poszli wziąć sobie coś do zjedzenia. Pia spytała, o czym rozmawiał z Ursulą, że tak się śmiali. Powiedział, że o niczym szczególnym, Ursula opowiadała, że mieszka w Klustret od dwóch lat i świetnie się tu czuje.

Chcieli wrócić na sofę, ale ich miejsca były już zajęte. Ray siedział otoczony dworem nowych słuchaczy. Pia poczuła ukłucie zazdrości, bo teraz trzymał w dłoniach ręce innej dziewczyny. Liczyła na to, że będzie mogła z nim dłużej porozmawiać. Może później się uda.

Wyszli na taras, gdzie było kilka wolnych miejsc. Poniżej trawnik schodził ku zatoce. Koło zaniedbanego hangaru na łodzie i chybotliwego pomostu cumował stary kuter rybacki. Miał około piętnastu metrów długości, o ścianę sterówki stały oparte stare flagi łososiowe<sup>35</sup>. Lekko powiewały na wieczornym wietrze.

- Zobacz! - Pia pokazała na kurter. - Widzisz napis na kadłubie?

- M/5 Klustret. Ale ekstra!

- Ciekawe, czy pływają nim latem.

- Na pewno. Wydają się bardzo zżyci.

Idąc na taras, Marcus wziął ze sobą butelkę wina. Nalał sobie do kieliszka i wypił spory łyk.

35 Zwyczaj niektórych szwedzkich rybaków - po złowieniu łosiosia wywieszają oni specjalną flagą.

Obok siedzieli Bitte i Órjan. Oboje byli studentami studiów podyplomowych i mieszkali w Klustret. Cała czwórka przedstawiła się sobie nawzajem i już po chwili wdali się w poważną dyskusję o nauce i rozwoju osobistym. Boże, pomyślała Pia, ci ludzie z Klustret naprawdę są tacy jak ona z Marcusem. Chcą się rozwijać i poczuć, co naprawdę znaczy żyć. A może zwolni się tu jakiś pokój? Nie musieliby patrzeć na ponure miejsce, w którym dotąd mieszkali. Nie było tam nikogo, z kim można by poważnie porozmawiać. Lokatorzy chcieli tylko oglądać transmisje telewizyjne hokeja na lodzie i żłopać piwo.

Postanowiła mówić każdemu, kogo spotka, że ona i Marcus chętnie by tu zamieszkali, gdyby ktoś miał się stąd wyprowadzać.

Marcus przyniósł następne dwie butelki, dolał sobie i wszystkim pozostałym do kieliszków. Rozmowy toczyły się coraz głośniejszą miarą, jak muzyka grała coraz mocniej. Ludzie zaczęli tańczyć.

Gdy rytmiczny riff gitarowy z *The Passenger* Iggy'ego Popy rozbrzmiał na cały regulator, na tarasie pojawił się Ray z Ursulą. Podskakując, wołali, że wszyscy mają tańczyć. Ray złapał za rękę Pię i pociągnął za sobą. W środku kłębił się tańczący tłum. Ursula pociągnęła Marcusa.

Jednak nie wylądowali na parkiecie w dużym holu. Marcus biernie podążył za Ursulą, która wbiegła na schody. Zabawa zmieniła charakter, zniknęła pastelowa świeżość, która była jak bezpieczny dezodorant. Atmosfera zrobiła się gorąca, czuć było pot i zapach słodkiego dymu. Na schodach minęli kilka migdalących się par. Dym z papierosów zaległ jak chmura pod sklepieniem wysokiego holu.

Ursula otworzyła drzwi, za którymi stała stara drabina prowadząca na strych. Zamknęła je za sobą, zrobiło się ciszej. Zaczęła pierwsza wchodzić po drabinie. Miała szeroką spódnicę, Marcus nie mógł się powstrzymać, żeby nie spojrzeć w górę na jej nogi. O kurczę, a co to? Nie ma majtek? Wdrapując się za nią, czuł się rozdygotany i pijany. Zawział się, żeby już nie szukać wzrokiem jej jasnego kosmyka.

Dotarli na górę, do pomieszczenia, które nie było zwykłym strychem. Mimo obracających się licznych wentylatorów było tu trzydzieści stopni ciepła. Na stropie umocowano około dziesięciu lamp grzewczych, które oświetlały wnętrze na żółto. Całą podłogę pokrywały setki skrzynek balkonowych oddzielonych wąskimi przejściami. Wiły się po nich gumowe węże do nawadniania.

Ursula podeszła cicho i objęła Marcusa w pasie.

Nigdy czegoś podobnego nie widział. Pomyśleć tylko, że zwykły strych da się zamknąć w fascynującą dżunglę. Przypomniał mu się strych w jego rodzinnym domu na Eriksbergsgatan, pełen zaryglowanych składzików pooddzielanych drucianą siatką, obwieszonych kłódkami.

Między sadzonkami dumnie wyrastającymi ze skrzynek fruwało mnóstwo motyli.

- Popatrz, Marcusie. To monarchy, najsilniejsze spośród motyli wędrownych. Przywiezione z Meksyku przez Raya. Uwielbiają obfity nektar z tych roślin. I wiesz, są to również najpopularniejsze rośliny--żywiciele dla larw monarchów. Jeśli przyjrzesz się dokładniej, między liśćmi zauważysz ich mnóstwo. W czarne, żółte i białe paski. Tak więc mamy w Szwecji własne motyle monarchy. Rzecz jasna, tylko tu, na Zielonym Strychu.

Spojrzała na niego, sprawdzając, jak zareagował. Patrzył na strych. Było to nic innego jak fabryka, wielka hodowla motyli.

- Wow - tylko tyle umiał wydusić z siebie.

- Spójrz. To też uprawiamy. To roślina, na której motyle najchętniej składają jaja. Jest silnie trująca, co chroni jaja przed ptakami i innymi wrogami, bo larwy też stają się trujące.

- Więc te larwy... jedzą truciznę?

- Oczywiście, to są magiczne owady! W dorosłej postaci już nie są takie wybredne. Piją nektar z również z wielu innych roślin.

- Ale obłąd.

- Jednak przede wszystkim, jak widzisz, hodujemy to чудо. Piękna, prawda?

Wzięła jedną sadzonkę i przesunęła kciukiem po liściu.

Marcus był pod wielkim wrażeniem tego, co tu zobaczył. Zielone rośliny, kwiaty w kolorze pomarańczy i mnóstwo motyli w tym samym płomiennym odcieniu. Panujące tu wilgotne gorąco można było niemal wziąć do ręki. Totalnie nierealne wnętrze. Cudowne.

- Jak się nazywa ta roślina? Nigdy takiej nie widziałem.

- *Asclepias tuberosa*. W Stanach nazywana *Butterfly Weed*. Można powiedzieć, że dla nas też jest rośliną-żywicielem. Podobnie jak inne cuda, które odpowiadają naszym zmysłom. Nie tylko larwy motyli powinny mieć dobre życie.

Spojrzał na nią pytająco. -Jak to?

Przekrzywiła głowę z pobłażliwą miną.

- Nie kojarzysz?

- Nie...

- Rozumie się, palimy je.

Po tańcach w rytm przebojów Clash, Frankie Goes to Hollywood, Madonny, Eurythmics i Depeche Mode, Ray i Pia spływali potem. Gdy wielkie głośniki zazgrzytały power balladą Bryana Adamsa, Ray chwycił Pię za rękę i szybkim krokiem poprowadził ją przez taras z tyłu domu, a potem w dół do hangaru na łodzie.

Niszczący hangar kiedyś był zapewne pomalowany na czerwono. Teraz deski mieniły się szarością, były suche i szorstkie jak osmalane wiatrem policzki starej babci. Cienkie szyby w okienkach ze szprosami były wypukłe i nierówne.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Ray włożył rękę do środka i kilkakrotnie przekręcił wyłącznik wielkiego kontaktu, który po chwili zareagował. Zapaliła się zwisająca z sufitu szklana kula,

pokryta grubą warstwą pajęczyny. Przedostawało się przed nią słabe światło.

Ray zdjął przepoconą koszulę i usiadł na wąskiej rampie biegnącej wzdłuż ścian. W basenie było miejsce na tylko jedną łódkę, ale chyba dawno żadna tu nie cumowała. Przez szeroki otwór hangaru wychodzący na cieśninę widać było połyskujące fale. Niemal nie dochodził tu hałas samochodów z mostu nad ich głowami.

Dudnienie muzyki wydawało się bardzo odległe.

- Chodź tu, siadaj! Najlepszy sposób, żeby się szybko ochłodzić, to zanurzyć stopy w wodzie. Ale żeby był skutek, musisz zanurzyć całe stopy. *Come on!*

Pia zdjęła czółtenka, lekko podwinęła sukienkę i usiadła obok. Kilka razy pociągnęła za sukienkę pod szyją, wietrząc ciało i włożyła nogi do wody. Palily ją policzki. Tyle wina, tańców. Nie była do tego przyzwyczajona.

- Boże, jak cudnie.

Nie mówili nic przez dłuższą chwilę, chłodząc się w zimnej wodzie. Pia poczuła się nieco mniej pijana.

Zlustrowała go wzrokiem, starając się nie przyglądać zbyt natarczywie. Na barkach i wzdłuż ramion miał długie, wąskie blizny biegnące w różnych kierunkach. Wyglądały prawie jak u niewolnika, Kunta Kinte, z serialu telewizyjnego, który oglądała w dzieciństwie. Wąski, ale muskularny tors był porośnięty gęstym, krótkim włosiem. Poniżej linii piersi, do pępka, była to wąska kreska, która rozszerzała się i znikwała pod dużą klamrą paska. Marcus tak nie wyglądał. Miał włosy tylko wokół brodawek, długie i dość rzadkie.

Ray wydał jej się bardzo piękny.

Po chwili przerwał milczenie. Chwycił jej rękę i trzymał w obu dłoniach.

- Pia, *do you trust me?*. Zrobiła zdziwioną minę.

- Oczywiście.

- Widzę, że wam się tutaj podoba. Od razu to wyczułem. Oto dwie osoby, które pasują do Klustret, tak pomyślałem.

Nic nie mogło być wspanialsze od tego, co właśnie powiedział Ray. Pia aż zajaśniała, jakby się ścigała z falami w zatoce.

- Chciałbym, żebyście się tu wprowadzili - ciągnął. - Wkrótce będzie wolny jeden pokój, bo Jockum i Helena wyjeżdżają do Kanady. Dostali *scholarship* na University of Saskatchewan i zaczną od jesiennego semestru. Jednak wyjeżdżają już teraz, późną wiosną, na badania terenowe monarchów.

- Ojej, to fantastycznie. Który to pokój?

- Pierwszy na prawo od schodów. Duży, z piecem kaflowym. I ma portfenetr<sup>36</sup>. Mieszkalibyśmy na tym samym piętrze.

- Porozmawiam z Marcusem, ale jestem prawie pewna, że czuje to samo co ja. Bardzo chętnie się tu wprowadzimy.

- Ale się cieszę! *Amazing people, very welcome*. Dobrze się wami zaopiekujemy. Pewnie zauważyłaś, że kochamy naukę i eksperymenty. Mieszkają tu najlepsi z najlepszych. Nauczymy was wszystkiego, co sami umiemy. Jesteśmy autentyczni. *Trust me*.

Wziął ją w objęcia i trzymał długo. Policzek Pii znalazł się na jego nagiej piersi. Poczowała się jak w objęciach misia. Pachniał lasem. Wrócił stan upojenia. Radości, śmiechu, miłości, przyjaźni.

- Pia, musimy to uczcić! A potem poszukamy Marcusa, zobaczymy, co powie.

Ray sięgnął w dół do występu znajdującego się pod rampą i wyjął stamtąd drewnianą skrzynkę. Postawił między nimi i zdjął wieczko.

Pia spojrzała do środka i zrobiła wielkie oczy. Nie miała doświadczenia z czymś takim. Co on chce z tym zrobić?

W skrzynce znajdowała się prosta czarna fajka z ornamentem na cybuchu i główce. Obok leżała starannie zamknięta plastikowa torebka brązowozielonych liści z mnóstwem drobnych pomarańczowych płatków.

36 Wysokie okno sięgające od podłogi do sufitu.

Serce pompowało energię. Mięśnie i mózg współpracowały na całego. To był taniec, który się nigdy nie skończy. Czas stanął w miejscu.

Dudnienie. Basy. Muzyka bębniła w takt bicia ich serc. Rytm był wychwytywany przez uszy i włoski na całym ciele, przekazywany dalej do każdej komórki.

Pia spojrzała na Marcusa tańczącego w mrugającym dyskotekowym świetle stroboskopowym. Nigdy go takim nie widziała. On też był piękny, cudowny i wolny. Ruszał się jak Michael Jackson, jak rytmiczny wiatr. Lekko, miękko, na niesamowitym luzie. Falując ogromnym podbrzuszem. Pia go nie poznawała. Jakby monstrualny wąż miał rozsadzić spodnie i wić się w górę po jej nodze.

Tyle, że inaczej niż Michael Jackson, Marcus głośno się śmiał. Nie mógł przestać. Od kwadransa bez przerwy się zaśmiewał, a jego śmiech mieszał się z basowymi pochodami z *Billie Jean*. Parkiet wydawał mu się miękki jak łóżko wodne, a mimo to panował nad każdym mięśniem.

Tańczyli zaraz obok wielkich głośników stojących na podłodze w holu. Fale dźwiękowe wprawiały zebra w wibracje.

Pia czuła się atrakcyjna. I podniecona, nieprawdopodobnie podniecona. Gwałtownie poruszała głową i miała wrażenie, że jej długie włosy fruwały w przyśpieszonym tempie po całym pomieszczeniu, muskając twarze wszystkich tańczących. Wyplątała się z majtek i kopnięciem posłała je pod głośnik. Była naga pod sukienką, pot spływał z piersi na brzuch i uda. Czuła się seksowna jak nigdy. Była samicą w rui, a Marcus samcem, który tokuje, żeby zdobyć jej łaski. Chciała poczuć jego węża, jak się wije po jej pupie. Potarła go pośladkami. Szturchnął ją, wibrował i śmiał się.

Wyhodowany w Klustret Butterfly Weed zapewnił im wręcz zwierzęce doznania. Wcześniej żadne z nich nigdy nawet nie popalało. Teraz jednak, gdy każde z osobna odkaszlnęło pod okiem doświadczonych nauczycieli Ursuli i Raya, szybko się nauczyli. Mogli się

już zaciągać na całego i poczuć pierwszego kopa, który okazał się absolutnie oszałamiający. Gdy potem znów spotkali się na parkiecie, natychmiast poczuli, że nadają na tej samej fali. Na wibrującej częstotliwości, której najchętniej nigdy by nie opuszczali.

Przeszłość i przyszłość się zatarły. Liczyło się tu i teraz. Przeżywanie ekstazy ciała było cudowne. Jakby mieć seks trwający wieki, chociaż bez narządów płciowych. Ależ się pieprzyli w tańcu. Całe długie godziny.

Znajdowali się wśród przyjaciół, byli razem i mieli rozbudzone zmysły, które w ciągu kilku godzin doznały więcej niż przez całe dotychczasowe życie. Wszystko związane z Klustret było fantastyczne.

Znaleźli tu swój dom.

Gdy przez wielki hol popłynęły dźwięki *Like a Virgin* Madonny, zgasło światło. Ściszone nieco muzykę. Wiele osób przestało tańczyć. Kołysząc się miękko na nogach albo podskakując, stanęli twarzami do środka holu. Coś się miało wydarzyć, niektórzy nawet wiedzieli co.

Ktoś stojący na galerii zapalił reflektor. Snop światła przeszukiwał hol.

Muzyka grała dalej. *Like a Virgin*.

*Touched for the very first time.*

Ci spośród gości, którzy wiedzieli, co się dzieje, zaczęli klaskać i rytmicznie wołać chórem: NOCNY MOTYL! NOCNY MOTYL! NOCNY MOTYL!

Ci, co nigdy wcześniej tu nie byli, szybko dołączyli. Pia z Marcu-sem podskakiwali, wołali i klaskali do rytmu: NOCNY MOTYL! NOCNY MOTYL!

Światło reflektora znalazło to, czego szukało. Na skraju parkietu. Chór wydał radosny okrzyk:



TAAAAAK!

Mała Ursula frunęła nad podłogą tanecznym krokiem jak rusalka. Owinęła się wielką płachtą pomarańczowego jedwabiu, który jak skrzydła łopotał za nią, gdy wirowała po parkiecie. Cienki materiał często odsłaniał jej ciało, okryte jedynie jedwabiem i światłem reflektora.

W stronę uśmiechniętej Ursuli wyciągały się ręce, dotykała ich swoimi dłońmi i swoim ciałem. Głaskali jej włosy, policzki, piersi, ramiona i pośladki.

Przez minutę, dwie tańczyła na środku ze spuszczonego wzrokiem i rękami splecionymi nad głową. Stojący dookoła klaskali do rytmu.

Potem znów zawirowała i tanecznym krokiem zaczęła sunąć na schody.

Światło reflektora podążało za każdym jej krokiem. Czasem wychylała się nad poręczą schodów i posyłała wszystkim całusy. Rozległy się okrzyki na wiwat: NOCNY MOTYL! NOCNY MOTYL!

Ray stał na szczycie schodów. Wyciągnął do niej ramiona, ale jego wzrok był skierowany przed siebie.

Wywyższony, spokojny, majestatyczny i oczywisty. Czekał na nią. Należała do niego.

Gdy Ursula wsunęła się w jego objęcia, na twarzy Raya pojawił się uśmiech zadowolenia. Otoczył ramieniem jej nagą talię i poprowadził do swojego pokoju.

Uśmiechnęła się do niego z wyrazem szczęścia.

*Cant you hear my heartbeat?*

*For the very first time.*

Kilka dni przed świętem Midsommar Jonas przyszedł jeszcze raz do Muzeum Historii Naturalnej, żeby dowiedzieć się, czy Gry Oda zdobyła jakieś informacje o jego biologicznych rodzicach.

Mimo słońca i żaru lejącego się z nieba, w wielkim kamiennym budynku było zimno. Centralne ogrzewanie wyłączano w maju, więc w pomieszczeniach wydziału entomologii robiło się ciepło dopiero w sierpniu.

Gry Oda była ubrana w kraciatą flanelową koszulę i zielone ocieplane spodnie marki Fjallraven. Zapraszając go na sofkę pod oknem, jaśniała jak słońce. Pomyślał, że to dobry znak.

Znaczyło to jednak tylko tyle, że Gry Oda jak zwykle nie posiada się z radości.

- Jonasie, niestety nie znalazłam żadnego śladu po twoich rodzicach! Rozczarowanie podziałało jak zimny prysznic.

- Zupełnie żadnego?

- Żadnego. W każdym razie w naszych archiwach.

- To ja już nie wiem, co robić - odparł z rezygnacją, odchylając się do tyłu na sofce.

Zapadła cisza. Miał pustkę w głowie.

Gry Oda nalała kawy z termosu i postawiła filiżankę na stoliku przed Jonasem. Podsunęła mu talerz z ciasteczkami.

- O czym teraz myślisz? - zapytała po chwili.

Między jego brwiami pojawiła się fałda. Spojrzał jej w oczy, wypił łyk kawy i nachylił się, sięgając do teczki po mapę.

- Mogę pani coś pokazać?

Ale zanim pokazał mapę, krótko streścił, co jemu i jego przyjacielom udało się ostatnio odkryć.

Okazało się, że tamtego lata nie tylko on został porzucony jako niemowlę. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy zniknęli jego rodzice, a on został znaleziony na Gotlandii, to samo zdarzyło się jeszcze trojgu innym dzieciom w różnych miejscach Szwecji. Nawiązał kontakt z kobietą, która jest jednym z tych dzieci i która wraz z nim usiłuje rozwikłać tę zagmatwaną sprawę.

Gry Oda patrzyła na niego z narastającym zdziwieniem.

- Niech pani spojrzy.

Rozwinął mapę i pokazał miejsca, gdzie według ustaleń Bjornego znaleziono dzieci.

- Sam nie wiem, po co pani to pokazuję, ale coś mi mówi, że jest jakiś związek, którego my nie dostrzegamy, a pani może go odkryć.

Gry Oda włożyła okulary do czytania i pochyliła się nad mapą. Przesuwała palcem od miejsca do miejsca.

Trwało to chwilę. Wodziła palcem tam i z powrotem. Jonas jej nie przerywał.

Podniosła wzrok i spojrzała znad okularów.

- Jest związek. Oczywiście, że jest!

Jonas machnął przed sobą zaciśniętą pięścią.

- Wow, wiedziałem! Czuję to. Co to za związek?

- Wszystkie miejsca, zaznaczone przez ciebie na mapie, to siedliska motyli.

- Co? Siedliska motyli?

- Tak, to miejsca, gdzie motyle mają szczególnie dobre warunki do życia. Gdzie mogą się łączyć w pary i składać jaja. Są tam rośliny, którymi larwy mogą się żywić i bezpiecznie przekształcić się najpierw w poczwarki, a z czasem w imago, czyli stać się motylami. Często są to miejsca wilgotne, osłonięte przed wiatrem, które jednak może

nagrzać słońce. Miejsca, które wskazałeś, to jedne z najlepszych siedlisk motyli w całej Szwecji. To niesamowite, co mi powiedziałeś. Że w siedliskach motyli ktoś zostawiał niemowlęta na łasce losu. Jonas był tego samego zdania.

Motyle, wciąż te motyle. Co on ma z nimi wspólnego?

Gry Oda nalegała, by opowiedział wszystko, co wie na temat dzieci znalezionych w siedliskach motyli. Jonas powtórzył, to co wiedział, choć było tego niewiele. W miejsce jej zwykle radosnego nastroju pojawiło się poważne skupienie. Niespokojnym gestem przesuwając ręką po głowie.

- Wiesz, coś mi przyszło na myśl.

- Okej...

- Powiedziałaś ci, że nic nie wiem o twoich biologicznych rodzicach.

- Tak...

- Bo nie wiem. Nie ma ich w naszych spisach. Nie bronili prac dyplomowych, to nie ulega wątpliwości. W każdym razie nie u nas. Więcej nie wiadomo, koniec, kropka. Gdyby studiowali w dzisiejszych czasach, byłoby znacznie więcej śladów, bo teraz wszystko zapisuje się cyfrowo. Ale myślę, że jednak mogę coś o nich wiedzieć.

- Ojej... Słucham.

Wzięła ciasteczko i starannie je pogryzła, dopiero po chwili ciągnęła dalej.

- Mniej więcej w tym czasie, gdy prawdopodobnie studiowali twoi rodzice, był tu wybitny młody naukowiec, Ray Gradino. Pochodził z Teksasu w USA i miał takiego nosa do nauk przyrodniczych, że na jedno stulecie rodzi się tylko kilku takich.

Jonas kiwnął głową, że słucha i czeka na dalszy ciąg. Gry Oda opowiedziała mu o legendarnym Rayu i jego doktoracie. Był najmłodszym doktorem w historii wydziału. Rekord niepobity

do dziś. Miał tak niezwykłą charyzmę jako wykładowca, że wielu młodych naukowców wybierało wtedy ścieżkę entomologiczną tylko dlatego, że uczył tam Ray. Jak magnes przyciągał młode talenty i sprawiał, że rozkwitały. Gry Oda często wtedy wyjeżdżała, prowadziła badania za granicą, głównie w Ameryce, więc nie współpracowała z nim przy żadnym projekcie. Jednak ci, którzy brali w nich udział, mówili, że był jak maszyna. Pracował dzień i noc i tego samego domagał się od swojego otoczenia. Zresztą wszyscy chętnie to robili, bo tyle dostawali od niego w zamian.

Trajkotała jak najęta, od czasu do czasu robiła przerwy, żeby się upewnić, czy Jonas nadaża.

- Więc pomyślałam, że może twoi rodzice należeli do jego kręgu.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Zaraz ci powiem. Pod koniec zrobiło się mocno nieprzyjemnie.

- Pod koniec?

- Ray był błyskotliwym naukowcem, ale miał też wady. I to liczne, jeśli mam być szczerą. Mówiło się, że prowadził dziwne doświadczenia. Nigdy tego nie udowodniono, ale krążyły pogłoski o kuriozalnych doświadczeniach na zwierzętach. Stworzył jakąś tajemniczą hipotezę i był nią coraz bardziej opętany. Nie wiadomo, czego dotyczyła. Był również założycielem komuny w pewnej willi niedaleko stąd, gdzie, jak słyszałam, wyprawiało się różne brewerie.

To nie był koniec, wręcz przeciwnie.

Opowiedziała ze szczegółami, żywo gestykulując, że mieszkańcy domu przypominali sektę. Zajmowali się badaniami w różnych dziedzinach nauk przyrodniczych i wyznawali pogląd, że postęp w nauce należy osiągać za wszelką cenę, nawet jeśli wymaga przekroczenia granic etycznych. Byli kompletnie opętani testowaniem nowych granic i nie wahali się sami poddawać tym doświadczeniom. Zgodnie z zasadą, że nie ma różnicy między naukowcem a osobą prywatną. Dla dobra nauki należało się pozbyć wszelkich hamulców.

Gry Oda zaznaczyła, że to, co mówi, jest oparte na krążących pogłoskach, zwłaszcza gdy chodzi o pieprzne szczegóły z szalonych

impres i sugestie o uprawianiu wolnej miłości. Śledziła to z dystansu, dzięki plotkom powtarzanym po cichu przy kawie.

Zatrzymała się na chwilę, kilka razy głęboko odetchnęła, potem ciągnęła dalej:

- Kto wie, może twoi rodzice też tam mieszkali?

Genialni badacze, fundamentaliści nauki, sekty, imprezy z dragami i rozwiązyły seks? W dodatku miało się to odbywać w tej samej, przyzwoitej dzielnicy, w której się wychował. Niepojęte. Jonas starał się przetrwać informacje, którymi go zasypała.

Za szybko.

- Zaraz, zaraz, dlaczego mieliby tam mieszkać? Na jakiej podstawie pani łączy tego Raya z moimi rodzicami? To znaczy, z moimi biologicznymi rodzicami.

- Bo widzisz, prawie o tym wszystkim zapomniałam, jednak im dłużej o tym myślę, tym bardziej mi się wszystko zgadza. Chodzi o to, że Ray zniknął mniej więcej w tym samym czasie co twoi rodzice.

- Co takiego?

- Tak, komuna została rozwiązana. To musiało być zimą albo wiosną, przed tym, jak cię znaleźli na Gotlandii. Coś się wydarzyło, chociaż nie jest jasne co. Ray chyba wyjechał ze Szwecji, a pozostali wyprowadzili się i rozproszyli w różne strony. Pamiętam, że u nas na entomologii i innych wydziałach, które miały studentów albo doktorantów z komuny wielu poczuło wtedy ulgę. Wrócił błogi spokój. Wprawdzie nie było do końca jasne, kto tam mieszkał albo bywał. Nikt tego nigdy nie dochodził. Wszyscy odetchnęli i tyle. Dom nagle opustoszał i po poprzednich lokatorach nie został nawet ślad. Wiem, bo potem przyszła tu policja i wypytywała o Raya. Policjanci powiedzieli, że dom jest pusty. Zniknął nawet cumujący tam stary kuter rybacki.

- Ale dlaczego policja szukała Raya?

- Podobno jego rysopis pasował do pewnego poszukiwanego.

- Ta historia staje się coraz bardziej pokręcona. Co on zrobił?

- To była paskudna sprawa, mam nadzieję, że nie miała nic wspólnego z Rayem. Zresztą z tego co wiem, nigdy nie postawili mu formalnie zarzutu, a po jego zniknięciu nie został za nim wydany list gończy. Policja nic na niego nie miała, tylko amerykański lub angielski akcent i ogólnikowy rysopis, to wszystko, jeśli pamiętam. Pewnie wiele osób pasowało do tego opisu. Tak czy inaczej, ten poszukiwany rzekomo płacił narkomanom w Sztokholmie, żeby próbowali nowego narkotyku czy też lekarstwa. Jak się okazało, było śmiertelnie groźne. Padali po nim jak muchy.

Pokój pachniał bzem i kurzem. Okienko w dachu ze staroświecką wypukłą szybą było lekko uchylone. Silny, późnowiosenny wiatr przyniósł zapach kwiatów z ziemi aż na poddasze dostojnego gmachu muzeum. Mimo nieregularnych kształtów, spowodowanych skosami i przewodami kominowymi, ściany czterometrowego pokoiku zostały całkowicie zabudowane regałami z ciemnego drewna.

Była to rzeczywiście mansarda, tak jak zapowiedziała Gry Oda, zostawiając Jonasa koło windy, poinstruowawszy, jak ma trafić do kamiennych schodków na końcu korytarza, które zaprowadzą go na samą górę. Nie poszła z nim, bo miała umówione spotkanie, ale wyraźnie dała mu do zrozumienia, że może siedzieć w dawnym gabinecie Raya jak długo zechce.

A więc tutaj przesiadywał nauczyciel jego rodziców, gdy opracowywał wyniki swoich badań? I choć na swoim wydziale uchodził za wschodzącą gwiazdę i mógłby otrzymać wspaniały gabinet z widokiem na Brunnsviken i Hagaparken, to najwyraźniej wolał siedzieć w atmosferze ascetycznej ponadczasowości, przy skromnym, prostym biurku, które równie dobrze mogło należeć do biednego kaznodziei z XVI wieku na głębokiej szwedzkiej północy.

Jonas usiadł ostrożnie na szczebelkowym krześle przy biurku. Wydawało się zdezelowane, ale okazało się stabilne. Błat biurka był pusty. Przesunął po nim dłonią. Był wytarty, ale twardy jak kamień i jeśli kiedykolwiek był na nim lakier, to już dawno połączył się w jedno



z drewnem. Żadnych szpar czy pęknięć na powierzchni. Odsunął małą szufladkę pod blatem. Leżało w niej kilka żółtych ołówków, pudełko zapalek i suche resztki czegoś, co wyglądało jak przyprawa ziołowa.

Ciekaw był, kto - jeśli w ogóle - korzysta obecnie z tego pokoiku. Nie dostrzegł żadnego gniazdka elektrycznego ani wejścia do sieci, a wątpił, by sygnał sieci bezprzewodowej mógł przebić się przez ceglana podłogę. Nie, pokoik został chyba zapomniany. Czy jest tu jakiegokolwiek światło poza dziennym? Owszem, ze stropu zwisała wielka lampa naftowa. Bardzo okazała, wyglądała, jakby pochodziła z jakiegoś starego statku. Zdecydowanie za duża do tego pomieszczenia wielkości schowka.

Schowka na tyle małego, że siedząc przy biurku, mógł sięgnąć do niemal każdej książki na półkach regałów. Była to głównie literatura naukowa, przeważnie z dziedziny entomologii i biologii. Grube wydawnictwa encyklopedyczne i cienkie prace naukowe. Większość miała skromne grzbiety w przykurzonych barwach i o suchu brzmiących tytułach wypisanych niedużą neutralną czcionką. Widać nauka była tak interesująca sama w sobie, że nie potrzebowała marketingu. Dostrzegł też kilka klasycznych powieści, na tyle starych, że sprawiających równie skromne wrażenie.

Jonas myślał o tym, co Gry Oda opowiadała o Rayu. Zapalenie, któremu wydawało się, że jest bliski rozwiązania wielkiej entomologicznej zagadki stanowiącej wyzwanie dla całych pokoleń uczonych: w jaki sposób wędrujące motyle trafiają z powrotem do miejsc, gdzie urodzili się ich rodzice albo jeszcze dawniejsze pokolenia? Opowiadała również o kanadyjskim naukowcu nazwiskiem Urąhart, który ponoć w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zaszedł w swoich badaniach całkiem daleko, jednak nie udało mu się do końca wyjaśnić, jak to się dzieje. Brakowało jednego ogniwa, a może więcej niż tylko jednego. Na jaki trop wpadł Ray? Tego się nie dowiedzieli, ponieważ Ray zniknął, rozwiął się jak dym, zabierając ze sobą wszystkie wyniki swoich badań. Nie wiadomo czy dokonał jakichś rozstrzy-

gających odkryć. Gry Oda powiedziała, że według niektórych Ray był zwykłym blagierem i dlatego musiał uciekać z podwiniętym ogonem.

Jonas poczuł olśnienie. Zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu. Oddychał spokojnie, usiłując nie myśleć o niczym. Z początku nie wychodziło, miał gonitwę myśli. W ostatnich tygodniach przydarzyło mu się więcej niż przez całe dotychczasowe życie. Nowa praca, dom na Gotlandii, ślady po biologicznych rodzicach, Nelly i tatuaże u obojga, Gry Oda i jeszcze ten Ray...

Poddał się tej gonitwie.

Z czasem spowolniła i przyszedł spokój. Między jego brwiami pojawiła się ta poważna fałdka. W głowie nastąpiła cisza. Zwiesił ręce po bokach krzesła. Potrząsnął dłońmi, by fala się rozeszła, doszła aż do barków. Poczuł, że impuls z mózgu będzie mógł szybko i celnie dotrzeć do mięśni.

Spłynęło na niego oczekiwane natchnienie. Z zamkniętymi oczami sięgnął lewą ręką do regału. Przesunął dłonią po grzbietach książek. Palcem wskazującym i środkowym wysunął dwie na kilka centymetrów.

Z zaciekawieniem otworzył oczy, żeby zobaczyć, co znalazła jego intuicja. Dwie nieduże książeczki. Jedną była zaczytana powieść Oscara Wilde'a. Drugą jeszcze bardziej zaczytana praca naukowa autorstwa człowieka nazwiskiem Fred Urquhart. Z lekcji literatury w liceum pamiętał mniej więcej, kim był Oscar Wilde, ten drugi natomiast musiał być kanadyjskim naukowcem, o którym dopiero co opowiadała mu Gry Oda! Który prowadził epokowe badania nad wędrownymi motylami. To nie był przypadek!

Jonas sięgnął po telefon. O dziwo, był tu zasięg. Otworzył aplikację Wikipedii, wpisał nazwisko Urquharta i nacisnął „szukaj”.

Fred Urquhart, urodzony w 1911 roku, kanadyjski zoolog badający migracje monarchów, *Danaus plexippus*. Jego zainteresowanie owadami, zwłaszcza motylami, obudziło się jeszcze w dzieciństwie, spędzonym na łonie przyrody koło Toronto.

W 1937 roku rozpoczął poważne badania, które trwały kilka dziesięcioleci. Wraz z żoną Norah i z pomocą ochotników udało mu się ustalić trasy wędrówek monarchów. Pierwszym krokiem było oznakowanie skrzydeł tysięcy motyli. Następnie, przez ogłoszenia zamieszczone w prowincjonalnych gazetach, udało im się nakłonić setki ludzi mieszkających wzdłuż tych tras w USA i Kanadzie, aby zgłaszali każdego znalezionego przez nich oznakowanego motyla. Ku ich zdziwieniu okazało się, że w wędrówce uczestniczyło wiele pokoleń monarchów.

Urquhartom udało się ustalić wiele tras wędrówek, ale nie mogli zrozumieć, dlaczego motyli ślad urywa się jesienią w Teksasie. Z wiosną ni stąd ni zowąd pojawiało się tyle samo nowych motyli. Gdzie znikają? Skąd przyleciały? Gdzie chowały się na zimę?

Po wielu latach badań i poszukiwań ich wysiłek opłacił się. W połowie lat siedemdziesiątych odkryto miejsce zimowania większości monarchów. Znajdowało się tysiące kilometrów od ich „kolonii letnich” w Kanadzie i USA, gdzie żyło kilka pokoleń motyli. Fred i Norah nawiązali kontakt z parą młodych entomologów z Meksyku, którzy zainteresowali się badaniami Urquhartów i razem udało im się rozwiązać problem. Okazało się, że superpokolenie monarchów przeleciało trasę z Teksasu do pewnej góry w stanie Michoacan w Meksyku, gdzie przezimowały, nabierając sił, aby wiosną znów pofrunąć na północ i w drodze urodzić następne pokolenie, które przejmie pałeczkę w sztafecie życia. W sumie trasa wędrówki trzech, czterech, a nawet pięciu pokoleń motyli wyniosła niemal pięć tysięcy kilometrów. Superpokolenie mogło żyć pół roku, pozostałe motyle natomiast miały przed sobą najwyżej dwa, trzy miesiące życia, podczas których musiały się jeszcze rozmnożyć.

Jonas kliknął na link spoza Wikipedii i dotarł do innego artykułu o Urquhartach. Tam przeczytał co zobaczyli.

W motylim siedlisku znajdującym się na górze wysokości trzech tysięcy metrów nad poziomem morza motyle zwisały z gałęzi wielkich jodeł w postaci olbrzymich kiści. Przygotowywały się na zimę. Jedna

kiść liczyła wiele tysięcy motyli. A była ich niezliczona ilość. Jak sięgnąć wzrokiem, motyle zwisały jeden na drugim w gronach długości kilku metrów. Pod osłoną gałęzi wisały miliony monarchów. Ze złożonymi skrzydłami wyglądały jak suche liście. Chroniło je to przed wrogami. Gdy do kiści dotarło słońce i ogrzało motyle, zdarzało się, że wszystkie rozwijały skrzydła w tym samym momencie, co wyglądało jak pomarańczowa eksplozja. Czasem budziło się kilka kiści naraz, wtedy w powietrze wzbijały się setki tysięcy motyli i wszystko stawało się pomarańczowe.

Fred i Norah ledwo mogli uwierzyć własnym oczom. To była magia. Koło się zamknęło.

Z badań Urąharta wynikało, że motyle wędrują tylko w dziennym świetle, co wskazywałoby, że nawigując, kierują się słońcem i że mają wewnętrzny zegar. W sprzyjających warunkach motyl mógł przelecieć dziennie około trzynastu kilometrów. Urąhart przypuszczał, że również czułki mają istotne znaczenie dla zmysłu orientacji motyli. Z jego notatki z doświadczenia w 1960 roku, odnalezionej już po jego śmierci w 2002 roku, wynikało, że motyle, którym obciął czułki, były kompletnie zdezorientowane po wypuszczeniu na wolność. Ich intuicja zniknęła jak kamfora.

Jonas klikał dalej w telefonie. W innym artykule przeczytał się, że naukowcy zlokalizowali jeszcze kilkanaście zimowisk motyli w górach Meksyku. Z czasem udało się tam ustanowić rezerwaty biosfery objęte specjalną ochroną, a w 2008 roku cały rejon został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

W ostatnich latach pojawiły się alarmujące informacje, że liczba migrujących monarchów drastycznie spadła. W porównaniu z początkiem lat dziewięćdziesiątych jest ich o przeszło połowę mniej. Naukowcy widzą przyczynę w intensywnej deforestacji w Kanadzie, a także we wzroście zużycia środków owadobójczych na meksykańskich uprawach soi.

Ale nikt nie wie tego na pewno.

Pod tym ostatnim Jonas mógłby się podpisać. On również nie rozumiał związku. Wciąż te zagadkowe motyle, pomyślał. Co je łączy z nim i z Nelly?

Spojrzał w niebo nad otwartym okienkiem. Zobaczył kilka pierzastych chmurek; czyżby pogoda miała się popsuć na noc świętojańską? Akurat kiedy wybierał się na wyspy archipelagu sztokholmskiego. Ale czy na pewno się wybierał? Na pewno tego chciał? W tym momencie czuł się zmęczony i skołowany. Najchętniej zamknąłby się u siebie i przespał kilka dni.

Westchnął ciężko.

W tym momencie nadleciała rusalka pawik i przysiadła na framudze okna. Motyl miał bardzo piękne ubarwienie z charakterystycznymi wielobarwnymi plamkami na skrzydłach, które wyglądały jak oczka. Poruszał powoli skrzydłami; można by przypuszczać, że obserwuje Jonasa. Wyczekująco.

Jonas nie ruszał się, patrzył na pięknego owada. Co za nieoczekiwane i nadzwyczajne spotkanie! Bo bez wątpienia było to spotkanie dwóch szczególnych istot. W Jonasie obudziło się poczucie wspólnoty z motylem. Oddychali tym samym powietrzem. Znajdowali się w tym samym miejscu. Obaj zjawili się tu przez przypadek. A może nie?

Samczyk czy samiczka? Był bardzo efektowny. Jonasowi przypomniało się, że u większości gatunków w przyrodzie najefektowniejsze okazy to najczęściej samce. Jednak nie wiedział, jak jest u owadów.

Zaraz dostał odpowiedź.

Przyszybował następny pawik. Równie piękny jak pierwszy i tej samej wielkości. Wylądował na grzbiecie tamtego, obydwaj zaczęły poruszać skrzydłami do taktu. Spółkowały bez jakiegokolwiek gry wstępnej czy choćby powitania. Samiczka i samiec, jak równoważne klony, kierowane jedną jedyną myślą: rozmnożyć się i przekazać swoje doświadczenie następnym pokoleniom, zanim pochłonie ich śmierć.

Już po kilku sekundach kochankowie opuścili ramę okienną. Oba motyle wleciały do pokoju, zrobiły kółko nad głową Jonasa i wyfrunęły przez okienko, by zatańczyć na wiosennym wietrze.

Bure niebo. Czternaście stopni ciepła. Szwedzkie lato.

Dziewiąta rano. Obaj z Björnem stali przed bramą domu Jonasa, czekając na Nelly. Miała ich zabrać samochodem, a potem łodzią na przyjęcie z okazji święta Midsommar, które wydawała szefowa Jonasa.

Björne był bardzo ciekaw Vesny, o której tyle słyszał, no i miał nadzieję, że będzie tam również jej ojciec-gaduła. Jeśli wierzyć Jona-sowi, facet był jak z innej planety. To naprawdę bardzo ładnie ze strony Vesny, że zaprosiła Jonasa i zachęciła, żeby przyprowadził kilkoro przyjaciół. Przecież dopiero rozpoczął u nich pracę, a Midsommar świętuje się raczej wśród dobrych znajomych. Jednak Vesna i Goran nie byli tacy jak inni, tyle Björne zdążył już zrozumieć.

To, że Jonas go zabiera, nie dziwiło go, ale że zaprosił też Nelly, a ona postanowiła dołączyć do nich - tego się nie spodziewał. Sądził raczej, że w kiece za pięć patyków będzie świętować w jakiejś olbrzymiej altanie na cyplu, w pobliżu historycznego dworu w Sörmlandii, gdzie będzie perorować o funduszach hedgingowych z gładko ulizanymi facetami.

Jednak im bliżej ją poznawał, tym bardziej się przekonywał, że Nelly jest normalną osobą, taką jak on i Jonas. Tyle, że miała ostrzejszy język i decyzje podejmowała szybciej niż ktokolwiek inny. Jednak pod ładną i twardą politurą kryło się i poczucie humoru, i całkiem dużo empatii.

Ostatnio spędzali we troje sporo czasu. Minione tygodnie okazały się pełne emocji również dla Björnego. Znał Jonasa od dawna i wiedział, jak bardzo kocha on swoich rodziców adopcyjnych, Marie i Matsa. Wyruszając na poszukiwania biologicznych rodziców, dopuszczał się zdrady wobec nich, a przynajmniej tak to odczuwał. Björne był wprawdzie pewien, że Mats i Marie wcale by tego tak nie odebrali, jednak podejrzewał, że Jonasa to dręczy. Powinien z nim o tym porozmawiać, przekonać, żeby im powiedział, co się dzieje. Pewnie sami chcieliby dowiedzieć się czegoś więcej o pochodzeniu Jonasa. Zresztą może już o tym rozmawiali, miał przecież z nimi doskonałe stosunki.

Björne nie zdążył spytać, bo tuż przed nimi zahamowało czerwone porsche 911. Drzwi otworzyły się, wysiadła promienna Nelly i uściskała ich. Sukienka i żakiet wyglądały, jakby kosztowały majątek, ale na nogach miała zwyczajne conversy. We wzorek Louisa Vuittona.

- Cześć, chłopaki, gotowi?

- Jasne, jeszcze by nie! - błyskawicznie odpowiedział Björne nie-naturalnie dziarskim głosem.

Nelly uśmiechnęła się do niego pobłaźliwie, a Björne cieszył się za każdym razem, gdy udało mu się nadtopić tę bryłę lodu. Na kluczu wcisnęła przycisk otwierający bagażnik.

- Wrzućcie swoje rzeczy. Jonas, jesteś drobniejszy, siadaj z tyłu. Będzie trochę ciasno, ale dasz radę, jeśli usiądziesz za mną. Björne, wskakuj na miejsce obok mnie.

Nelly lubiła szybką jazdę; zanim się zdążyli zorientować, wcisnęła gaz do dechy i ruszyła ulicami Söder. Björne obejrzał się na Jonasa, który uniósł brwi, jakby mówił: „ona jest pomyłona”.

- Ojej, ale pędzisz... - zauważył nerwowo Björne.

Na ulicach było jeszcze mało ludzi, ale ci nieliczni - mamusie i tatusiowie z wózkami albo emeryt pchający przed sobą balkonik z koszykiem - z pewnością nie daliby rady umknąć, gdyby znaleźli się przed pędzącym porsche.

- Śpieszy nam się? - zwrócił się Björne do Nelly.

- Spoko. Panuję nad sytuacją.



Nelly zerknęła ciekawie na Björnego, jakby chciała sprawdzić, jak bardzo się boi.

- Proszę cię, mogłabyś patrzeć na drogę zamiast na mnie!

- Ha, ha, ale z ciebie śmieszny gość. Uspokój się.

Björne patrzył nerwowo to na nią, to na drogę. Zbliżali się do skrzyżowania, gdy Nelly szybko na niego zerknęła. A potem zamknęła oczy. Powoli, manifestacyjnie. Tego już było dla niego za dużo.

- Kurwa, co ty robisz! Hamuj!

Jednak Nelly, zamiast hamować, docisnęła jeszcze gaz. Wzdłuż wąskiego chodnika parkowało mnóstwo samochodów. Nie było szansy, żeby zobaczyć, czy na skrzyżowanie coś nie wjeżdża z prostopadłej ulicy, rowerzysta albo inny samochód. A Nelly wjechała na skrzyżowanie z setką na liczniku. Przemknęła przed białym Peugeotem, od którego dzieliło ją zaledwie kilka milimetrów. Przerazony kierowca rzucił się na klakson.

- O kurwa! - krzyknął Björne. - O kurwa!

- Ha, ha, ha - śmiała się Nelly, otwierając oczy

- Proszę, nie rób tego więcej.

Nelly przyhamowała i pojechała w nieco bardziej normalnym tempie. Wciąż za szybko, ale już bez narażania życia.

Björne jeszcze kilka razy powtórzył swoje „O, kurwa!”, po czym zamilkł i gapił się tępo przed siebie. Nogi miał sztywne jak patyki, mięśnie napięte od rozpaczliwych odruchów szukania pedału hamulca.

Wyjechali z Söder, przejechali przez most, Danviksbron, i wjechali na drogę prowadzącą do Värmdö. Tu duża prędkość była już odpowiedniejsza. Na drogach było wciąż pusto. Za godzinę, dwie, będzie pełno świętujących Midsommar. Porsche przeleciało koło Nacki i przez następny most, tym razem Skurubron.

- Nelly... - odezwał się z tylnego siedzenia Jonas. - Co?

- Czulaś to, prawda? Wiedziałaś, co będzie za sekundę? Tam, na Folkungagatan. Że zdążysz przed tamtym samochodem, jeśli dociśniesz gaz zamiast zahamować?

Nelly mruknęła, że tak. Ich spojrzenia spotkały się we wstecznym lusterku. Najwyraźniej łączyło ich coś więcej niż tylko tatuaż na plecach.

Porsche mknął w stronę Värmdö. Wykorzystali podróż na opowiadanie sobie ostatnich wydarzeń.

Właśnie przejeżdżali wysokim mostem z widokiem na Baggensfjärden i Saltsjöbaden, gdy zaczęło lekko mżyć. Dotarli do rond pod Gustavsbergiem, gdy Nelly, wyjeżdżając na pełnym gazie z pierwszego z nich, sięgnęła po komórkę. Oj nie, w myślach jęknął Björne. Pędzi jak złodziej samochodów i jeszcze będzie dzwonić? Postanowił jednak robić dobrą minę. Pokaże jej, że on też może być *cool*

- Cześć, Larsson, mówi Nelly Josefsson. Będę za piętnaście. Gotowy? Nie chcę się pałętać po pomoście. Postawiłeś budkę? Wygląda na to, że lada moment zaczniesz padać. Okej, dobrze, dzięki.

Björne zastanawiał się, co to musi być za potwór, skoro Nelly potrzebuje służącego, żeby jej podstawił jacht przy pomoście. Chyba, że to taki sposób bycia: świat należy do niej i jej pieniędzy.

- Fajnie będzie - powiedział. - Jaką masz łódź?

- Nic specjalnego. Stara Riva. Aquarama Special z siedemdziesiątego ósmego.

- O! Riva, to taka łódź jak z Jamesa Bonda?

- No popatrz, jakiś ty spostrzegawczy! Faktycznie parę razy pływał Rivą. Nie jestem specjalną fanką Bonda. Dla mnie jest... jak by to powiedzieć? Głupawy.

Siedzący z tyłu Jonas ocknął się. Z uśmiechem zaciekawienia pochylił się do przodu.

- Co, James Bond głupawy?

- No pewnie. Ciota zero zero siedem - odparła Nelly. - Sean Connery kierował Rivą i to on stworzył tego superciotę. Nie znajduję lepszego określenia. Zabijał ludzi z niemal każdej grupy etnicznej. Oj tak, oj tak, mało seksowne. A jak przyszło do lasek, to był jeszcze bardziej ciotowaty. Na maksa.

- Okej... - odezwał się Björne. - Myślę, że dla wielu mężczyzn jest wzorem, chcieliby być tacy jak on.

- Może i tak. Ale to dlatego, że nie rozumieją, czego naprawdę chce kobieta. Bond jest uosobieniem faceta, którego interesuje tylko jego seksualność. Buchbuch, dzięki, cześć. Dla kobiety taki gość jest absolutnie nieciekawym. Powinien się pieprzyć z facetami. Wtedy miałby tak jak lubi. Kilka pompek, lustra na ścianach, strzał i cała reszta. No głupie, jak nie wiem co. Cała ta historia bondowska jest tak pedał-ska, że ja odpadam.

- Niesamowite - powiedział, śmiejąc się, Jonas. - Lansujesz tu całkiem nowe spojrzenie. James Bond to według ciebie ikona gejów?

Nelly przyśpieszyła i trajkotała dalej:

- Dokładnie! Mam na myśli starsze filmy, które stworzyły ten fenomen - AGENTA PEDAŁA. Niech sobie Bond wali konia z tymi drugimi pedałami z **MI6**, Q i M i innymi o równie głupich imionach. Chyba je wymyślili, gdy w przyciasnych szortach, na włosianych materacach bawili się w doktora. Pozamykali ich w elitarnych szkołach, żeby nauczyli się wszystkiego co trzeba o innych facetach i całym tym pedalskim świecie. *Masters* oraz *give-head-masters*<sup>31</sup> klubu-walenia-konia. Ja na pewno nie chcę mieć z nimi do czynienia. Pieprzeni głupi agenci!

Jonas i Björne aż się skręcali ze śmiechu. Nelly też się śmiała, ale głównie dlatego, że udało jej się wprawić ich w dobry humor. Bo nie ulegało wątpliwości, że naprawdę myśli to, co powiedziała o Bondzie.

Stara włoska łódź o mahoniowym kadłubie była niezwykle piękna i w doskonałym stanie. Politura błyszcząca, białe skórzane poduszki lśniły jak zęby hollywoodzkiej gwiazdy. Niestety nie było czasu, żeby Jonas i Björne mogli postać na pomoście i podziwiać to чудо. Nelly nalegała, żeby się pośpieszyć.

37 Gra słów (ang.): headmaster (kierownik, dyrektor), give head (obciągać).

Miała istotny powód.

Minutę po tym, jak się wsunęli do kabiny Rivy i Larsson rzucił cumy, w marinie przy Bullandó rozpętało się piekło. Ulewa o niespotykanej sile. Woda waliła o dach kabiny. Niebo zrobiło się czarne od chmur burzowych.

Nelly włączyła wycieraczki i wcisnęła manetkę gazu. Pomknęli przez zatokę, mijając kilku zaskoczonych ulewą dzielnych żeglarzy, którzy nie mieli kabin, żeby się schować. Spojrzeli smętnie za Rivą, która śmignęła obok nich.

- No to jazda! - zawołała Nelly, usiłując przekrzyczeć buczenie cylindrów.

Kierowała się do toru wodnego, który biegł pod wielkim mostem między wyspami Värmdö i Vindö. Łódź już miała prędkość dwa razy wyższą od dozwolonej w pobliżu zabudowań i przystani.

- Dokąd płyniemy? - zawołała do Jonasa.

- Wyspa nazywa się Rödlöga! Leży na końcu archipelagu, nie mówiłem ci? - odparł.

- Mówiłeś, ale w którym miejscu na wyspie?

- Dom jest w zatoczce za przystanią należącą do sklepu. Po wschodniej stronie, od morza.

- Okej, wyjaśni się, gdy już dopłyniemy.

- Opisała mi dom, więc chyba poznam, który to.

- Masz! - zawołała do Björnego. - Trzymaj ster i płyn prosto przed siebie. Sprawdź na GPS-ie, jak płynąć. Przy tej ulewie za cholerę nic nie widać. Jeśli mamy dotrzeć na lunch, trzeba się pośpieszyć. To dość daleko, zwłaszcza przy takiej pogodzie. I nie uspokoi się, raczej przeciwnie. Po południu ma być szkwał. Podobno rano będzie już spokojnie, ale to dopiero jutro.

Zaśmiała się, najwyraźniej niepogoda jej nie przeszkadzała.

Björne zrobił niepewną minę, ale przejął od niej ster. Nie była to odpowiednia chwila, żeby wymiękać.

Zajął miejsce przy sterze i wkrótce dopłynęli na Kanholmsfjärden, gdzie zaczęło huśtać. Wiatr nie był jeszcze bardzo silny, ale ponieważ

zatoka była duża, z mnóstwem wysp i wąskimi cieśninami, fale waliły ze wszystkich stron. Jakby wielkolud grzebał łapą w misce.

- Kieruj się do tamtej wyspy po drugiej stronie - powiedziała mu do ucha Nelly. - Widzisz białą latarnię morską?

Björne kiwnął głową i zrobił minę, że można mu zaufać.

- Właściwie to ta łódź została zbudowana na dobrą pogodę. Jak na jeziorze Como! - powiedziała Nelly, śmiejąc się. - Ale dasz radę, Björne.

Łódź podskakiwała gwałtownie na falach. Björne sterował tak, żeby nie iść na wprost fali, tylko ślizgać się bokiem. Czasem się udawało, ale jeśli za bardzo płynął z falą, to schodził z kursu.

Pomyślał, że i tak jest fajnie. Choć dość masakrycznie, bo niewiele było widać. Posuwali się tak szybko, że byłoby trudno zatrzymać się albo zejść z kursu, gdyby się natknęli na inną łódkę. Zawołał Nelly, pytając, czy na wodzie też obowiązuje ruch prawostronny, a ona odpowiedziała, że w zasadzie tak, co zabrzmiało mętnie, ale, wyjaśniła, zawsze ma ustępować drogi żaglówkom.

Łódź pruća przez zatokę, a Björne nadal stał za sterem. Co pewien czas dziób przecinał jakąś większą falę, a wtedy woda zalewała kabinę. Björne za każdym razem patrzył na Nelly, żeby się zorientować, czy coś im grozi. A ona uważała, że jest fajnie. Dzięki temu odprężył się i nawet się trochę cieszył tą przejażdżką. Jonas siedział zamyślony koło Nelly na kanapie dla pasażerów i miał zaciętą minę. Prawie się nie odzywał.

Minęli wyspę Möja, skęcili na wschód i popłynęli prosto przed siebie, w stronę szarego horyzontu. Nelly pokazała palcem na elektroniczną mapę morską i zawołała, że wkrótce znów powinni zobaczyć wyspy. Będzie to znaczyło, że są prawie u celu.

Przez wielką zatokę w stronę Rödlögi płynęli z wiatrem, dzięki czemu przeprawa już nie była tak dramatyczna, choć blisko otwartego morza.

Na zachodzie, nad lądem, zbierały się czarne chmury burzowe. Na wschodzie, dokąd zmierzali, było jaśniej. Może jednak będą mieli przyjemną noc świętojańską.

Ni stąd ni zowąd pojawiła się Rödlöga. Archipelag tworzyło kilka maleńkich, małych i nieco większych wysepek. Nelly zmniejszyła prędkość i przejęła ster od Björnego. Wpłynęła do długiej zatoki otoczonej wysokimi skałkami. Jediną roślinnością były tu krzywe sosny, trochę olch i jałowców, usiłujących wczepić się łykowatymi korzeniami w jakąś szczelinę archaicznej skały.

Między wyspami woda była spokojna. Nelly płynęła wolno i ostrożnie. Przestało padać, dziób łodzi przecinał powierzchnię wody z precyzją skalpela. Wcisnęła jeden z guzików panelu sterowniczego i dach kabiny zaczął się automatycznie zwijać. Płuca wypełniło im chłodne, rześkie powietrze morskie.

Björne i Jonas wymienili spojrzenia, rozumieli się bez słów. Za ledwie kilka godzin temu sterczeli znudzeni na chodniku i czekali. Kurde, ale im się trafiła kumpelka. Z nią nigdy nie będzie im nudno. Ta dziewczyna to istny wulkan.

Trafić do domu Vesny nie było trudno. Wszystkie domy na Rödlödze były albo czerwone, albo szare. Ale nie dom Vesny, który był w kolorze ciemnofioletowym, prawie czarnym. To dziwko znajdowało się w głębi osłoniętej zatoki, w uskoku wysokich skał z archaiku. Dawniej była to rybacka chata z połowy lat siedemdziesiątych, którą pewien biznesmen handlujący mercedesami zbudował bez wymaganych zezwoleń. Władze to przegapiły, teraz sprawa była już od wielu lat przedawniona. Obecnie budynek wyglądał jak skrzyżowanie domu Muminków z miniaturą hotelu Batesa. Vesna była jego właścicielką od około dziesięciu lat.

Nelly wślizgnęła się do zatoki na silniku pracującym na najniższych obrotach. Minęła boję i pouczyła Jonasa, jak zaczepić karabińczyk na cumie.

Na pomoście czekała na nich uśmiechnięta Vesna, która z okazji święta włożyła ogrodniczki w kolorze błękitu szwedzkiej flagi i żółtą bluzkę, a na głowę okazały wianek. Nogawki podwinęła, była boso. Co drugi paznokieć dużych stóp pomalowała na niebiesko, co drugi na żółto. Palce wymachujących rąk wyglądały tak samo.

Nelly zatrzymała łódź idealnie dziobem przy pomoście i rzuciła cumę Vesnie, która założyła ją na poler.

Zeszli na ląd. Nelly i Björne przedstawili się, mówiąc, jak bardzo im miło, że mogli towarzyszyć Jonasowi u jego szefowej i spędzić Midsommar na zewnętrznym archipelagu sztokholmskim, zwłaszcza że nigdy tu nie byli. Vesna uściskała ich serdecznie i odpowiedziała, że cieszy się z ich przyjazdu. Wskazała im niewielką szopę koło pomostu, tam będą spać, a na razie mogą zostawić rzeczy, zanim pójdą na lunch złożony ze śledzi.

Jonas właśnie otwierał drzwi szopy, gdy poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Odwrócił się. Kilka centymetrów od swojej twarzy zobaczył starego - srebrnego lisa Gorana, który zjawił się ni stąd ni zowąd.

- Goran, nie zauważyłem cię!

Zobaczył żal w czarnych oczach Gorana, który wyciągnął rękę.

- Ojej, przestraszyłem cię? Niechący. Chciałem cię tylko powitać u nas.

- A, fajnie. Cieszę się, że cię widzę.

- Gdzie twoi przyjaciele?

Pytanie zdziwiło Jonasa, bo stali tuż obok. Pokazał na nich.

- Tutaj. To moi bliscy przyjaciele: Nelly i Björne. A to Goran, który dawno temu założył Apisec.

Nelly i Björne przywitali się z Goranem, cała trójka wymieniła grzecznościowe formułki.

Vesna odciągnęła Jonasa kilka metrów i nachylając mu się do ucha, szepnęła:

- Przepraszam cię za Gorana. Boję się, że coś się z nim dzieje. Dziwnie się zachowuje. W najgorszym razie jest to objaw jakiejś

choroby otępiennej. Sama nie wiem. W przyszłym tygodniu zabiorę go do lekarza. W końcu nie młodnieje.

- Aha. Przykro mi - odparł cicho Jonas, patrząc na Gorana. - Tak, alzheimer, zresztą cokolwiek to jest, podobno może atakować znie-nacka. Wezmę to pod uwagę; dzięki, że mi powiedziałaś.

Goran przeciągnął dłonią wzdłuż całej drugiej ręki, jakby go swędziała od pokąsania przez komary. Wydaje się niespokojny, pomyślał Jonas.

- Drodzy przyjaciele! - odezwała się Vesna. - Rozgośćcie się w szopie. W pokoiku jest piętrowe łóżko, chłopcy, moglibyście je zająć, Nelly będzie mogła rozłożyć się na stryszku. Za kwadrans zaczynamy. Czekamy na was.

Jonas rozejrzał się, spojrzął na dom i skalisty teren wokół. Nie zobaczył żadnych innych gości. Odniósł wrażenie, że będzie ich więcej. Może jeszcze dojadą?

Vesna wbiła patyczek w gotujące się młode kartofle. Zaraz będą gotowe.

Na wielkiej oszklonej werandzie nakryto już do stołu. Leżał na nim przeszło stuletni obrus z adamaszku, stała porcelana vintage z lat pięćdziesiątych, bogato zdobione kryształowe kieliszki do wódki na wysokiej nóżce i papierowe serwetki z kolorowym nadrukiem przedstawiającym szwedzkie latarnie morskie. Vesna lubiła życie na wsi. Używała rzeczy, które jej się podobały, ale nie zwracała uwagi na to, czy do siebie pasują.

Usłyszała delikatne pukanie w cienką szybę otwartych drzwi werandy. Nelly, jak widać, przyszła trochę przed innymi.

- Ale ładnie! Umailście nawet poręczce przy schodach. Jest naprawdę pięknie.

- Dziękuję, miło, że to mówisz. Uwielbiam Midsommar. A śledzie to szwedzka kuchnia w najlepszym wydaniu. Jakie lubisz najbardziej?



- Hm... trudne pytanie. Chyba mam dość zachowawczy smak. Matjasy z kwaśną śmietaną i szczypiorkiem. Z zimną wódką. Najlepiej białą, smakowe są dla mięczaków i starych dziadów.

- No to szczęście, że mamy taką - zaśmiała się Vesna. - Ja najbardziej lubię śledzia w marynatach z sosu. Musztardowego, curry, rakowego i tak dalej.

Nelly spytała, czy mogłaby w czymś pomóc. Vesna pokręciła przecząco głową i włożyła jej do ręki butelkę piwa. Podała jej również szklankę.

Nelly pokręciła głową i wypila duży łyk z butelki. Vesna znów się zaśmiała.

- Ha, ha, wiedziałam, że będziesz pić z butelki. Konwenanse są dla przeciętniaków, prawda?

Nelly odpowiedziała uśmiechem i spojrzeniem, którego Vesna nie umiała zinterpretować.

Vesna była bardzo ciekawa Nelly. Jednocześnie czuła, że nie zawadzi pewna ostrożność. To dziewczyna o niewątpliwie mocnej osobowości. Nie ma co się śpieszyć z zaprzyjaźnianiem, bo wtedy się zatnie, pomyślała Vesna.

Właściwie to chciała jej osobiście podziękować za fantastyczne materiały o szkołach niepublicznych i roli spółek kapitałowych wysokiego ryzyka w sektorze usług publicznych, jakie przekazała Jonasowi. To prawdziwa bomba, która lada tydzień wybuchnie, gdy Vesna przedstawi wersję Apisecu na zamkniętym seminarium dla polityków w Almedalen. Kazała Jonasowi powiedzieć o tym Nelly i nawet sprawdziła, że to zrobił. W końcu było to częścią ich dealu. Nie miała pojęcia, jak Nelly zamierza radzić sobie z burzą, która na pewno wybuchnie, gdy wyciekną plotki z seminarium, ale domyślała się, że tak czy inaczej chce na tym zarobić. Vesna była pewna, że ta bomba spowoduje długofalowe zmiany na politycznej i gospodarczej mapie Szwecji. Dotychczasowi zwycięzcy znajdą się wśród pokonanych i odwrotnie. Oby z korzyścią dla obywateli. Nie mówiąc już o wzroście cen na usługi Apisec w najbliższych latach. Nikt, abso-

lutnie nikt nie odważy się obyć bez ich analiz. Była bardzo zadowolona z kierunku, w którym zmierzała jej firma. Goran na pewno był z niej dumny, chociaż coraz trudniej przychodziło mu to powiedzieć. Od pewnego czasu był bardzo niespokojny, nie potrafił usiedzieć w miejscu dłużej niż kilka minut. Jakby go swędziały i ręce, i nogi.

Spojrzała na Nelly i jednak postanowiła nic nie mówić. Wystarczy nieformalne podziękowania, które Jonas przekazał w jej imieniu wraz z informacją, kiedy i w jaki sposób Apisec zamierza wykorzystać raport. Tylko tego dotyczyła ich wzajemna umowa. A im mniej wiedzą o wzajemnych działaniach, tym lepiej.

Chwyciła butelkę i stuknęła o butelkę Nelly.

- Skäl i wesołego Midsommar!

Nelly uśmiechnęła się i opróżniła całą w kilku łykach.

Gdy Björne przyszedł razem z Jonase, Nelly siedziała już na kanapie stojącej wzdłuż krótszej ściany werandy. Kiwnęła na niego ręką.

- Chodź, Björne, siadaj koło mnie. Mówiłeś, że masz tęgi łeb do wódki. Sprawdź cię. Chodź tutaj.

Björne uśmiechnął się niepewnie, obaj z Jonase spojrzeli na gospodynię, żeby się upewnić, jak chce ich posadzić.

- Bardzo proszę - powiedziała Vesna. - Siadajcie. Niestety linia promowa Waxholm odwołała jeden kurs z powodu burzy, więc pozostali goście nie zdążą na lunch. Nie jestem pewna, czy w ogóle przyjadą. Raczej nie. Musimy się sami postarać, żeby było przyjemnie i jestem pewna, że tak będzie.

- Absolutnie. Stół ze śledziami wygląda wspaniale - odparł Björne.

- Głodu nikt nie zazna, to więcej niż pewne - zaśmiała się Vesna. Nelly klepnęła władczo w leżącą koło niej poduszkę i Björne usiadł obok. Jonas usiadł na drugim końcu stołu, tyłem do wnętrza domu, żeby mieć widok na pomost i zatokę. Vesna usiadła obok niego. Cała czwórka zaczęła nakładać sobie pyszności, gdy nagle zjawił się Goran. Cicho osunął się na krzesło przy otwartych drzwiach werandy. Chwycił sztucę i oparł pięści po obu stronach talerza. Wyglądało to, jakby

nie jadł od tygodnia, a teraz miał przed sobą wielki stek. Jego czarne oczy biegały niespokojnie po typowo szwedzkich specjałach. Ani spojrzeniem, ani postawą nie wyrażał specjalnego zainteresowania, pomyślał Björne i z wielką ciekawością przyglądał się obojgu pracodawcom Jonasa. Do tej pory wszystko zgadzało się z opisem przyjaciela. Rodzina Dyria była rzeczywiście wyjątkowa.

Vesna uśmiechnęła się szeroko, zanuciła *Helan gar*<sup>38</sup> i polała wódkę ze zmrożonych butelek. Oprócz sześciu rodzajów śledzi i gorących młodych kartofli na stole znalazło się również chrupkie pieczywo i różne gatunki twardych serów. W poprzek werandy wisiała girlanda ze szwedzkich chorągiewek, na stole również stały półmetrowe flagi szwedzkie. Można już było rozpocząć świętowanie.

- A więc jeszcze raz witam serdecznie - powiedziała Vesna. - Cudownie, że tutaj jesteście, prawdziwi z was bohaterowie, że stawiliście czoła złej pogodzie i dotarliście na miejsce. Kto zacznie przyśpiewki? Bez śpiewania nie ma wódki!

Björne podniósł rękę i zawołał „ja”. Specjalizował się w śpiewach przy wódce.

- Znakomicie! Björne, będziesz naszym zapiewająką! - śmiała się Vesna.

Björne zerwał się, wyprostował i podniósł kieliszek. Tyle razy robił to w czasach studenckich, że odruchy pozostały.

- Zacznijmy od ulubionej szwedzkiej przyśpiewki, *Dziewczyna i świnia*, wszyscy znają?

- E.... nie - odparła Nelly.

- Co, nie znasz? *Raz była dziewczyna, jechała na świni* i tak dalej?

- Pewnie, że znam - syknęła. - Ale słowa są chujowe. Kurde, nie będę tego śpiewać. Wybierz coś innego. Koniec, kropka.

Widział, że mówi to poważnie. W spojrzeniu miała taki ogień, że dałoby się usmażyć jajecznicę. W jednej chwili zrozumiał, że Nelly ma całkowitą rację; słowa rzeczywiście były żalosne, kiepskie. Vesna

38 Helan gär - najbardziej znana z licznych szwedzkich piosenek biesiadnych.

i Jonas zastygli z wymuszonymi uśmiechami, tylko Goran patrzył pusto przed siebie.

Do diabła, ma być fajnie! Nie zepsuje im wieczoru rzekomy klejnot wśród szwedzkich przyśpiewek.

- Masz rację. Rzeczywiście chuj owe. No to zamiast tego dawajcie ***Helangär! Heee...***

Gruchnęła piosenka, zły nastrój znikł równie szybko, jak się pojawił.

Nelly zaśmiała się pod nosem. Björne wydał jej się nawet sexy ze swoją niezdarnością. Była w tym jakaś niewinność, zupełnie bezmyślnie powtarzał nawykowe zachowania. Śpiewająco. W pewnym sensie był jej przeciwieństwem, i właśnie to było pociągające. Jak torebka słodczy, pysznych i jednocześnie trochę obrzydliwych.

Widziała, że się zdenerwował, kiedy odmówiła zaśpiewania przedpotopowej, seksistowskiej piosenki. W gruncie rzeczy miała to gdzieś. Przyśpiewki są tak czy siak durne, bez względu na słowa. Jeśli o nią chodzi, mogliby śpiewać choćby psalmy. Byle by się mogła napić trochę wódki i dobrze zabawić. Nelly uwielbiała stawiać ludzi w głupiej sytuacji i potem obserwować, jak z niej wybrną. Björnemu udało się całkiem nieźle. Szybko się uwinął, padł na kolana, potem trzask! - i już się odsądził.

W dodatku wydał jej się taki słodki z tą swoją rozczochną czupryną.

Postanowiła, że tego wieczoru zdrowo go przetestuje. Będzie zabawa!

Jedli, pili, głośno śpiewali i rozmawiali. Późny lunch przeszedł w popołudnie. Gdy na niebie przed domem znów zaczęły się zbierać chmury, werandę rozświetlały ich rozplamione policzki.

Jonas uśmiechał się do siebie. Fajna zabawa!

Przyjemnie mu było, że przyjaciele odnajdują się w towarzystwie jego szefowej i jej ojca-dziwaka. Miał wrażenie, jakby wszyscy się znali

od bardzo dawna. Zabawa zabawą, ale nastrój rzeczywiście był familiarny i niewymuszony. Bardziej impreza towarzyska niż integracyjna. Ale też Apisec to nie było jakieś miejsce pracy.

Jonas spojrzał na Gorana, który zachowywał się zupełnie niepodobnie do siebie. Głównie milczał. Czasem tylko próbował się uśmiechnąć, a nawet zaśmiać, żeby poczuć, że jest z nimi. Przeważnie jednak patrzył tępo przed siebie i drapał się po rękach. Chyba miał jakąś alergię. Skóra na rękach była zaczerwieniona i łuszczyła się od drapania. Widać było długie krechy po paznokciach.

Vesna na pewno bardzo się o niego martwi, chociaż dobrze to ukrywa.

Pomyślał o swoich rodzicach w Stocksund. Wciąż młodych. Często z nimi rozmawiał. Wiedział, co czują i myślą. Ciężko jest patrzeć na nieodwracalną degradację swego rodzica, na jego rozpad.

Straszne. Biedna Vesna.

Chwycił szklankę z piwem i stuknął o jej szklankę.

- Skal, szefowo!

Uśmiechnęła się swoim szerokim, promiennym uśmiechem, który każdego potrafił wprowadzić w dobry humor.

Powiedział jej, jak bardzo się cieszy, że przyszedł do Apisec i że zaczął się już przyzwyczajać do bardzo swobodnego traktowania czasu pracy i zadań.

Odpowiedziała, że też się cieszy, bo jest pewna, że jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu i razem osiągną wielkie rzeczy. Zrobiła dłuższy wykład, jakie dziedziny według niej będą w najbliższych latach monitorowane przez Apisec.

Jonas słuchał z zainteresowaniem. Fajnie. Cieszył się ze swojego nowego życia.

Nelly wstała.

- Słuchajcie! Mam dla was przyśpiewkę, która genderowo będzie bardziej neutralna niż to dziadowskie obrzydlistwo Bjornego. Zaśpiewać?

- No jasne! - zawołał Björne, który po kilku wódkach i piwie miał już dobrze w czubie. Oboje z Nelly mieli wysokie tempo spożycia. Pozostali też przytaknęli.

- Raz zaśpiewam sama, potem będziemy śpiewać razem. Zgoda? Nawet Goran podniósł wzrok.

- Petter-Nick, Petter-Nick, Petter-Nick, nick, nick, nick... Petter-Nicklas nie ma nóg, ale i tak staje. Petter-Nicklas nie ma nóg, ale i tak staje!

Cipka, cipka, cip, cip, cip...

Cipka nie ma nóg, ale i tak zre kiełbasę

Cipka nie ma nóg, ale i tak zre kiełbasę.

Wszyscy śmiejąc się dołączyli, śpiewając pełnym głosem i opróżniając kieliszki jednym haustem. To dopiero przyśpiewka pod wódkę, naprawdę podnosi nastrój!

Nelly usiadła i uśmiechając się, dołała wódki sobie i Björnemu. Potem podniosła do góry kieliszek.

- Skal, chłopie!

- Skal, dziewczyno! - Björne wypił łyk.

- I co, szumi w głowie? A kto mówił, że to ja będę leżała pod stołem?

- A co, tobie nie szumi? Pozwól, że wyrażę swoją opinię jako ekspert.

Widzę stan upojenia - i to mi się podoba!

Przygwoździła go spojrzeniem. Potem objęła go ramieniem, chwyciła za podbródek, drugą ręką za policzki i ścisnęła wargi do całusa.

- Wiesz co?

- Nie...

Nachyliła się i przytknęła mu usta do ucha. Dmuchnęła mu ciepłym powietrzem na szyję, cmoknęła i wyszeptała:

- Jeszcze nigdy się nie pieprzyłam z grubasem. Będzie superowo. Hop!

Mózg Björnego fiknął kozła, impuls rozszedł się po całym ciele i osiągnął swój szczyt zaraz poniżej paska.

W tym momencie Goran nieoczekiwanie stuknął dwiema butelkami i zabrał głos. Zbierał się do tego w myślach przez cały dzień. Nadeszła pora.

Wstał powoli i mocno przejechał palcami po swędzących przedramionach.

- Zaśpiewasz? - spytała, śmiejąc się, Vesna.

Uśmiechnął się do niej, ale widać było, że jest smutny i zamyślony.

- Drodzy przyjaciele, jakoś nie mogę sobie znaleźć miejsca, chyba się trochę przejdę. Dziękuję za lunch. I całą resztę. Było znakomicie. Znakomicie. Vesna, moje kochane piękne dziecko, dziękuję ci. Było bardzo dobrze, bardzo dobrze.

- Bardzo proszę, cieszę się, że byłeś z nami - odparła. - Może rzeczywiście pora na małą przerwę. Zrobisz sobie poobiednią drzemkę? Posprzątamy, potem wszyscy zrobimy sobie małą przerwę, żeby odzyskać siły i koło szóstej, wpół do siódmej nastawimy grill. Jonasie, pomożesz mi posprzątać? Przy okazji pogadamy o planach na jesień.

Jonas kiwnął głową, ale Goran zaprotestował wymachując rękami:

- Ależ nie, siedźcie sobie. Nie chciałem wam przerywać zabawy. Bawcie się, a ja się przejdę dookoła wyspy. Potem, później zajmiecie się tym wszystkim. Wybaczcie staremu człowiekowi. Jestem po prostu wykończony.

- Oczywiście - odpowiedziała wesoło Vesna. - Miłych snów, do zobaczenia po drzemce.

Goran zniknął z werandy równie niezauważalnie, jak się pojawił.

- Ale fajnie! - zawołała Vesna, podstawiając Jonasowi pod nos swoją komórkę, żeby pokazać SMS, który właśnie dostała.

- Isabella jedzie do nas! Udało jej się złapać wodną taksówkę. Zaraz tu będzie. Dojechała aż do Stavsnas i potem utknęła. Biedulka, spędzać Midsommar w takim beznadziejnym miejscu. Naprawdę mało zabawne!

- Och, nie wiedziałem, że ona tu będzie. Fajnie! - odparł Jonas.

Jonas i Vesna zajęli się sprzątaniami po lunchu; szło im dość powoli, bo bez przerwy rozmawiali. Świetnie się dogadywali ze sobą. Co pewien czas przystawali, popijając piwo z butelek i skacząc z tematu na temat.

Nelly i Björne powiedzieli, że są zmęczeni i idą do szopy, żeby się zdrzemnąć. Jonas czuł się podochocony i podchmielony. Ani mu w głowie było spanie.

Ucieszył się, że Isabella przyjeżdża, bo do tej pory nie miał okazji poznać jej bliżej. Sprawiała wrażenie, że wszystkich i wszystko ma pod kontrolą, a jednocześnie utrzymywała pewien dystans. Włosy miała zawsze ściągnięte w idealny koński ogon i w ogóle była pod każdym względem idealna. Śmiała się w odpowiednich miejscach. Mruzczała i kiwała głową, gdy trzeba, w ogóle robiła wszystko jak należy. Jonas pomyślał, że chyba jest dokładnie taki sam. Lubił wpasować się w otoczenie, wtopić się, nie odstawać po to tylko, żeby się pokazać. Najlepszy, poniekąd, jest umiar.

Chmury nad Rodlogą ciemniały coraz bardziej. Zrobiło się tak mroczno, jakby był sierpniowy wieczór, a nie czerwcowe popołudnie. Burza była coraz bliżej. Między błyskiem a następującym po nim gromem mijało zaledwie kilka sekund.

Goran już miewał taki świąd. Zwłaszcza gdy znajdował się w sytuacji zagrożenia. Im większe zagrożenie, tym większy świąd. Przypominał mu, jak cienka jest granica między życiem a śmiercią. Był jak przestroga. A w jego życiu nie brakowało dramatycznych chwil. Pierwszy raz w Indiach, w młodości. Wtedy zwałił winę na hasz, że wszystko sobie wymyślił. Później, gdy znów mu się to przydarzyło, pomyślał, że widocznie narkotyk pozostał w jego organizmie i nagle zaczął działać opanowując jego ciało i umysł. Słyszał, że ludzie, którzy palili za dużo haszu, wiele lat później wpadali w dziwne psychozy.

Jednak tym razem było inaczej. Świąd nie ustawał, przeciwnie, nasilał się. Skóra naprawdę mu schodziła. To nie były żadne zwidy.



Czuł to wyraźnie. Był kruchy jak uschnięty kwiat, aż do kości o strukturze mąki. Tak było od kilku dni. Dziś ten proces osiągnął nowy etap. Świad był taki, że aż bolało. Ciało wyło z wysuszenia. Nie był w stanie myśleć o niczym innym.

A więc to prawda. Już prawie zapomniał, udało mu się wyprzeć. Jednak widocznie to prawda. Nie do wiary, a jednak.

Goran poszedł ścieżką w stronę skały. Nie chciał patrzeć, wiedział, że za moment uschnięta skóra odpadnie. A potem, po pomarszczonej skórze odpadną mięśnie, odlecą z burzowym wiatrem jak suche liście i rozpuszczą się w nadchodzącym deszczu.

Zasuszone wnętrzości, zwiędłe płuca, suche żyły, stare skruszałe serce.

Wszystko.

Cały rozpadnie się w proch. Wyschnie i zmurszeje, skurczy się do nicości i rozpadnie na atomy stając się częścią nieustającego cyklu przemian.

Nie chciał, żeby Vesna to widziała. Musi się oddalić i to szybko.

Spadły pierwsze krople deszczu, ale bynajmniej nie przypominało to niedokręconego, kapiącego kranu. Nie, niebo otworzyło się i woda runęła w dół, twardo i nieubłaganie. Jakby ktoś odwrócił do góry 'dnem gigantyczną karafkę i wylał zawartość na kilka wysepek daleko w morzu.

Jednocześnie z deszczem rozszalała się burza. W ciągu kilku minut rozbłysły setki piorunów. Wydawało się, jakby burza chciała wyładować całą swoją energię prosto na dom Vesny. Wielkie skały nad zatoką aż drżały od gromów.

Jonas i Vesna stali zadziwieni na przeszklonej werandzie, obserwując ten spektakl. Cienkie szyby drżały za każdym uderzeniem pioruna. Deszcz walił w okna jakby znajdowali się w myjni samochodowej.

Jonasowi udzielił się nastrój powagi. Spojrzał na Vesnę, która mimo strasznej nawałnicy miała na twarzy lekki uśmiech.

Poczuł niepokój. Zdecydowanie. Wyraźnie. To uczucie pojawiło się nieoczekiwanie jak dreszcz. Zaraz stanie się coś bardzo złego albo groźnego.

Ale co?

Nie wiedział.

Położył dłoń na ręce Vesny i już miał spytać, czy według niej ta burza może być groźna.

Wtedy zobaczył kogoś na dworze.

Koło skały ktoś biegł ścieżką prowadzącą od przystani.

Deszcz bił o szyby, więc nie widział, kto to.

Biegnąca postać miała rozłożone ramiona i twarz zwróconą do nieba, wystawioną na bezlitosną ulewę. Woda zalewała jej głowę, spływała strumieniami z barków i ramion. Błysnęło, zrobiło się jasno i wtedy woda jakby rozbłysła pod rozpostartymi rękami. Jak wodna zasłona ze światła.

Postać biegła w stronę domu.

Rozległ się krzyk. Głośny. Przedarł się przez burzę, w mocnym kontraście do głuchego grzmotu i nagłych, niemal nieprzerwanych trzasków piorunów.

Vesna otworzyła drzwi werandy i wybiegła jej na przeciw.

Jonas wciąż nie widział, kto to. Zobaczył tylko, że Vesna otworzyła ramiona i złapała biegnącą postać w objęcia.

Pognał do nich. Dobiegając, już był przemoczony do suchej nitki.

Ponad ramieniem Vesny zobaczył szeroko otwarte oczy. W nich strach. Tusz spływający po policzkach. Deszcz, łzy.

Otwarte usta. Krzyk zmieszany ze szlochem.

Isabella. Absolutnie zrozpaczona.

Huk pioruna przetoczył się koło szopy. Nelly drgnęła i obudziła się. Miała wrażenie, że rozpada się skała albo szopa. W jednej chwili otrzeźwiała.

Działo się coś strasznego. Czują to wyraźnie. Zerwała się z materaca na stryszku i narzuciła ubranie.

Złapała poduszkę i trzepnęła nią twarz Björnego.

- Obudź się, do cholery!

- E... Co? Co się dzieje?

- Nie wiem. Pośpiesz się. Trzeba pójść do tamtych. Wydaje mi się, że coś się stało.

Björne podniósł się na łokciach.

- Oblędna ta burza. Mimo to zasnąłem.

- Nieważne. Ja spadam. Pośpiesz się. Przyjdź jak najprędzej.

Vesna i Jonas wprowadzili zrozpaczoną Isabellę na werandę. Przestała szlochać i dyszeć. Po chwili pozbierała się na tyle, że mogła wydobyć z siebie kilka słów:

- Chodzi o Gorana! Wysiadłam z taksówki przy pomocy i pobiegłam pod górę, w stronę domu. Wtedy nastąpił potworny błysk i w tej samej chwili huknęło. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak on leci ze skały. Spadł prosto na moją ścieżkę. Po drodze jakby się odbijał od ściany. Musiał go trafić piorun. Tyle krwi! Jest zupełnie poszarpany. Nie widziałam jego oczu! Vesna, nie mam pewności czy on żyje!

Vesna zerwała się i wybiegła w deszcz, pognąła w dół, w stronę pomostu. Mimo śliskiego podłoża biegła długimi, szybkimi susami. Nic jej nie mogło zatrzymać.

Odstępy między błyskawicami i gromami zaczęły się zwiększać. Ulewa zelżała.

Vesna dotarła do ścieżki pod stromą skałą, gdzie zobaczyła siedzącą na ziemi Nelly. Trzymała coś niekształtnego, co przelewało się jej przez kolana. Ciężko poranione ciało ludzkie.

Goran.

Usiłowała zetrzeć krew i wodę z pokaleczonej twarzy.

Vesna zatrzymała się, lekko się poślizgnęła i opadła na ziemię tuż obok nich. Ręką zatkała usta, jakby chciała powstrzymać potworny krzyk. Jednak jej oczy wyły z rozpacz.

Nelly chwyciła jej drugą rękę. Ścisnęła ją mocno.

- Vesna, twój ojciec nie żyje.

Jonas otworzył drzwi, gdy Nelly właśnie miała wcisnąć dzwonek.

- Cześć, wchodź.

Lekko objął ją na przywitanie. Nelly cmoknęła go koło policzka i pokazała na drzwi.

- Tak się przyzwyczałeś, że już do ciebie nie dociera, jakie to dziwne, prawda? Ze mną jest dokładnie tak samo.

-Co?

- Że wiesz, kiedy ktoś stoi pod twoimi drzwiami i zaraz zadzwoni. Przytaknął. Tak było, odkąd pamiętał. Zawsze czuł, czy coś

lub ktoś zmierza do niego, czy tylko go minie. To było bardzo silne przeczucie, podobne do intuicyjnego tłumaczenia sobie czyjś znaczącego spojrzenia. Tyle, że Jonas nawet nie potrzebował nawiązywać kontaktu wzrokowego. W ogóle nie musiał widzieć oczu tej osoby. Nie miało zresztą znaczenia, czy chodziło o człowieka, czy zwierzę. Jeśli na przykład widział kogoś idącego z psem, to wiedział, czy pies zaciekawia się i podejdzie do niego, czy tylko minie go, idąc dalej ze swoim panem lub panią. Nigdy się nie pomylił. To samo było, gdy ktoś szedł jego klatką schodową. Słyszac kroki kilka metrów od swoich drzwi, już wiedział, czy ten ktoś minie je, czy też zadzwoni do niego. Nawet się nad tym nie zastanawiał, zawsze tak było. Miał wmontowany czujnik ciekawości, zaostrzający zmysły i podający wynik. Najwyraźniej Nelly była taka sama. Mieli ze sobą wiele wspólnego.

Zaprowadził ją do małej kuchni. zaproponował kawę. Nie odpowiedziała, tylko rozejrzała się i uśmiechnęła.

- Jak tu ładnie - powiedziała. - Jak w domku dla lalek.

- Ha, ha - odparł cierpko.

Z lodówki wyjął masło i ser. Nelly przysiadła na niskiej ławie na drugim końcu wąskiej kuchni. Jedną nogę oparła na podłodze, drugą machała w jego stronę.

- Jak jest w pracy?

- Do dupy.

Opowiedział, co się działo, gdy Vesna zabrała się z pogotowiem lotniczym, które przyleciało wieczorem po ustaniu burzy. W szpitalu stwierdzili, że Goran miał zupełnie spalone wnętrza. Gdyby stał na ziemi, być może uniknąłby pioruna, ale ponieważ stanął na skale, przyjął na siebie kilka milionów wolt. Na ziemi deszcz i woda mogłyby przyjąć część wyładowania, choć i tak to by go pewnie nie uratowało. W tym wieku nie miał szans przeżyć czegoś takiego nawet, gdyby szybko trafił do szpitala. Vesna jest zdruzgotana, ale przychodzi do pracy. Wyznaczone na przyszły tydzień seminaria muszą się odbyć. Goran by tego chciał. Byłby zachwycony, widząc, że Apisec odciska swój ślad i zmienia państwo na lepsze. Pogrzeb ma mieć kameralny charakter i odbędzie się dopiero za kilka tygodni.

- Biedna Vesna - powiedziała Nelly. - Naprawdę bardzo ją lubię. Nie poznałam dobrze jej ojca, ale z tego, co wiem, nie był zupełnie zdrow.

Jonas pokręcił głową.

- No właśnie. Coś mu się stało, nie wiadomo co. Demencja, depresja, psychoza. Nie wiem i raczej się nie dowiemy. To jak, chcesz kawę czy nie?

Nelly zerknęła nieufnie na skromną maszynkę do kawy i dzbanek, w którym dostrzegła ślad kamiennego osadu. Maszynka wydawała jakieś syczące odgłosy. Pokręciła głową.

- Masz wodę? Z cytryną albo limonką. Chciałbym gazowaną.

- Nie, ale mam lód. Mogę pokroić jabłko na plasterki i wrzucić.

- Mmm... okej. Poproszę.

- Chcesz kanapkę?

Nelly zerknęła na chleb tostowy, otwarte opakowanie leżało koło tosterka.

- Eh... Nie. Mam alergię na szybkie węglowodany. Nie bierz tego do siebie.

- Przepraszam, ale w 7-Eleven skończył się duński chleb na zakwasie z pestkami słonecznika - odparł zgryźliwie Jonas. Wiedział, że Nelly lubi takie riposty.

Roześmiała się i kazała mu podać sezonowanego appenzellem. Odparł jej, że musi się zadowolić syntetycznym serem topionym z tubki. Uszczypliwości i docinki stały się sposobem na bycie razem, także wtedy, gdy Björn był z nimi.

Jonas wziął z zamrażalnika plastikową foremkę i wydłubał kilka kawałków lodu prosto na blat. Następnie włożył je ręką do dużej szklanki. Nelly lekko się wzdrygnęła i z miną obrzydzenia odwróciła wzrok.

Umówili się, żeby razem przeanalizować, jak działa ich intuicja i zastanowić się, czy korzystając ze swoich wzajemnych doświadczeń, mogliby lepiej skanalizować tę „supermoc”. Opowiedzieli sobie o swoim dzieciństwie i już wiedzieli, że mają za sobą wiele podobnych przeżyć. Na Rödlödze stało się to szczególnie wyraźne. Adrenalina wyostrzyła im zmysły i oboje przeczuli, że nastąpi jakieś ekstremalne wydarzenie.

Nelly jak zwykle nie była zainteresowana pogaduszkami towarzyskimi.

- Dobra, to co robimy? Chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o tym, co nam się przytrafiło. Dlaczego tacy jesteśmy? Co nas łączy? I chciałabym usłyszeć coś o tej podejrzanej sekcji, o której ci mówiła twoja stara kumpelka Gry Oda.

- Wydaje mi się, że moi biologiczni rodzice byli członkami tej sekty. Ale to tylko przeczucie. Kto wie, może twoi też?

- Też mi to przyszło na myśl. Jak możemy się dowiedzieć więcej?

- Myślę, że ty też powinnaś poznać Gry Odę. Znała przywódcę sekty i mogłaby nam podpowiedzieć więcej tropów. Chciałbym, żeby cię poddała pewnemu testowi. Mnie poddała.

- Jakiemu testowi?

- Żeby sprawdzić, jakim jesteś motylem. Wiem, wydaje ci się to kompletnie szurnięte, ale trzeba wszystkiego spróbować.

- Oczywiście. Okej. Zgadzam się na wszystko.

Jonas opowiedział jej o teście, rytuale inicjacji nowych studentów, z którego wynikało, że on jest wędrownym motylem admirałem. Próbował wytłumaczyć, na czym polegają wędrówki motyli, że nowe pokolenie trafia do miejsca narodzin poprzednich pokoleń, chociaż nigdy tam nie było. Jutro zadzwoni do Gry Ody i spyta, czy mogą przyjść.

Nelly patrzyła na niego z pewną dozą sceptycyzmu.

- To co w końcu robimy? Jak mamy dowiedzieć się czegoś więcej o funkcjonowaniu naszej intuicji?

- Nie wiem...

- Ze mną jest tak, że działa tylko w sytuacji, gdy odczuwam jakąś presję. Tętno przyspiesza, adrenalina rośnie. I wtedy to się dzieje. Niewiele trzeba, jednak musi być coś ekstra. Jakieś napięcie, irytacja, zagrożenie albo nawet kiedy jestem napalona na seks.

Jonas zaśmiał się lekko zażenowany. To ostatnie padło nieoczekiwanie, ale wszystko się zgadzało.

- Właśnie, mam dokładnie tak samo. Chwilę milczeli. Namyślali się.

- Już wiem - odezwała się w końcu Nelly. Spojrzała na niego szelmowsko.

- Co jest?

Ledwo skończył mówić, jak dostał mocny policzek.

- Aua! Kurde, co ty wyprawiasz?

Nelly chwyciła go za podbródek i przysunęła twarz do jego twarzy. Patrzyła mu prosto w oczy.

- No już. Nie myśl. Wczuj się. Co ja zaraz zrobię?



Między brwiami pojawiła mu się zmarszczka wyrażająca zaskoczenie, odpowiedział jej tonem gniewnego zdziwienia, strzelając słowami:

- Kurde, chcesz mnie pocałować! To napaść. Co ci odbiło? Nelly działała szybko. Przytrzymała mu głowę, przytknęła usta do jego ust, wcisnęła w nie język i zakręciła nim. Na mokro. Wszystko stało się tak prędko, minęło zaledwie kilka sekund od palącego policzka, który padł znienacka.

Jonas odepchnął ją, kładąc ręce na jej piersiach.

Zaśmiała się.

- Co to niby miało być? - spytał, wycierając usta rękawem koszuli.

- Chciałam cię przetestować. Nie rozumiesz? Wiedziałeś, co będzie. W szczegółach. Uderzyłam cię i w mgnieniu oka obudziła się twoja intuicja.

- No i co?

- No i... to znaczy, że mógłbyś w każdej chwili wzmocnić swoją intuicję. Może nie trzeba do tego aż rękoczynów, ale być może mógłbyś ją wyćwiczyć i włączać wtedy, kiedy sam zechcesz, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Pomyśl tylko, gdybyśmy to umieli!

Patrzył na nią.

Ona ma rację. Poczul jej język na swoich zębach i języku dokładnie chwilę, zanim to się stało. Wyraźnie i bez jakichkolwiek wątpliwości. Bardziej jako silne przeczucie niż konkretne przeżycie. Samo wydarzenie nastąpiło w ekspresowym tempie niczym *déjà vu*.

- Chciałbyś więcej? - Uśmiechnęła się i czubkiem języka oblizała górną wargę. Oczy jej się śmiały.

- Więc mówisz, że poznaliście się przypadkiem?

Mówiąc to, Gry Oda zabrała się do zawiązania oczu Nelly swoją chustką. Zmarszczki wokół jej oczu były bardzo wyraźne. Widać było, że bawi ją ta sytuacja.

Znajdowali się w wielkiej sali, w której stały gabloty z motylami. Gry Oda bardzo się zaciekała, gdy Jonas zadzwonił, mówiąc, że przyprowdzi do niej jeszcze jedną osobę, która została porzucona w niemowlęctwie w siedlisku motyli. Oczywiście, niech od razu przychodzą.

- Ależ Jonas, naprawdę uważasz, że to przypadek, że się poznaliście?

- Tak, tak sądzę - odparł. Nelly mruknęła, że zgadza się.

- Raczej wątpię - powiedziała Gry Oda. - Czasem coś wygląda na czysty przypadek, a w gruncie rzeczy chodzi o synchroniczność. Tak uważam.

- Synchroniczność?

- Słyszeliście o psychologii jungowskiej? O Carlu Gustavie Jungu?

- Właściwie nie... - odparł Jonas. - Nazwisko jest mi oczywiście znane...

- Uczyliśmy się o tym w liceum, ale już zapomniałam - powiedziała Nelly.

- Carl Gustav Jung był szwajcarskim psychologiem, uczniem Freuda. Na pewno zetknęliście się z pojęciem archetypu. To jego idea.

- Okej...

- Według Junga myśl i uczucie są we wzajemnej opozycji. Dotyczy to również takich pojęć jak postrzeganie i intuicja. W procesie rozwojowym człowieka często powstaje nierównowaga między tymi przeciwieństwami. Albo stajesz się osobą myślącą, albo czującą. Myśląca potrafi systematyzować swoje przemyślenia i postrzeganie, natomiast czująca rozwija intuicję. To zgrubny opis, bo jest tu oczywiście wiele stopni. Można na przykład rozwinąć u siebie przeciwne funkcje pomocnicze, choćby w gruncie rzeczy było się myślicielem albo osobą, która przede wszystkim czuje. Jung stworzył z tego całą naukę z matrycami i systemem reguł.

- Jakie to pokręcone! - zauważyła Nelly.

- Naprawdę? Wczuj się w to.

Nelly milczała przez chwilę. Czowała, że jednak jest coś w tym, co powiedziała Gry Oda. Sama uważała się za osobę skrajnie analityczną, z drugiej strony miała czułki otwarte na inne doznania. Może jest zarówno myślicielką, jak i osobą czującą? Chociaż czasem bywała skrajnie nieczuła; nie raz to słyszała. Ale dotyczyło to bardziej sposobu traktowania innych, pomyślała.

Gry Oda stała za Nelly, trzymając ręce na jej barkach. Była znacznie niższa od Nelly. Masowała ją lekko kciukami.

- No i co?

- A jak często zdarza się, że ktoś zarządza zarówno swoim myśleniem, jak i uczuciami? - spytała Nelly.

- Rozejrzyj się wśród znanych ci osób. Nie jest to częste, prawda? A jednak są tacy ludzie. Zazwyczaj stają się fantastycznymi naukowcami. Tak czy inaczej, wspomnieliśmy o synchroniczności. O tym, że się poznaliście. Jung mówił o „znaczącej koincydencji”, nazwanej później przez innych synchronicznością. No wiesz, rozmawiasz o kimś i nagle ta osoba staje przed tobą. „O wilku mowa” i tak dalej. Odbierasz to jako przypadek, ale równie dobrze może tu chodzić o związek

przyczynowo-skutkowy, którego nie dostrzegasz ani nawet nie rozumiesz. Nie znajdujesz słów, by opisać to, czego doświadczają twoje zmysły. Rozumiecie?

- Czyli mówi pani, że istniał powód, dla którego się poznaliśmy?

- Przyznaj, że przyszła ci do głowy taka myśl. A tobie, Nelly? Gry Oda wciąż masowała jej barki swoimi pomarszczonymi dłońmi.

- No tak, było to dość nieprawdopodobne - odezwała się Nelly spod chusty. - A jednak wydaje się, że był w tym jakiś sens. Oczywiście, że się nad tym zastanawiałam.

- Ryzykując, że nasza rozmowa przerodzi się w wykład z historii idei, pozwolę sobie jeszcze zacytować filozofa Ludwiga Wittgensteina: „O czym nie da się mówić, o tym należy milczeć”. Ja rozumiem to w ten sposób, że w naszym życiu i naszym świecie istnieją wydarzenia, które nie poddają się opisowi. Nawet nie ma sensu próbować. I wtedy lepiej milczeć. Co o tym sądzicie?

- No tak, może - odparł Jonas.

Nelly mruknęła, że tak, ale pomyślała, że jeśli jest na świecie coś, co nie poddaje się opisowi albo zrozumieniu, to już ona, kurde, dowie się, co to jest. Zwłaszcza, jeśli przy okazji da się na tym zarobić parę groszy.

Gry Oda zakręciła nią, jednocześnie prowadząc na środek pomieszczenia. Z początku kręciła powoli, potem coraz szybciej. Pięć obrotów, dziesięć, dwadzieścia. Znacznie więcej niż przy Jonasie. Widocznie próg samokontroli Nelly był wyższy.

W końcu przestała kręcić, ale przytrzymała Nelly, żeby się nie przewróciła. Nelly poczuła porządny zawrót głowy, zrobiła krok w przód, żeby znaleźć oparcie. Gry Oda puściła ją ostrożnie i odsunęła się, Nelly stanęła w rozkroku i wyciągnęła ręce przed siebie. Szybko odzyskała równowagę.

Zrobiła kilka kroków naprzód i doszła do szklanej gabloty. Przesunęła po niej ręką. Przeszła wzdłuż rzędu gablot aż do końca. Zatrzy-

mała się i znieruchomiła na pół minuty. Rozprostowała plecy, twarz skierowała skośnie do wysokiego stropu.

Wczuwała się. Opuściła myślenie.

Pozwoliła działać przeczuciu.

A ono się odezwało. Nie miała w głowie żadnego obrazu, co będzie, umysł nie wydał żadnej instrukcji, dokąd ma iść. Po prostu wiedziała. Bez słów. Wiedziały nogi. Wiedziały ręce/

Pewnym, szybkim krokiem podeszła do gabloty znajdującej się około dziesięć metrów od niej i zatrzymała się, nie dotykając jej. A potem podniosła lewą rękę i bez najmniejszego wahania palcem wskazującym dotknęła szyby.

Tutaj.

Gry Oda podbiegła do gabloty, za nią Jonas. Nelly prawą ręką zerwała przepaskę z oczu i spojrzała na gablotę. Motyl był dość duży, brunatno-pomarańczowy i wzorzysty. Na karteczce obok napis:

***Danaus plexippus.***

- Ojej! - skomentowała Gry Oda.

- Co? - zdziwiła się Nelly.

- Coś takiego widziałam tylko jeden jedyny raz. To jeden przypadek na tysiąc.

- Ale co, proszę powiedzieć.

- Nelly, jesteś motylem monarchą. To fantastyczne. Coś pięknego.

-Tak?

- Monarcha jest zdecydowanie najsprawniejszym motylem wędrownym na świecie. Jonas okazał się admirałem, co również jest niezwykle. Oboje jesteście motylami wędrownymi. Ale ty jesteś monarchą. To coś ekstra.

- Czekaj - zwróciła się Nelly do Jonasa. - Monarcha, czy to nie ten motyl, o którym czytałeś, siedząc w tamtym pokoiku na poddaszu? I o naukowcu nazwiskiem Rhinehart, który rozwiązał

ich zagadkę? Tę, że wędrują tam i nazad, lecą z Kanady aż do Meksyku i z powrotem?

- Raczej Urquhart, prawda? - Jonas spojrzał na Gry Oda. Skinęła głową.

- Aż mi ciarki chodzą po plecach od tych wszystkich zbiegów okoliczności.

- Żartujesz. Kurde, to jest chore! Synchroniczność...

Gry Oda wcale nie uważała, że to nieprzyjemne. Aż tryskała radością.

- Ojej! Nelly, masz nadzwyczajną moc. Na granicy magii. Wiesz, to się nie poddaje opisowi.

Nelly przyglądała jej się. Wszystko, co o niej mówił Jonas, zgadzało się z rzeczywistością. Gry Oda była bardzo dziwną osobą. Ale budzącą zaufanie. I sympatię. Nie tylko dlatego, że była wesołą Norweżką. Gry Oda miała coś jeszcze, czego potrzebowała Nelly. Chociaż nie wiedziała, co miałyby z tym zrobić. Jednak wydawało jej się ważne.

Tak. Czyli jest monarchą. I co?

W jej głowie pojawiło się pytanie. Czują, że decydujące.

- Kim była ta pierwsza osoba?

Gry Oda patrzyła jej w oczy przez dłuższą chwilę, przeniosła wzrok na Jonasa. Radość w jej oczach zgasła. Przybrała neutralny wyraz twarzy.

Wyciągnęła do nich swoje drobne ręce i złapała dłonie ich obojga. Ścisnęła je mocno.

Nabrała powietrza przez nos i na wydechu odpowiedziała: - Ray.

W innej części Sztokholmu Björne wiercił się na krześle podczas nudnej nasiadówki w Centrum do spraw Przystępczości Gospodarczej, dokąd wysłano go razem z kilkoma kolegami ze skarbowki. Na tle innych grup roboczych złożonych z ekspertów różnych szczebli, faceci z Centrum, pracujący na podstawie „specjalnych uprawnień”, zaliczali się do absolutnie najlepszych. Świetnie wykształceni, w dodatku obdarzeni wyższym poczuciem moralności niż średnia wśród urzędników. Jednak przeciwwagą do tych wspaniałych zalet było to, że byli dość nudni.

Koszmarne nudni, do szpiku kości, pomyślał Björne.

Jak on się tu znalazł? Kiedyś był klasowym wesołkiem i tym, który podczas piątkowych spotkań sypał kawałami jak z rękawa. W liceum zawsze mógł liczyć na sporą świtę, gdy podczas przerw między lekcjami naśladował Roberta Gustafssona z kabaretu *I manegen med Glenn Killing*. Jego numerem popisowym był zwłaszcza skecz z wiecznie wstawionym Fredem Aspem i fretką Goranem, jego kompanem od kieliszka. Dziewczyny aż zwijały się ze śmiechu. Anna, koleżanka z klasy, raz się nawet posusiała.

Na życie prywatne nie narzekał. Pojawienie się w nim Nelly było bardzo podniecające. To znaczy jej ciało; zastanawiał się chwilami, czy ono jest prawdziwe. Co teraz będzie? Z nimi dwojgiem? I ta historia z wytatuowanymi motylami i porzuconymi niemowlętami. O co tu

chodzi? Czuł, że jeszcze długo nie będzie musiał szukać sobie zajęcia, żeby wypełnić wolny czas.

A póki co, siedzi tu razem z dyrektorami wydziałów, biegłymi rewidentami i prokuratorami. Ziewnął. Cóż, to i tak lepiej niż tkwić w kancelarii adwokackiej, gdzie musiałby zajmować się ukrywaniem dochodów klientów, klejąc jakieś mętne fundacje. Starał się słuchać i tłumił kolejne ziewnięcia.

Prokurator Jan-Erik Ring z Centrum do spraw Przystępności Gospodarczej przystąpił do omawiania nowego punktu w porządku zebrania: informacji o dużej, skoordynowanej akcji szykowanej na przyszły tydzień. Wywiadownia gospodarcza Apisec przekazała poufne informacje na temat wielu pośrednich i bezpośrednich nadużyć w firmach działających w sektorze zwanym niegdyś usługami publicznymi, a dziś coraz częściej przemysłem dobrobytu, to jest lecnictwem, szkolnictwem i usługami opiekuńczymi. Oszustwa przy pobieraniu zasiłków, zmanipulowane biznesplany, transakcje w ramach koncernu, ucieczki do rajów podatkowych i tak dalej. Wyniki dochodzenia zostaną przedstawione podczas spotkania polityków na Gotlandii, które odbędzie się w przyszłym tygodniu.

Björne w jednej chwili oprzytomniał. Apisec, przecież to miejsce pracy Jonasa!

A więc robią ważną prezentację, choć minęło tak niewiele czasu od śmierci Gorana. Jonas nie mówił o tym ani słowa. Fakt, umówili się, że nie będą rozmawiać o projektach, nad którymi obecnie pracują. Nie dlatego, żeby nie mieli do siebie zaufania, ale prościej było nie zaprzętać sobie głowy tyloma poufnymi informacjami.

Pierwszy raz zetknął się bezpośrednio z projektem realizowanym przez Apisec. Ciekaw był, ile Jonas miał wspólnego z tym dochodzeniem. Oczywiście potem go o to spyta.

Jan-Erik Ring wyklikał nową planszę na ekranie. Oś czasu, na niej wydarzenia dzień po dniu. Centrum do spraw Przystępności Gospodarczej od kilku dni zajmowało się weryfikowaniem wyników dochodzenia Apisecu. Wyglądało na to, że wszystko się zgadza, jednak



potrzebne były dowody i prokuratura liczyła, że zdobędzie je podczas akcji, która musi być przeprowadzona, zanim Apisec przedstawi swoje ustalenia. Będzie to tak naprawdę szereg skoordynowanych działań w całym kraju, w jednym przypadku we współpracy z Interpolem. Prokurator Ring liczył, że skarbówka nie obudzi się z ręką w nocniku, tylko solidnie się przygotowuje do nieuchronnej zawieruchy. Poinformował, że na zakończenie spotkania przekaże listę wszystkich osób i firm, które zostaną objęte akcją prokuratury.

Jego zdaniem, sprawa szybko trafi do mediów. Dlatego zainteresowane urzędy powinny starannie przygotować swoich rzeczników do odpowiedzi na różne pytania. Przedstawił długą listę ewentualnych sposobów ujęcia tematu przez media i szybko je omówił.

Wyraził pogląd, że sprawa będzie miała charakter rozwojowy i silnie wpłynie na opinię publiczną. Partie zaczną się spierać, która z nich była najbardziej liberalna i pozwoliła, aby kapitał mógł wpływać negatywnie na warunki bytowe społeczeństwa. Można się spodziewać powrotu tendencji do renacjonalizacji usług społecznych. W PowerPointcie wyświetlił się napis: *Ofensywa na rzecz państwowego sektora publicznego.*

Kończąc, przypomniał o obowiązku zachowania tajemnicy państwowej, a także o karze za jej złamanie.

Wow. Mocno.

Björne pomyślał, że wieczorem musi się spotkać z Jonasem, żeby wydusić z niego trochę informacji.

Po przeprowadzeniu dziwnego testu Jonas zabrał Nelly do pokoiku na poddaszu, gdzie Ray miał kiedyś swoją kryjówkę. Gry Oda powiedziała, że uważa ich za swoich przyjaciół i ma do nich całkowite zaufanie, natomiast sama musi zająć się rezerwacjami w związku z wyjazdem na ekspedycję naukową. Zanim wyjdą z muzeum, chciałyby jeszcze zamienić z nimi kilka słów.

Skierowali kroki na kamienne schodki przylegające do jednego z potężnych przewodów kominowych znajdujących się w gmachu. Jonas szedł pierwszy, otworzył ciężkie drzwi. Uderzył ich zapach lekkiej stęchlizny, kurzu i bardzo starego papieru. Wszedł do środka i wyciągnął ręce, żeby otworzyć okienko w dachu, bo było duszno. Ale zaraz, ostatnio, gdy tu był, okienko było uchylone. Nawet wleciała wtedy przez nie para motyli. To znaczy, że od tamtej pory ktoś tu wchodził. Oczywiście mógł to być na przykład woźny czy ktoś inny. Jednak pokoiak wydawał mu się dość zapomniany i raczej przez nikogo nie odwiedzany. Jonas odniósł wrażenie, że dziś wie o nim tylko Gry Oda. Może to ona tu była? Czego szukała? Trzeba będzie ją o to spytać.

Nelly weszła do pokoju i usiadła na starym szczebelkowym krześle przy biurku.

- A więc tu się czaił ten cały Ray-Monarcha? Kiedy nie był fetowanym naukowcem i guru swojej sekty?

Nelly przyznała, że odnosi się do Raya z dużą nieufnością; najprawdopodobniej musiał z niego być niezły skurwysyn. Jak większość

mężczyzn uważanych za geniuszy. Z tego, co Jonas powiedział, powołując się na Gry Odeę, nic nie świadczyło, żeby było inaczej.

- Zgadza się. Bardzo chciałbym dowiedzieć się o nim czegoś więcej - odparł Jonas. - Według Gry Ody tu się zasywał, żeby pisać.

Spojrzał na siedzącą Nelly. Rozpartą na krześle, zuchwałą i pewną siebie. Nieobliczalną. Nadal czuł smak jej ust, gdy się do niego przyssała wtedy w kuchni. Dziwna... ale super.

- Mam to w dupie. Czyli tu wpadłeś na pracę tego Rhineharta?

- Urauharta. Tak.

-1 chcesz, żebym teraz ja wybrała jakąś książkę?

- Właśnie. Po prostu zrób to. Zamknij oczy, zanim zaczniesz przesuwac palcem po grzbietach. Obudź swoją intuicję i poczuj to. Czary--mary, czary-mary, okej?

Nelly odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy.

- Dobra, zrób to - powiedziała. -Co?

- Uderz mnie. Mocno.

- A, w ten sposób? Nie, nie wydaje mi się to konieczne. Skup się, to tętno automatycznie przyśpieszy i podniesie się poziom adrenaliny. Niedużo trzeba. Poczujesz to.

- Tak myślisz?

- Tak. Uwierz w siebie.

- Okej. Spróbuję.

Nelly wyciągnęła lewą rękę w stronę regału i zaczęła przesuwac palcami po grzbietach. Doszła do końca jednej półki i nic. Przeniosła się na wyższą półkę i dalej nic. Półka po półce, ciągle nic. Przeszła do następnego regału, który stał pod kątem do tamtego i zaczęła wszystko od nowa. Powoli, metodycznie, czubki palców muskały lekko kolejne tomy.

Już była bliska poddania się, gdy poczuła. Na ułamek sekundy wszystko się zatrzymało i stało się. Nie przybrało kształtu świadomej myśli, raczej odruchu mięśnia. Podświadomego impulsu z mózgu do włókien nerwowych. Palce już wiedziały, co mają robić.

Jej lewa ręka chwyciła kołonotatnik leżący na książkach na samym końcu jednej z niższych półek. Otworzyła oczy i wyciągnęła go.

Na środku napis: ***Kolonotatnik w linie. 80 kartek, 80 gram.*** A w lewym górnym rogu dużym, pewnym siebie charakterem pisma nazwisko.

Ray Gradino.

Jonas i Nelly spojrzeli na siebie.

Okazuje się, że intuicja to nie zabawka. To siła wybuchowa i nieprzewidywalna.

Nelly zdmuchnęła kurz z okładki i otworzyła notatnik. Cała pierwsza strona była zapisana pismem Raya. Na kolejnych stronach były tytuły, słowa pomocnicze, krótkie teksty i plany w punktach. U samej góry pierwszej strony: „Notes przed spotkaniem w Klustret”. I rzucający się w oczy wielki tytuł:

**LEGENDA O IMAGORINIE.**

**KLUSTRET,  
DWFLDZIEŚCIA DZIEWIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ.**

Ray zwołał zebranie grupy. Należało odpowiedzieć na niektóre pytania i niepokoje, jakie pojawiły się wśród członków. Usiedli w dużym, jasnym pokoju w środku domu. Ray usadowił się na fortepianie, żeby mieć kontakt wzrokowy ze wszystkimi, którzy siedzieli na wytartych skórzanych kanapach, albo na ich bokach. Przybierając luźną pozycję, oparł dłonie na klapie fortepianu i machał nogami w niezawiązanych butach. Uśmiechnął się serdecznie do swoich przyjaciół, między którymi krążyła spora torebka ze słodyczami.

Oprócz Pii i Marcusa, Raya i Ursuli przyszły trzy inne pary mieszkające w Klustret. Bitte i Órjan, Kalle i Karin oraz Jovo i Mira. Wszyscy dziesięcioro byli albo naukowcami, albo studentami wyższych lat różnych kierunków nauk przyrodniczych.

Pia i Marcus dołączyli do grupy najpóźniej, ale dobrze się zaadaptowali. Marcus okazał się prawdziwym wołem roboczym, nigdy nie narzekał i nie kwestionował tego, co robili inni członkowie grupy. Pia zajęła pozycję, w której znajdowała zastosowanie jej mądrość i ciekawość świata. Miała zdecydowany pogląd na większość spraw, przy tym była konstruktywna i wspierająca.

Po wielu miesiącach wspólnego mieszkania członkowie tej konstelacji stali się zżyci i czuli wobec siebie. Niemal jak w rodzinie, ale intensywniej i prawdziwiej. W rodzinach ludzie często żyją obok sie-

bie. Jakby znajdowali się w drodze do innego miejsca, do innej fazy w życiu. Przychodzą i wychodzą jak chcą, zajęci własnymi planami i marzeniami. W zwyczajnej rodzinie jej członków łączy tylko zawartość lodówki, dach nad głową i DNA. Kropka. W Klustret tak nie było. Tu wszyscy głęboko się o siebie troszczyli. Każdego obchodziło, co inni chcą osiągnąć w życiu, jak mogą rozwijać się zarówno jako jednostki, jak i członkowie grupy. Zawsze znajdował się ktoś gotów słuchać i rozmawiać o problemach albo o tym, jak doprowadzić do przełomu i zrobić krok do przodu w sprawie naprawdę ważnej. Takiej jak rozkwit ich komuny, zdobywanie coraz większej wiedzy i nieustanny rozwój. Dla mieszkańców Klustret właśnie to było najważniejsze. Chcieli się rozwijać, i to razem.

Marcus zagłębił się w rogu kanapy i zapalił własnoręcznie wykonanego bonga. Razem z Ursulą wymyślili zupełnie nowy model, z którego był bardzo zadowolony i niechętnie się z nim rozstawał. Była to butelka PET z grubego plastiku, w której mieściło się dużo dymu i wody. Ochłodzonym dymem można było zaciągać się znacznie głębiej, niż paląc zwykłą fajkę albo bonga. Ursula była mistrzynią w konstruowaniu sprzętu do palenia. Potrafiła sprawić, że partia kiepskiej trawy zamieniała się w istną raketę kosmiczną i zdążyła już wyuczyć tej sztuki Marcusa. A on miał do tego samorodny talent, w dodatku żadna z osób zamieszkałych w Klustret nie była tak zainteresowana paleniem jak on. Nawet Ursula, która zazwyczaj chodziła najarana przez większą część dnia. Oboje dużo przebywali razem na Zielonym Strychu, dbając o rośliny oraz o to, żeby był zapas trawy i żeby motyle miały się dobrze. Bycie częścią Klustret oznaczało dużo roboty ale i jednocześnie dawało dużo w zamian.

Świadomość, że stał się taki zręczny, sprawiała mu dużą przyjemność. W dzieciństwie dostał od matki klocki Lego i uwielbiał się nimi bawić. Budował fantazyjne zamki i pojazdy kosmiczne. Mógł to robić całymi godzinami, leżąc na dywanie. Jednak ojciec, człowiek starej daty, uważał, że powinien się bawić Meccano, czyli wielkim mnó-

stwem cienkich blaszek, kółek zębatych, śrubek i nakrętek, z których należało budować solidne kolejki, dźwigi albo samochody. Ojciec był zdania, że Lego jest za bardzo spreparowane. Jeśli Marcus ma zrozumieć prawa mechaniki i przyrody, to najlepsze jest Meccano. Pewnej nocy klocki Lego znikły bez śladu z pokoju Marcusa, który w proteście nawet nie otworzył brzydkiego, płaskiego kartonu z pudłem Meccano. Jednak po zamieszkaniu w Klustret odzyskał zapał twórczy. Ray bardzo go chwalił za budowę labiryntów dla szczurów laboratoryjnych, z którymi Marcus i Pia przeprowadzali testy dniami i nocami. Marcus miał wyraźną smykałkę do rzemiosła, wystarczyło, że chwycił jakieś narzędzie, a ręce same mu chodziły. O ile palenie sprawiło, że stał się bardziej otwarty i fajniejszy niż przedtem, o tyle prace ręczne dały mu zupełnie nowy rodzaj zadowolenia. Klustret stał się dla niego wyzwoleniem.

Pia szturchnęła go w bok.

- Musisz teraz palić?

Marcus odsunął ustnik, ale zatrzymał kłęb dymu w płucach. Wypiął klatkę piersiową jak porucznik w przedwojennej komedii filmowej. Zatkanął palcem dziurkę na bongu i spojrzał pytająco i zarazem błagalnie na Raya.

- *It's cool* - odparł Ray. - Dziękuję, że przyszliście porozmawiać ze mną. Wszyscy są, to bardzo dobrze. Muszę wam coś opowiedzieć, żebyście poczuli, że macie w tym udział. Przepraszam, że tak mnie pochłonęła praca, ale musicie wiedzieć, że jesteście dla mnie bardzo ważni. *I love you guys*.

Kolejno spojrzał na każde z nich i czekał w milczeniu, aż wszyscy się na nim skupią.

- Mam do omówienia kilka punktów. Potem chciałbym posłuchać, co macie do powiedzenia i trzeba będzie uzgodnić nasze najbliższe cele. Przypuszczam, że spodoba wam się to, co powiem. Okej?

Siedzący wokół skinęli głowami. Brzmiało przekonująco.

- *Weil*, wiecie, że celem moich badań jest znalezienie odpowiedzi na to, jak to się dzieje, że wędrowne motyle trafiają do domu. Wia-

domo, że jest to wynik współdziałania wielu czynników, jak pogoda, wiatr, ciśnienie powietrza i tak dalej. Ci z was, którzy są tu od dłuższego czasu, wiedzą, że pomierzyliśmy i przetestowaliśmy co się tylko dało, prawda?

Wszyscy potwierdzili.

Ray przeszedł do omówienia najważniejszych obserwacji. Powiedział, że wiele wskazuje na to, iż motyle muszą mieć jakieś poczucie upływu czasu. Być może potrzebują słońca do nawigacji. Jednocześnie przeczyło temu wiele innych danych, które wskazywały, że wysokość słońca jest bez znaczenia. Pewne natomiast jest, że wielkie znaczenie mają czułki. Powiedział, że przez dłuższy czas korespondował z legendarnym Fredem Urquhartem, który opowiedział mu o pewnym eksperymencie. Otóż okazało się, że motyle, którym obcięto czułki, traciły całkowicie orientację i poruszały się zupełnie bez celu.

Większość tych informacji była już wcześniej znana mieszkańcom Klustret. Ray widział to po zniecierpliwieniu wyrażanym mową ciała.

- Chciałem tylko krótko przedstawić tło mojego zainteresowania czułkami. *Anybody*<sup>7</sup> Zanim będę mówił dalej?

Pia podniosła rękę, że chce coś powiedzieć. Wyglądała na lekko poirytowaną. Ray kiwnął głową. Co chce powiedzieć?

- Co ty robisz z tą substancją, którą na Zielonym Strychu wyciskamy z czułek monarchów? To obcinanie czułek wydaje się cholernie niepotrzebne. Przecież jest z tego zaledwie jedna mikroskopijna kropelka. A oznacza okaleczenie motyli, które stają się zupełnie dezorientowane. Nie widzę w tym większego sensu.

- Zaraz do tego przejdę. *Thanks*. Właśnie o to chodzi, żebyście się dowiedzieli. *Anybody else?*

Pokręcili głowami. W tym momencie nikt więcej nie miał pytań.

Marcus zaciągnął się głęboko i podał bonga Ursuli. Wzięła go, uśmiechając się z wdzięcznością. Ona również zaciągnęła się porządnie i podała siedzącym obok.

Ray przecesał palcami swoje kędziory i mówił dalej. W jego korespondencji z Fredem Urquhartem pojawił się interesujący trop, wręcz



*amazing*. Otóż Urquhart i jego żona przez wiele lat pisali do uniwersyteckich wydziałów biologii na całym świecie, poszukując jak najwięcej informacji o wędrownych motylach. Z czasem nawiązali bezpośrednie kontakty z praktycznie wszystkimi znaczącymi badaczami motyli. Polegały one na wymianie obserwacji i różnych danych. Jednak od czasu do czasu korespondencja dotyczyła bardziej egzystencjalnych kwestii. Urquhart był zdania, że to naturalne, ponieważ większość naukowców pragnie poznać jak najwięcej zachodzących na świecie związków przyczynowych, nawet całkowicie odległych od ich własnych dziedzin. Charakterystyczne, zdaniem Urquharta, było to, że częściej dotyczyło to korespondencji ze starymi, klasycznymi uczelniami europejskimi, gdzie odbywa się twórcza wymiana doświadczeń między naukami humanistycznymi a przyrodniczymi. Trwa ona od stuleci, wpływając na niemal wszystkich, którzy tam studiują lub pracują i potrafią w zwykłej codzienności dostrzec filozofię i sztukę. Ten rodzaj postrzegania tkwił w samych murach legendarnych uniwersytetów. Żadnego kształcenia bez wykształcenia. Urquhart uważał, że z takimi osobami jest się łatwo zaprzyjaźnić. Tak jak po pewnym czasie zaprzyjaźnił się z Rayem. Przyjaźń rodzi się tam, gdzie spotykają się te same zainteresowania i oceny. Tak samo jest tu, w Klustret, powiedział Ray, sygnalizując, że należy teraz słuchać uważnie.

Jeszcze bardziej wyostrzyli zmysły, by otworzyć się na słowa Raya. Znowu spojrzął kolejno na każde z nich. Po dłuższej pauzie opowiedział im o dziwnej legendzie.

Urquhart napisał mu w liście, że usłyszał ją od pewnego starego przyjaciela, profesora uniwersytetu w Oksfordzie. Z kolei przyjaciel usłyszał tę historię w młodości od innego bardzo starego *profesora emeritusa*. Chodziło o aferę, która wydarzyła się w 1870 roku w oksfordzkim Magdalen College. Grupa młodych studentów włamała się do zbioru eksponatów i ukradła znaczącą ilość zakonserwowanych motyli. Młodzi ludzie chcieli, według starego profesora, utłuc je w móżdżerzu, następnie zmieszać z tytoniem do fajek i - tak jest

- wypalić otrzymaną w ten sposób mieszankę. Wybuchł skandal, czyn uznano za głęboko niemoralny i tak zdumiewający, że wręcz nie znajdujący wytłumaczenia ani u pracowników uniwersytetu, ani ludzi z zewnątrz. Kierownictwo koledżu postanowiło wyciszyć sprawę. Studentom nakazano milczenie, w razie złamania zakazu mieli być natychmiast relegowani i zobowiązani do zapłacenia astronomicznej kary za zniszczenie bezcennego zbioru motyli. Jedynym śladem, który pozostał po tej awanturze, była dziwna i tylko z rzadka powtarzana anegdota, w którą nikt nie chciał wierzyć.

Tu Ray zrobił pauzę. Powoli podwinął rękawy wygniecionej koszuli i założył nogę na nogę, utrzymując swoich słuchaczy w niepewności. Następnie w zapraszającym geście rozłożył dłonie.

- *Weil?*

- Palili motyle? - odezwał się Marcus. - My byśmy nigdy tego nie zrobili. Chyba że...?

Wszyscy się roześmiali. Nawet Ray.

Widocznie również w czasach przed Klustret byli ludzie gotowi przetestować swoje ograniczenia.

- Ale co oni chcieli osiągnąć w ten sposób? - spytała Pia.

- Studenci zostali przesłuchani jeden po drugim. Wszyscy byli głęboko skruszeni i przybici. I wszyscy mówili to samo. Że chcieli na sobie wypróbować, czy jest jakieś ziarno prawdy w legendzie o imagorinie.

- Legendzie o imagorinie? - powtórzyła za nim Ursula.

- Otóż według nich motyle są absolutnie magiczne. Uwielbiali je jako stworzenia, które istnieją tylko po to, żeby być piękne i kochać się. Przez kilka pierwszych lat być może wiodą nudne życie w postaci jaj, larw i poczwerek, zanim się staną imago. Ale potem, po przekształceniu się w pełnego motyla, przez kilka tygodni lub miesięcy dają upust radości i ciekawości. Motyl stał się dla tych studentów wyobrażeniem zabawy, stylu *i free love*. Zrodziła się wśród nich idea życia w roli doskonałego dandysa: *The Butterfly Dandy*. Życia krótkiego, intensywnego i pięknego jak sztuczne ognie. *Now listen*

*carefully*. Legenda mówi, że w nowo wyklutym motyłu jest magiczna substancja, a ten, kto ją przyjmie, widzi świat w zupełnie nowym świetle. Zwiększone postrzeganie zmysłowe, lepsza intuicja, większa tolerancja. Wszystko staje się lepsze. Tę magiczną substancję nazwali imagoriną. I to do niej chcieli dotrzeć, chcieli palić imagorinę.

Przez grupę przeszedł szmer. Słuchacze spojrzeli po sobie. Ray mówił dalej, rozwijając opowieść. Wreszcie zrozumieli, o co mu chodzi. O tę substancję, którą testowali na szczurach. W końcu dostali odpowiedź, na którą czekali, upragnione wyjaśnienie, po co była ta ciężka praca.

### ***Imagoriną.***

Ten nasz Ray to geniusz! Bez wątpienia.

Ray mówił teraz głośniej. Zeskoczył z fortepianu i kucnął przed nimi. Wyciągnął ręce, łapiąc ich dłonie, patrząc im w oczy.

- ***You get it, huh?*** Wiecie co, wydaje mi się, że w imagorinie tkwi wyjaśnienie intuicji motyli. To jest ta brakująca substancja, ***and that's fucking magic!*** Imagoriną sprawia, że trafiają do domu, że gromadzą doświadczenie i informacje w swoim DNA. Naładowane nią są ich czułki i cały system krwionośny. ***And now what?*** Co zrobimy? Uzyskamy tę substancję, wyodrębnimy każdy, nawet najmniejszy element, potem sami ją wyprodukujemy, zsyntetyzujemy do perfekcji i na zawsze zmienimy życie ludzkości. Zdażyliśmy już zejść całkiem daleko. ***Right? Klustret will live forever!***

*Kto potrafi orzec z niezachwianą pewnością, które naukowe legendy zasługują na to, by wylądować na śmietniku, a które na piedestale?*

*Średniowieczni alchemicy poszukiwali „kamienia filozoficznego”, substancji wywołującej przemianę metali nieszlachetnych w szlachetne, leczącej wszelkie choroby i przedłużającej życie. Długie zmagania alchemików skończyły się kląpą. Jednak stali się jednym z ogniów liczącego sobie tysiące lat łańcucha dociekliwych badaczy. Ta ludzka ciekawość przyniosła nam nagrodę, między innymi w postaci superstopów i penicyliny.*

*Żyjący przeszło tysiąc lat przed alchemikami starożytni Grecy poszukiwali substancji, która stanowiłaby uniwersalne wyjaśnienie. Wymyślili „eter”, niewidzialny i ulotny, a Arystoteles twierdził, że jest to tajemnicza kwintesencja, czyli piąty żywioł obok ognia, ziemi, powietrza i wody. Według niego żywioł ten wypełniał cały wszechświat.*

*Dziś naukowcy twierdzą, że wszechświat składa się w największej części z czegoś, co nazywają „ciemną materią” i „ciemną energią”. Znana nam zwykła materia, dająca się obserwować i dotykać, stanowi zaledwie kilka procent wszechświata.*

*Nauka to zbiór klocków, których używamy do budowania wież. Niektóre z tych wież chwieją się i rozpadają, a inne sięgają nieba.*

Strona po stronie zeszyt pełen był opisów rozmaitych ślepych uliczek związanych z legendą o imagorinie. Wyglądało, jakby Ray przygotowywał się do wykładu albo napisania artykułu. Przebrnęli przez bazgroły w kołonotatniku i spojrzeli po sobie.

- Myślisz to samo co ja? - spytał Jonas.

- Tak - odparła Nelly.

- Kluczem do tego wszystkiego jest Ray. Jeśli nasi rodzice rzeczywiście mieszkali w tym całym Klustret, muszą być w jakiś sposób powiązani z Rayqna. Cała ta historia z motylami... O co chodzi? Jakaś legenda z XIX wieku... Obcinanie czułek... Analizowanie składu imagoriny... Produkowanie własnej substancji...

- A jeśli on jeszcze żyje i gdzieś jest? - powiedziała Nelly z gniewną, zaciętą miną.

-Ray?

- A jeśli oni gdzieś są?

- Nasi rodzice? Nasi biologiczni rodzice? -No?

Nelly położyła mu rękę na przegubie. Mocno ścisnęła palcami.

- Będziemy to drażyć aż do końca. Muszę wiedzieć, jakie gówno jest w moim DNA. Jeśli moi biologiczni rodzice byli chorągiewkami na dachu w jakiejś naukowej, ukośnik, ćpuńskiej sekcje, to chcę o tym wiedzieć. I to jak najszybciej.

- Chodź, musimy jeszcze pogadać z Gry Odą - odparł Jonas. -Trzeba dowiedzieć się wszystkiego, co się da, o tym Rayu. Dokładnie wszystkiego.

Wyszli z pokoiku na poddaszu, przebiegli przez strych i szybko zeszli po schodach do windy.

Milczeli podczas krótkiej jazdy windą. Jonas wpatrywał się w podłogę, Nelly w zielone wewnętrzne drzwi. Winda zatrzymała się, Nelly pchnęła drzwi, w tym momencie odezwali się jednocześnie:

-No to jazda.

Ręce w górę.

Przybili piątkę.

Gry Ody nie było jednak w pokoju. Na ile mogli to stwierdzić, bo drzwi były zamknięte na klucz. Pobiegli korytarzem do niewielkiej kuchenki, może tam poszła albo jest u kogoś. Nie było jej. Nigdzie. Ani na wydziale entomologii, ani w wielkim holu. Zniknęła.

Jonas wyjął komórkę, wybrał jej numer i od razu został przekierowany do poczty głosowej. Miała wyłączony telefon.

W końcu korytarza siedziało przy komputerach dwoje milczących urzędników. Jonas spytał, czy wiedzą, gdzie jest Gry Oda. Podkreślił, że są umówieni, miała na nich czekać, żeby dokończyć rozmowę.

Pokręcili głowami, nie odwracając wzroku od ekranów. Jonas zaczął dociskać, czy na pewno nie wiedzą. Młody chłopak w kraciatej flanelowej koszuli spojrzał sennie znad okularów i odparł:

- Wydaje mi się, że miała wyjechać. W grafiku jej już nie ma, więc do końca nie wiadomo, co robi ani gdzie jest. Jest przecież na emeryturze.

***Emerita.***

Teraz wzrok podniosła urzędniczka, osoba w średnim wieku.

- Ona chyba jeździ do Meksyku, prawda?

W połowie lipca odbył się pogrzeb Gorana.

Świecka ceremonia miała miejsce w kaplicy na Cmentarzu Leśnym na południe od Sztokholmu. Leśną Kaplicę zaprojektował jeden z ulubionych architektów Gorana, Gunnar Asplund. Gdy cmentarz został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO, Goran zaprosił wszystkich pracowników firmy na tort. Chciał być tam pochowany, mówił to każdemu, kto chciał słuchać. I wszystkim innym też.

Po wizycie w Muzeum Historii Naturalnej dla Nelly i Jonasa nastąpiło kilka gorączkowych dni.

Jonas musiał przygotować seminaria w Almedal. Vesna była silna jak dąb, dzielnie im szefowała mimo żałoby. I rzeczywiście, medialne piekło rozpętało się w zaledwie kilka godzin po tym, jak z raportem zapoznali się klienci Apisec uczestniczący w pierwszym seminarium. Przemysł dobrobytu zachwiał się w posadach.

Nelly była zajęta pożyczaniem i sprzedawaniem akcji spółek usługowych notowanych na giełdzie i do tej pory uważanych za pewniaki. Wymagało to dyskrecji i finezji. Gdy w wyniku burzy medialnej notowania tych akcji runęły w dół, odkupiła je w ciągu kilku dni. Elegancko, schludnie, dyskretnie. Trochę więcej niż tydzień picowania i potem kilkumilionowy zysk. Wszystko, rzecz jasna, rozbite na pewną liczbę spółek mających siedziby na całym świecie, żeby nad-

zór nie odkrył śladów nielegalnych transakcji zawartych na podstawie poufnych informacji.

Jednak całe to pandemonium działało się jakby poza Jonasem i Nelly. Ich energia była nastawiona na co innego: trafić na ślad Raya, a przede wszystkim dotrzeć do Gry Ody. Planowaniem i poszukiwaniami zajmowali się w wolnych chwilach. Björne wiedział, o co chodzi i w miarę możliwości szperał w źródłach urzędowych.

W kaplicy panowała jasność i spokój. Przybyło wiele osób pragnących uczcić pamięć Gorana, zwłaszcza sporo pokrytych bliznami starszych panów, którzy wyglądali na pochodzących z Bałkanów. Byli elegancko ubrani, poważni i uprzedzająco grzeczni dla Vesny.

Vesna siedziała na samym przodzie sali, zaraz na prawo od środkowego przejścia. Innych bliskich krewnych nie miała, więc miejsce obok niej zajęła Isabella, która знаła jej rodzinę jeszcze sprzed czasów w Apisec. Dla Gorana była jak wnuczka, a dla Vesny jak córka.

Jonas, Nelly i Björne usiedli zaraz za nimi. Było im trochę dziwnie, że zajmują miejsca tak blisko trumny i Vesny. Przecież nie byli rodziną i znali się od niedawna. Z drugiej strony liczą się nie tylko więzy krwi i lata znajomości. W krótkim czasie zdążyli bardzo zbliżyć się do siebie. Zresztą Vesna nalegała.

Świecki mistrz ceremonii, który osobiście znał Gorana, wygłosił dobre przemówienie. W ciągu kilku minut udało mu się streścić jego barwne życie i to bez zbytniego pośpiechu. Vesna mogła się rozluźnić. Niepokoili ją tym przemówieniem, chociaż przedtem długo i dokładnie omówiła je z celebransem. W życiu Gorana były okresy, o których wolałaby tutaj nie przypominać. Na jej twarz wrócił dumny, spokojny uśmiech.

Jonas zdziwił się i ucieszył, gdy okazało się, że solową pieśń wykona Isabella. Zaśpiewała ją ładnie, z zaangażowaniem, przy akompaniamencie fortepianu, za którym siedziała młoda dziewczyna w dredach. Jej głos nie był wyszkolony jak u zawodowej śpiewaczki,



ale zabrzmiała w nim szczerłość i miłość, co wzruszyło Jonasa. Płakał, gdy zaśpiewała pieśń Barbro Hórberg zatytułowaną *Oczami wrażliwymi na zieleń*.

Vesna rozpoczęła procesję wokół trumny. Stała przed nią, skłoniła się i pocałowała trumnę, potem na kwietnej dekoracji położyła własny bukietik letnich kwiatów. Z oczu płynęły jej łzy, ale ciągle miała na twarzy lekki uśmiech.

Usiadła, a wtedy wszyscy uczestnicy pogrzebu przedfilowali przed trumną. Starši, ogorzali panowie, przypominający swoim pochodzeniem Gorana, wracając na swoje miejsca przechodzili koło Vesny i, prężąc się oficjalnie, przystawali na moment, kładli prawą rękę na sercu i składali przed nią głęboki ukłon.

Nelly jakoś nie potrafiła wczuć się w nastrój. Była rozkojarzona i przytłoczona świadomością swojej niewiedzy. Co to za historia, w którą została wplątana wraz z Jonaszem? Czy są pionkami w jakiejś większej grze, czy tylko ofiarami szalonych ćpunów? Co się właściwie stało? I jak to możliwe, żeby grupa ludzi mogła nagle zniknąć bez śladu?

Zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu wałkować tego w myślach. To nic nie daje. Sens ma tylko działanie. Nie miała zamiaru tchórzyc ani ustępować.

Męczyła ją też sprawa z Bjórnem. Owszem, zabawny. Dobry chłopak. I nawet słodki. Ale miała dość sytuacji, że dajesz facetowi palec, a on od razu chce całą rękę. Relacja z Jonaszem też była skomplikowana, bo żadne z nich nie wiedziało, dokąd ich to zaprowadzi. Chwilami byli jak dwie bliźniacze dusze. Nelly sama nie wiedziała, co czuje. Było to niezwykle i nieprzyjemne doświadczenie. Na razie potrzyma Bjórniego na smyczy.

Dla Bjórniego Goran był po prostu chodzącą anegdotą. Spotkał go tylko raz. A uroczystość pogrzebowa była wprawdzie piękna, ale specjalnie go nie poruszyła.

Zerknął na siedzącą obok Nelly. Ładniejszej nie ma na całym świecie. Nawet na pogrzebie wygląda idealnie. Ciekaw był, jak ona go postrzega. Od czasu Rödlögi ani razu nie byli sam na sam. I nie wspomniała o tym ani jednym słowem. Fakt, że on też nie. Czy był dla niej jednorazową przygodą? Grają w różnych ligach? Wiedział, że Nelly nie znosi namolnych facetów. Nie chciał niczego zepsuć. Zresztą teraz mieli ważniejsze sprawy. Cieszył się, że Jonas i Nelly chcą, żeby im towarzyszył, że go potrzebują. On ich też potrzebował. Tylko dzięki temu, że podrzucał im trochę informacji z różnych urzędowych rejestrów, jeszcze wytrzymał w pracy. Od czasu, jak Jonas odszedł z Urzędu Podatkowego, już nie było tam tak fajnie jak przedtem.

Po uroczystości mogli wreszcie spędzić ze sobą kilka minut przy kawie.

- Załatwiłeś sobie urlop? - spytał Jonas.

- *Yes* - odparł Björne. - Trzy tygodnie. Dołączam do was.

- To dobrze, bo już zarezerwowałam bilety - powiedziała Nelly. - Z prawdziwą przyjemnością wam postawię. Takim chłopakom z robotniczych rodzin jak wy pewnie będzie fajnie choć raz podróżować w luksusowych warunkach.

Roześmiali się. Nelly nigdy nie przepuściła okazji, żeby wbić im szpilę. Björne podał jej butelkę wody mineralnej.

- Znalazłeś coś jeszcze? - spytał Jonas.

Björne kiwnął głową i nałożył sobie następny, spory kawałek tortu kanapkowego. Włożył kęs do ust i żując, mówił:

- Zrobiłem tak, jak mi podpowiedziałeś. Przejrzałem wszelkie możliwe rejestry, szukając słowa Klustret. Jest kilka spółek i organizacji, które mają to słowo w swojej nazwie, ale w większości są nowe i dla nas nieciekawe. Coś arcyciekawego znalazłem natomiast w rejestrze statków.

Spojrzał na nich z uśmiechem, wiedział, że to jest naprawdę coś.

- Statek długości szesnastu metrów, prawdopodobnie wykorzystywany w rybołówstwie, ostatnio zarejestrowany pod nazwą M/S Klustret.

- O kurde! - powiedziała Nelly.

- Czekał - wtrącił Jonas. - Przypomina mi się, że według Gry Ody mieli kuter rybacki, który cumował w Stocksundet, poniżej domu. Pod mostem. Może to ten sam?

- Ten sam. Udało mi się ustalić, kim był ostatni właściciel. Zgadnijcie, kto to był?

- Ray?

- Nie. Zarejestrowany na nazwisko Marcus Groschinsky. Skiper - Ursula Anderson. Nie zapisali jej personalnego numeru ewidencji ludności, gdzie indziej też nie figuruje. Jednak statek został wykreślony z rejestru, gdy właściciel zgłosił zezłomowanie z powodu pożaru. Zgadnijcie, kiedy to się stało?

Nelly spojrzała na Jonasa. Właśnie podnosił filiżankę do ust i zastygł w połowie ruchu.

- *Shit*. Tego lata, gdy nas wyrzucili do lasu? - upewniła się. Björne kiwnął głową potakująco.

- Niesamowite - odezwał się Jonas. - Są w tym rejestrze jakieś zdjęcia statku albo dodatkowe informacje?

- Niestety nie. Nic ponad to. Cieszymy się, że w urzędach zostało jeszcze tyle śmiecia. Dziś, gdy wszystko zapisuje się cyfrowo, ilość informacji rośnie wręcz lawinowo. Ale nam to nie pomoże.

- Rzeczywiście - odparł Jonas. Spojrzał na Nelly.

- O czym myślisz?

- Pewnie o tym samym, co ty. Że te bydlaki pewnie odpłynęły za granicę na M/S Klustret. Tłumaczyłoby to, dlaczego nie został po nich żaden ślad, prawda?

- Właśnie.

- Mhm... - mruknął Björne. - Całkiem prawdopodobne.

Przez kilka minut roztrząsali, jak kuter mógł zniknąć niezauważenie. Björne twierdził, że nie ma nadzoru nad ruchem tak małych statków. Szesnaście metrów to nie są gabaryty, które zaprzętałyby głowę komukolwiek. W przypadku większych statków handlowych urzędy celne są bardzo czujne. Stary kuter rybacki był prawdopodobnie traktowany jak jednostka rekreacyjna, wyraził przypuszczenie Björne. Ewentualnie można by szukać po różnych marinach, jeśli zostały im jakieś stare księgi portowe. Chociaż pewnie łatwiej znaleźć igłę w stogu siana. Jonas i Nelly przyznali mu rację. Pochwalili Björnego za jego starania.

- Dzięki. Jonas, mógłbyś mi podać butelkę z cydrem? A teraz druga rzecz.

- Pozostałe dzieciaki? - wtrąciła Nelly.

- Czytasz w moich myślach. Właśnie. Niestety nie mam dobrych informacji. Oprócz was dwojga w innych siedliskach motyli znaleziono w tym czasie jeszcze dwoje dzieci, chłopca w Upplandzie i dziewczynkę w Östergötlandzie. Chłopiec został po pewnym czasie adoptowany przez rodzinę, która wyemigrowała do Stanów. Dostali amerykańskie obywatelstwo i widocznie nie chcieli mieć podwójnego, bo zrzekli się szwedzkiego. Nie wiem, co dalej, przynajmniej na razie. Historia dziewczynki jest tragiczna. Miała rozmaite przykre przygody z różnymi rodzinami zastępczymi. Bardzo zaniedbana. Mocno rozchwiana psychicznie, ale nigdy nie została zdiagnozowana, chociaż pewnie powinna. Raz czy dwa próbowała się kontaktować z opieką społeczną, ale świat dorosłych interesował się nią tylko o tyle, o ile mógł naruszać jej godność. Prawdopodobnie była bita i molestowana seksualnie. Kilka lat temu redakcja programu „Uppdrag Granskning” ustaliła kilka miejsc, gdzie... jak by to nazwać, była „przechowywana”. Bardzo wcześnie wpadła w nałóg i w wieku czternastu lat zaczęła się prostytuować, żeby zdobyć pieniądze na swoje coraz większe uzależnienie. Czy też... próbę samoleczenia, bo pewnie o to chodziło. Wszystko poszło w cholerę. Najpierw trafiła do jakiegoś zakładu w Smalandii, a gdy miała siedemnaście lat, rzuciła się pod pociąg.

-1 zginęła? - spytał Jonas.

- I zginęła - odparł Björne.

Nelly aż się zagotowała z wściekłości. Walnęła pięścią w stół. Filiżanki podskoczyły, podobnie jak osoby siedzące przy stoliku obok. Nelly przepraszająco pokiwała głową, starając się przybrać obojętny wyraz twarzy.

- Cholerni mordercy - wydusiła przez zaciśnięte zęby. - Kurwa, musimy ich dostać, albo chociaż ich szczątki, żebyśmy... kurwa, nie wiem, co mamy zrobić.

- Okropna historia - odezwał się Jonas.

- To kiedy jedziemy? - spytał Björne.

- W niedzielę - odparła Nelly.

W tym czasie w kaplicy zapadła cisza. Wyłączono dyskretne oświetlenie, pogaszono grube świece w lichtarzach stojących na ziemi. Trumna Gorana stała zasypana kwiatami, a wokół niej zostały poustawiane okazałe wieńce z białych kwiatów i długich jedwabnych wstęg, układających się pięknie na kamiennej posadzce.

Do pustej kaplicy weszła starsza kobieta o szczupłej, drobnej sylwetce, ubrana w czarną bluzkę, marynarkę i długie spodnie. Pochyliła głowę, ukrywając twarz w ciemnym szalu. Przez dłuższą chwilę stała, patrząc na trumnę z pewnej odległości, chłonąc nastrój spokoju. Powoli podeszła i stanęła z boku trumny. Ręką dotknęła miejsca na wysokości głowy Gorana. Pogładziła słoje jasnego drewna.

Uklękła.

Odchyliła szal i przysunęła twarz do trumny. Wyszeptała coś. Przytknęła czoło do trumny. Ciche pożegnanie.

Po minucie wstała i wyszła z kaplicy szybkim krokiem.

*Systemy krwionośne ludzi i owadów są odmienne. Ludzie wdychają tlen nosem i przesyłają do płuc, które utleniają krew. Następnie zadaniem serca jest przepompowanie utlenionej krwi do wszystkich części ciała poprzez naczynia krwionośne.*

*U owadów jest inaczej. Ich krew jest bezbarwna, ponieważ nie potrzebują czerwonego białka, jakim jest hemoglobina, do transportowania tlenu we krwi. Nawet nie mają tlenu we krwi. Ich układ oddechowy jest znacznie prostszy. Tlen jest pobierany przez przetchlinki do rozgałęzionego systemu rurek zwanych tchawkami i wtryskiwany wprost do wszystkich rejonów ciała owada. Szybko, prosto i przy minimalnych stratach. Ten system sprawia, że mięśnie skrzydeł niektórych owadów mają najwyższe zużycie tlenu w całym świecie zwierzęcym. Nie do pobicia nawet przez alpinistów uprawiających wspinaczkę wysokogórską.*

*Być może pory znajdujące się w ludzkiej skórze miały niegdyś większe znaczenie niż dziś. Może odzyskają to znaczenie. Gdyby ludzie umieli korzystać z porów tak dobrze, jak owady z przetchlinek i tchawek, staliby się bardzo wydolni. Jak nowoczesny wtrysk paliwa zamiast charczącego starego gaźnika.*

*Kto wie, jakie jeszcze mutacje wymusi ewolucja?*

## LATO, DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ. KLUSTRET, SZTOKHOLM.

Ray stanął przed wyzwaniem, które podjąć mogliby tylko bogowie. Bezustannie pracował. Biegał z wykładów do laboratorium, jeździł w teren i na różne spotkania na mieście. Jeśli w ogóle siedział na miejscu, to w swoim pokoju w Muzeum Historii Naturalnej. Tam pisał listy albo rozmyślał.

Największym wyzwaniem było, żeby substancja zadziałała po podaniu w jakikolwiek sposób: doodbytniczo, wstrzyknięta, podana wlewką lub przez skórę. Wybór był trudny. Wszystko wskazywało na to, że aby osiągnąć skutek, niezbędny jest bezpośredni kontakt z krwią. Jednak przy wstrzykiwaniu wielką trudność sprawiało dawkowanie. Przy małych, lekkich szczurach sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej niż przy obiektach doświadczalnych o większej masie ciała. Próby często kończyły się katastrofą. Idealnym rozwiązaniem byłaby maść, wtedy pory w skórze zaabsorbowałyby substancję powoli i w sposób zrównoważony. Efekt na początku byłby zapewne nieznaczny i krótkotrwały. A jednak ci, którzy zechcą wzmocnić swoją intuicję, być może będą mogli pewnego dnia sięgnąć po plaster z imagoriną!

Pozostawało tylko jedno: prowadzić jeszcze więcej efektywnych badań. Już wkrótce uda mu się rozwiązać ten problem.

Przebywając w Klustret, był obecny na sto procent, tego mogli być pewni. W dzień i w nocy. Uda się. Chciał, żeby tak myśleli.

I tak myśleli.

Wszyscy chłopcy oprócz Raya poszli się wykąpać w cieśninie.

Woda miała dwadzieścia trzy stopnie, panowało „relaksowe lato”, jak to nazwali. Nabrali zwyczaju, żeby po każdej kąpieli sztachnąć się parę razy w szopie na łodzie. Wprawdzie Ray rzadko miewał czas, żeby przesiadywać na pomoście, ale zachęcał chłopaków, by nie tylko



chwyтали każdą chwilę, ale idąc krok dalej, pozwolili się zanurzyć w terażniejszości.

*Let the Day seize you.*

Dobrze będzie.

Tamtego lata Marcus często się kąpał. Lubił unosić się swobodnie w ciepłej wodzie. A po kąpeli uwielbiał przygotować sobie jointa, nabić wielką fajkę albo majestatycznego wystrzałowego bongę.

Po sukcesie, jakim była budowa labiryntu dla szczurów, Ray okazywał mu więcej zaufania niż komukolwiek spośród mieszkańców Klustret. Już zimą został mianowany ogrodnikiem. Od tej pory wraz z Ursulą odpowiadał za Zielony Strych. Pilnowali, żeby sadzonki rosły i żeby było ich wystarczająco dużo, żeby larwy miały co jeść, żeby część zawsze kwitła, a monarchy miały co robić, no i oczywiście żeby wszyscy mogli cieszyć się cudowną nagrodą za ich ciężką pracę: pło-  
nami i paleniem. Marcus i Ursula zaopatrywali cały dom w torebeczki pełne suszonych łądyg, listków, kwiatów i skrzydeł motyli. Dużo tego zużywali, zwłaszcza Marcus, który wypalał codziennie kilka fajek. Na szczęście mieli naprawdę dużą, wielopiętrową uprawę na strychu i dobrze zapowiadającą się nową uprawę w ładowni kutra.

Leżąc na wznak, unosił się na wodzie koło pomostu. Obok pływali pozostali. Órjan, Kalle i Jovo. Fajni kumple, wolni i pogodni, tacy sami jak on.

Patrzył na wysokie popołudniowe niebo, na którym szybko przesunęło się kilka chmur. Było im z Pią bardzo dobrze w Klustret. Dawali sobie wzajemnie dużo swobody i dobrze się dogadywali z innymi. Byli naprawdę jak rodzina, jak rodzina być powinna. Wprawdzie Pia czasem narzekała, że Marcus za dużo czasu poświęca Zielonemu Strychowi. Albo, że za dużo pali. Jednak oboje wiedzieli, że ta praca jest ważna. No i Marcus dawał jej pełną swobodę w robieniu tego, co chciała robić najbardziej. A chciała przede wszystkim skupić się na pracy naukowej i opracować wyniki eksperymentów na szczurach. Zabierało to bardzo dużo czasu i musiała przeprowadzać wiele testów, by opracować właściwą mieszankę imagoriny. Chodziło o to, aby

szczury nie ginęły po zastrzyku, tylko przeżywały i trafiały do korytarza prowadzącego do pożywienia. I tak stracili ich zbyt wiele. Zdobywanie nowych nie było łatwe, ale jeszcze większą trudność przedstawiało pozbywanie się starych. Ray oczywiście znalazł rozwiązanie również i tego problemu. Często żartował, że szczury laboratoryjne dostawały drugie życie, jako składnik do pizzy w Upplands Vasby. *They're in kebab heaven, ha, ha.*

Nie, Marcus nigdy się nie kłócił z Pią. Cieszył się, że choć czasem może być blisko niej. Była jego słońcem. Taka mądra, potrafiąca myśleć perspektywicznie. Było mu dobrze, że jej jest dobrze. Przyszłość będzie fantastyczna. Tak myśleli z Pią, podobnie jak pozostałe pary w Klustret. Towarzysze życia.

Ależ sobie zaraz odpali bonga!

Oj ej ej!

Odpalić, odlecieć, żyć.

Oto życie - jego imago. Wieczór był uratowany.

Ursula leżała na jednej z wielkich kanap, trzymając nogi na kolanach Pii. Okna były szeroko otwarte, żeby zapewnić choćby niewielki ruch gorącego powietrza w pokoju. Na stojącym kilka metrów dalej ekranie wielkiego telewizora jakiś miły naukowiec zamieniał się w zielonego potwora, kolosalnego olbrzymia, który rozwalał wszystko na swej drodze. Telewizor grał cicho, więc wściekłe porykiwania brzmiały jak długi pomruk, któremu jakoś nie udawało się zepsuć miłego nastroju panującego w samym sercu Klustret.

Pia energicznie masowała stopy Ursuli. Uciskała jedno miejsce kciukiem przez kilka sekund i przechodziła do następnego. Ursula zmysłowo rozprostowała grzbiet i kark tak, że jej włosy spłynęły z oparcia.

- Boże, jak dobrze. Właśnie tak - powiedziała.

Kobiety z Klustret dbały o to, żeby słuchać siebie nawzajem. Jeśli któraś miała jakąś potrzebę - dużą czy małą - mówiła o tym. A jeśli żadna przez dłuższy czas niczego nie zgłaszała, powstawało wrażenie, jakby w domu czegoś brakowało, nastrój się psuł. Od razu zaczynały się wzajemnie wypytywać o samopoczucie, o to czy mogą coś dla siebie zrobić. Otwarte proszenie o pomoc i chęć obopólnego wsparcia umacniały wzajemną więź. Były sobie bliższe niż siostry bliźniaczki. Bo łączyło je coś więcej niż DNA; dzieliły ze sobą przyszłość ludzkości.

Ursula pogładziła swój brzusek. Uwielbiała go, lubiła go pokazywać, często nosiła krótką koszulkę i biodrówki, żeby było widać wypukłość.

Jeśli ktoś nie wiedział, nigdy by nie zwrócił uwagi na jej brzuch. Uważałby, że Ursula podąża za modą, pokazując część ciała, która akurat była na czasie.

Ursula wiedziała, że w środku nosi życie. Z pozoru niewiele więcej niż kilka zbiegłych bąbelków z łyka gazowanej wody. Ruchy tych bąbelków były idealne. Po prostu fantastyczne.

Spodziewała się dziecka.

Wszystkie się spodziewały.

W ciągu kilku miesięcy wszystkie - Ursula, Pia, Bitte, Karin i Mira - zaszły w ciążę. Pierwsza Ursula, a potem jakby cały dom się odkorkował. Najwyraźniej hormony działały w jednym rytmie.

Teraz kobiety przesiadywały na kanapach, opiekując się sobą nawzajem i pomagając sobie przetrwać pierwsze miesiące, a z nimi mdłości, poczucie zmęczenia i zmiany nastroju. Nauczyły się, że cenna jest każda chwila spokoju. Akurat teraz wszystkie czuły się dobrze. Plotły sobie warkocze, masowały stopy, wcierały krem w popękane skórki przy paznokciach i wysłuchiwały siebie wzajemnie.

Będzie dobrze. Byle dbały jedna o drugą i patrzyły daleko w przyszłość.

Powtarzały to sobie jak mantrę.

- Słuchaj, dlaczego my to robimy? Tak naprawdę?

Jonas widział po jej minie, że Nelly naprawdę chce się dowiedzieć, co on o tym myśli. Nie miała zwyczaju pytać, byle spytać.

Siedziała na prawo od niego i wyglądała przez okno. Miała gniewnie ściągnięte wargi, jej usta wyglądały jak suszona śliwka.

Przed samolotem, nieco na skos, widać było słońce znajdujące się nisko na niebie. Nie zdążą go dogonić, za pół godziny będzie ciemno. Rano, kiedy się obudzą, będzie na odwrót, słońce dogoni ich od drugiej strony.

Miał nadzieję, że z ich podróżą tak nie będzie. Że nie uda im się dotrzeć do informacji i będą tylko wokół niej krążyć. Raz bliżej, raz dalej.

Zastanawiał się, co odpowiedzieć. Nie był pewien. Chyba jest to coś, co po prostu muszą zrobić? Ale co za „muszą”? Przecież nikt ich nie zmusza?

Na stoliku przed sobą miał puszczkę toniku i jeszcze mniejszą buteleczkę dzinu. Plus torebkę z orzeszkami, w której było maksymalnie dziesięć sztuk. Zerknął w lewo, na stolik Björnego, który rzecz jasna wynegocjował cztery torebki. Trzy już opróżnił.

Björne uśmiechnął się do niego, potem odwrócił się do przejścia, sprawdzając, gdzie znajduje się wózek stewardesy. Kiwnął w stronę jej pleców.

Jonas z rezygnacją pokręcił głową i odwrócił się do Nelly. Rzeczywiście, dlaczego?

- Może to tkwi w genach. Jeśli słyszymy pytanie, chcemy znać odpowiedź. Gdybyśmy nie zaczęli w tym grzebać...

-Daruj sobie mówienie, że tak musiało być. Zawsze jest jakiś wybór. Dlaczego postanowiliśmy wyruszyć w tę podróż? Po co ich szukamy? A założywszy, że się czegoś dowiemy, co zrobimy z naszą wiedzą, i dlaczego? Czego chcemy?

- Szczerze mówiąc, nie czuję, żebym coś wybrał albo postanowił. Nie wiem, czego chcę. Raczej tak wyszło, że tu jestem. I nie wiem dlaczego.

Spojrzała mu w oczy, przez chwilę wędrowała po nich wzrokiem, w końcu utkwiała wzrok w jednym z nich.

- A wiesz, po co ja to robię?

- Nie wiem...

- Z zemsty. Chcę się zemścić. Moi rodzice, twoi rodzice, całe to towarzystwo psycholi, to musiały być jakieś potwory. Jeśli odnajdziemy ich żywych, to kurwa ja się zemszczę. A jeśli nie żyją, chcę odnaleźć ich groby i zbezczęścić.

Mówiła poważnie.

Nelly zawsze była o krok przed nim. On nawet nie doprowadził do końca tej myśli. Nigdy nie postawił sobie oczywistego pytania: po co? A gdyby, wbrew przewidywaniom, rodzice jeszcze żyli -co zrobią, gdy ich spotkają? Co mieliby przez to osiągnąć?

Zemsta? Wydało mu się to dziwaczne. Za co? Chciałby raczej zrozumieć. Kim byli? Co dokładnie przydarzyło się jemu i Nelly? I dlaczego?

A potem będzie, co będzie.

Jednak najpierw muszą dotrzeć do Gry Ody. Wycisnąć z niej, co wie o Rayu, o sekcie, o wędrownych motylach, podejrzanym legendzie o imagorinie, wszystko.

Musiał zostać jakiś ślad.

Spojrzeli na siebie.

Jedziemy. Kurwa, jedziemy. Do roboty.

Wiedzieli tylko, że pojechała do Meksyku. Przypuszczalnie.

Jeśli się nie mylą, to najprawdopodobniej wybrała się do jednej z chronionych biosfer monarchów. Jonas sprawdził, że osiem olbrzymich siedlisk tych motyli znajduje się wysoko w górach, sto kilometrów na północ od Mexico City. Realizowano tam cały szereg projektów badawczych dotyczących różnych zagrożonych gatunków, o których naukowcy chcieli się dowiedzieć jak najwięcej, żeby je ocalić.

Na parkingu przed terminalem przylotów powietrze było ciężkie od upału i wilgoci. W Meksyku pogoda w niczym nie przypominała łagodnego szwedzkiego lata.

Björne załadował walizki do bagażnika dużego wynajętego samochodu z napędem na cztery koła. Żartobliwie poutyskiwał na dwie wielkie i bardzo ciężkie walizy Nelly. Potem wzruszył ramionami, w końcu nie on płacił za nadbagaż, więc w czym problem?

Mieli za sobą długą podróż, mięśnie im zeszywniały od siedzenia. Ustalili, że Björne będzie prowadził, bo chociaż największy z nich, był w najlepszej formie; w samolocie rozwalił się wygodnie w fotelu i nie wahał się domagać od stewardes dodatkowych poduszek i koców. Według Jonasa Björne nie przyjmował do wiadomości, że może mu być niewygodnie, bo należał do ludzi, którzy zawsze zadbają o siebie i będzie im przyjemnie, choćby właśnie siedzieli w starej beczce po bourbonie, spadającej z wodospadu Niagara.

Björne usiadł za kierownicą i sprawdził, gdzie i do czego są różne dźwignie i przyciski. Zaczęło padać, więc przed wyruszeniem w drogę chciał wiedzieć, jak włączyć wycieraczki. Pamiętał, że początek pory deszczowej przynosi obfite ulewy, które zaczynają się i kończą bez

ostrzeżenia. A za parę tygodni będzie jeszcze gorzej, bo pojawią się tropikalne cyklony.

Nelly i Jonas stali przy otwartych drzwiach samochodu i właśnie mieli wsiadać, gdy w niebie otworzył się hydrant. W jednej sekundzie mżawka przeszła w prawdziwą pompę.

A oni zastygli.

Coś kazało im znieruchomieć, zamiast schować się w samochodzie. Odwrócili głowy do ciemnego nieba i z otwartymi oczami przyjmowali lejącą się z nieba wodę.

Otworzyli usta i połykali ciepłe krople spływające po języku.

Patrzyli w górę, przez deszcz.

Nie docierała do nich racjonalna myśl, że lepiej, żeby ubranie pozostało suche. Komunikacja między mózgiem a mięśniami za pośrednictwem włókien nerwowych została wyłączona. Jakby woda spływająca na oczy, skórę i podniebienie spowodowała zwarcie, które zahamowało wszystkie wyuczone wzorce postępowania.

Trwało to sekundę.

Dwie.

Zaledwie po trzech czy czterech sekundach wewnętrzna strona otwartych drzwi była kompletnie mokra. Deszcz pryskał na Bjornego.

- Kurde, co wy wyprawiacie! Wskakujcie!

Wychylił się przez fotel dla pasażera i pociągnął Nelly za sukienkę.

- Nelly! Jonas! Do cholery, wskakujcie, zanim was przemoczy do suchej nitki!

Nelly drgnęła, spojrzała ponad dachem samochodu na Jonasa i szybko usiadła koło Bjornego.

Jonas też zareagował na wrzask Bjornego: wskoczył na tylne siedzenie i głośno zatrzaskał drzwi.

Potrząsnął głową, szybko przesunął ręką po twarzy, żeby z czoła i brwi zetrzeć wodę lejącą mu się do oczu.

- Cholera, co to było?

Mieli przemoczone włosy, barki i ramiona. Obydwoje mieli miny winowajców, jak dzieciaki, które w najlepszym ubraniu podbiegły pod spryskiwacz, chociaż mama im wyraźnie zakazała.

Nelly oparła głowę o zagłówek.

- Nie wiem... - odparła. - Jakoś było tego wszystkiego... za dużo. Jak po wrzuceniu dodatkowego biegu.



DWHDZIEŚOR CZTERY LATA WCZEŚNIEJ. WIECZÓR SYLWESTROWY, W AMSTERDAMIE.

Skórzany kapelusik z okrągłym, podwiniętym rondem tkwił jak przyklejony na огоłonej potylicy Marcusa. Gwałtowne ruchy taneczne i huśtanie nie miały na to wpływu. Marcus odsunął suwak, ściągnął bluzę z kapturem i rzucił na ziemię między setki podskakujących nóg. Lubił tańczyć z nagim torsem. Wtedy odbierał drgania basów przez skórę aż do płuc. Oddychał w takt muzyki, łącząc się z nią w jedno, wyginał się spastycznie w mrugającym świetle. Żebra tworzyły migające cienie na klatce piersiowej.

Schudł, odkąd opuścili Szwecję. Wiele kilogramów. Nie było w tym nic dziwnego, był w szczytowej formie. Wszyscy byli w świetnej formie, mogliby tańczyć dwanaście godzin bez przerwy. Mieli tyle pracy w laboratorium na statku i w cieplarni, że nie mieli czasu jeść. Razem z Ursulą odpowiadał za Zielony Strych, którego rosnący, pełzający i latający inwentarz został przeniesiony do ładowni kutra, bo Klustret stało się imago i wywędrowało ze Szwecji. Uprawa była oczywiście mniejsza, ale działała jak należy.

Muzyka techno dudniła głośno w starym magazynie w Houthaven. Balanga została zorganizowana, podobnie jak wszystkie inne, udane imprezy w Amsterdamie, przez Multigroove. Nigdy nie było wiadomo, gdzie albo kiedy pojawi się ich rave. Nagle rozchodziła się wiadomość, że jest zabawa. Najczęściej daleko za miastem, więc poli-

cja nie zwracała uwagi. Młodzież mogła się bawić, jak chciała. Od tańczenia jeszcze nikt nie umarł.

Pia zbliżyła się, tańcząc. Chciała się całować. Jej źrenice były wręcz gigantyczne. Marcus chwycił jej ramiona i wyciągniętym językiem dotknął dolnej wargi z kolczykiem. Polizała go końcem swojego języka i puściła trochę śliny. Nawykowym ruchem przejął z jej ust „znaczek” i tańcząc, ruszył dalej. Pia włożyła do ust gwizdek i zniknęła w innym kierunku.

Marcus lubił być sam - sam dla siebie, ze sobą, w sobie. Nigdy się do niczego nie zmuszał, jeśli nie miał do tego przekonania. Nikt nie wymagał od niego niczego przykrego. Klustret było jak ciepły wiaterek, wystarczyło za nim podążyć. Szybko, ciekawie. Uwielbiał swoje życie. Było cholernie *soft*.

Prace w Klustret nad wytworzeniem sztucznej imagoriny były już zaawansowane. Nie udało się wprawdzie jeszcze wyprodukować substancji zadowalającej jakości, ale prawdopodobnie byli już blisko.

Dokładny skład znał tylko Ray, który zatrzymał go dla siebie i testował na ludziach w Amsterdamie, podobnie jak wcześniej w Sztokholmie. I tak jak wcześniej, nie powiedział o tym mieszkańcom Klustret. Testujący substancję byli osobami, które z własnej woli wybrały życie outsiderów. Imagorina była dla nich sposobem na odnalezienie w sobie nowych mocy i nowych dróg. Ray rozumował tak, że jeśli nie uratuje ich imagorina, to i tak zniszczy ich ten sposób życia. Tak czy inaczej spróbował, nawet dawał im pieniądze.

Uznał, że jest odpowiedzialny za mieszkańców Klustret. Nie musieli brać na siebie ciężaru niepowodzeń, które niemal zawsze towarzyszą początkowym testom klinicznym. To on spotykał się z testowanymi osobami, on badał efekty i działania uboczne. Była to mozolna praca bez dróg na skróty. Niósł swój krzyż.

Dzień, gdy razem będą świętować triumf, był już niemal na wyciągnięcie ręki. Naznaczył swoją grupę nadzieją i miłością. Miał dosyć sił i żadnych wahań.

Zakup składników chemicznych imagoriny był skomplikowaną operacją, bo wymagało zaufanych pośredników i kosztowało dużo pieniędzy. Aby sfinalizować swój wielki projekt zaczęli sprzedawać kwas. W Amsterdamie krążyło wtedy tyle brudnych drągów, że poczuli się w obowiązku interweniować, zanim ich ofiarą padnie jeszcze więcej młodych ludzi. W tej sytuacji niezwykle przydatni okazali się Mira i Jovo. Jako biochemicy potrafili produkować „znaczkę” na dużą skalę. Przed rozpoczęciem sprzedaży wszyscy mieszkańcy statku uczestniczyli w testowaniu dawek. Działanie kwasu produkowanego na Klustret było o wiele bardziej spektakularne niż ziele motyli, które palili w Sztokholmie i które nadal było jednym z podstawowych składników ich pożywienia. Ale to był zupełnie nowy poziom, podobnie jak w życiu na Klustret.

Ich małe „znaczkę” z LSD w krótkim czasie stały się sławne dzięki niebywałemu efektowi i obrazkom z motylem. Dzieciaki w klubach kładły taki „znaczek” na języku i odlatywały jak na skrzydłach. Wielu zdążyło poznać uroczą Ursulę, która krążyła nocami po dzielnicy czerwonych latarni i tych coffee shopach, których właściciele nie mieli zbyt wielkich skrupułów. Ursula miała około trzydziestki, była solidna i doświadczona, łatwo robiło się z nią interesy. Jej ceny były niewygórowane i zawsze miała pełne kieszenie wysoko wydajnego Butterfly Acid.

Tuż przed dwunastą leciutka jak piórko Ursula wyszła na parkiet i tańcząc, odszukała pozostałych.

Grupa Klustret zebrała się na nabrzeżu przed magazynem. Objęli się ramionami i otoczyli kołem Raya. Pochody basowe z muzyki techno i acid house wprawiały w kołysanie ich spocone ciała.

Na nocnym amsterdamskim niebie, nad dźwigami portowymi eksplodowały fajerwerki. Było bezwietrznie, nad wodą unosiła się lekka mgiełka. Nawet nie było tak chłodno jak na tę porę roku. Marcus stał do połowy nagi, ale nie było mu zimno, uśmiechał się, tak jak pozostali.

Ray zabrał głos.

- Przyjaciele, mamy przed sobą wspaniały rok. Jesteśmy bliscy przełomu, przewiduję, że czeka nas wiele wspaniałych przeżyć. Ale też ciężkiej pracy. Możliwe, że powinniśmy się przygotować na kolejny wyjazd. Czuję, że tak może być. Ale jakie to ma znaczenie, skoro jesteśmy razem? *I love you guys*. Mam *great reports* ze Szwecji o tych, których tam zostawiliśmy. Wszystko przebiega zgodnie z planem, są u *loving and caring people*. Kochani przyjaciele i towarzysze życia, to my daliśmy im prawdziwe życie. Imago.

Wybiła północ.

Mira podpała lont. Rozległ się potężny huk, gdy jej specjalna mieszanka wapnia, sodu, miedzi i cynku wystrzeliła w niebo.

Obserwowali dym wydobywający się z rakiety, ciesząc się najlepszą eksplozją tej nocy.

Bang!

Czy tam w górze urodził się magiczny motyl?

Ależ tak, niesamowite, krzyczały ich rozszerzone źrenice i struny głosowe. Oranż, żółć, błękit i zieleń. Wow, kolejny triumf nauki w Klustret.

Woaaaihyeeaaah....

Motyl rozpadł się, tworząc deszcz srebrnych gwiazd. Wyciągnęli ręce. Mogli nimi dotknąć gwiazd, stając się jednym wielkim blaskiem.

Kilka miesięcy później M/S Klustret wyruszył przez kanał La Manche na południe. Świeciło słońce, stary kuter stukotał, płynąc bez

pośpiechu, z tą samą szybkością co lekka północna bryza. Nad kilwaterem unosiło się kilka leniwych mew.

Wolna burta znajdowała się nisko, stanowczo za nisko. Fale mogły łatwo wdrzeć się na pokład. Musieli liczyć na to, że nie będzie sztormu. Nadmierne obciążenie statku było spowodowane przez wielkie beczki ropy. Stały na pokładzie przyczepione do sterówki i krótkiego masztu dla dodatkowego żagla. Nie chcieli ich wstawiać do ładowni, bo musieliby ją opróżnić z bezcennej dla nich zawartości Zielonego Strychu. Jednak nieprawidłowy załadunek, ustawienie takiego ciężaru na pokładzie, powodował, że kuter płynął nienaturalnie.

Jeden błąd albo sztorm i Klustret zniknie na wieki.

Marcus stał przy sterze, miał na sobie dziurawe kalesony i wytartą koszulkę marynarską. A na głowie zawadiacko przekrzywioną czapkę z daszkiem. Pykał starą fajkę z pianki morskiej, kupioną w coffee snopie chwilę przed wypłynięciem. Między ustnikiem a główką zamontował wgniecioną puszkę po coli z dziurą z obu stron. Wyloty zostały uszczelnione taśmą klejącą. Puskę owinał mokrą szmatą, żeby chłodzić dym. Śmiał się do siebie, że jest pieprzonym Sternikiem Bongiem. *The Herb Master*. Kołysał się w takt muzyki reggae, jedną rękę zacisnął w pięść i kręcił nią nad głową, drugą bębnił po sterze.

Pozostali członkowie grupy porozkładali się na niewielkim pokładzie rufowym. Słońce pieściło obnażone ciała, życie było *soft*. Z kasetowca leciał *Legalize it* Petera Tosha.

Celem były Wyspy Kanaryjskie położone niedaleko Afryki. Nie powinno być trudno tam trafić. Stamtąd w kierunku zachodnim wiały ciepłe passaty. Ray kupił używane mapy morskie, a Pia przez całą wiosnę uczyła się nawigacji. Dziś wiedziała prawie wszystko o prądach, dryfie i dewiacji kompasu.

Pomyśleli o wszystkim - oczywiście, przecież byli ludźmi Klustret.

Karaiby, Jamajka, Ameryka Środkowa.

Motyle, zioła, przygody.

To jest życie - imago.

## POWRÓT DO nocy ŚWIĘTOJAŃSKIEJ NR RODLÓDZE.

Było późne popołudnie, ciemne z powodu letniej burzy nad Bałtykiem, najgorszej z możliwych.

Goran stał na skale, patrząc na zatokę. Długo spacerował, krążąc po ścieżkach wokół domu. Jednak nic się nie zmieniło. Łuszcząca się skóra na jego ciele była równie sucha i zaczerwieniona jak przedtem, mimo że zaczęło padać.

Nie miał wątpliwości, że to ten moment. Końcowy. Wkrótce rozpadnie się na nowe elementy niekończącego się cyklu życia. Zrobił swoje. Razem z headhunterem znalazł właściwego człowieka. A może odwrotnie. Czy było to świadome działanie, czy wpływ losu?

Nieważne. Ważne, że tak się stało. Koło się zamknęło.

Spojrzał na wschód. Piętrzące się nad morzem niebo było czarne. Zastanawiał się, co jest bardziej przerażające, bo kłębiąca się powierzchnia morza szła w zawody ze zbierającą się nad nią burzą.

Deszcz nasilił się. Lało się z nieba.

Swędzenie ustało. Mocno drapał paznokciami ramiona, policzki i głowę. Szarpał, ciągnął. Pomogło. Oczywiście pokaleczył się, ale podziałało. Ból przyniósł ciału tępy spokój.

Ziemia wydała z siebie głucho, żałobne dudnienie, gdy strugi deszczu z tego piekła na niebie zacinały coraz mocniej.

Goran patrzył na ten spektakl bez emocji. Nie czuł ani zagrożenia, ani ożywienia. Tylko obojętność, jakby stanowił jedno z tą zawieruchą.

Spojrzał na swoje ramiona. Widział wodę, która perląc się, spływała między ścięgnami i mięśniami pod rozpadającą się skórą. A jednak nie czuł, żeby mu było mokro. Nie czuł też zimna, które wgrzyzało się w mokre, krwawiące ciało. Wszystko było mu doskonale obojętne, tak jak to sobie przedtem wyobrażał. Podobno tak czuje się tonący, gdy w końcu poddaje się z płucami pełnymi wody. Mimo braku tlenu myśli kłębią się jeszcze przez krótką chwilę. Panika przechodzi w odrętwiały spokój. Albo jak człowiek zamarza i całym sobą chce się zjednoczyć z zimnem, więc zdejmuje z siebie kolejne części ubrania, oszukany przez umęczone zmysły, które już nie odróżniają zimna od ciepła.

Przystosowanie się to droga do odwiecznego cyklu życia. On się zawsze dostosowywał. Teraz też tak będzie.

Wiara, że tak się to potoczy, wcale nie towarzyszyła mu od zawsze. W każdym razie przez wiele lat tak nie było. Był młody, szukał podniet. Nie widział ostrzegawczo uniesionych palców. Dziś, po wielu latach to wróciło. Zrozumienie spadło na niego jak upojenie. Teraz stało się wyraźne. Wszystko się zgadzało, wszystko było prawdą. Może i dobrze. To przyszłość.

Spojrzał na swoje stopy w czerwonej kałuży. Pomyśleć tylko, że było w nim aż tyle krwi. I że w zamkniętym obiegu krążyła przez tyle lat. Bilet powrotny do magii.

Nadeszły pioruny, myśli zatrzymały się. Niejasne urojenia stały się przeraźliwą rzeczywistością.

Goran wpatrywał się w burzę. Czekał na nią, śmiał się do niej i krzyczał.

Pierwszy piorun uderzył w skałę od strony morza. Przez powierzchnię przeszło drżenie. Goranowi wydało się, że widzi tysiące białych rybich grzbietów. Pieniące się wody zatoki mieniły się jak zorza polarna.

W ciągu sekundy, gdy następny piorun gigant uderzył koło Gorana, odpadły mu powieki. Widział, jak odlatują z wiatrem nad krzywymi sosnami po drugiej stronie zatoki. Furkotały wściekle jak małe jastrzębie. Wolne, nie bojące się śmierci.

Odwrócił się do morza, skąd wiał wiatr i pozwolił mu zerwać z ciała resztki skóry. Nawet tego nie poczuł. Wyciągnął przed siebie ramiona, strzępy mięśni zwisały oderwane od kości. Deszcz rozpuszczał go równie skutecznie jak kwas azotowy. Stopione wargi, otwarta jama ustna i wyszczerzone zęby wrzeszczały do wichury, żeby waliła ze wszystkich sił.

Białe kule, które jeszcze przed chwilą były jego oczami, wpatrywały się przed siebie. Widziały, co za chwilę nastąpi.

Chociaż nie, jeszcze nie teraz.

W tym momencie.

Mięśnie, narządy wewnętrzne, jelita i w końcu cały szkielet zmieszał się z namokłym mchem porastającym skałę. Goran spłynął z niej setkami strumyczków. Oczy popłynęły każde w inną stronę. Krwawe błocko pociemniało. Tak będzie. Już.

W końcu zostały tylko myśli. Jednak one również zaczęły go zawodzić, tak jak ciało. Nie umiał odróżnić urojeń od rzeczywistości, już nie miał siły. Zaraz wszystko pęknie.

Ostatnim wysiłkiem myśli sprawił, że burza wydała z siebie jeszcze jeden gigantyczny piorun. Zacerpnęła tchu, wciągając klatkę piersiową tak, że w niebie nad Goranem powstało wgłębienie. Przez sekundę panowała cisza, ładowała się elektryczność.

I jeszcze przez następną.

A potem nastąpił huk. Ogromny błyskający grzmot. Z odwróconej delty rysującej się na niebie poszły mniejsze pioruny, które spadły prosto na głowę Gorana. Łoskot był taki, jakby jego pęknięta czaszka była zrobiona z metrowej grubości szyby samochodowej. Piorun przeszył jego ciało z prędkością światła, ale Goran już był wyłączony. Przecież przewidział to, odpuścił sobie błotniste ciało i pozwolił mu spłynąć.



Teraz nastąpi jeszcze uwolnienie od myśli.

Ze stoickim spokojem przyjął te setki milionów wolt. W chwili, gdy nastąpiło zwarcie i spalenie wszystkich włókien nerwowych, sformułował swoje ostatnie słowa. Spłyną z jego ust jak śmiertelne drgnienie mięśni, podobnie jak martwa kura ucieka przed siekierą, podczas gdy jej odrabany, gdaczący łeppek wciąż leży na pieńku.

Jonas, Nelly i Björne zdążyli już odwiedzić kilka stacji badawczych w największych siedliskach motyli w południowej części łańcucha górskiego Sierra Madre.

Przeszło tygodniowe poszukiwania nic nie przyniosły, nie znaleźli żadnego śladu Gry Ody. Dziesięć dni chodzenia po rozmokłych ścieżkach, zapadania się samochodu w błocie, ulewnych deszczy, które miały za nic peleryny, wstrętnego jedzenia w kiepskich knajpach, komarów wielkości wróbli, przemoczonych butów i kurczącej się raptownie wiary w siebie.

Wyruszając w drogę, nie zdawali sobie sprawy, że pora deszczowa oznacza ograniczenie wszelkiej aktywności. Dorosłe motyle starały się unikać niepogody. Dlatego na miejscu znajdowało się niewiele entomologów i nawet, jeśli znali Gry Odę, choćby ze słyszenia, to nikt nie wiedział, gdzie obecnie przebywa. O tej porze roku było wiele znacznie ciekawszych miejsc, do których można się udać, choćby trudno dostępne siedliska owadów w Kanadzie. Nie mogliby jej tam poszukać? Próbowali do niej dzwonić? Czy jej uniwersytet nie wie, gdzie ona może być?

Tak, może popełnili błąd. Fakt, że nie przygotowali się zbyt starannie, po prostu, wyruszając w drogę, zdali się na łut szczęścia.

Jednak Jonas i Nelly nadal nie tracili nadziei. Nie mogli pozbyć się wrażenia, że Gry Oda musi być w Meksyku. Björne miał wątpliwości, według niego powinni wrócić do domu, znaleźć coś więcej na temat

Raya i innych członków j ego grupy. Może jest coś jeszcze w archiwach, co mu przedtem umknęło.

Miejsca, gdzie szukali Gry Ody, leżały w dużej odległości od siebie. Po wielodniowym kluczeniu i improwizowanych noclegach w obskurnych gospodach, postanowili sprawdzić okolice rzeki Teco-lutla, na skraju przeszukiwanego obszaru.

Im dalej się posuwali wzdłuż rzeki, tym większe były stromizny i serpentyny na drodze. Źle utrzymane pobocza, częste wyrwy w jezdniach nad przepaściami albo w ogóle urwana część drogi.

Gdy Nelly siadała za kierownicą, oznaczało to szybką jazdę, ale była dobrym kierowcą, miękko omijała dziury. Z wyprzedzeniem ostrzegała klaksonem jadących z naprzeciwka. Najczęściej kończyło się tak, że dalej pędziła, podczas gdy tamci musieli zjechać na bok. Jonas i Björne już się przyzwyczaili i zaufali jej umiejętności oceny sytuacji.

Właśnie zjeżdżali z jakiejś górki, gdy za kilkoma serpentynami zobaczyli uroczą wieś. Nelly zahamowała przed tablicą z nazwą wsi. Zaciągnęła hamulec ręczny i wysiadła.

Na tablicy widniał napis: *Santa Flora*.

Podeszła tam. Jonas i Björne zostali w samochodzie i czekali, co też Nelly wymyśli. A ona oparła się ręką o tablicę i spojrzała na dolinę, a także rzekę płynącą między górami. Stała i oddychała głęboko. Wyglądała, jakby medytowała.

Po pewnym czasie Björne zaczął się niecierpliwić. Opuścił szybę.

- Co ty robisz? - spytał. Nelly położyła palec na ustach.

- Ćśśś...

Björne spojrzał na Jonasa, który wzruszył ramionami. Nie miał zwyczaju oponować przeciwko pomysłom Nelly.

- Zatrzymamy się tutaj - powiedziała Nelly. - W tej wsi... Santa Flora. Tutaj jest hotel. Przenocujemy w nim.

Wskoczyła za kierownicę i ruszyła. Kilkaset metrów dalej zwolniła przed skromną tabliczką stojącą na poboczu. Wskazywała na wijącą się w górę żwirową drogę. Na tabliczce był napis: *Hotel Santa Flora*, a pod nim pięć namalowanych ręcznie gwiazdek.

Zamiłowanie do wygody jej nie zawiodło. Hotel Santa Flora okazał się malowniczym hotelikiem o bardzo przyzwoitym standardzie.

Po krótkim odpoczynku, odświeżeniu się i kolacji, która składała się z niemal wszystkich przystawek znajdujących się w karcie, siedzieli lekko przymuleni na patio, nasłuchując bębnienia deszczu o plastikowy daszek. Słońce zachodziło za chmurami. Popijali piwo. Rozmowa jakoś się nie kleiła. Björne chrupał miejscowe chipsy o wyraźnym smaku octu winnego. Jęczał, że niedobre, ale mimo to nie przestawał jeść.

Czuli się dość zrezygnowani. Gdy pełni optymizmu lądowali w Mexico City, byli pewni, że ich spryt w połączeniu z intuicją szybko zaprowadzi ich do Gry Ody. Byli o tym absolutnie przekonani. Tymczasem Sierra Mądre okazało się bardzo duże, ogromne. Wkrótce miną dwa tygodnie, jak tu przyjechali i już nie mieli tej pewności, co przedtem. Ich intuicja znalazła się na skraju wyczerpania.

Nelly potrzebowała chwili przerwy. Czowała, że Hotel Santa Flora coś dla nich znaczy.

Nigdy nie miała cierpliwości do rzeczy niejasnych, które prowadzą do nikąd. Najlepiej, żeby w dodatku wszystko działało się szybko. W dzieciństwie potrafiła wściekać się na rodziców, którzy śledzili jednocześnie cztery albo pięć idiotycznych seriali. Zawsze był w nich jakiś szpital, komisariat albo kancelaria adwokacka, prawie zawsze akcja rozgrywała się w USA. Wszystkie odcinki były podobne, wszyscy bohaterowie wyglądali tak samo. To amerykańskie życie toczyło się i toczyło, sezon za sezonem. Najgorsze było to, że rodzice wcale nie chcieli, żeby się coś działo. Przeżywali, gdy ktoś umierał albo zmieniał partnera, chociaż wszystko było zupełnie tak samo jak w poprzednim odcinku. Rodzice byli ludźmi inte-

ligentnymi, wykonującymi dobre zawody, ale nie chcieli żadnych zmian. Nelly tego nie rozumiała i jak mogła, unikała oglądania telewizji. Woląла już gry komputerowe, jak The Sims albo Zoo Tycoon, w których budowało się miasta lub ogrody zoologiczne. Jeśli budowała na dużą skalę, niezbędne były większe nakłady, żeby projekt był z korzyścią dla społeczeństwa. Im więcej inwestowała, tym lepiej szło. Aż do momentu, gdy traciła kontrolę i kończyło się to ogólną klapą. Na przykład dochodziło do nadmiernego obciążenia miejskiego systemu kanalizacji i następował krach albo miała za dużo żyraf, które uciekały. Ale przynajmniej coś się działo. Kryzys przynosił oczyszczenie, mogła zaczynać wszystko od nowa, aż do upojenia. Wprawdzie nie bardzo się przejmowała, gdy wszystko padało i wszyscy ginęli, jednak marzyła, aby pewnego dnia zdobyć panowanie nad światem i wymyślić grę, która nigdy nie kończyłaby się klapą. Która cały czas by się rozwijała. Aż do momentu, gdy to ona zdecyduje, że to koniec. Nie będzie potrzebowała wielu lat, żeby to osiągnąć.

Miała dość włóczenia się po kiepskich i błotnistych drogach górskich, wchodzenia do dziwnych domów i spotykania się z jakimiś szajbusami w okularach, poubieranych w kraciaste koszule, żeby ich wypytywać o starą Norweżkę, która może ewentualnie była tutaj.

W tej wsi było coś, co ją zainteresowało. Poczula to od razu, gdy zatrzymała się przed tablicą z jej nazwą. Ale najważniejsze, że przez kilka dni mogła się tu zrelaksować. Hotel był naprawdę dobry. Będzie mogła wziąć masaż, poszukać kogoś, kto robi jej paznokcie i jeszcze popływać w basenie, pojeść smaczne rzeczy i skosztować kilku naprawdę dobrych win. Pomyślała, że stres spowodowany poszukiwaniami Gry Ody zablokował im intuicję. Jakby po pierwszym silnym przeżyciu na lotnisku wyczerpali swoją energię. Jakby za dużo myśleli i za dużo chcieli. Jeśli w ogóle posiadają jakiś szczególny dar. W tym momencie wydawało się to bardzo wątpliwe. Pomyślała, że powinni spróbować czego innego.

A może by tak od razu?

Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. No oczywiście!

To jednak musiało być jakieś natchnienie, jakiś sygnał. Natychmiast postanowiła, że go posłucha.

Wstała i przez wyłożony kamieniami dziedziniec przeszła do baru, gdzie za ladą stał starszy mężczyzna z siwą kocią brodą. Nie tylko motyle chowały się przed deszczem. Turystów też nie było. Upłynie jeszcze wiele miesięcy, zanim z wielkich miast jak zwykle przybędą bogaci globtrotterzy i zawodowi wspinacze z całego świata, poszukujący życiowych doświadczeń. Barman ziewnął i z rezerwą skiwnął jej głową. Czego sobie życzy? Jeśli będzie miała szczęście, to może będzie mógł jej pomóc. Za moment. Tylko najpierw skończy wycierać lśniącą ladę. Powoli, starannie przeciągał po niej ścierką. Unikając kontaktu wzrokowego.

Ignorując jego widoczny brak zainteresowania, pokazała palcem na butelkę tequili i powiedziała, żeby zapisał na jej pokój. Numer czternaście. Obojętnie kiwnął głową, postawił na tacy trzy szklaneczki i powoli napełnił. Następnie pokroił cytrynę i jej ćwiartki położył na brązowym glinianym talerzyku. Na tacy postawił też miseczkę soli i drugi talerzyk z herbatnikami. Chciał odstawić butelkę na półkę, ale Nelly głośno zaprotestowała. Stuknęła palcem w tacę na znak, że tu ma stanąć ta butelka.

Facet z kocią brodą aż pojaśniał.

- *Ah, es una fiesta!*

- *Si, gracias* - odparła Nelly. Uśmiechając się, zabrała tacę i poszła do swoich przyjaciół znacznie raźniejszym krokiem niż przedtem.

Kurde, teraz się będzie działo.

- No proszę! *Now were talking!* - odezwał się Björne i wstał, żeby ją uściskać.

Jonas również się rozjaśnił.

- Ha, ha, świetny pomysł. Pycha! To znaczy... fajnie.

Dalej się już nie rozwodzili, kciukiem i palcem wskazującym nabrali szczyptę soli, zlizali, zawołali „raz, dwa, trzy, skal” i jednocześnie wypili swoje shoty. Aby ugasić ogień w gardle, odgryźli po sporym kawałku cytryny.

Wiedzieli, jak to się robi.

- Yes! Jeszcze jedna! - zarządziła Nelly.

- Tak jest! Ha, ha, jazda - śmiał się Björne.

Nalali sobie i znów jednocześnie zawołali „raz, dwa, trzy, skal”. -1  
jeszcze jedna! - ponagliła Nelly.

Jonas i Björne tylko się śmiali. Pewnie, czemu nie? Jeszcze jedna,  
bardzo chętnie.

Zrobiła się impreza, co się zowie. Wystrzałowa. Ponury nastrój  
zniknął jak kamfora, wreszcie znów mogli o czymkolwiek rozmawiać.  
Poczułi wielką ulgę, wręcz fizyczną rozkosz tego wewnętrznego  
oczyszczenia alkoholem.

Śmiechy i kolejne shoty przesywały powietrze. Udało im się  
namówić kozią bródkę, żeby puścił im coś innego, nie ten instrumen-  
talny muzak<sup>39</sup> latino, w sam raz do windy. Jest zabawa, chcą się zanu-  
rzyć w dzieciństwie, nastoletniej młodości. Naprawdę nie znajdzie się  
nic takiego? Poszukał trochę w komputerze i pierwsze, co znalazł, to  
Red Hot Chili Peppers.

- *Californicado? Bueno?*

- *Si!*

- *Nirvana? Smells como teen spirits? -Si!*

- *MC Hammer? No se touch this? -Si! Si! Si!*

- *Kris Kross? Jump?*

- *Si! Fuerte!*

*Jump Jump! The Mc Dad will make ya Jump Jump! The DaddyMac  
will make y a Jump Jump! Kris Kross will makeya Jump Jump!*

Po chwili kołysało się całe patio. Deszcz ustał, wieczór przeszedł w  
ciepłą, jasną noc. Pojawiło się nawet kilkoro innych gości zwabionych  
muzyką, którzy dołączyli do tańca. Kozia bródka zapalił kolo-

39 Muzak - pogardliwa nazwa muzyki tła, „tapety muzycznej”. Od  
firmy Muzak, dostarczającej takiej muzyki do sieci amerykańskich  
sklepów, hoteli itp.

rowe lampiony i stojąc za ladą, uśmiechał się szeroko. Zaczął podrzucać butelki i serwować drinki, jakby był o trzydzieści lat młodszym barmanem w nocnym rojowisku Acapulco.

Po przetańczeniu pretensjonalnego, nudnego kawałka Shaggy Nelly popchnęła Jonasa i Björnego na krzesła.

- Czekaście, sprawdzę coś! Siadajcie i słuchajcie.

Stała przed nimi i zrobiła szybki wykład o Spice Girls, o tym, jak przed lustrem udawała wszystkie pięć dziewczyn. Za każdym razem, gdy z głośnika leciał inny głos, zamieniała się w tę wokalistkę, która akurat śpiewała. Tylko oczy były zawsze te same, reszta zmieniała się błyskawicznie w rytm muzyki. Trzask, hop i była kolejno Sporty, Shaggy, Scary, Ginger i Baby. Rozumiecie? Musi im to pokazać, może jeszcze potrafi? Kurde, to było magiczne!

Podbiegła do koziej bródki i poprosiła, żeby nastawił *Wannabe*. Na szczęście miał ten kawałek.

A potem odtańczyła przed nimi absolutnie szalony płas. Oczy wytrzeszczone, wyglądała jak wariatka. Ciało w chaosie, wymachujące ręce i stepujące nogi jak w tańcu na przywołanie deszczu i do tego ciągłe zmiany postaci. Usta wiedziały, co robić, ruszały się bezgłośnie podając tekst, nie opuszczając ani jednej sylaby.

*I tell you what I want, what I really, really want.*

Może być? Co? Poznacie?

Jeszcze jak.

Aż się skręcali ze śmiechu. Björne wykrztusił, że on widzi tylko byłą legendarną postać funduszy hedgingowych, która najwyraźniej przeszła na crack. Musiał wytrzeć łzy ze śmiechu w krótki rękaw T-shirta. Uśmiechając się, przyciągnął Jonasa i szepnął:

- Nelly ma szczęście, że nie ma tu fotoreportera z „Dagens Industri”.

Co znaczy nie ma? Jonas machnął swoją komórką i wyszczerzył zęby. Puścił oko i ułożył wargi w kształt słowa „WŁĄCZ”. Do roboty, ha, ha, ha!



Z drugiej strony tarasu Hotelu Santa Flora, zaledwie kilka metrów dalej, zaczynał się las. Gęsty i nieprzenikniony aż do linii pod szczytami i wzdłuż brzegów doliny. Nieopodal hotelu rósł gęsty zagajnik pełen kolczastych, krzewiastych drzew o sękatych pniach.

Stał tam mężczyzna w niezawiazanych butach.

Miał na sobie zielone ubranie, oparł się o niskie, powyginane drzewo i przez mocno wysłużoną gumowaną lornetkę obserwował bawiących się Szwedów.

Stał długo.

Przesuwał lornetkę od jednej twarzy do drugiej i trzeciej.

Po pewnym czasie przestał się interesować Björnem. Ten niepoważny wesolek niczego w nim nie poruszył. To nie mógł być jeden z nich.

Z wielką uwagą zaczął za to obserwować każdy krok i ruch Nelly i Jonasa. Próbował śledzić ruchy ich warg podczas rozmowy, czytać z nich.

Kim oni są?

A dokładnie, którą dwójką?

Domyślał się, że mężczyzna to chłopiec ze stanowiska motyli na Gotlandii, odnaleziony przez firmę adwokacką, żeby mu przekazać dom Marcusa i Pii. To by się zgadzało, był taki umiarkowany we wszystkim, taki mieszczański. Nie miał natomiast pewności co do dziewczyny. Miała w sobie niezwykły potencjał. Bardzo udana szczepka.

Wpatrywał się w nich długo, uporczywie, aż zaczęło padać.

Znów lunęło.

Jonas był pijany. Nelly i Björne też.

Nie przejęli się, że pada. Dobrze się bawili. W porównaniu z pogodą w zimnej Szwecji była to ciepła, cudowna noc. Co to szkodzi, że ich zmoczy?

W głośnikach zabrzmiał spokojny kawałek The Corrs, barman zawołał, że zaraz będzie koniec zarówno baru, jak i muzyki. Björne, który nie lubił spokojnych kawałków, dał znak, że idzie do toalety. Tanecznym krokiem przeszedł przez patio i zniknął w niedużym westybulu.

Nelly chwyciła Jonasa i przywarła do niego. Zakręciła nim, kierując na środek i tańcząc jakiegoś pijanego fokstrola. Jest jeszcze większą imprezowiczką od Björnego, pomyślał, gdy objęła go za szyję i zaczęła wrzeszczeć do ucha słowa piosenki:

*What can I do to make you love me? What can I do to make you care?*

Roześmiał się i odsunął ją od siebie. Próbował zrobić krok w tył i zakręcić nią, żeby w ten sposób oddalić się choćby na kilka centymetrów, nie psując nastroju. Nic z tego nie wyszło. Coś mu przeszkodziło, bo znalazła się jeszcze bliżej. Jej włosy przesunęły się po twarzy Jonasa, gdy znów znalazła się koło jego ucha.

Co ona wyprawia, pomyślał, ale zanim znalazł odpowiedź, oblizwała mu ucho. Lizwała z góry na dół, język miała mokry, gorący. Doszła do płatka i wessała się w niego, towarzyszył temu dźwięk, który w głowie Jonasa zabrzmiał jak trzask.

Drgnął i odsunął głowę.

Nelly głośno się roześmiała, złapała go za ręce i jednocześnie zrobiła ciałem kilka seksownych ruchów tanecznych, wpatrując się w niego błyszczącymi oczami.

Od deszczu rozpuścił jej się tusz i spłynął po policzkach. Taka utrata kontroli nad swoim wyglądem była do niej zupełnie niepodobna. Jednak ani trochę się tym nie przejęła; chciała się bawić, cieszyć, bez zahamowań, dokazywać, jak tylko ona potrafiła.

- Kurde, bawimy się, Jonas!

W tym momencie interwencja przyrody przerwała pijackie zagrania Nelly.

Po drugiej stronie doliny rozległ się ogłuszający trzask pioruna i cały taras rozświetlił się na mgnienie oka białym światłem.

Jonas i Nelly zatoczyli wzrokiem po stromych górach po drugiej stronie rzeki płynącej doliną. Pioruny z chmur piętrzących się nad szczytami sypały się na las porastający zbocza. Scenograf filmowego horroru nie byłby w stanie stworzyć nastroju większej grozy.

Następne potworne uderzenie. Daleko w dolinie, a może nawet w samej wsi. Taki klasyczny, gruby piorun, z którego rozchodziło się mnóstwo urywanych nitek, jak w filmie rysunkowym. Przez krótką chwilę w powietrzu utrzymywało się migotanie intensywnego światła.

Przez dolinę zaczął się przetaczać grzmot, Björne akurat wrócił z toalety.

Nelly go zobaczyła, w jej oczach pojawiła się jakaś zaciekłość. Potem popatrzyła na Jonasa, którego nadal trzymała za rękę. Odwróciła się i zatoczyła wzrokiem po zagajniku za tarasem.

- Kurde, miałam wrażenie, jakby ktoś... *Shit*, coś mi przyszło do głowy.

Jonas spojrzał na Björnego i lekko wzruszył ramionami na znak, że nie wie, o co chodzi.

Nelly nadal wpatrywała się w zagajnik.

Björne zrobił niezadowoloną minę widząc, że Nelly trzyma rękę Jonasa. Jonas dopiero wtedy się cofnął. Nelly jakby oprzytomniała.

- Chodźcie - powiedziała. - Musimy stąd iść. Odeszła szybkim krokiem. Powoli ruszyli za nią.

Weszli do pokoju Nelly. Ledwo przeszła przez próg i już zerwała z siebie mokrą koszulkę i spodnie. Czarny stanik i majtki wyglądały na bardzo drogie. Ciało lśniło od wilgoci. Jonas i Björne udawali, że patrzą w drugą stronę, w rzeczywistości starali się zobaczyć jak najwięcej. Nelly poszła do łazienki po ręcznik, żeby wytrzeć włosy.

Potem pokazała gestem, żeby zajęli miejsce na łóżku. Rozmazany tusz wokół oczu nadawał jej zupełnie dziki wygląd. Obaj zrobili niepewne miny, nie rozumiejąc, o co chodzi. Spojrzeli po sobie. Wiedzieli, że czasem nie istnieją dla niej żadne granice, ale czego ona teraz chce?

- No co jest! Zróbcie, jak kazałam. Ostrożnie usiedli na skraju łóżka.

Nelly owinęła głowę ręcznikiem i zamknęła drzwi balkonu. Spojrzała przez szybę w prawo, w lewo, po czym zaciągnęła zasłony.

Mężczyzna zobaczył, że kurtyna została zaciągnięta i po jego twarzy rozszedł się uśmiech. Przedstawienie przeszło jego oczekiwania. Improwizacja? Bynajmniej. To była genialna reżyseria.

Wkrótce rozpocznie się następny akt.

Ostatni.

Zamknął oczy i wyciągnął ramiona do nieba. Deszcz spływał po pooranych policzkach, zmiękczał spierzchnięte wargi i wpadał do otwartych ust. Strąki długich, przetykanych siwizną, włosów zwisały po obu stronach twarzy.

Nie otwierając oczu, powoli odwrócił się i ruszył w dół błotnistą, żwirową dróżką w stronę wsi nad rzeką. Szedł długim, elastycznym krokiem.

Wkrótce przyśpieszył. Buty rozpryskiwały wodę, gdy stawiał mocne kroki w strumykach spływających drogą. Teraz już pędził w dół. Śmiejąc się i wydając okrzyki radości.

Nelly wskoczyła na łóżko, wrzuciła sobie za plecy dwie poduszki i oparła się o wezglowie. Spojrzała na Bjórnegó i Jonasa. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że rozglądają się po pokoju, unikając patrzenia na nią podciągnęła kołdrę na wysokość biustonosza.

- Stało się coś? - ostrożnie spytał Jonas.
- Tak, stało.
- Co takiego? - spytał Björne.
- Kiedy uderzył piorun, coś mi się przypomniało.  
Umilkła. Patrzyła na nich, jakby nie wiedziała, jak to powiedzieć.
- W noc świętojańską, gdy zmarł Goran... Spadł ze skały akurat wtedy, gdy biegłam ścieżką. Miałam przeczucie, że wydarzy się coś strasznego.
- Wiem - wpadł jej w słowo Jonas. - Ja też. Gdy burza rozpętała się na dobre, miałem jakieś nieprzyjemne przeczucie. Rozmawialiśmy o tym. Intuicja...
- Ja też - wtrącił Björne i na widok niechętnego spojrzenia Nelly chciał się ugryźć w język. - Chciałem powiedzieć, że też nie lubię burzy.
- Mów dalej - odezwał się Jonas do Nelly.
- Można powiedzieć, że zmarł mi na rękach. Po rażeniu piorunem był nieprzytomny.
- Tak... Był wtedy dziwny i rozkojarzony przez cały dzień - przypomniał sobie Jonas.
- Najgorsze, że zupełnie zniknęło mi ze świadomości to, co się stało w chwili jego śmierci. Coś okropnego, bo normalnie nigdy mi nic nie umyka - powiedziała Nelly.
- Nelly, nie ma w tym nic dziwnego. To musiał być niezły szok - zauważył Björne. - Umarł ci na kolanach. Ale co się wtedy stało?
- W ostatnim momencie zanim odszedł, powiedział coś strasznie dziwnego. Przypomniało mi się to, gdy zaczęło tutaj błyskać. Zupełnie o tym zapomniałam. Nie wiem, co to znaczy.
- Długo wpatrywała się w kołdrę i kręciła głową, w końcu się odezwała.
- Nie rozumiem. Goran miał tylko jedno dziecko, córkę, prawda? W każdym razie na pogrzebie nie widziałam innych dzieci.

- Tak, Vesna była jego jedynym dzieckiem - odparł Jonas. -To znaczy, tak by wynikało. Pamiętam, jak raz powiedziała, śmiejąc się, że jest typową jedynaczką, rozpieszczoną i ukochaną przez tatusia.

- Ale co ci powiedział Goran? - zniecierpliwiał się Björne.

Nelly podniosła wzrok i spojrzała na swoich przyjaciół siedzących w nogach łóżka.

- *Mój syn zobaczy wszystko. Mój syn zobaczy wszystko.*

Zaraz za wsią znajdował się nieduży port. Dwa pirsy z przywiezionych kamieni usypane w nawis, wychodzący prostopadle od brzegu. Nad portem wznosiła się dość stroma góra, nad podstawą pomostów zwisała formacja skalna. Już setki lat temu ludzie założyli tarasowe uprawy na trójkątnym, zwężającym się w górę zboczu. Każdy taras odgradzony systemem murków, których zbudowanie musiało trwać tysiące godzin. W miarę jak rolnictwo rozwinęło się na dużych, bardziej wydajnych polach w głębi kraju, uprawy tarasowe w górach stały się nieopłacalne i popadły w zapomnienie.

Stare pomosty portowe były śliskie od deszczu. Oprócz dziwnego w tym otoczeniu kutra rybackiego z Europy, cumowało tu tylko kilka małych łodzi.

Mężczyzna podszedł powoli do M/S Klustret, którego dziób był skierowany w stronę lądu, a prawa burta przycumowana wzdłuż największego pomostu w środku portu.

Spojrzał na kuter. Położył dłoń na relingu i poklepał go.

*Love you.*

Gdy pierwsze promienie słońca przedarły się przez chmury burzowe i zaczęły osuszać pokład zniszczony przez liczne sztormy i burze, nad M/S Klustret zaczęły się unosić kłęby pary. Grube cumy, zaatakowane przez zielone wodorosty, wisiały zmęczone między polerami na pomoście a knagą na kutrze. Wysoko na burcie, pokrytej łuszczącą się farbą, była dziura, z której nieregularnie lała się woda. Naj-

wyraźniej ktoś wypompowywał wodę z zęzy. Kilka lat temu zaczęły puszczać spojenia w pokładzie. Początkowo próbowali je uszczelniać żywicą zmieszaną z piaskiem, ale nie pomogło. Wtedy przykryli cały pokład plandeką. To też nie poskutkowało. Na stykach nigdy nie było dostatecznie szczelnie, a podczas silnego wiatru często któryś róg się odrywał, chociaż wcześniej wydawało się, że plastikowa plandeka została starannie przybita. W związku z tym podczas silnego deszczu kuter zwykle nabierał wody z góry. Jednak pod linią wodną wciąż był szczelny. Dno pokrywała dziesięciocentymetrowa warstwa mięczaków i alg, która stawała się cieńsza dopiero spory kawałek ponad linią wodną. Proces butwienia pokładu nie ogarnął jeszcze całego statku.

Teraz sypiało tam na zmianę tylko po paru członków Klustret. Ale od czasu do czasu nadal używali kajuty jako jadalni.

Statek dowiózł ich aż tu i miał wielkie znaczenie dla poczucia tożsamości grupy. Dlatego starali się go w miarę doglądać, chociaż nie był już używany do transportu. Dbali o stary silnik volvo i od czasu do czasu włączali go na pusto. Uwielbiali jego gang i zapach. Zresztą kto wie, może pewnego dnia znów popłyną gdzieś dalej?

Ci, którzy akurat nie pełnili wachty na kutrze, spali w którejś z cieplarni na tarasach. Pielęgowali w nich sadzonki przed wysadzeniem do upraw. Znajdowało się tam również laboratorium.

Trafili do prawdziwego raj. W tutejszych górach znajdowało się najciekawsze na świecie miejsce do obserwacji życia owadów. W dodatku w Santa Flora nie było żadnych władz, w każdym razie takich, których nie udałoby się obłaskawić za pomocą paczki pesos albo garści dolarów. Z czasem spotkali kilka podobnie myślących osób, dzięki czemu grupa się nieco powiększyła, między innymi o parę meksykańskich badaczy, która mogła rozprawiać drągi w różnych campusach, na niedużą skalę, ale w miarę bezpiecznie i opłacalnie, nie drażniąc przy tym żadnego z wielkich karteli.

Członkowie Klustret żywili przekonanie, że utrzymuj ą dobre tempo badań nad imagoriną. A Ray robił wszystko, aby ich w tym umocnić.



Powtarzał jak mantrę, że poważne badania naukowe trwają wiele lat, a nawet wiele pokoleń. Przełom nastąpi lada moment. A ponieważ szczury z dżungli nie nadawały się na zwierzęta laboratoryjne, wszyscy musieli być gotowi do współpracy. Ray twierdził, że najbardziej niebezpieczne skutki uboczne udało się wyeliminować wiele lat temu. Są już blisko. Wszystko trzeba poświęcić dla badań. Wszyscy muszą się do tego przyczynić.

Oczywiście starali się ze wszystkich sił. Rok za rokiem. Jednak większą część grupy zaczęła się nadmiernie interesować dragami. Dotyczyło to zwłaszcza weteranów.

Wśród nich był również Marcus, niegdyś robiący wielkie oczy młody nowicjusz. Podczas pierwszej imprezy w Klustret przeżył coś wspaniałego, co wyrwało go z dzieciństwa i wrzuciło do świata dorosłych, który okazał się znacznie cudowniej szy, niż by kiedykolwiek przypuszczał.

Dziś, wiele lat później, Marcus leżał, trzęsąc się pod wytartym kocem w kajucie M/S Klustret. Spod szarej wełny wystawały nagie, brudne stopy.

- Daj mi znaczek z kwasem. Szybko! Proszę.

Nikt go nie słyszy? Zsunął koc z twarzy i rozejrzał się. Aha, kuter. Z kim jest tutaj? Podniósł się na łokciu.

- Halo!

Nie słyszał własnego głosu. Przesunął drżącą ręką po twarzy, potem w górę, na łysinę. Kaptur zsunął mu się z głowy. Najpierw pocierał czubkami palców, potem zaczął coraz mocniej drapać paznokciami, które były czarne jak zwierzęce pazury. Instynktownie usiłował wywołać ból, który wyparłby objawy abstynencji.

Tłuste, cienkie i skudłone włosy rosnące w wianuszku wokół głowy zwisały na szyję jak trujące trawy morskie.

- Kto tu jest? - spytał cicho. - Jest tam kto? Halo?

Gruba strużka śliny pociekła mu z ust, w których zostały tylko dwa zbrązowiałe zęby na przodzie dolnej szczęki. Wystrzępionym rękawem swetra starł ślinę ze spierzchniętych warg.

Tańczący niegdyś do upadłego imprezowicz z rave'ów w Amsterdamie zamienił się w wyliniałą hienę.

Pia stała w korytarzyku do ładowni i miarowo wypompowywała wodę z zęzy. Siwy koński ogon kołysał się w takt ruchów ręki.

Już kończyła, gdy usłyszała, że znajdujący się kilka metrów dalej Marcus obudził się. Zawsze miała przy sobie kilka „znaczków”, ale na wszelki wypadek sprawdziła jeszcze raz w kieszonce kombinezonu.

Owszem, była tam plastikowa, zamykana torebeczka ze „znaczkami”.  
- Zaraz idę! - zawołała do Marcusa.

Pompowała szybko jeszcze kilka minut. Poczwała zakwasy w mięśniach. Jej ramiona były nieźle umięśnione, zawsze lubiła pracę fizyczną, nawet wypompowywanie wody z zęzy.

Jeszcze tylko kilka ostatnich ruchów, aż wody zostało na parę centymetrów. Wystarczy, może dziś nie będzie tak padało. Pocieszała się, że także w tym roku pora deszczowa nie będzie trwała wiecznie.

Ostatni raz nacisnęła pompę, porządnie ją umocowała, wdrapała się na górę i zamknęła klapę.

Wróciła do kajuty, gdzie już był Ray. Siedział na ławie obok Marcusa, oparty o gródź.

Stopy położył na stole, ręce splótł na karku. Pia zwróciła uwagę, że jest przemoczony do suchej nitki. Musiał spędzić na dworze całą noc - znów.

Marcus najwyraźniej już dostał „znaczek” od Raya, bo trochę się podniósł i wyglądał w miarę przytomnie.

Natomiast Ray wydał jej się jakiś dziwny. Jednocześnie spięty i rozluźniony. Na opalonej pod zarostem twarzy malowała się obojętność, a jednocześnie zadowolenie, jak po seksie. Oczy mu się śmiały.

Usiadła na długiej ławie po przeciwnej stronie stołu i oparła na nim ręce.

Milczała. Czekala

Ray spojrzal na nia. Potem na Marcusa i znów na Pię.

- Dzieci...

Nabrał powietrza i z ciężkim westchnieniem dokończył:

- Przyjechali.

Pia powoli kiwnęła głową. Spojrzała mu głęboko w oczy, najpierw w jedno, potem w drugie, próbując czytać w jego myślach. Potem pochyliła się nad stołem i wyciągnęła do niego ręce. Ray zdjął nogi ze stołu, podniósł się z pólężącej pozycji i chwycił ją za ręce, które złożył i trzymał w swoich wielkich dłoniach, jak pisklę.

Spotkali się wzrokiem. Myślami również.

*Ależ to życie szybko płynie.*

A więc przyjechali.

Dzieci-motyle.

Marcus kaszlnął. Niespokojnie patrzył to na jedno, to na drugie. I też wyciągnął ręce. Otwarte dłonie, błagalne.

- Halo.

Nie zwracali na niego uwagi. Znów kaszlnął, tym razem głośnie.

- Mógłbym dostać jeszcze jeden „znaczek”? Proszę.

Ranek był słoneczny, ciepły i piękny. Gdyby nie ciężka wilgoć, która parowała powoli z ziemi nasyconej deszczem, trudno byłoby wyobrazić sobie, jaka burza przetoczyła się tutaj w nocy.

Jonas i Björne siedzieli na tarasie hotelu Santa Flora i próbowali jeść śniadanie. Nie bardzo im to szło, bo żołądki wciąż jeszcze trawiły tequilę z nocy. W dodatku niewiele spali. Zwłaszcza Jonas był bardzo blady.

Tylko sok im jakoś wchodził. Björne wypił już pół karafki. Dyskretnie wyjął buteleczkę brązowego płynu i wlał trochę do szklanki Jonasa.

- Wypij to. Nie ma nic lepszego na kaca. Fernet-Branca zamienia trzęsącą się mysz w odważnego męża. Bądź mężczyzną, przyjacielu.

Björne poklepał go po plecach między łopatkami, jakby chciał mu ulżyć w ataku kaszlu.

Jonas uśmiechnął się konwulsyjnie na tę życzliwość.

- Dzięki. Ja też cię kocham.

- Gdzie, do cholery, jest Nelly? Przecież umówiliśmy się, że zaczynamy od samego rana.

- Na pewno zaraz przyjdzie. Mijając jej pokój, puknąłem w drzwi.

- Ja też, ale było cicho jak w grobie, widocznie spała jak zabita - powiedział Björne.

- Fakt, że jak ja przechodziłem, to też było cicho. Ile byłeś przede mną?

- Jakieś dziesięć minut.
- Przecież zwykle od razu staje na nogi.
- Właśnie.

Jonas chwycił za telefon i zadzwonił do Nelly. Żadnej odpowiedzi. Spojrzał na Björnego i pokręcił głową.

- Idę tam - powiedział Björne, zrywając się.
- Czekaaj, idę z tobą.

Jonas opróżnił swoją szklanę trzema łykami i szybkim krokiem dogonił Björnegö:

Doszli do pokoju Nelly, gdzie właśnie zaczęło się sprzątanie. Sprzątaczką w błękitnej sukience słała łóżko. Nelly nie było. Ani w pokoju, ani w łazience. Ale jej bagaż został. Spytali sprzątaczkę, czy ją widziała. Pokręciła głową i rozłożyła ręce w geście wyrażającym niezrozumienie i irytację: *ja tu tylko sprzątam*.

Nelly zniknęła.

Jonas i Björne spojrzeli po sobie. Nie musieli nic mówić, obaj wiedzieli, co myślą: gdy Nelly jest wzburzona - a wczoraj była bardzo wzburzona - wszystko jest możliwe. Ogarnął ich niepokój. Pobiegli z powrotem na taras, żeby poszukać kogoś z personelu, może ją widziano.

Buty Raya stały porządnie ustawione na słońcu przy zejściu do kajuty. Pia nawciskała do środka papieru gazetowego. Nie potrafiła przyzwyczaić się, że nie robi mu różnicy, czy ma w butach mokro, czy sucho.

Ray siedział przy stole w kajucie. Wydawał się pozbierany i zdeteterminowany, zmienił ubranie na suche, a długie włosy owinął ręcznikiem.

Był sam. Pia z Marcusem poszli odrabiać swoją dniówkę. Było dużo pracy na plantacjach i wiele różnych spraw do załatwienia we wsi.

Na stole leżał telefon komórkowy. Ray nigdy się specjalnie nie interesował elektronicznymi gadżetami, chociaż jako naukowiec miał świadomość, że faktycznie jest z nich pewien pożytek. Ale zrobiło się ich tak dużo, *the devices* były wszędzie. Ludzie stali się niewolnikami cyfrowego programowania, natomiast w coraz mniejszym stopniu wsłuchiwali się w kody swego ciała, które ewolucja rozwijała i udoskonalała przez miliony lat.

Obwód drukowany kontra DNA.

Ray prychnął na myśl o niemądrej współczesności.

Zakręcił telefonem. Komórka miała zupełnie płaski spód, więc musiał włożyć trochę wysiłku. Najczęściej wychodziło tylko trzy czwarte obrotu. Za każdym razem kręcił na nowo. I tak przez dłuższy czas.

Gdy telefon zatrzymał się idealnie prostopadle do niego, podniósł go. Nienawykłym ruchem, z namysłem naciskał klawisze. Po kilku minutach wydawał się zadowolony. Ostatnie przyciśnięcie podkreślił triumfalnym uniesieniem ręki.

Lekkim krokiem wdrapał się po schodkach, mijając suszące się na słońcu swoje buty i wyszedł na pokład. Poszedł na rufę, za sterówkę i spojrzał na rzekę.

Było bezwietrznie i słonecznie. Powierzchnia wody była gładka, marszczyła się tylko tu i ówdzie, gdy ławice ryb usiłowały łapać owady lecące tuż nad nią.

*Przyjaciele, jesteście zbyt ciekawi. Nierozważni i porywczy.*

Potem rzucił telefonem jak najdalej.

Nelly oparła rękę o sękatę drzewo. Miało twardą, szorstką korę. Ziemia przy korzeniach była wydeptana.

Kręciło jej się w głowie, źle się czuła. Znów chciało jej się wymiotować, ale już nie miała czym. Jej ciałem wstrząsnął spazmatyczny, kwaśny skurcz, od wpustu żołądka aż do przełyku.

Czuła to wyraźnie. Ktoś stał i obserwował ich z tego miejsca. Dokładnie tu. Miał stąd widok na cały taras hotelu, w dodatku łatwo mógł się ukryć wśród liści. Nie potrafiła wyjaśnić, skąd to wie, ale było dla niej oczywiste, że wczoraj wieczorem ktoś stąd na nich patrzył i ich obserwował. Jak obserwuje się zwierzęta laboratoryjne.

Jak to się mogło stać? Czyżby to nie ona i Jonas byli ścigającymi?

*Co za obrzydlistwo. Bydlaki cholerne.*

Domyśliła się, że są już blisko. Że koło się zamyka. Ale zamknięcie może równie dobrze skończyć się wybuchem.

Zobaczyła, że Jonas i Björne wrócili na taras. Gestykulowali i rozmawiali z kelnerką. Widziała, że są niespokojni. Od razu się domyśliła dlaczego.

- O, jesteś!

Björne podszedł do Nelly i uściskał ją, przytrzymując w objęciach. Próbował nawiązać z nią kontakt wzrokowy, ale jej okulary słoneczne patrzyły na Jonasa.

- Martwiliśmy się o ciebie. Gdzieś ty się podziewała?

Nelly wyswobodziła się z objęć Björnego i usiadła przy stole naprzeciw Jonasa. Odgarnęła włosy okularami, które umieściła na głowie jak diadem. Potem spojrzała poważnie na niego.

- Poczuleś tu coś szczególnego? - spytała i zatoczyła ręką. Zastanowił się krótką chwilę.

- Czyja wiem. Chyba dawno nie czułem się tak odprężony. Jakby puściło jakieś napięcie w środku. Jak na egzaminie, w momencie, kiedy już wiesz, że będzie dobrze. Po prostu wiesz, że pytania, które sobie przygotowałeś, masz dokładnie przed sobą na papierze. Tak to odczułem. Wczoraj się cieszyłem. Teraz czuję ulgę, że wróciłaś. A ty?

- Ja poczułam. Jak cholera. Jesteśmy blisko, oni gdzieś tutaj są. Nie wydaje mi się, ja wiem. Te bydlaki są tu, w tych górach.

- O, kurwa - odezwał się Björne, siadając koło niej.

Nelly opowiedziała, że gdy już uporządkowała w głowie przeżycia z wczorajszego wieczoru i przypomniały jej się okoliczności śmierci Gorana, pojawiło się więcej wrażeń. Kiedy w końcu zasnęła, śniło jej się, a może czuła, że ktoś ich obserwował, gdy bawili się na tarasie. Właśnie znalazła potwierdzenie tego faktu, bo odszukała miejsce, gdzie ten ktoś stał. To uczucie było tak obezwładniające, że zwymiotowała.

- Kurde, aż ciarki przechodzą - powiedział Bjórne.

W tym momencie w kieszeni Jonasa odezwała się komórka. Wyjął ją i sprawdził.

- No coś takiego!

- Co? - spytał Bjórne. -SMS od Gry Ody.

- Co napisała? -spytała Nelly.

- *Przepraszam, że tak zniknęłam. Nagły impuls, wyjechałam do Meksyku. Jestem w siedlisku motyli w pobliżu Santa Flora w Sierra Mądre.*

Spojrzeli po sobie. Co się dzieje?

Było jasne jak słońce: są na właściwym tropie. Nieważne, czy dzięki intuicji, czy umiejętnemu wyciąganiu wniosków. Gry Oda знаła odpowiedzi na pytania, o których oni nie mieli pojęcia. Wiedzieli tylko jedno: że muszą ją znaleźć.

Jonas próbował oddzwonić. Lecz, podobnie jak wcześniej, nie odebrała.



Mdłości trochę ustąpiły, gdy Nelly zmusiła się do wypicia filiżanki herbaty i zjedzenia jednego croissanta. Próbowiła również wypić kawę, ale nadal jej nie smakowała. W normalnych warunkach wypijała rano co najmniej dwa espresso albo macchiato, ale w meksykańskiej kawie widocznie było coś, co jej nie odpowiadało. Miała tak od kilku dni.

Postanowili zejść do wsi i dowiedzieć się, czy ktoś widział Gry Odę. Na szczęście podczas spotkania w Muzeum Historii Naturalnej Jonas zrobił jej zdjęcie, które teraz mógł przesłać na komórki Nelly i Bjornego.

Dotarli do opadającego w dół ryneczku wokół obmurowanego źródła z małą sadzawką, gdzie zatrzymali się na chwilę, siadając na białym brzegu baseniku. Ulice odchodziły stąd w górę, w dół i na boki. Postanowili się rozdzielić, żeby szybko przepytac sklepiarzy i mieszkańców, którzy wylegli na dwór cieszyć się chwilowym słońcem. Umówili się, że spotkają się na rynku mniej więcej za godzinę.

Jonas poszedł na wschód, uliczką, przy której znajdowało się kilka sklepów spożywczych. Czuł się nieswojo, że ma zaczepiać ludzi i wypytywać, ale i tak to robił. Niestety, nikt nie znał Gry Ody, ani wśród sprzedawców, ani wśród klientów. Kręcili głowami albo roz-

kładali ręce, niektórzy po prostu odwracali się, udając, że w ogóle nie słyszeli pytania.

Wkrótce okazało się, że dalej już nie ma ani ludzi, ani sklepów. Szedł wzdłuż białych kamiennych ścian, zaciągniętych zasłon w oknach i zamkniętych drzwi. W wąskich zaułkach panował piekący skwar. Po pewnym czasie doszedł do następnego ryneczku. Już nie tak malowniczego jak ten pierwszy w środku wsi. Była tu stacja benzynowa, która lata świetności miała za sobą. Na dystrybutorach z łuszczącą się farbą wisiały pordzewiałe końcówki czerwonych, wysuszonych węży gumowych. Najwyraźniej mieli tu i olej napędowy, i benzynę, ale bez jakiegokolwiek informacji o jakości albo liczbie oktanów. Obok stała budka niewiele większa od szafy. Za okienkiem spał na siedząco mężczyzna w niebieskim kombinezonie.

Jonas delikatnie zapukał w szybę. Żadnej reakcji. Zapukał mocniej i głośno chrząknął. Mężczyzna poruszył się. Otworzył jedno oko, drugie. Spojrzał ze złością.

Jonas przytknął swój telefon do szyby, pokazując zdjęcie Gry Ody. Głośno, żeby go było słychać przez szybę, spytał właściciela stacji, czy widział tę kobietę.

Mężczyzna machnął przecząco ręką i ponownie splótł ręce na wydatnym brzuchu. Zamknął jedno oko, potem drugie.

Jonas odwrócił się z rezygnacją, zastanawiając się, dokąd dalej iść.

Poniżej zobaczył mężczyznę idącego w górę uliczką. Na bosych stopach miał rzemieńne sandały na cienkiej podeszwie, brudne, obcięte dżinsy i obskurną bluzę z kapturem, spod którego widać było kilka długich kudłów i gładkie czoło. Poruszał się niezwykle powoli, dziwnymi, mrówczymi krokami, jak robot. Na jednym ramieniu niósł okrągłą butlę na propan-butan, pod drugim małą hulajnogę. Jonas pomyślał, że pewnie butla jest pusta i tamten facet idzie na stację benzynową, żeby ją wymienić. Dobrze, jeszcze jeden, któremu można pokazać zdjęcie. Warto spróbować.

Poszedł mu naprzeciw. Tamten zorientował się dopiero, gdy Jonas był przy nim. Zatrzymał się i spojrzał spod kaptura.

Miał zmęczone spojrzenie. Wkrótce jednak zmieniło się ono w spojrzenie lekko badawcze. Jonas uśmiechnął się przyjaźnie.

- *Good morning, can I ask you a question?*

Mężczyzna nie odpowiedział!. Ze zdumieniem wpatrywał się w Jonasa. Uważnie. A potem otworzył prawie bezzębne usta. -Ray?

Jonas drgnął. Jaki Ray? Co Ray? Dalej Jonas nie zdążył pomyśleć, gdy mężczyzna spytał:

- Mogę dostać „znaczek”?

Jonas potrzebował ułamka sekundy, by uzmysłowić sobie: facet odezwał się po szwedzku!

Jonas nie zrozumiał. Jaki „znaczek”? Ale kiedy zorientował się co się stało, zakręciło mu się w głowie.

To jeden z nich!

Kurde, wpadł na jednego z tych z Klustret. Czyli Nelly miała rację, są tu, w tej wsi. Ona ma nieprawdopodobną intuicję. Szybko odzyskał pewność siebie.

- Jak się nazywasz? Skąd jesteś?

Mężczyzna był chudy, miał pooraną, pomarszczoną twarz. Wpatrując się w Jonasa, zrobił błagalny, pokorny skłon głową. Próbował oblizać usta, ale suchy język nie mógł zwilżyć wysuszonych warg. W kącikach ust miał resztki stwardniałej, poszarzałej śliny.

- Przecież widzisz, że to ja, Marcus - powiedział bełkocząc lekko. - Dasz mi „znaczek”? Proszę.

Jonas poczuł, jak krew odpływa mu z głowy. Kolana się pod nim ugięły, padł na ziemię koło stóp mężczyzny. Najpierw na kolana, potem na bok. Oparł skroń o ziemię i broniąc się przed utratą przytomności, wpatrywał się w tę postać o zapadłych oczach.

*Marcus? Powiedział: Marcus?*

A więc to jego ojciec. Wiele razy próbował sobie wyobrazić tę chwilę, ale nigdy w ten sposób. Brudny, stary i naćpany hipis, totalnie skołowany.

Wrak ludzki.

Okej. Jest jak jest. Obiecał sobie, że nie zareaguje agresją, jak zrobiłaby Nelly, gdyby ją to spotkało. W dodatku był kompletnie wyczerpany. Z wysiłkiem podniósł głowę, ale czuł się niepewnie, na czoło wystąpił mu zimny pot i był bliski zemdlenia. Opanował zawrót głowy i wyciągnął rękę, żeby się przywitać, a jednocześnie wyrzucał z siebie pytania:

- Nazywasz się Marcus Groschinsky? Miałeś dziecko z Pią Larsson z Jönköping? Czy ona też jest tutaj?

Mężczyzna w odpowiedzi cofnął się przed wyciągniętą ręką Jonasa. Miał przerażenie w oczach. Nie domyśla się, kim jest Jonas? Może myśli, że ten chce się zemścić?

Nie odpowiedział.

Rzucił pustą butlę, wskoczył na hulajnogę i zjechał tą samą uliczką, którą tu przyszedł.

Kilka sekund i już go nie było.

Jonas poddał się. Jego głowa stuknęła głucho o twardą jezdnię.

Björne też nie znalazł nikogo, kto znałby Gry Odę.

Po pół godzinie bezowocnego wypytywania zaczął mieć dość. Kac przeszedł w upiorny głód.

Na szczęście trafił na fantastyczną piekarenkę, gdzie na pewno będzie mógł nabrać sił. Witryna była pełna pięknych chlebów i cudownych ciastek. Na zewnątrz pod markizą stały dwa stoliki kawiarniane. Björne usiadł koło wystawy i chciwie jadł oczami te pyszności.

Stała przed nim młoda dziewczyna w staromodnej sukni i koronkowym fartuszku; z rezerwą zapytała, czego sobie życzy. Oczywiście łamaną angielszczyzną, bo nie miała wątpliwości, że Björne nie jest Meksykaninem.

Na jednym ramieniu miała wielki tatuaż, czarno-białe liście ciągnące się w dół od barku. Kruczoczarne włosy były podgolone z jed-

nej strony, a po drugiej związane w koński ogon. Wyglądała, jakby nie czuła się za dobrze w tym niby ludowym stroju, pomyślał, ale pewnie szef jej kazał. W dodatku jest nadąsana i opryskliwa, chociaż pracuje w raju. Może wolałaby zatrudnić się w Urzędzie Podatkowym w zimnym Sztokholmie? Ściagać oszukujących na VAT? Pewnie nie. Na tym świecie aż roi się od niewdzięczników, którzy nie lubią swojej pracy. On mógłby pracować w cukierni. Najlepiej w Tosses na Karla-vägen<sup>40</sup>. Ta ich tarta bezowo-cytrynowa...

Poprosił o duży. Jcawę z podgrzany mleczkim i palcem pokazał na środek wystawy i ułożoną na glinianym talerzu cudowną piramidę dużych, okrągłych ciastek. Posypane cukrem pudrem wyglądały niezwykle apetycznie.

- *No, no* - odparła dziewczyna i spojrzała na Björnego, jakby upadł na głowę. - *Wedding cakes. For wedding.*

Chyba dawała do zrozumienia, że to ciastka na wesele, a nie łakocie dla jakiegoś gringo.

- *Yes, yes* - nalegał Björne. Poprosił o dwa. I jeszcze wafelek z kruchego ciasta. Czy mógłby dostać do niego trochę bitej śmietany?

Dziewczyna zrobiła ruch głową, którego nie umiał zinterpretować. Było jasne, że zamówienie jej się nie podoba, natomiast niejasne, czyje przyjmuje. Rozłożyła ręce, potem wzięła się pod boki. I odeszła, zadzierając nos do góry.

Björne wyjął telefon i sprawdził, czy przyszły do niego jakieś SMS-y od Jonasa albo Nelly. Nie. Jeśli w ogóle dostanie swoje zamówienie, będzie musiał je szybko wrzucić w siebie, bo niedługo powinni się spotkać.

Przyjemnie było pobyc przez chwilę samemu. Björne zauważył, że od czasu, jak wyjechali ze Szwecji, Jonas i Nelly byli coraz bardziej spięci. Dziwna historia... Że też koniecznie chcą odnaleźć biologicznych rodziców! Mieli niewiele konkretów i mogli się oprzeć jedynie na intuicji. I stąd presja, jakby sami oczekiwali, że potrafią sprawić

40 Karlavägen - prestiżowa ulica w Sztokholmie.

cud. Nie mówili tego głośno, ale widział, że obserwują swoje wzloty i upadki z uwagą, która mogłaby wzbudzić zazdrość u każdej służby wywiadowczej. Nie, Björne nie wierzył, że można wymusić u siebie intuicję. Prędzej wierzył w otwarcie się na bodźce i wrażenia, które umysł przekazuje do biura analiz działającego w mózgu. Przynajmniej on tak funkcjonował. Zresztą kto powiedział, że jego intuicja jest gorsza niż ich? Chwilami miał wrażenie, jakby się w ogóle dla nich nie liczył.

Tak sobie rozmyślał, pełen współczucia dla siebie i głodny, nie wiedząc, czy dostanie swoje zamówienie. Tymczasem w uliczce pojawiła się niewysoka hipiska w kolorowej sukience. Wyglądała na osobę z Zachodu: miała jasną cerę i nieumalowaną twarz. Całkiem słodka, mimo niedbałego stylu, pomyślał. Włosy upięte w duży kok na czubku głowy. Szczupła, ale o krągłych kształtach. Nie umiał ocenić wieku, na oko od czterdziestu pięciu do sześćdziesięciu lat. Obserwował ją ciekawie i zdziwił się, bo szła wprost na niego. Jednak nie spojrzawszy na Björnego, weszła prosto do piekarni. Poruszając się, jakby była zdalnie sterowana, podeszła do szklanej lady i wzięła przygotowaną dla niej dużą papierową torbę, w której był chleb. Zapłaciła, podając dziewczynie kilka pogniecionych banknotów.

Skończyła i właśnie wychodziła, trzymając w ramionach torbę, gdy Björnego uderzyła myśl, że powinien ją spytać o Gry Odę.

- *Hello, can I show you a photo of a missing person?* - spytał, kiedy pojawiła się w otwartych drzwiach.

Nawet na niego nie spojrzała. Chyba go w ogóle nie zauważyła. Była o pół metra od niego, gdy Björne wstał, żeby nawiązać rozmowę. Prawie zastąpił jej drogę i spojrzał prosto w puste oczy kobiety. Ta wyszła z ciemnego sklepu na słońce, ale jej tęczęwki były jak cienki niebieski pierścień otaczający silnie powiększone źrenice.

Już zrozumiał.

Była na haju. Naćpana jak stodoła.

Björne pozwolił jej przejść i opadł z powrotem na krzesło. Obserwował, jak skręciła za jakimś domem i zniknęła w uliczce.

Dziewczyna z piekarni przyniosła wielką tacę z jego zamówieniem i już nie była taka nadąsana. Odstawiła tacę na stolik obok i nawet starła blat przed Björnem, zanim mu postawiła te cudowne wypieki przed wygłodniałe oczy.

Korzystając z okazji spytał, kim była kobieta, która kupiła tyle chleba.

Ma na imię Ursula i należy do „old hippie community”. Kilka osób mieszka w szopach na pagórkach nad portem, a inne w starym wraku w porcie, brzydkim i dziwnym statku z Europy.

Co ona powiedziała? Björne zagapił się na nią. Palcem wskazującym dotknęła skroni i przewróciła oczami.

- *Crazy people. Maniacs.*

Nelly nie uszła zbyt daleko. Jeszcze wychodząc z rynku, była zdecydowana wziąć udział w poszukiwaniach.. Teraz poczuła zniechęcenie. Pałętają się jak nienormalni, żałośni odmieńcy i tylko po to, żeby odnaleźć osobę, która wyjechała na drugi koniec świata. Bo może wiedzieć, dlaczego się ulotnili ich parszywi rodzice. Jakaś głupota. Nie wiadomo, po co to wszystko. I kiedy się tak porobiło? Gdzie się podziało jej fajne życie? Naprawdę powinna z tym szybko skończyć.

Zrezygnowana weszła w jakąś uliczkę biegnącą na zachód od rynku i obserwowała snujących się ludzi. Tu i ówdzie przemykał jakiś turysta, pozujący na leśnego skrzata, ale większość stanowili meksykańscy Svenssonowie w tandetnych ubrankach. Widocznie Santa Flora to meksykański odpowiednik Ullared<sup>41</sup>. Wprawdzie nigdy nie była w Ullared, ale jednak. Tandeta.

41 Ullared - miasteczko w zachodniej Szwecji, tu: synonim prowincji.

Nie, nie potrafiła się przemóc, żeby podstawiać nieznanym ludziom swój telefon ze zdjęciem Gry Ody. Niech Jonas i Björne to załatwią.

Czuła się wycieńczona. Obrzydliwie wyczerpana. Nienawidziła gnuśności i ospałości, która ją dopadła. Powinna wziąć się w garść i zebrać siły. Tylko tyle.

Zmagła się jednak nie tylko z kacem. Również z czymś nowym, nieznanym, nie poddającym się jej zazwyczaj ostrej jak brzytwa analizie i zdolności do kojarzenia równoległych zdarzeń.

Odwróciła głowę. Podniosła wzrok i spojrzała na okno wystawowe, które miała przed oczami.

Aha.

Już wiedziała, dlaczego nogi ją tu przyniosły. Bo musi się dowiedzieć, uzyskać pewność. Weszła do środka.

- Obudź się! Jonas, to ja, Björne.

Björne nie potrzebował dużo czasu, żeby uporać się z pysznościami w cukierni, nawet mu zostało kilka minut, żeby zrobić jeszcze jedną rundkę i poszukać kogoś, kto wiedziałby coś na temat Gry Ody.

Odszedł kawałek od centrum wsi i znalazł się w pustej uliczce. Ani żywego ducha jak okiem sięgnąć. Już miał zawrócić, gdy zobaczył, że nieco dalej leży na ziemi jakaś znajomo wyglądająca postać. Nieprzytomny Jonas. Koło małej stacji benzynowej na pustym placu. Leżał na boku, jakby sobie spał spokojnie. Obok stała niebieska butla na gaz.

Björne podbiegł, potrząsnął nim i poklepał przyjaciela po policzkach.

- Halo!

Jonas otworzył oczy ze zdezorientowaną, zaniepokojoną miną. Próbował usiąść, ale zabrakło mu sił. Chciał się podeprzeć ręką, ale cała się trzęsła.



- Nie denerwuj się. Wszystko w porządku.

Od Bjórnego bił spokój i pewność. Jonas odetchnął głęboko i przeturlał się na plecy. Spojrzał w niebo. Znów się zaciągnęło, słońce tylko od czasu do czasu przedzierało się przez chmury. Wkrótce całkiem je zasnują, pociemnieją i wróci uporczywy deszcz.

Czyżby stracił przytomność? Pamiętał bardzo wyraźnie, gdzie jest i co się stało. To musiało być dosłownie przed chwilą, chyba tylko kilka sekund był nieprzytomny.

Spojrzał na Bjórnego.

A potem opowiedział mu, co się stało.

Nelly doszła aż na skraj wsi i usiadła na ławce przy wejściu na cmentarzyk na zboczu góry. Za okalającym go murkiem stały gęsto wysokie, pochylone pomniki, ocienione przez kilka wiekowych platanów. Cmentarz przecinały ścieżki wijące się między setkami grobów, często ozdobionych kwiatowymi aranżacjami i jaskrawo kolorowymi girlandami z bibułki. Na niektórych nagrobkach leżały dary: owoce, cygara, nawet zabawki. W Santa Flora wszyscy byli razem, zarówno zmarli, jak i żyjący. Cmentarz był jednocześnie miejscem żałoby i zabawy: piękny i godny, ale przy tym niegustowny i groteskowy. Wszystko było tu dozwolone.

Nie to, co w Szwecji. Nelly przypomniały się nieliczne pogrzeby, na których była. Wszystko musiało być w stu procentach godne: ubiór, muzyka, kwiaty, przemówienia i mowa ciała. Nawet łkania powściągliwe i stylowe, niemal piękne.

Wyobraziła sobie, jak na pogrzebie Meksykanki krzyczą i rwą sobie włosy z głowy. Tusz z oczu spływa im ze łzami, gdy wygrażając Panu Bogu, wyciągają ręce do nieba. Potrafiła zrozumieć ten krzykliwy sposób wyrażania emocji. To tylko próba odepchnięcia od siebie żałoby. Jakby odpychać atakującą, szaloną małpę.

Nelly wyjęła test. Po skorzystaniu z toalety w aptece nie odważyła się spojrzeć na płytkę. Bała się własnej reakcji, gdyby okazało się najgorsze. Wolą być sama, gdy się dowie. Rozejrzała się. Ani żywego ducha. Bezwietrznie i cicho.

Odwróciła test ciążowy i spojrzała.

Gruba niebieska kreska.

- Cholera jasna!

Krzyknęła głośno, ze wszystkich sił, tupiąc nogami:

- Kurwa!

Wstała, wciąż krzycząc i odrzuciła test jak najdalej, aż za mur cmentarza. Poszybował w powietrzu i spadł za jakimś dużym rodzinnym nagrobkiem.

- Ja pierdolę!

Czyli dobrze czuła. Obrzmiałe piersi, mdłości, czekanie na okres. Wdepnęła w najgorszą ze wszystkich pułapek czyhających na kobiety. Ona, Nelly Josefsson! Jak do tego mogło dojść?

Macica, największy wróg wolnej kobiety.

Zajmie się tym zaraz po powrocie do domu.

Nikt nie musi nic wiedzieć. Absolutnie nikt.

To. Bez. Sensu.

Załamana, kopnęła ławkę, na której wcześniej siedziała. Ławka drgnęła i wtedy Nelly dojrzała coś kącikiem oka. Z oparcia odleciał duży motyl.

Podążyła za nim wzrokiem. Nierówno machając skrzydłami, poleciał najpierw w stronę muru cmentarnego. Po chwili wyrównał lot, zmienił kierunek i zaczął lecieć wprost na nią. Nelly pomyślała, że pewnie leci do jej ręki i odruchowo podniosła prawą wierzchem do góry. Motyl usiadł na jej knykciach i od razu miękko złożył skrzydła.

Nelly zbliżyła rękę. Rozpoznała go. Monarcha. Taki sam, jak ten, którego wskazała, gdy Gry Oda zawiązała jej oczy w Muzeum Historii Naturalnej. Gry Oda bredziła wtedy coś o jakiejś metaforze, że Nelly

też jest monarchą, „najsprawniejszym motylem wędrownym na świecie”, albo coś w tym stylu.

Przez szparę między chmurami przebiło się trochę słońca, grzejąc Nelly i pięknego motyla na jej ręce. Nelly stała nieruchomo i nie wiedziała, co robić. Jakoś nie trafiała jej do przekonania myśl, że to tylko nic nie znaczący zbieg okoliczności.

Przeciwnie.

To było znaczące.

Chmury wokół słońca rozeszły się jeszcze bardziej. Zrobiło się cieplej. Poczwała, jak się jej rozszerzają pory w skórze, która tak się nagrzała, że chciałaby ochłodzić się potem. I wtedy pod platanami na cmentarzu pojawiła się pomarańczowa chmura.

Tyle, że nie była to chmura.

To były motyle. Setki, może nawet tysiące motyli, które leciały wprost na nią. Pierwsze wylądowały na jej wyciągniętej dłoni, kolejne obsiadły całe ramię, barki, włosy i twarz, piersi, drugie ramię i pozostałą część ciała aż po czubki butów. W ciągu kilku sekund motyle zasłoniły ją całą. Te, które nie zmieściły się na niej, lądowały na ziemi wokół jej stóp. Spojrzała. Całe ciało zakryte. Motyle siedziały niesłychanie gęsto, jakby tworzyły jedną wielką kiść.

Nie bała się, czuła spokój.

Przynależeli do siebie: ona i motyle.

Minęło nieskończenie długie pół minuty, Nelly ledwo oddychała i prawie nie mogła myśleć. Rytmiczne uderzenia jej serca, pulsującego arteriami, dochodziły do odnóży motyli.

Przez krótką chwilę ona i motyle były jednym ciałem.

A potem słońce zaszło i z doliny powiała silniejsza bryza. Motyle uniosły się pomarańczową chmurą, którą rozproszył wiatr.

Nelly widziała, jak znikają między drzewami. Chwila zjednoczenia była tak krótka jak mgnienie oka. Jednak gdyby mierzyć jej znaczenie na tej samej skali, byłaby długa jak wieczność.

Poczwała się nasycona.

Pojawiły się pierwsze krople deszczu, Otworzyła torebkę i wyjęła z niej małą fiolkę, którą również kupiła w aptece. Wytrząsnęła na rękę dwie tabletki przeciw chorobie lokomocyjnej i wrzuciła do ust bez popicia.

A potem odeszła zdecydowanym krokiem.

Piętra upraw tarasowych były oddzielone murkami biegnącymi w poprzek uskoku góry. Najwyższy taras miał nie więcej niż dziesięć metrów szerokości, podczas gdy najniższy, ten nad wielką skałą nad portem, około czterdziestu metrów. Tuż obok tarasów pięł się po zboczu stary las, targany wiatrem. Ludzie uprawiali tu ziemię od czasów Azteków.

Chwilowo była ładna pogoda, co pewnie znaczyło, że wkrótce znów lunie. Zanim to nastąpi, Pia postanowiła sprawdzić stan murów na najwyższych piętrach tarasów.

Zaalarmował ją Jovo, który pokazał, gdzie są największe problemy z odwadnianiem. Woda nie spływała tak jak należy. Ziemia była ciężka, nasiąknięta wodą. Z każdym rokiem dreny na skraju tarasów stawały się coraz bardziej zapchane. Woda tylko się z nich sączyła, nawet wtedy, gdy z góry lało. Warstwa ziemi urosła i pod jej ciężarem dochodziło do pęknięcia ceramicznych rur. Ten przyrost sprawił też, że ziemia wylewała się z tarasów. W kilku miejscach na środku upraw mur zawalił się pod jej ciężarem. Jednak najgorsze było to, że zniknęły rowy melioracyjne wzdłuż boków pól. Dziś były tam w ich miejsce wypukłe ścieżki przypominające raczej wały i nie odprowadzały nadwyżki wody do opadających stromo potoków leśnych, którymi stale spływały wody deszczowe i lodowcowe.

Jovo był zdania, że jeśli nadal będzie padać jak do tej pory, trzeba będzie coś z tym zrobić. Kwestia ta była już wielokrotnie poruszana

podczas kilku ostatnich pór deszczowych, ale Ray zawsze uważał, że są ważniejsze sprawy. Przecież tarasy są tu od setek lat. Wytrzymają do końca twojego życia, mówił mu, drażniąc się z nim. Ale Jovo nie był tego taki pewien. Dlatego razem z Kallem i Órjanem już w zeszłym roku zaczęli budować podpory dla murków. Ray wyśmiewał ich, wzruszając ramionami. Jednak podpory nie przyczyniły się do lepszego odpływu wody, tłumaczył Pii Jovo. Potrzeba znacznie więcej. Powinni wykopać nowe rowy wzdłuż boków tarasów. Gdyby wszyscy się włączyli, udałoby się to zrobić w tydzień, może trochę więcej. Pia obiecała porozmawiać z Rayem, który zwykle jej słuchał.

Większość Klustret zamieszkiwała wspólnie w dużej przeszklonej cieplarni w środkowej części tarasów. Sypiali parami na żelaznych łóżkach osłoniętych dużymi moskitierami zwisającymi z sufitu. Każda para łóżek była oddzielona od reszty parawanem z łyka, który miał zapewnić trochę prywatności. W budynku znajdowała się również kuchnia i Pokój Przyjaźni, gdzie się spotykali i odbywali zebrania. Przed Pokojem Przyjaźni był kamienny taras, gdzie pod prostym zadaszeniem zбитym z desek stał stół z wiejskimi ławami. Obok cieplarni znajdowało się kilka pomniejszych szop na narzędzia i wychodek. Na tarasie piętro wyżej była jeszcze jedna, mniejsza cieplarnia. Mieszkał w niej Ray; Ursula też miała tam swoje miejsce, jeśli był to jej czas. Znajdowało się tam również laboratorium i pomieszczenie, w którym przechowywano różne partie imagoriny.

Wszystkie rośliny były uprawiane na tarasach z wyjątkiem tych, które podlegały eksperymentom. Sadzonki i młode rośliny były troskliwie pielęgnowane w dużej cieplarni, tak jak jaja, larwy, poczwarki i dorosłe motyle. Chodziło o perfekcyjne ustalenie, które rośliny są optymalnymi żywicielami. Gdy larwy wyklują się z jaj, mają trafić do najlepszej stołówki na świecie.

Omdlenie Jonasa nie miało żadnych przykrych następstw poza niewielkim zadrapaniem na czole. Wspólnie z Björnem opowiedzieli Nelly o ostatnich wydarzeniach i po kilku godzinach odpoczynku i naradzania się w hotelu postanowili odszukać „*the crazy people*”, jak ich nazwała dziewczyna z piekarni.

Pierwotny plan, by najpierw znaleźć Gry Odę, wydawał się nieaktualny, bo dzięki szczęściu i trafnemu wyczuciu wpadli prosto na to, co od początku było ich głównym celem. Björne i Jonas woleliby poczekać do jutra, ale Nelly naciskała, a oni nie chcieli wyjść na tchórze. Nelly była naładowana adrenaliną i chciała jak najszybciej rozliczyć się z tamtymi. Powiedziała, że dalej los zdecyduje.

Gdy zaczęło zmierzchać, lunął deszcz.

Po przyjeździe do portu rzeczywiście zastali tam rzekomo zaginiony kuter M/S Klustret. Wyglądał jak statek widmo. Brudny, zniszczony i na oko opuszczony. Pokład przykryty przymocowanymi niedbale i porwanymi plandekami. Bulaje czarne, wszystkie klapy pozamykane. Już rozumieli, dlaczego miejscowi nazwali ich „*the crazy people*”. To prawdziwa zagadka, w jaki sposób ten kuter zdołał pokonać Atlantyk.

Jonasowi, Nelly i Björnemu niełatwo było znaleźć ścieżkę prowadzącą z portu na górę, do tarasów. Zaczynała się koło skały, obok wielkiego drzewa iglastego. Björne, który był wysoki, musiał niemal kucać, żeby przejść pod jego gałęziami. Potem wystarczyło pokonać kilka metrów i las się skończył, a przed ich oczami ukazały się piętrzące się stromo tarasy.

Przystanęli i spojrzeli w górę. Kawałek wyżej, mniej więcej w środku zbocza, znajdowała się duża cieplarnia, zajmująca znaczną część jednego tarasu. Szyby były zaparowane, zaś wewnątrz wypełniało tajemnicze, żółtawe światło jak z lamp naftowych. Koło cieplarni stała budka z kominem, z którego powoli unosił się dym.

„*The crazy people*” umieli się przyjemnie urządzać.

Dobrze, że Jonas, Nelly i Björne mieli solidne buty, bo ścieżka wzdłuż tarasów była błotnista i śliska. Musieli iść bardzo powoli, żeby się nie przewrócić.

Zdążyli podejść kawałek, gdy na górze zadźwięczał dzwon okrętowy. Rytmicznie, złowieszczco, jak ze statku widma we mgle. Pięć podwójnych uderzeń, po których znów zapadła cisza.

Ray stał na środku Pokoju Przyjaźni i uderzał w dzwon zwisający na łańcuchu przymocowanym do belki stropowej. W pomiarze czasu w żegludze nie wybija się nigdy dziesięciu szklanek, ale członkowie Klustret mieli własne zasady i dla nich ten sygnał znaczył natychmiastowe zebranie. Ray postanowił tak wiele lat temu, w poprzednim tysiącleciu, gdy M/S Klustret zostawił za sobą Archipelag Sztokholmski.

Zasada nadal obowiązywała i już po minucie wszyscy byli na miejscu. Porozsiadali się na kanapach wokół dzwonu i w milczeniu patrzyli na Raya. Nastrój był pełen powagi.

Ray promieniał jak słońce i kolejno skinieniem głowy witał każdego, kto wchodził i siadał. Potem zabrał głos.

Było to zaledwie kilka słów, ale słów, na które od dawna czekali.

- Ukochani członkowie Klustret, *I love you so much...* - powiedział, po czym kiwnął głową w stronę portu. - Oni już tu są.

Spojrzeli po sobie, uściskali najbliższych siedzących i wyciągnęli ręce, by dosięgnąć jak najwięcej braci i sióstr. Ktoś zapłakał cicho, ktoś inny zachichotał. Jednak nikt nie krzyknął ani nie zadał żadnego pytania. Członkowie Klustret nie tracili panowania nad sobą.

Ursula zapaliła woskowe świece w dużym lichtarzu na ławie przed kanapami. Skończyła i zaszyła się w rogu kanapy, podciągnęła nogi pod siebie i poprawiła sukienkę, żeby się ładnie układała. Potem



zapraszającym gestem odwróciła dłonie do Raya. Wydawało się, że lada moment zacznie mrużyć jak zadowolony kot.

Od lat czekali na tę chwilę. Zastanawiali się, jak będzie wyglądała. Chwilami popadali w zwątpienie, czy w ogóle nastąpi.

I wreszcie nastąpiła.

Imago.

Dzieci-Imago.

Marcus siedział obok Pii na kanapie nieco z tyłu za tamtymi. Był niespokojny, jeździł rękami po kiwającej się głowie. Błagalnie spojrzał rozbieranymi oczami na Raya, który skinął głową Pii i palcami zrobił znak V. Pia sięgnęła po plastikową torebkę, wyjęła z niej dwa „znaczkę” z motylkiem i położyła na języku Marcusa, który wcześniej rozdziawił usta. Po chwili odprężył się, a ona miękko pogładziła go po plecach.

Ray otworzył duże drzwi na taras i rozłożył ramiona w powitalnym geście.

Stanęli pod wielkim drzewem rosnącym z boku i obserwowali ścianę domu, skąd było wyjście na kamienny taras osłonięty daszkiem.

Björne stał za Jonaszem i Nelly, gdy otworzyły się drzwi tarasowe. Widział łagodne światło i wysokiego, chudego mężczyznę, który wyszedł im na spotkanie. Nie wyglądało to ani trochę groźnie, raczej przeciwnie, jakby się ich spodziewali. Wręcz oczekiwali z utęsknieniem. Mężczyzna uśmiechnął się serdecznie. Björnemu wydał się piękny; z długimi, przetkanymi siwizną włosami i gęstą brodą był podobny do Jezusa.

Björne poczuł nagły impuls i strasznie go to podnieciło. Pomyśleć, że on też ma taką zdolność! Po prostu musi tego impulsu posłuchać. Tak będzie najszlachetniej. Położył ręce na ramionach Jonasa i Nelly.

- Słuchajcie - szepnął. - To jest wasza sprawa. Spokojnie się z nimi przywitajcie i dajcie mi znać, wtedy do was dołączę.

- Nie, no coś ty, tkwisz w tym razem z nami - zaproponował Jonas.

- Za chwilę spotkacie się po raz pierwszy z waszymi rodzicami. Nie chcę przeszkadzać.

- Wcale nie przeszkadzasz...

- No dobrze, ale czułbym się nie na miejscu. To szczególny moment. I tylko wasz.

Jonas spojrział na Nelly. Wzruszyła ramionami z obojętną miną.

- Jesteś pewien? - dopytywał Jonas.

- No jasne - odparł Björne. - Przejdę się i popatrzę na port, wyślesz mi SMS-a, jak będzie pora, żebym do was dołączył. Okej?

- Co ty na to, Nelly?

- Dla mnie może być - Nelly nie odrywała wzroku od mężczyzny stojącego w drzwiach.

- No dobra. To na razie - powiedział Jonas.

Björne wycofał się. Idąc w dół, szedł obok ścieżki, żeby się nie ślizgać na błocie. Uśmiechnął się do Jonasa i podniósł kciuk do góry. Jonas podniósł pięść i zamarkował żółwika.

Nelly ruszyła w stronę mężczyzny w drzwiach. Szła powoli, czujnie. Tamten stał, nie ruszył się, żeby wyjść naprzeciw. W odległości dziesięciu metrów od domu zobaczyła, że w środku na kanapach siedzi sporo osób. Mężczyzna na chwilę odwrócił się do nich, światło lamp naftowych padło na jego twarz.

Zatrzymała się. Zmrużyła oczy. Patrzyła z absolutną ostrością. Wyciągnęła rękę, zatrzymując Jonasa. Poczuł na piersi jej twardą dłoń.

- Kim jesteś? - zawołała do mężczyzny.

Znow się do nich odwrócił i wyciągnął ramiona.

- Mam na imię Ray. Witajcie w Klustret!

Cofnął się za próg i zrobił zapraszający gest. Jego twarz była teraz wyraźnie widoczna.

- Chodźcie!

Ale Nelly nie ruszała się, stała. Jeszcze nie weszli pod daszek, deszcz spływał im po kapturach. Wzmagał się z minuty na minutę.

Jonas zorientował się, że coś jest nie tak, a w każdym razie coś budzi jej silną niechęć.

- Co się dzieje? Co czujesz? Bo ja kompletnie nic. Nelly milczała. Patrzyła na mężczyznę.

- Nelly, co jest?

Skierowała wzrok na Jonasa. Przyglądała mu się uważnie. Jeszcze nigdy tak na niego nie patrzyła. A potem powiedziała cicho:

- Co za skurwysyn! A więc to tak? -Co?

Nelly odwróciła się do Jonasa i osłoniła ręką usta, żeby mężczyzna stojący w drzwiach nie mógł czytać z ruchu jej warg. Usłyszeć też nie mógł, bo uniemożliwiał to deszcz bębniący o daszek.

- Spójrz na niego. Już rozumiesz, dlaczego ten syfiasty Marcus, którego spotkałeś we wsi, powiedział tak do ciebie? Myślałeś, że bredził. Pamiętasz, jak się do ciebie zwrócił?

Jonas spojrzał na Raya. I też zobaczył.

## **DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ. STOCKSUND, PONAD ROK PRZED ODPLYNIĘCIEM.**

Ursula przyszła obudzić Marcusa już około dziewiątej rano. Zrobiła to, co zawsze. Usiadła w nogach łóżka, włożyła rękę pod kołdrę i palcem wskazującym mocno przeciągnęła po podeszwie jego stopy. Podziałało. Marcus drgnął i odruchowo podciągnął nogę. Usiadł zaspany i spojrzał dookoła.

- Dzień dobry, Marcusie, przyjechała ciężarówka z rzeczami. Potrzebuję twojej pomocy.

Ursula uśmiechała się. W porannym słońcu, które świeciło prosto na nią, jej włosy mieniły się jak złoto.

Marcus rozejrzył się po pokoju skąpanym w słońcu. W lustrze na ścianie zobaczył odbicie drzew za oknem. Akurat tego ranka pojawiła się na nich zielona poświata. Z dworu dobiegał ptasi świergot. Zdziwił się, że mógł spać w takim zgiełku.

Oczywiście Pia, jako ranny ptaszek, już była na nogach. Należała do tych, którzy uwielbiają przystępować do codziennych zadań wczesnym rankiem. Jej połowa łóżka była już posłana, podczas gdy na połowie Marcusa pościel była jak zwykle skłębiona. Prześcieradło, na którym leżał, było skręcone w kształt klepsydry.

Ursula i Marcus mieli tego dnia zamontować nowe wentylatory na Zielonym Strychu. Zamówili je w ostatniej chwili, co zirytowało Raya, który domagał się, żeby w pierwszym rzędzie szukali używa-

nego sprzętu i kupowali go przez ogłoszenia w „Gula Tidningen”<sup>42</sup>. Jednak poprzednie urządzenie klimatyzacyjne padło, bo zimą chodziło za długo na maksymalnych obrotach i nagle sprawa stała się pilna. Badania weszły w krytyczną fazę, nic nie mogło nawalić. Temperatura pod żadnym pozorem nie mogła spaść poniżej dwudziestu ośmiu stopni, a najlepiej, żeby słupek rtęci dochodził do paru kresek ponad trzydzieści. Jednocześnie należało utrzymywać stałą, wysoką wilgotność powietrza.

Ursula i Marctó spędzali na strychu po wiele godzin dziennie, zajmując się uprawami. Opiekowali się poczwarkami, troszczyli o każdą najmniejszą sadzonkę i roślinkę. Na roślinach-żywicielach musiała być zawsze spora liczba rozkwitłych kwiatów dostarczających motyłom nektar i pyłki.

Dla celów badawczych Raya najbardziej interesowały czułki i do pewnego stopnia odwłoki. Natomiast Marcus wymyślił, żeby wykorzystać resztki oskórka i starych skrzydeł motyli. Zbierał wszystkie pozostałości po poczwarkach i motylach, następnie rozdrabniał je w wielkim marmurowym móżdżerze z prażonymi płatkami, słupkami i pręcikami z kwiatów roślin-żywicieli. Po sparzeniu wrzątkiem i wysuszeniu gotową mączkę pakował do małych plastikowych torebek. Po dodaniu porcji takich „skrzydeł monarchów”, jak je nazywał, do prażonych, specjalnie preparowanych liści z tych roślin, powstawała niezwykle mocna mieszanka. *Butterfly Weed Special by Marcus Groschinsky*. Pewnego dnia ta mieszanka stanie się wręcz legendarna.

Dziś czekał ich ciężki dzień na strychu. Wielogodzinne prace ogrodnicze przy trzydziestostopniowej temperaturze były wyczerpujące, ale jeszcze trudniejsze były w tych warunkach naprawy i wymiana sprzętu. Jeśli solidnie popracuje, może uda się przekonać Ursulę, żeby po południu zapalić sobie pysznego bongę pół na pół. Część *Butterfly Weed* na część skrzydeł monarchów. Kurde, ale odlot. W Klustret tylko on jeden potrafił docenić bongi z mieszanek, tamci

42 Gula Tidningen - gazetka ogłoszeniowa ukazująca się do 2000 roku.

uważali palenie starych owadów za obrzydliwe. Marcus nie rozumiał tego; dlaczego niby miałyby to być gorsze od palenia liści? Jedne i drugie wzrosły na tym samym strychu, pod tą samą czułą opieką ogrodników. W dodatku Ray zawsze mówił, że wszelkie materiały organiczne są częścią tej samej natury i cyklu przyrodniczego. Z każdym wdechem wdychasz wydech innego stworzenia. Z każdym łykiem wody łykasz kroplę wyparowaną z innego ciała. Wszyscy są częścią jednego wielkiego ciała i wszyscy dzielą doświadczenia innych.

Wzajemne zrozumienie, współistnienie, zestrojenie. Oto podstawa Klustret.

Pia była pełna nadziei. Ray przed południem zajrzał do laboratorium i powiedział, że wieczorem robią imprezę, bo chcą coś uczcić. Klustret osiągnął częściowy cel, a ona odegrała ważną rolę w pozytywnym rozwoju ich komuny. Postanowił nagrodzić zarówno jej pracę, jaki postawę. Poglaskał ją po włosach, mówiąc, że chce się dowiedzieć o niej czegoś więcej. Nie, chce wiedzieć wszystko. Miała potem trudności ze skupieniem się.

Marcus pewnie w życiu się tak nie napocił. Dobrze mu się pracowało z Ursulą, bezbłędnie zmontowali całe urządzenie. Wentylatory znalazły się na swoim miejscu; z zadowoleniem stwierdzili, że szumią cicho jak letni wietrzyk, zamiast brzęczeć głucho, jak poprzednia maszyna.

Po południu, gdy już zakończyli instalowanie nowego sprzętu i uporali się z pracami ogrodniczymi, Ursula wyłowiła piwo z torby-lodówki, w której zazwyczaj trzymała dla nich wodę pitną.

- Masz.
- Wow, dzięki!
- Dobra robota.
- Nawzajem.
- Słyszałam, że wieczorem ma być impreza.
- Tak? Fajnie!

Otworzyli butelki, zaczepiając kapslem o kant skrzynki i usiedli koło siebie na podłodze, oparci o przewód kominowy.

Marcus podkurczył szczupłe nogi. Pociągnął z butelki i z rozkoszą przełknął piwo. Ale dobre.

Uwielbiał imprezy, bo w Klustret znaczyło to, że można sobie dogodzić. Nikt ci nie powie, że już wystarczy albo że jutro też będzie można się napić.

Dzień był udany, a wieczór zapowiada się jeszcze lepiej.

Jeszcze nie zdążył sformułować, czego pragnie i za czym najbardziej tęskni, gdy Ursula go uprzedziła.

Przesunęła się po podłodze i usiadła po turecku naprzeciw niego. Bardzo blisko. Rozsunęła mu nogi i pociągnęła go za rękę. Zabrała piwo i odstawiła na podłogę, chwyciła jego dłonie i położyła sobie na sukience, między nogami.

- Marcusie, musisz wiedzieć, że dla nas wszystkich w Klustret jesteś niezwykle cenny. Nie ma skali, na której dałoby się zmierzyć wartość twojej pracy. W dodatku jesteś wspaniałym przyjacielem. Wszyscy tak uważamy. Zwłaszcza Ray. Wiem, że on cię wręcz kocha.

- Powiedział ci to?

Ursula nachyliła się i miękko pocałowała go w policzek, jednocześnie przycisnęła jego dłoń do swojego podbrzusza. Mocno. Przez cienki materiał poczuł bujnie porośnięty wzgórek łonowy.

- Wszyscy cię tutaj kochają.

Marcus uśmiechnął się do Ursuli, która wciąż przyciskała jego rękę. Niemal się o nie ocierała. Stawił lekki opór, nie chciał być opacznie zrozumiany. Ursula była bardzo przylepna i bardzo czuła. Wobec wszystkich, zarówno dziewczyn, jak i facetów. Ale on należał do Pii, do nikogo innego.

- Ja was też kocham - odparł.

-1 wiesz co, ponieważ dziś jest impreza, to już teraz możesz nabić sobie bongę. Wieczorem będziesz mógł palić i nawet wachać, ile zechcesz.

Puściła jego rękę, Marcus poczuł odprężenie w całym ciele. Ale będzie wieczór! Dostanie dokładnie to, co lubi. - Dzięki, kochana.

Bitte, Karin i Mira przyszedły do laboratorium po Pię około trzeciej po południu. Śmiały się tajemniczo i nie chciały powiedzieć, jaki mają plan. Zabrały ją do domu. Pia weszła do Pokoju Przyjaciół i na środku zastała łóżko do masażu. Kobieta wyglądająca na Tajkę kazała jej się rozebrać i położyła ją na łóżku przykrytą ręcznikiem.

Pia uwielbiała masaż i rozkoszowała się każdą chwilą, choć nie bardzo rozumiała, dlaczego właśnie ona stała się obiektem tego zainteresowania. Po wszechstronnym masażu kobiety zabrały ją do pokoju Miry. Był to bardzo duży pokój. Mira i Jovo mieli nawet własną łazienkę. Pia zanurzyła się w cudownej kąpieli piankowej, podczas gdy dziewczyny tłoczyły się na brzegu wanny. Na zmianę namydlały ją i myły miękkimi frotowymi myjkami nakładanymi na ręce. Bitte nawet przygotowała maszynkę do golenia i delikatnie wygoliła jej pachy i podudzia.

Ciągle pytała, o co chodzi, ale nie otrzymywała sensownej odpowiedzi, mówiły tylko, że „później” albo „sama zobaczysz”.

Tym razem obowiązek przygotowania kolacji spadł na mężczyzn. A ponieważ był to pierwszy naprawdę piękny wiosenny wieczór, kolacja miała być z grilla. Schab karkowy, pieczone ziemniaki, domowej roboty sos bearneski i sałata. No i rzecz jasna mnóstwo czerwonego wina.

Marcus wystawił grill z szopy na łodzie, wyczyścił z zimowych brudów i podpalił węgiel. Z dalszych zajęć został zwolniony i mógł się oddać swojej mieszance pół na pół. Było cudownie, leżał sobie



w hamaku z maszynką do palenia własnej konstrukcji i patrzył na chmury tańczące kankana na niebie. Gdyby tak mogło być zawsze.

Do stołu zasiedli w nastroju podniecenia. Nikt nie potrafił tak świętować sukcesów naukowych jak członkowie Klustret. Ray zadzwonił o kieliszek.

- Ukochani! ZaWsze zaczynam od przedstawienia aktualnego raportu. Tym razem też nie będzie inaczej. *I must say its amazing*, jak daleko...

- Czekaj, czekaj - powiedziała Ursula. - Nie ma Marcusa. Zaczekaj, to go przyprowadzę.

- Tak, tak - odparł z westchnieniem. - Jasne, *go ahead*. Powodzenia.

Marcus nie był głodny. Nie chciał zejść z hamaka. Gdy przyszła po niego Ursula, powiedział jej, że zaraz przyjdzie, ale niech zaczynają bez niego. Poklepała go po policzku i wetknęła mu dwie torebeczki, *jednafifty/fifty*, żeby dosypał sobie do bongy i jedną z mączką z motyli na później.

Coś cudownego. Leżał w hamaku i jarał skrzydła motyli, a jednocześnie słyszał swoich najlepszych przyjaciół, jak śmieją się, siedząc przy stole w domu. Przysnął na chwilę, gdy na niebie się zmierzchało. Zasłużona drzemka po dniu ciężkiej pracy.

Ochłodziło się. Marcus dosypał motyli skrzydeł, zapalił i naciągnął na siebie koc, zanim znów przysnął. Kurde, jak dobrze. Zaraz pójdzie do tamtych, będzie jadł mięso z sosem i popijał czerwone wino. Ale najpierw się jeszcze zdrzemnie na dwie minuty.

Poczuł miękkie wargi na policzku. Ciepło. Śniło mu się, że Pia się nad nim nachyliła. Powiedziała, że go kocha. Żeby jej zaufała. Dobrze. Kiwnął głową. Oczywiście, że jej ufa.

Czuł się taki łagodny. Niezrównany.

A to dopiero początek imprezy.

Po godzinie, może dwóch obudziły go okrzyki dochodzące z domu. Zrobiło się ciemno. I zimno. Aż się trząsał. A z domu było zapraszające i ciepłe światło. Postanowił tam pójść. Ale najpierw wciągnie sobie do jednej dziurki. Do drugiej też. Do obu. Usiadł, wyjął jedną z torebeczek od Ursuli, na oparciu usypał dwie ścieżki specjalnej mączki i wciągnął paroma szybkimi wdechami. A potem skierował się do domu. Widocznie nogi mu zdrętwiały podczas snu, bo ślaniał się idąc.

W środku trwała zabawa. Były śmiechy i tańce. Z powodu podmuchów powietrza przez otwarte drzwi świeczniki były oblepione staryną kapiącą ze świec, a biel lnianego obrusa przeszła w winną czerwień. Talerze zostały na stole wśród mnóstwa butelek.

Órjan stał przy odtwarzaczu CD i co minutę zmieniał melodię, wołając:

- Kurde, to ta! Cholernie dobra!

Gdy Marcus wszedł przez drzwi, natychmiast podleciała do niego Ursula.

- Chodź, siadaj koło mnie na kanapie!

Wciąż był trochę przymulony, ospale odwrócił do niej głowę i uśmiechnął się.

- Jasne, bardzo chętnie. Już jest zabawa?

- Tak jest, bawimy się!

Usiedli na jednej ze starych skórzanych kanap. Ursula położyła mu nogi na kolana i wierzchem dłoni pogłaskała go po policzku. Marcus

pótleżał z głową na oparciu i otwartymi ustami. Nadal był zmęczony, jego oczy jakoś nie chciały się obudzić.

Po chwili Ursula zaczęła klaskać w dłonie. Rytmicznie, jedno klaśnięcie na sekundę. Ktoś się przyłączył, potem następny. Gdy Órjan się zorientował, co się dzieje, ściszył muzykę i też zaczął klaskać. W końcu wszyscy w pokoju klaskali. Nawet Marcus dołączył, choć niemrawo.

Ursula zaczęła mówić do rytmu:

- Nocny motyl, nocny motyl, nocny motyl.

Potem coraz głośniej. Tamci dołączyli i coraz mocniej klaskali.

- *NOCNY MOTYL, NOCNY MOTYL, NOCNY MOTYL!* Rozległ się radosny okrzyk i Pia przeleciała przez pokój. Marcus obudził się. Spojrzał.

Była boso. Włosy związane w dwa wysokie kucyki, które zwisały po bokach. Miała błyszczące oczy, wytuszone rzęsy i powieki umalowane ciemnymi cieniami. Powiększone, czarne jak węgiel źrenice kontrastowały ostro z białkami oczu. Była bardzo piękna. I bardzo naga. Jedyne okrycie stanowił zwiewny i przezroczysty materiał w kolorze pomarańczowym, trzymała go wysoko nad głową.

Tańczyła drobnymi, ostrożnymi krokami w takt okrzyków chóru i jego rytmicznego klaskania.

*NOCNY MOTYL, NOCNY MOTYL!*

Marcus gapił się na nią zadziwiony, chciał jej powiedzieć, że pięknie wygląda. Spróbował wstać, ale Ursula przycisnęła go nogami, przytrzymała kolanem jego pierś. Został na kanapie i poprzestał na uśmiechaniu się do Pii. A ona ani razu nie spojrzała mu w oczy.

*NOCNY MOTYL, NOCNY MOTYL!*

Dwie ręce chwyciły ją za piersi od tyłu. Był to Ray, który pojawił się ni stąd ni zowąd. Oparł podbródek na jej lewym ramieniu i całował jej szyję przez materiał.

*NOCNY MOTYL, NOCNY MOTYL!*

Ursula przyciskała Marcusa nogami, żeby siedział. Jednocześnie uśmiechnęła się.

- W porządku? - spytała.

Spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem. Potem znów na Pię i Raya, którzy tańcząc, powoli sunęli do otwartych podwójnych drzwi i dalej do holu, na wielkie schody prowadzące na piętro. Ray prowadził ją przed sobą, trzymając ręce na jej biodrach. Pia lewą ręką gładziła jego gęste loki, łaskocząc ją w kark. Drugą ręką wykonywała wysoko nad głową okrężne ruchy, jak w orientalnym tańcu. Wydawała się zachwycona tą chwilą i skierowaną na nią uwagą.

- ...porządku - odparł Marcus.

Gdy tańcząca para zniknęła za drzwiami pokoju Raya, klaskanie i okrzyki ucichły. Nocny motyl miał teraz zrobić to, co robią motyle.

Órjan nastawił piosenkę Madonny, *Vogue*, i pogłośnił maksymalnie. Smyczki wprowadziły magiczny nastrój, po czym odezwały się basy i instrumenty perkusyjne.

- Kurde, jakie to jest dobre! *Strike a pose!*

Ursula zdjęła nogi i opuściła na podłogę. Nachyliła się do ucha Marcusa i zawołała:

- Wypalimy bonga na spółę? Takiego *fifty/fifty*? Po jego twarzy przesunął się cień uśmiechu.

Godzinę później Marcus był na takim haju jak jeszcze nigdy.

W Pokoju Przyjaciół zaległa ciężka warstwa dymu. Impreza przestała być wspólną zabawą, kontynuowali ją każdy z osobna. Ci, którzy jeszcze tańczyli, byli całkowicie skupieni na sobie. Ursula zasnęła na kanapie, leżąc na brzuchu. Jej luźna sukienka podwinęła się aż na plecy. Órjan siedział na progu tarasu, patrząc pustymi oczami na cieśninę. Dawno przestał zmieniać płyty. Grała wciąż ta sama, z długimi remiksami melodii zespołu Happy Mondays.

Marcus krążył niespokojnie po domu, jakby czegoś szukał. Może swojego łóżka, a może więcej mąki. Zatrzymał się przed uchylonymi drzwiami.

W środku zobaczył duże wezłowie wielkiego łóżka. Poruszało się.

Nad łukowatym wezłowiem pojawiła się twarz Pii, skierowana do drzwi, ale z zamkniętymi oczami. Lepiąca się od potu grzywka. Otwarte usta, sapiące, jęczące. Makijaż rozmazany. Chwyciła się wezłowia, jakby się zapierała.

Za kołyszącą się głową zobaczył jej plecy i uniesioną pupę. Jej skóra lśniła od potu. Poruszała tułowiem, wyginała plecy, wypinała pupę. Spod niej wyłoniła się włochata głowa, jakby wyszła z jej podbrzusza. Ray. Wokół ust jego twarz lśniła od wilgoci. Oczy wybałuszone z pożądania. Podniósł się na kolana, chwycił swój członek w obie ręce i uderzył nim o pośladki Pii. A potem powoli wszedł w nią. Jęknęła: TAAK. Wtedy uniósł nad głowę ręce pokryte bliznami i wykonał gest zwycięstwa, by potem pochylić się i złapać jej kucyki. Pociągnął jej głowę tak, że prawie wygięła się w literę U. Pochylił się i chciał ją całować, jednocześnie wchodząc od tyłu. Jednak nie sięgał ust i musiał się zadowolić lizaniem jej policzka i ucha. Chciwie memłał, gryzł jej ucho, prawie wziął całe do ust, śmiał się i dyszał.

Pia drżała i pojękiwała. Marcus patrzył na to przez filtr silnego upojenia, jednak widział jej rozkosz i pożądanie. Aż wychodziła z siebie. Zrozumiał, że on nigdy nie potrafił dać jej podobnego przeżycia. I nigdy nie da.

W tym momencie Ray podniósł wzrok.

Spojrzał w oczy Marcusa.

Uśmiechnął się.

Przytrzymał go wzrokiem.

Jednocześnie powiedział do Pii powoli, ale głośno i wyraźnie: - *Hold on baby*, teraz wejdę jeszcze szczebelek wyżej. Marcus zamknął drzwi i poczłapał dalej.

Musi znaleźć jeszcze trochę mąki, zapomnieć, pójść dalej, walczyć, myśleć pozytywnie, być przydatny, być autentyczny.

Nikt nic nie mówił. Wstali z kanap i otoczyli Jonasa i Nelly. Dotykali ich, głaskali po policzkach, stali bardzo blisko. Jonasowi wydawało się, że wzbudzał większe zainteresowanie niż Nelly. Dotykali jego włosów, kiwali głowami i uśmiechali się do siebie.

Fragmenty układanki złożyły się w całość: portret z domku na Gotlandii, fotografia mężczyzny podobnego do niego, którą wziął za zdjęcie Marcusa Groschinskiego, jego ojca. To nie był Marcus. Jonas zdał sobie sprawę, że widzieli w nim Raya. Młodego Raya, który od przeszło ćwierć wieku był ich przywódcą. I dlatego Marcus nazwał go Rayem, gdy spotkali się we wsi. Jonas miał gonitwę myśli.

Kobieta w kombinezonie roboczym objęła go serdecznie i przytuliła siwiejący koński ogon do jego piersi. Z oczu, w których była nadzieja, ale i smutek, płynęły łzy. Jonas nie miał nic przeciwko temu, nawet się cieszył, poczuł zaciekawienie. Chciał dowiedzieć się więcej, może ona...

- *Hey!*

Natychmiast przerwali głaskanie i przytulanie. Wszyscy spojrzeli na Raya.

- *Thats enough* - powiedział. - Proszę usiąść. Zrobili, jak kazał.

Jonas zauważył, że podczas tego dziwnego powitania wychudzony mężczyzna, którego spotkał na stacji benzynowej, nie ruszył się z kanapy.

Marcus Groschinsky.

Mężczyzna, którego historię właśnie napisano od nowa.

Widać było, że źle się czuje, kiwał się w przód i w tył, jeździł swoimi chudymi rękami po bokach głowy, wydawał się bez kontaktu.

Jonas odwrócił się do Raya. W pokoju zapadła cisza. Gdyby przeleciał motyl, byłoby słychać uderzenia skrzydeł. Musiał spytać, chociaż znał odpowiedź.

- To ty jesteś moim ojcem? Czy może... Jonas pokazał na Marcusa.

Ray nie zdążył odpowiedzieć, bo Marcus wydał z siebie krzyk jak z otchłani. Krzyczał, potrząsał głową, walił nadgarstkami o brzeg kanapy. A potem zerwał się i wybiegł na deszcz. Z szalonym, urywanym skowytym wydobywającym się z krtani.

Kobieta w kolorowej sukni podniosła się, że pójść za nim, ale Ray zatrzymał ją podniesieniem ręki.

- *Let him be.* To dla niego niełatwe, musi to sobie ułożyć w głowie. Deszcz stłumił krzyk, który stopniowo cichł. Po chwili już go nie było słychać.

Nelly dziwiła się. Myślała, że spotkają się z agresją, chociaż sama nie wiedziała, skąd jej się wzięło to przeczucie. Pewnie intuicja źle jej podpowiedziała, bo wszystko wskazywało na to, że jest wręcz przeciwnie. Przyjazne, zaintrygowane twarze. Rozradowane oczy i uniesione kąciki ust.

Dziwni ludzie, pomyślała. Dziwni, szaleni sekciarze. Postanowiła zachować czujność.

Ray przeprosił za Marcusa i poprosił, żeby usiedli na krzesłach obok kanap. Miał przekonujący sposób bycia, posłuchali go.

Rozmowę prowadził w sposób uprzejmy, lecz stanowczy. Odpierał każde pytanie z ich strony, zaraz wszystko opowie, ale najpierw musi się dowiedzieć kilku rzeczy, żeby członkowie Klustret nie musieli dłużej tkwić w nieświadomości. Odkąd do nich dotarło, że dzieci są w drodze, powstała „delikatna” sytuacja.

*Dzieci są w drodze.*

To jakiś koszmar, pomyślała Nelly, przełączając podejrzliwość na najwyższy stopień. Nie są żadnymi „dziećmi”, a już na pewno nie ich. Jej rodzice nazywają się Caroline i Jacob, mieszkają na Karlavagen. Rodzice Jonasa to Marie i Mats, zamieszkali na północnym przedmieściu Sztokholmu. Ona i Jonas nie mają z tymi ludźmi nic wspólnego. Przyszła tu wyłącznie po to, aby się wreszcie dowiedzieć, a potem zapomnieć. Lepiej się poczuła, gdy znów zaczęła logicznie rozumować.

Jonas był według niej aż nazbyt miły i otwarty. Usłyszała, że opowiada, gdzie zostali znaleźni jako niemowlęta. Ray chciał znać wszystkie szczegóły. Gorączkowo wypytywał, w jakim byli stanie, czy im wiadomo, jak się zmieniły siedliska motyli, w których zostali znaleźni, czy interesują się owadami albo czy mają jakiś szczególny stosunek do motyli. Pytania padały tak gęsto, że Jonas nie nadążał odpowiadać, a Ray już strzelał kolejnym:

- Od jak dawna czujecie, że macie szczególną zdolność... Nelly przerwała mu.

- Może byś się tak zamknął, co?

Ray zaniemówił. Po raz pierwszy odkąd tu przyszli był zaskoczony. Zerknął niepewnie w stronę kanap.

Członkowie Klustret unikali jego wzroku. Nie patrzyli też na Nelly i Jonasa, wpatrywali się w podłogę albo przed siebie.

Nelly odwróciła się do nich.

- Może mi ktoś wyjaśnić, co się, kurwa, wtedy stało? Dlaczego nas wyrzuciliście do lasu? W dodatku nie tylko nas. Co wyście, kurwa, wyprawiali?

Żadnej odpowiedzi. Milczenie.

- Odpowiedzcie wreszcie!

Minęło kilka sekund, drobna kobieta w kolorowej sukience wstała i ruszyła w stronę Nelly z wyciągniętymi ramionami, z lekko przekrzywioną głową. Całym ciałem wyrażała pragnienie uścisku, który przyniesie wybaczenie.



A wtedy Ray krzyknął:

- *No, Ursula! No fucking bonding!*"Wiecie, co wam mówiłem. Żadnego przywiązywania się. Bo wszystko zepsujecie. Örjan, *do it!*

Jeden z mężczyzn siedzących na kanapie sięgnął do tyłu i pociągnął za sznur.

Nelly rzuciła się w stronę Jonasa, żeby pociągnąć go do ucieczki. Nie zdążyła. Spadła na nich ciężka jak ołów stara sieć rybacka.

Ludzie z Klustret rzucili się, zaplątali ich w sieć, ścisnęli im ręce i nogi, a potem skjeili taśmą jak paczki. Nelly i Jonas próbowali się bronić, krzycząc i kopiąc, ale nie mieli szans. Örjan psiknął im w twarz z butelki po aerozolu do kwiatów. Zaszczypało w oczy i w nos, odurzyło, obezwładniło.

Wszystko puściło.

Wrzucili ich, bezwładnych i bezwolnych, na dwukołowe taczki ogrodowe i wywieźli w ciemną noc, na deszcz.

**W**

Björne był bardzo zadowolony ze swojej decyzji. Poczł się wielkoduszny. Nelly na pewno doceni, że zostawił ich samych z biologicznymi rodzicami. Ile będą potrzebowali czasu? Parę godzin powinno wystarczyć.

Usiadł na schodach pod daszkiem chybotliwej budki przy jednym z nabrzeży w porcie. Trzymał w ręce telefon, który milczał. Czekał aż Jonas zadzwoni albo przyśle SMS-a.

Adoptowane dzieci. Widocznie są skazane na to, żeby się dowiedzieć wszystkiego o swoim pochodzeniu, swoim biologicznym dziedzictwie. A jego to prawie w ogóle nie obchodziło. Jego geny to jego geny, nieważne, skąd się wzięły. I tak nie mógłby ich wymienić na inne. Na przykład brzuch. Sam o nim decydował. Postanowił zrzucić kilka kilo i świetnie mu poszło. Jego spirala DNA nie miała tu nic do rzeczy. Ojciec i dziadek byli w jego wieku znacznie tężsi. Co dowodzi, że środowisko jest ważniejsze od dziedzicznych skłonności, pomyślał.

Poklepał się po brzuchu. Jeśli waga w jego pokoju mówi prawdę, to od nocy świętojańskiej jest o sześć kilo lżejszy. W dodatku stało się to dość bezboleśnie. Nawet mógł się opychać. Poskutkowało chyba to, że pragnienie gasił wodą zamiast gazowanymi napojami. Po powrocie do domu będzie to kontynuował. Żeby mieć jakiegokolwiek szanse u Nelly, musi wyprzystojnieć i nabrać mięśni. Prawda, że dziewczyna jest płytka, ale chyba każdy ma prawo do jakichś ideałów estetycznych? On sam uważał, że Nelly jest prawie idealna. Czysta magia, od rana do nocy.

Wypił łyk z butelki i podstawił ją pod rynnę odprowadzającą wodę z dachu budki. Spojrzał na swój milczący telefon i włączył wyświetlacz, może coś przeoczył. Jednak nie.

Ale co, do diabła? Ani jednej kreseczki. Nie ma zasięgu. Czyżby w tej zapomnianej przez Boga i ludzi części Meksyku zasięg był tylko w centrum wsi? *Shit.*

Jonas i Nelly zostali wrzuceni do jakiejś szopy. Kiedy oprzytomnieli, okazało się, że są przyklejeni do siebie taśmą, twarz do twarzy, nos w nos. Słyszeli, jak ktoś rygluje drzwi i dzwoni łańcuchem. W szopie pachniało starym kotłem centralnego ogrzewania i było gorąco jak w łaźni.

Patrzyli sobie w oczy i czytali w nich przekleństwa. Dlaczego tego nie przewidzieli? Co za idioci. Co oni sobie właściwie wyobrażali?

Jednocześnie czuli, że będzie gorzej. Trzeba działać i to już.

Zaczęli szarpać się, kręcąc rękami i nogami. Wkrótce taśma puściła, była za luźna, a może kiepskiego gatunku. Kilka minut później wyplątali się z sieci.

W szopie było ciemno. Macali wzdłuż ścian, wyglądało na to, że nie ma okien. Za to było mnóstwo rupieci. Przedzierając się przez nie, ciągle się o coś potykali.

- Halo! - krzyknął Jonas przykładając usta do ściany. - Wypuście nas!

Nie cierpiał zamknięcia. Walił w ściany ile sił, ale były z tak grubych bali, że tłumiły wszelkie dźwięki. Szopa była jak hermetyczny, drewniany bunkier.

- Szkoda zachodu, oszczędzaj siły - spokojnie powiedziała Nelly. - Sami z siebie nas nie wypuszczą.

Sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do Bjórnegu. Niech coś zrobi, ściągnie policję, cokolwiek. Jednak była poza siecią.

- Niech to szlag! Osunęła się na podłogę. - Co jest?

- Chciałam zadzwonić do Bjórnegu, ale jesteśmy poza zasięgiem. Jasny gwint.

Jonas usiadł koło niej. Zmusił się do długich, głębokich wdechów, żeby się uspokoić.

- Kurde, o co tu chodzi? - odezwała się. - Tu jest chyba ze sześćdziesiąt stopni ciepła. Musimy się stąd wydostać.

Nelly włączyła latarkę w komórce i poświeciła dookoła. Zobaczyła jakieś stare maszyny, łańcuchy, połamane meble i inne rupiecie. Zrozumieli, dlaczego było tak gorąco.

W mniej zastawionym kącie szopy stał bardzo duży agregat. Wyglądał na chałupniczą konstrukcję, był nieforemny i groteskowy, jak z *Mad Maxa*. I był rozpalony do czerwoności.

Nelly podeszła i poświeciła. Żadnego wyłącznika. Widocznie był włączany z zewnątrz. Rozejrzała się za zasilaniem, żeby je przerwać. Jednak agregat był zbyt gorący, żeby się odważyła podejść naprawdę blisko. Zobaczyła, że z tyłu rozpalonego żelastwa wychodzi przez ścianę pomarszczony kabel, ale nie dałaby rady dostać się do niego, nie narażając się na śmiertelne poparzenie.

Odwróciła się i poświeciła na Jonasa. Pot spływał mu z twarzy. Wyglądał na wystraszonego.

Nelly zdarła z siebie kurtkę przeciwdeszczową, której przedtem, u ludzi z Klustret, nawet nie zdążyła zdjąć, bo wszystko potoczyło się w szalonym tempie. Jonas też zdjął kurtkę.

- Temperatura rośnie, trzeba się położyć - powiedziała. Położyli się na podłodze przy drzwiach i próbowali złapać choćby podmuch z zewnątrz. Na dworze panowała absolutna cisza, deszcz ustał.

- Jak myślisz, co oni robią? Nic nie słyszę - powiedział Jonas.

- Pojęcia nie mam. Bądźmy cicho, to może coś usłyszymy.

- Mhm...

Przez chwilę leżeli na progu nos w nos i wdychali tę odrobinę świeżego powietrza, która wpadała przez szparę pod drzwiami.

Zabrzmiało to jak mysz, która złapała się w pułapkę. Ni to cichy pisk, ni to lekki zgrzyt.

Jonas położył rękę na ramieniu Nelly. Spojrzał jej w oczy. Kiwnęła głową i poświeciła komórką na rupiecie, skąd - jak jej się wydawało - pochodził pisk.

Popatrzyła na Jonasa. Już wiedzieli. Nelly pierwsza się odezwała.

- Kurde, aż nie wierzę.

Jonas pomknął tam na czworaka, Nelly za nim.

- Gdzie pani jest? - odezwał się Jonas. - Słyszemy panią, ale gdzie pani jest?

Pod starym żelaznym łóżkiem coś leżało przykryte wytyłanym prześcieradłem.

Nelly szarpnęła prześcieradło. Poświeciła.

Na podłodze leżała stara kobieta. Jej wargi były spierzchnięte jak zużyta opona od roweru. Policzki i oczy zapadnięte. Rzadkie włosy okalające głowę wyglądały jak pajęczyna. Miała na sobie jedynie cienką koszulkę i majtki. Jej skóra była sucha, obwisła.

Była to Gry Oda.

Czy raczej dawniej była to Gry Oda.

Powoli odwróciła do nich głowę, ale w ciemności wzrok nie znalazł oparcia. Wyglądała jak wydmuszka.

- To wy?

Była kompletnie wyczerpana, w jej głosie nie było już dawnej, pogodnej melodii.

- Tak, to ja i Nelly - odparł Jonas.

- A więc trafiliście tutaj.

- Jak się pani czuje? Dawno pani tu leży?

- Ja... Nie wierzę

- Jak się pani tu znalazła? - spytała Nelly. Gry Oda spojrzała na nią.

- Chciałam się dowiedzieć, czy to on... wyniósł dzieci do lasu... Ray... Pomyślałam, że może być tu, u monarchów. Chciałam się upewnić. Moja hipoteza...

Głos jej zamarł.

- Ale... Co on pani zrobił? - spytał Jonas.

- Powiedziałałam mu, że za daleko to zaszło - szepnęła. - Że to się musi skończyć. Próbowałam z nim rozmawiać. Ale on... powiedział, że to ja się kończę. Że już swoje zrobiłam.

- Czy jest pani ranna? - spytała Nelly.

Bez odpowiedzi. Umiera? Jonas poszukał jej tętna na przegubie. Kiwnął głową do Nelly.

- I po co ona tu przyjeżdżała? - westchnął. - Czuję się, jakbym ją zwabił tutaj naszą historią. Osiemdziesięcioletnie panie powinny spokojnie siedzieć w domu. Dlaczego ona nic nie powiedziała...

- Przesuńmy ją do drzwi - zaproponowała Nelly. - Tam jest trochę chłodniej.

Ostrożnie przeturlali Gry Odę na brudne prześcieradło i pociągnęli po podłodze. Łatwo im poszło, niewiele ważyła.

Położyli ją przy samej szparze pod drzwiami i żeby była przytomna, klepali po policzkach i rozmawiali z nią. Jednak małeńka Gry Oda już nie miała siły odpowiadać na pytania, tępym wzrokiem patrzyła przed siebie. Nawet nie miała siły zamknąć oczu.

Czas płynął. Nie robiło się mniej gorąco, wprost przeciwnie -od momentu, gdy ich zamknięto, było jeszcze gorzej. Tak około stu stopni.

Wkrótce Nelly i Jonas również leżeli w samej bieliźnie, sapiąc i wypocając wodę z ciała przez maksymalnie rozszerzone pory.

Czekali na jakąś szansę, żeby się stąd wydostać. Jakiś pomysł albo cud. Cokolwiek.

Minęła godzina, może więcej.

Podchodząc ścieżką koło tarasów, Björne poczuł ulgę, że przestało padać. Już nie było tak ślisko jak przedtem. Był już blisko cieplarni, gdy ogarnęło go złe przeczucie. Zobaczył ludzi, którzy biegali w tę i z powrotem przez drzwi, ciągnęli beczki i węże do szopy obok, z której leciał dym. Krzyczeli i wydawali się podnieceni. Nie widział ani Nelly, ani Jonasa. Podszedł bliżej.

- Halo - odezwał się głośno do człowieka, który chyba kierował pozostałymi.

Był to wysoki, długowłosy i brodaty mężczyzna, którego widział wcześniej. Tamten odwrócił się do Björnego. W pierwszej chwili był zaskoczony, ale szybko się pozbierał i ruszył w jego kierunku z wyciągniętą prawą ręką.

- Witam serdecznie! Bardzo tutaj deszczowo. Lubisz deszcz? *I love it.* Wzmacnia odczucia zmysłowe. Pory w mojej skórze uwielbiają deszcz. W czym mogę ci pomóc?

Björne odsunął kaptur kurtki przeciwdeszczowej i odruchowo podał mu rękę.

- Cześć, widziałeś moich przy...

Lewy sierpowy jak błyskawica. Zaciśnięta pięść poleciała prosto w oko Björnego. Twarde jak granit knykcie rozwały mu łuk brwiowy. Björne szarpnął głową do tyłu, robiąc unik przed następnym atakiem. Wtedy dostał kopniaka zabłoconym butem. Podkuty czubek

trafił go prosto w splot słoneczny. Zupełnie go zatkało, zgiął się w pół. Zaciśnięte i twarde pięści waliły jak młot w jego potylicę. Potem nastąpiło kilka mniej celnych uderzeń, gdy padając twarzą do ziemi Bjórne znalazł się poza ich zasięgiem. Leżącego walił w głowę, desperacko, jakby rozłupywał niepoddający się kawałek drewna. Z potworną siłą.

Bjornemu zrobiło się czarno przed oczami.

Kroki na dachu. Jonas i Nelly oprzytomnieli. Nad ich głowami chodzi po dachu jakiś człowiek, może kilka osób. Dobiegły ich podniecone głosy.

- Możesz mi rzucić lejki? - zawołał ktoś.

- Zaraz - odpowiedział głos spod drzwi.

- Bańki są już gotowe? - spytał głos z dachu.

- Yes, masz tu pierwszą. Hak już jest, wystarczy przeciągnąć sznur przez kółko i da się łatwo wciągnąć. Wciągamy po jednej.

- Halo, co wy robicie! - krzyknął Jonas. Nie dostał odpowiedzi.

Usłyszał natomiast, jak ktoś woła:

- Ray, możesz przyjść? Oni tam gadają. Krzątania na dachu trwała nieprzerwanie.

Wysoko w drzwiach otworzyła się klapka nie większa niż kartka A4 w poziomie. Nelly i Jonas zerwali się na nogi, żeby złapać oddech świeżego powietrza. W otworze była przyśrubowana od środka zardzewiała kratka. Wystawili przy niej nosy, starając się jednocześnie zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz.

Nie zdążyli się zorientować.

W okienku nagle pojawiła się twarz Raya, który trzymał przed sobą lampę naftową. Miał złą, zaciętą minę, przekrwione białka,

wielkie czarne źrenice wyglądały, jakby chciały wyskoczyć z gałek ocznych. Z kącika ust ściekała po brodzie strużka śliny.

- Co wy wyprawiacie! - krzyknął Jonas. - Macie nas natychmiast wypuścić! Gry Oda, którą tu zamknęliście - ona się źle czuje, potrzebuje lekarza.

Na twarzy Raya zaszła zmiana. Roześmiał się. Zaczęło się jak chichot, który szybko przeszedł w głośny, perlisty śmiech, jakby Jonas powiedział coś niezwykle zabawnego. Po chwili aż ryczał ze śmiechu.

Nagle zamilkł.

Zbliżył twarz do kraty i przez zaciśnięte zęby syknął:

- Przeżyje. Or *maybe not*.

Jego bezwzględność rozwścieczyła Nelly. Złapała za kratę, usiłując ją wyrwać, ale kratka ani drgnęła.

- Ty bydlaku! - krzyknęła. - Masz nas wypuścić! Natychmiast, rozumiesz? Ty skurwysynu!

Była rozjuszona. Walila i kopała w drzwi, próbowała nawet przez kratę trafić go palcami w oczy. Opluła mu twarz.

- Otwieraj, kurwa!

Ray cofnął się o kilka centymetrów. Twarz mu zastygła. Miał wytrzeszczone oczy. W odpowiedzi na bezskuteczny atak Nelly, mocno walnął pięściami w drzwi. Przysunął się do okienka i nie zwracając uwagi na jej próby dosięgnięcia go, przytknął usta i krzyknął, pryskając śliną:

- *Shut thefuck up!* Wyjdziecie stąd. Ale najpierw podamy wam imagorinę. Według skończonej, perfekcyjnej formuły. Będziecie chcieli szukać prawdy. Jeszcze nam za to dziękujecie! Pewnego dnia dziękujecie nam. Mnie. Jesteście dorośli, doskonali!

Zamknął okienko.

- Zaczekaj! - krzyknął Jonas. - Otwórz! Proszę cię. Muszę się czegoś dowiedzieć.

Po chwili okienko znów się otworzyło. Wytrzeszczone oczy Raya.

- *What?* Co chcesz wiedzieć?



Jonas miał galopadę myśli. Tyle było tych pytań, ale przez cały czas wracało najważniejsze.

- Proszę, tylko jedno. Posłuchaj mnie, muszę wiedzieć. Dlaczego zostawiliście nas w lesie?

Ray podniósł lampę i poświecił na nich. Miał minę, jakby się zastanawiał, czy prychnięcie to dla nich dostateczny zaszczyt. Przełknął i odetchnął głęboko.

- Jeszcze nie zrozumiałeś? Myślę, że gdybyś się zastanowił, znalazłbyś odpowiedź okej. *Here's the short version*. Podczas linienia motyl wydziela mnóstwo imagoriny, która jest kluczem do intuicyjnego rozumienia i przewidywania. To cecha nieskończenie bardziej wartościowa niż wysokie IQ. Niemierzalna, niepojęta. Tę substancję wprowadziliśmy do waszego systemu krwionośnego w dniu, gdy daliśmy wam życie motyla w starannie wybranych siedliskach. Imagorina weszła do waszego ciała przez otwarte ranki, stała się częścią was i nawet częścią waszego genomu. Tatuaz stał się służą, przez którą została uwolniona tkwiąca w was moc. Zostaliście naznaczeni walką o przetrwanie, aż do najmniejszego atomu waszego ciała. Bez tej walki bylibyście *anybody*. Teraz dodamy wam jeszcze trochę, żeby dodatkowo wzmocnić wasze zachowanie i DNA. Dodając zsyntetyzowaną imagorinę od magicznych monarchów...

Tu zrobił pauzę i lekko podniósł głos.

- Gdy monarchy przechodzą w stadium imago, niosą w sobie najpotężniejszą formułę, jaką kiedykolwiek widziano. Zaoszczędziliśmy tysiące lat ewolucji! To dar większy od życia! Staliście się fantastyczni. Jesteście... *absolute butterfly*. Pierwszą super generacją ludzi. Mogę tylko pogratulować tobie i twojej siostrze.

Co on powiedział, pomyślał Jonas. Wróc, wróc.

- Mojej siostrze? Co chcesz przez to powiedzieć?

Jonas spojrział na Nelly, na jej twarz w odległości paru centymetrów od niego. Wyglądała, jakby chciała zwymiotować, aż się gotowała z obrzydzenia.

Ray znów się roześmiał. Podniósł brudny palec wskazujący i pokazał na Nelly. Prowokacyjnie przesunął nim po kracie.

- Tak, ta złoźnica. Yes, jestem ojcem was wszystkich. *Every little* dziecka-motyłka. Macie moją spiralę DNA. Mnie nie będzie -a ona zostanie. Was nie będzie - a ona zostanie. Jeszcze silniejsza! Moje geny *-forever. Can you feel it?*

Z trzaskiem zamknął okienko. Wciąż się śmiał. Potem usłyszeli, jak zawołał:

- *They're gonna change the world! Those kids are fucking gonna change the world! Yeah!*

Rozległy się oklaski i radosne okrzyki.

Nelly i Jonas opadli na ziemię obok Gry Ody. Oddychali gwałtownie, kompletnie wykończeni wskutek wysiłku i odwodnienia. Ich skóra wciąż parowała, odprowadzając z ciała pot i sól.

Spojrzeli po sobie.

Brat i siostra.

A więc byli rodzeństwem, w każdym razie przyrodnim. Oboje wiedzieli, że to prawda.

Z dachu dochodziły odgłosy, jakby ktoś walił w metalowe rury. Dźwięki rozchodziły się po całej szopie. Nelly poświeciła na sufit.

Zobaczyli rury. Wzdłuż belek nośnych i między nimi biegło mnóstwo pordzewiałych perforowanych rur. Jeden wielki zraszacz.

Gdy z dziurek trysnął płyn, w pierwszej chwili wpadli w panikę, jakby ludzie z Klustret pompowali trujący gaz. Przytulili się do ścian i próbowali osłaniać Gry Odę, spychając ją pod siebie. Jednak gdy pierwsze krople spadły na ich nagie ciała, okazało się, że nie parzą. Przeciwnie, były jak wyzwolenie. Płyn był chłodny. Spadł na nich upragniony prysznic. Szeroko otwarte pory łapczywie piły imagorinę. Po chwili wpuścili go również do ust. Lekko oleisty płyn miał

smak urnami i aluminium. Ani smaczny, ani obrzydliwy. Nie mogli się bronić przed połykaniem go, bo potrzebowali płynu jak niczego innego. Chcieli tylko przeżyć. Wkrótce chciwie go pochłaniali, otwierając szeroko usta.

Ursula przykucnęła obok Björnego, żeby zdjąć mu z głowy worek i odkleić taśmę z ust, jednocześnie pokazała mu, żeby milczał.

Björne już jakiś czas temu odzyskał przytomność. Słyszał hałasy i podniesione głosy. Nie rozumiał, co się dzieje, ale domyślił się, że w tej sytuacji najlepsze, co może zrobić, to siedzieć cicho. A najlepiej udawać martwego.

To była ta sama podstarzała hipiska, którą widział w piekarni. Wtedy wyglądała, jakby była na hajku. Teraz też. Próbował nawiązać z nią kontakt wzrokowy, ale miała rozbiegane oczy.

Przecięła mu plastikowe opaski zaciskowe na przegubach i kostkach nóg. Kiwnęła głową w stronę cieplarni i szopy, a potem wysyczała:

- Twoi przyjaciele są już imago. Trafili z powrotem do nas. Do swego miejsca pochodzenia. Zrealizowali swoją wędrówkę monarchów. Ich DNA jest doskonałe. Oni są fantastyczni. Mieliśmy rację. Ray miał rację.

Björne gapił się na nią, nic z tego nie rozumiał. Otworzyła jego prawą dłoń i położyła na niej klucz.

- Kim ty jesteś? - spytał.

- Jestem matką dziewczyny. Mam na imię Ursula.

A potem pobiegła, zeskoczyła na niższy taras i zniknęła.

Jonas spojrział na Gry Odę. Była pomarszczona jak po długiej kąpieli w gorącej wodzie. Ale dostrzegł ożywienie w oczach patrzą-

cych na niego i na Nelly. Udzielił mu się jej spokój. Dadzą radę. Przeżyją.

Kilka minut później zraszanie ustało. Ostatnie krople imagoriny padły na ich nasyconą skórę. Agregat wyłączył się. Zapadła cisza. Nieznośny gorąc zelżał, przechodząc w znośne ciepło. Pory w skórze zamknęły się.

Czekali na jakiś impuls. Cokolwiek.

- Jonas? - Co?

- Domyślasz się, co muszę zrobić? -Nie.

Przez chwilę milczała, nie popędzał jej. I tak wiedział, co ona powie.

- Zabiję ich. Zniszczę doszczętnie tę cholerną sektę, choćby to miało być ostatnie, co zrobię w życiu. My żyjemy, ale pomyśl, mieliśmy rodzeństwo, które oni być może zabili albo wpędzili w szaleństwo. Pomyśl, nasza siostra... Twoja i moja... Ta dziewczyna, która się rzuciła pod pociąg...

- Mhm - mruknął Jonas. - Straszne. Ale może zacznijmy od tego, żeby się stąd wydostać. Chciałbym, żeby stanęli przed sądem. Moglibyśmy wtedy...

- Ty chyba żartujesz! - przerwała mu Nelly.

- Nie, no przecież...

- Przestań, wiem, co masz na myśli. Nie ma szans. Oni muszą umrzeć, rozumiesz!

Nie zdążyli powiedzieć nic więcej. Zgrzytnęła kłódka na drzwiach.

- No to już!

Nelly rzuciła się na drzwi, które otworzyły się na oścież. Wpadła prosto na Bjórniego.

Jego twarz wyglądała jak diabelski gulasz, cała czerwona od lepkiej i brudnej krwi. Nelly padła mu w ramiona, a wtedy pojawił się na niej szeroki uśmiech.

Gry Oda dostała resztkę wody Björnego. Przytknął jej butelkę do ust, Gry Oda piła ostrożnie, właściwie chleptała, nie roniąc ani kropelki.

- Co oni pani zrobili, kochana? Tyle o pani słyszałem. Mam na imię Björne. Jestem starym kumplem Jonasa - przedstawił się jej, podtrzymując wielką dłońią jej kark.

Zsynchronizowali się, opowiedzieli sobie, co się dotąd wydarzyło. Nelly chciała od razu ruszać w drogę. Jonasowi i Björnemu udało się ją przekonać, że Oda musi mieć jeszcze chwilę, żeby nabrać siły. Björne był zdania, że powinni obmyślić jakiś plan, zamiast lecieć na łeb na szyję.

Jonas i Nelly zebrali swoje ubrania. Jonas, przed włożeniem koszulki, wytarł z twarzy Björnego zaschniętą krew. Łuk brwiowy już przestał krwawić.

Wraz ze świtem powrócił deszcz. Z rodzaju tych, które mogą padać całymi godzinami, bez przerwy.

Uzgodnili, że Björne zanieś Gry Odę do hotelu, spróbuje ściągnąć lekarza i zorganizować pogotowie lotnicze. Jonas i Nelly mieli zejść do portu, żeby zobaczyć, czy ludzie z Klustret są na statku i dowiedzieć się, co zamierzają. Czy chcą wyruszyć w dalszą drogę na tym wraku?

Wydawało się, że Björnemu udało się nawiązać nić porozumienia z Gry Odą. W każdym razie patrzyła mu w oczy i chyba się nawet uśmiechała.

- Dasz radę sam? - spytał Jonas.

- Jasne że tak, przecież ona nic nie waży.

Jonas podniósł Gry Odę i zawiesił mu na plecach. Owinał ją własną kurtką przeciwdeszczową jak kocem, a rękawy zawiązał Björnemu na piersi. Potem głośno i powoli powiedział:

- Niech pani spróbuje trzymać się rękami za jego podbródek. Będzie dobrze.

- Będzie dobrze - monotonnym głosem powtórzyła Gry Oda.

- Okej - odparł Jonas, klepiąc ją po policzku.

Nelly tymczasem chodziła po szopie, szukając czegoś, co można byłoby użyć jako broni. Nic nie wskazywało, żeby spadł jej poziom adrenaliny.

Jonas spojrzął na tarasy w dole. Wydawało się, że panuje tam spokój. Zwodniczy. Między brwiami Jonasa pojawiła się zmarszczka i bardzo silne przeczucie.

- Teraz.

- Co teraz? - spytał Björne.

- Ruszaj. Już. Biegnij aż do Santa Flora. Zabierajcie się stąd. W tej chwili.

Björne widział, że Jonas mówi bardzo serio. Chciał nawiązać kontakt wzrokowy z Nelly, ale ta była całkowicie pochłonięta odrywaniem masywnej, toczonej nogi od starego stołu. Odwróciła stół do góry nogami i po kopnięciu udało jej się.

- Pa, Nelly. Wracajcie szybko do hotelu. Tam się zobaczymy. Nelly wyprostowała się i spojrzała w sposób, którego nie umiał zinterpretować. A potem syknęła:

- Pośpieszcie się. Już was tu nie ma!

Björne wyszedł z szopy do ścieżki. Pochylił się mocno, żeby Gry Odzie łatwiej było utrzymać się na jego plecach. Po chwili znikli w zaroślach.

Deszcz nasilił się, rozpryskując błoto.

Weszli do cieplarni uzbrojeni w ciężkie nogi stołowe. Próbowali uzgodnić jakiś plan działania, ale do niczego nie doszli. Postanowili zaufać intuicji i coraz silniejszemu wrażeniu, że jedno wie, co czuje drugie.

Cieplarnia była pusta. Ani w Pokoju Przyjaciół, ani w pomieszczeniach sypialnych nie było śladu po mieszkańcach Klustret. Zastali kilka pustych, szeroko pootwieranych szaf. Widocznie zabrali swój dobytek.

- Chodźmy do portu - powiedział Jonas.

- Zaczekaj.

Nelly poszła w głąb cieplarni. Nad skrzynkami do roślin znajdowało się mnóstwo poziomych drążków porozmieszczanych jeden nad drugim w odległości około dziesięciu centymetrów. Przyczepiły się do nich setki poczwerek w oczekiwaniu na linienie. Kilka motyli, które zdążyły się już wykluć, siedziało z rozłożonymi skrzydłami, czekając, aż wyschną. Na skrzynkach leżały stare zasuszone oskórki, cieńsze od bibułki. W dachu znajdowały się nieduże okienka, przez które mogły wylatywać i wlatywać dorosłe motyle, imago.

Nelly poszła jeszcze dalej. Pod łóżkiem znalazła w połowie pełny kanister. Otworzyła, powąchała i kiwnęła głową. Wysunęła szuflady starej komody i wyrzuciła zawartość na podłogę. Kopnięciami przewracała wysypane rupiecie, aż znalazła, czego szukała: zapaliki. Była zadowolona, czuła, że znajdzie wszystko, czego potrzeba do sporządzenia koktajlu Mołotowa. Nareszcie znów zaczęła działać. Ten stary kuter wkrótce spali się w piekle.

Szła dalej, tak jak jej wskazywała wewnętrzna wyszukiwarka.

W najdalszym kącie stała metrowa skrzynia na drzewo, zbita z nie-heblowanych desek. Uwagę Nelly przyciągnęła duża dziura po sęku znajdująca się na jednej ścianie.

Odstawiła kanister, podeszła i, nachyliwszy się, spojrzała przez dziurkę. Wyprostowała się, cofnęła o krok i mocno kopnęła w skrzynię.

W środku coś się poruszyło.

- Zdaje się, że są tu szczury - powiedziała głośno. - Pogonimy je? Wieko skrzyni otworzyło się.

Wychynęła z niej krostowata czaszka z rosnącymi po bokach długimi kudłami. Brudna, bezzębna twarz. Wystraszone oczy. Przerywane skomlenie.

- Marcus... - odezwał się Jonas.

Marcus spojrział na Jonasa, który stał za Nelly. Skomlenie ustało; łapiąc oddech mężczyzna starał się mówić wyraźnie. Ledwo to wychodziło, ale jednak.

- Jonas... Jesteś mój. Ale nie mój. Jesteś Raya. Ty jesteś Ray.
- Zamknij się - odezwała się Nelly, unosząc nogę od stołu, jak miecz.
- Co za obrzydliwiec.

Marcus powoli przełożył nogę, żeby wygramolić się ze skrzyni. W ręce trzymał młot. Znalazłszy się na podłodze chwycił go w obie ręce i ruszył na Nelly. Chybił. Chciał powtórzyć atak, ale był zbyt niezdarny i powolny.

Spojrzała na niego z obrzydzeniem i w odpowiedzi uderzyła go w piszczel nogą od stołu. Wystarczyło jedno celne uderzenie. Padł na ziemię jak wyżęta szmata.

- Auaaaa....
  - Ty poczwaro, zabiję cię! - wrzasnęła Nelly i zamierzyła się na niego jeszcze raz.
  - Nie! - krzyknął Jonas. - Przestań! Zawahała się i ze złością odkrzyknęła:
  - Nie wtrącaj się! Daj mi spokój. Zrobię, co zechcę, rozumiesz! Ten krótki moment wystarczył, by Marcus zerwał się na równe nogi i zabierając młot, szybko pokuśtykał na dwór.
  - Niech sobie idzie. Chodzi nam o Raya, jego trzeba dorwać
- powiedział Jonas.

- Owszem, wiem. Ale tamte ścierwa też nie są całkiem niewinne.  
Wyszli z cieplarni i ruszyli na ścieżkę wzdłuż tarasów. Marcusa nie było widać. Lejący deszcz tłumił poranny brzask.

Zmysły mieli napięte jak struny. Od chwili wyjścia z szopy wszystkie bodźce odbierali jeszcze intensywniej, jakby były to szумы, przechodzące chwilami w jazgot; który odczuwali również skórą i mięśniami. Taki natłok sygnałów docierał do ich mózgów, że znosiły się nawzajem.

- Musieli iść ostrożnie, bo ścieżka zamieniła się w strumień błota.
- Jonas... - odezwała się Nelly. -Co?
  - Słyszysz?



Jonas przystanął i nasłuchiwał. Tak, on też usłyszał. Głuche uderzenia.

- Cholera jasna, trzeba stąd uciekać - powiedziała.

- Niedobrze. Natychmiast! Rozejrzała się.

- Tam!

Pokazała nagą skałkę, która wystawała między drzewami rosnącymi na zboczu przy tarasach. Rzuciła nogę od stołu i kanister i pobiegła między drzewa w stronę skałki. Jonas za nią, musieli się przedzierać przez zarośla, żeby iść dalej, do góry. Było to trudne, sprawiało ból, w dodatku wciąż byli osłabieni. Wydawało im się, że trwa to całe godziny.

Głuche uderzenia nie milkły. Chwilami następowały krótkie przerwy, ale nawet one wydawały się częścią nieubłaganego rytmu.

Dotarli do skałki podrapani na twarzach i kompletnie wykończeni. Dysząc ciężko, padli na ziemię. Mieli stąd widok na całe zbocze tarasowe, od wąskiego murku znajdującego się najwyżej aż po wielką skałę, oddzielającą najniższy taras od portu.

Widzieli nawet pomost, przy którym cumował M/S Klustret. Pokład był zastawiony beczkami, drewnianymi skrzyniami, urządzeniami laboratoryjnymi i różnymi rupieciami. Z komina unosiły się kłęby czarnego dymu. Widać szykowali się do wypłynięcia.

Kolejne osoby wychodziły z kajuty. Na samym dziobie skierowanym do lądu stał Ray, gestykulując w stronę tarasów.

Jego krzyk przedarł się przez deszcz.

- *Nooo! Stop it!* Ale co przestań?

Nelly i Jonas spojrzeli po sobie. To przed tym uciekali. Przed tym, co przyniosły tamte głuche uderzenia. Spojrzeli w górę.

Brzask właśnie piał się przez szczyt góry. Nad drzewami unosiły się jasnoszare przelotne chmury. Gdyby góry i drzewa mogły mówić, opowiedziałyby, że nie po raz pierwszy okolicę spotyka kataklizm

spowodowany przez ludzi, chcących podporządkować sobie los i przyrodę. Setki lat temu okrutni Aztekowie zanosili modły do boga deszczu i torturowali małe dzieci, których łzy miały być symbolem deszczu. Im więcej łez wycisnęli z ich oczu, tym więcej miało go spaść. Potem modlili się o dobre plony i wtedy ścinali głowy młodym tańczącym kobietom, żeby pokazać, że z taką samą przyjemnością będą zbierać plon kukurydzy. Być może w tym roku czyjeś modły zostały aż za dobrze wysłuchane, bo od lat nie było tak intensywnej pory deszczowej.

Marcus stał na najwyższym tarasie. Zamachnął się młotem wysoko nad głową i całym ciężarem uderzył w podporę, którą tam ustawili, żeby podtrzymywała przewracający się murek. Ostatnią. Pozostałe, które Órjan, Kalle i Jovo wzniesli z takim wysiłkiem, żeby ochronić taras przed erozją, już leżały przewrócone pod murkami.

Każde uderzenie Marcusa wprawiało w drżenie ziemię na tarasach. Wyglądała jak wielki budyń z błota kołyszący się na ogromnej misie na samym brzegu półki.

Marcus wciąż walił w ostatnią podporę. Deszcz rozpryskiwał się na nim.

Ray krzyknął.

W tej samej sekundzie Nelly i Jonas zobaczyli, co się stanie. I stało się.

Ray zamknął oczy i głęboko odetchnął. Czuł ogromny zawód. Nie mógł przewidzieć takiego rozwoju wydarzeń. Co poszło nie tak? Czyż nie zrobił dla Marcusa, co tylko mógł? Gdyby nie on, Marcus skończyłby się wiele lat temu. Był mu nie tylko przyjacielem, ale też bratem i ojcem. Był mu wszystkim. Nadał sens jego życiu. I co to dało? Niewdzięczny karaluch, oto w co się zamienił.

Ale ten tępy robak nie przeszkodzi ludziom Klustret. Ray zamierzał poprowadzić dalej ich odyseję, bez oglądania się na Marcusa.

Pozostało tyle do zrobienia. Chociaż to niełatwe, kiedy wszyscy są tacy nakręcenii.

Otworzył oczy i rozejrzał się. Żadnego skupienia. Wydawali się wystraszeni, spanikowani. Jak szalone kury.

- *Get a grip, get a grip!* - krzyknął do nich.

Przecież mówił im, że pewnego dnia znów wyruszą w drogę, może nie?

Najgorsza była Ursula. Wrzeszczała bez opamiętania, ciągnęła go za rękaw, przeszkadzała mu się skupić. Wyszarpnął jej się i posłał tej histeryczce takiego kopniaka, że poleciała jak szmata po mokrych plandekach na pokładzie. Co ona chce osiągnąć, kwicząc jak zarzynany prosiak? *Bloody woman*. Dlaczego nie może zachowywać się jak Pia? Pia zawsze zachowuje spokój. Teraz siedziała na pokładzie dziobowym, twarz ukryła między kolanami i cała się trzęsła, ale przynajmniej miała dość rozumu, żeby się zamknąć.

Gdy Órjan i Jovo rzucili ostatnie cumy, Ray podjął ostatnią, desperacką próbę nawiązania kontaktu z Marcusem. Ale już mu się nie udało. Widział i słyszał, że Marcus nie zwraca na niego najmniejszej uwagi. Uderzenia na górze nie ustawały.

Kuter odbił od pomostu i cofając się, powoli ruszył w stronę falochronu. W tym momencie Ray zrozumiał, że przeznaczenie chyba ma inne plany niż on. Możliwości wyboru wyczerpały się. Dwa kroki do przodu, jeden w tył. Widocznie natura zapragnęła kontynuować swój pochód przez historię, nie było tu miejsca na żal.

Zza pazuchy wyjął mały pojemniczek z nierdzewnej stali i rzucił do rzeki, najdalej, jak mógł.

A potem odwrócił się i spojrzał na górę i na niebo nad nią.

Ostatnia podpora ustąpiła pod uderzeniami, a wtedy mur pękł. Z najwyższego tarasu buchnęła lawina błota, zabierając po drodze Marcusa, który po chwili w niej zniknął. Gdy to grząskie błoto runęło

z całą siłą na następny taras, przez podmokłą ziemię przeszło drzenie, które szybko doszło do murku oddzielającego taras od kolejnego poziomu. Murek natychmiast pękł na całej grubości, niczym puknięty palcem niewidzialnego olbrzyma. I dalej już poszło. Lawina ziemi i błota przetaczała się, zabierając krzaki i rośliny-żywicieli. Ciepłarnie i szopy zwały się jak domki z kart, rupiecie pochłonął szlam. Wkrótce wyglądało to, jakby cały wąwóz wypełniła masa błota i roślin, spływając z góry jak lawa. Tej groteskowej lawinie towarzyszyło głucho dudnienie.

Taras za tarasem pękał pod ciężarem pędzącego szlamu.

Nelly objęła Jonasa. Spojrzeli w dół na M/S Klustret. Potem szybko na siebie. Czy odebrali to tak samo? Czy Ray patrzył prosto na nich? Czyjego uniesione ręce ze złożonymi dłońmi oznaczają pozdrowienie? Widzieli i wiedzieli.

Brązowa dudniąca lawina dotarła do nawisu skalnego, który zadziałał jak sztuczne wybrzuszenie na trasie snowboardowej. Masa setek tysięcy kilogramów błota przeleciała łukiem nad portem i spadła prosto na M/S Klustret.

Ray przyjął lawinę jako pierwszy. Próbował osłaniać się rękami, ale daremnie. Góra błota runęła na kuter, rozbijając wszystko. Ludzie, bagaże, wyniki wieloletnich tajnych badań i całe mnóstwo drągów znalazło się na dnie basenu portowego. Tysiące, tysiące ton błota pogrzebały M/Klustret i jego pasażerów.

Pirsy wytrzymały, ale cały port zapełnił się błotem. Rzekę zabarwił na brązowo wodnisty szlam, który wraz z wodą basenu portowego został wyrzucony przez przerwę między pirsami. Gdy reszta, najcięższa i najgrubsza część lawiny, przelała się przez skalny nawis, wyglądało to, jakby góra błota w porcie zrosła się z błotem zalegającym na najniższym tarasie. Port ze skałą przypominały teraz gigantyczną bułę z błota.

Dawne tarasy zniknęły. Całe to miejsce zamieniło się w rejon klęski żywiołowej. Port przestał istnieć.

Natura w końcu złożyła Klustret do masowego grobu.

Gry Oda była zmęczona i słaba. Niewiele mówiła, a jeśli, to prawie nie było jej słycać. Chodziło tylko o sprawy praktyczne; prosiła o wodę, dodatkowy koc albo środek przeciwbólowy.

Przez cały czas wpatrywała się w Björnego, a on tylko z rzadka pozwalał sobie odwrócić od niej wzrok. Starał się być na każde zawołanie, wczuwać się w jej myśli i potrzeby. Biedna staruszka, musiała przejść straszne rzeczy, myślał sobie.

Gdzieś w połowie przelotu nad Atlantykiem, nie spuszczać wzroku z Björnego, Gry Oda dała znak pielęgniarce, która pochyliła się i odsunęła jej maskę tlenową, żeby dowiedzieć się, o co chodzi. Björne również się nachylił.

- Chcę coś powiedzieć - wyszeptała.

Nareszcie. Długo czekał, że wydobędzie od niej coś sensownego. W jaki sposób trafiła do Klustret? Co przeżyła? Miał tysiące pytań, ale nie chciał jej naciskać. Z czasem opowie, prawdopodobnie wtedy, gdy ożywi się po kroplówce, do której ją podłączyli.

Zwrócił się do pielęgniarki, pytając, czy można by na pewien czas zdjąć maskę, bo Gry Oda chce mu coś powiedzieć. Pielęgniarka zrobiła niechętną minę, jednak zamieniła maskę na dwie przezroczyste rurki, które wprowadziła do nosa Gry Ody.

Potrwało chwilę, zanim Gry Oda się odezwała. Wyglądała, jakby zbierała wszystkie siły. A potem powiedziała bardzo powoli:

- Tak mnie... potwornie... swędzi. Mógłbyś podrapać mnie po rękach?  
- Oczywiście - odparł Björne, delikatnie przeciągając palcami po jej pomarszczonej ręce. - Tak lepiej?

- A nie mógłbyś mocniej?

- Okej. W ten sposób?

- Tak... Teraz lepiej.

- Co mi pani chciała powiedzieć?

Gry Oda spojrzała na niego, jakby nie rozumiała.

- Co chciałam... powiedzieć?

- Tak, chciała pani coś powiedzieć.

- Chciałam powiedzieć.... że swędzi... Przecież powiedziałam.

- To wszystko?

- Tak.

- Na pewno?

- Tak... Mógłbyś mi podrapać drugą rękę też? Mocno. Bo chyba... zwariuję... Mam wrażenie, jakby mi miała odpaść skóra.

Nelly odwróciła wzrok. Wolą patrzeć na swoje paznokcie. Z trudem doprowadziła je do porządku.

Patrzenie na ekran było bez sensu. Przecież wiedziała, co zobaczy. Zresztą może byłoby to coś, co utrudniłoby podjęcie decyzji.

Właściwie na badanie było za wcześnie, ale Nelly jak zwykle nie chciała zwlekać. Leżała na kozetce, na brzuchu miała rozsmarowany zimny żel. Pielęgniarka miękko przesuwiała głowicą po lekko wypukłym brzuchu.

- Ładnie wygląda. Proszę spojrzeć.

Ale Nelly wciąż odwracała wzrok. Chciała tylko wiedzieć, czy płód ma jakąś istotną wadę. Prosto z mostu, bez ogródek. W takim razie umówiłaby się, żeby jak najszybciej wyskrobać to świństwo. Jednak, o dziwo, sama nie wyczuwała żadnej wady. Pomyślała, że powinna. Przynajmniej do czegoś powinna się przydać ta cholerna superintuicja.

- Niech pani powie, czy to jakiś pokurcz. Bez obaw. Zniosę to.  
- Pięknie wygląda. Do tej pory wszystko jest jak trzeba. Proszę spojrzeć.

Nelly powoli odwróciła głowę.

Zobaczyła na ekranie zarys głowy dwa razy większej od ciała. Kosmita, pomyślała.

Pielęgniarka uśmiechnęła się do niej, ale Nelly nie odwzajemniła uśmiechu.

- Już koniec?
- Chwileczkę. Może uda się zobaczyć płęć. Chce pani znać? -Nie!
- Okej...
- I tak nie zachowam tej ciąży.
- Jest pani pewna? Rozmawiała pani o tym z ojcem dziecka?
- Co to to nie. Nic mu do tego, moje ciało, moja sprawa.
- Okej, okej. Ma pani jeszcze sporo czasu do namysłu.
- Czy przez panią mogę się umówić na jakiś termin?
- Ma pani na myśli aborcję?
- Nie, brazylijskie woskowanie... No pewnie, że aborcję, przerwanie ciąży, jeśli trzeba to i egzorcyzmy. W pakiecie.
- Nie, musi pani to omówić ze swoim lekarzem. Może jednak opowiem pani, co tu widać?
- Dzięki, już wystarczy. Chciałam tylko wiedzieć, czy... nie rośnie mi w brzuchu jakaś pokraka.
- Ale...

Nelly wstała, z dużej rolki na stojaku oderwała kawał papieru i wytarła brzuch.

Miała tego serdecznie dosyć. Odkąd wróciła do domu, poranne mdłości jeszcze się wzmogły. I wciąż nie mogła polubić kawy, chociaż kupiła sobie nową maszynę do espresso za trzynaście kawałków. Niech to szlag. Cięża to coś dla facetek z przedmieścia, które lubią pęcznieć na kanapie z Ikei, oglądając poranną telewizję i popijając letniego Earl Greya. Ale na pewno nie dla Nelly Josefsson.

Niedługo będzie mogła o tym zapomnieć. Wrzuciła sobie do ust tabletkę na chorobę morską i postanowiła, że skoro już jest w szpitalu, odwiedzi Gry Odę.

Gdy Jonas wszedł do biura, Isabella zerwała się z krzesła za ladą recepcji i rzuciła mu się na szyję.

- Jonas, Jonas!

- Cześć!

- Ojej, jak ja się cieszę, że wróciłeś! Brakowało mi... nam ciebie. Jak się czujesz?

- Dobrze. Spoko. Jakbym spał przez kilka dni. W zasadzie właśnie tak było.

Roześmiał się. I zdziwił. Bardzo mu się podobało, że Isabella nie wypuściła go z objęć. Najpierw mocno go wyściskała, potem cofnęła się, żeby spojrzeć mu w oczy, ale cały czas trzymała go w objęciach. A potem przytuliła się do jego drugiego ramienia. Przy każdym poruszeniu czuł na twarzy jej koński ogon. Zrobiło mu się przyjemnie i radośnie. Poza tym ładnie pachniała. Wprawdzie znał ten zapach, ale teraz było w nim coś nowego. Nabrał nowego wymiaru podczas tych kilku tygodni, gdy się nie widzieli. Ten zapach był po prostu cudowny. Żywy, jakby pochodził od jakiegoś bardzo pięknego kwiatu. Miał ochotę zanurzyć nos w jej włosach, wchłonąć jej promieniowanie. Poczul się nieoczekiwanie rozluźniony w towarzystwie Isabelli.

Porozmawiali i pośmiali się przez chwilę.

Po kilku minutach ni stąd ni zowąd zjawiała się Vesna. Najwidoczniej przejęła od Gorana zwyczaj zaskakiwania ludzi. Uśmiech szeroki jak widokówka, białe zęby błyskające na tle jaskrawo czerwonych warg.

- Synu marnotrawny, witaj w domu! - odezwała się swoim niskim, zmysłowym głosem.

- Cześć, Vesna. Dziękuję.

- Cieszę się, że cię widzę! Musisz nam teraz wszystko opowiedzieć na żywo i ze szczegółami.



Zabrała ich do swojego gabinetu. Jonas musiał jeszcze raz opowiedzieć całą historię, żeby Isabella też poznała jej wszystkie koleje.

Jonas zaczął mówić, a Vesna podeszła do szafki i wsypała dwie torebki irysków do kryształowego półmiska stojącego na stoliku. Wzięły sobie z Isabellą po irysku i jednym, zgodnym ruchem obie zdarły papierek. Potem rozsiadły się wygodnie.

Jonas w błyskawicznym tempie zrelacjonował swoją meksykańską przygodę. Teraz chciał dowiedzieć się, jak im tu było. Spytał Vesnę, jak sobie daje radę bez Gorana. Czy czuje pustkę.

- Pewnie, że tak. Do tej pory zawsze był obecny w moim życiu. W pewnym sensie, to i w twoim - powiedziała, patrząc na Isabellę.  
- Bardzo go nam brakuje, prawda?

Isabella kiwnęła głową.

- Rozumiem - odparł Jonas.

- Dziwna rzecz, ale kiedy umiera człowiek, wraz z nim znika mnóstwo wiedzy i doświadczenia. Po prostu ulatnia się jak kamfora.

- No pewnie, jednak to, co robił, w dużej części nadal żyje w waszej pamięci, prawda? Pomyśl tylko, Apisec to jego dzieło. I wszystko się dalej kręci, jak zwykle, w jego duchu. To znaczy, może nie jak zwykle, ale rozumiesz, co mam na myśli?

Nie od razu odpowiedziała. Z lekkim zakłopotaniem spojrzała na Isabellę.

- O niektórych rzeczach w życiu Gorana nie wiedzieliśmy - powiedziała. - Zawsze czułam, że w jego przeszłości kryją się jakieś zdarzenia, które... jak to powiedzieć... dopiero teraz stopniowo wychodzą na jaw.

Znów umilkła. Zupełnie jak nie ona. Jonas wyostrzył zmysły.

- Okej...

- Tak...

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- No więc tak, przeprowadziliśmy inwentaryzację jego majątku i wtedy wypłynął testament.

- O, ciekawe - wesoło skomentował Jonas, ale zreflektował się, widząc sztuczny uśmiech Vesny. - Sorry, odezwał się prawnik we mnie. Chciałem powiedzieć: interesujące. Jest w tym testamencie coś dziwnego?

- Owszem, można to tak określić, chociaż nie wiem, na ile jest to prawnie wiążące. Testament nie jest poświadczony, ale jasno wynika z niego, że to ostatnia wola Gorana. Píše o rzeczach, o których nie miałam pojęcia. Wiele dotyczy mnie osobiście, tego kim jestem, ale też jak widział przyszłość.

-Ojej.

- No właśnie, ojej. Wszystko to jest dziwne i pogmatwane. Powinien był porozmawiać ze mną, kiedy jeszcze żył - powiedziała Vesna z lekkim ociąganiem. - Może nie potrafił, bo wydało mu się to za trudne. Ale o co chodzi, przecież i tak bym go kochała. Przecież niezależnie od wszystkiego był moim tatą. Tak czy inaczej, będę potrzebowała twojej pomocy.

-No jasne.

Tak mu było dobrze, że znów jest w pracy, że znów może zajmować się zwykłymi sprawami, studiować kodeksy, googlować, rozmyślać, pisać raporty, przejść się do automatu po kawę. Przesiadawać w recepcji i gadać z Isabellą.

Już miał spytać o treść testamentu, gdy ten zamiar został zablokowany przez silny impuls. Jakby ktoś opuścił szlaban. W głowie zaczęły migotać sygnały ostrzegawcze. Wszystko, co się działo w tym pokoju, stało się nieznaczącym drobiazgiem. W jednej chwili.

Niebawem wydarzy się coś groźnego, błysnęło mu w głowie.

- Vesna, przepraszam, ale muszę ci przerwać. Czy nadal parkujesz w naszym garażu podziemnym?

Zdziwiła się, ale uśmiechnęła się do niego uprzejmie.

- Tak, bo co?

- Musisz mnie gdzieś zawieźć. Szybko. Natychmiast.

Wchodząc na korytarz, Nelly czuła, że spotka Björnego. I rzeczywiście, drzwi pokoju Gry Ody otworzyły się i wyszedł z nich Björne. Często ją odwiedzał, chociaż trudno było nawiązać kontakt ze starszą panią. Lekarze twierdzili, że jak na swój wiek Gry Oda ma wyjątkowo silny organizm, jednak nadal nie było oznak jej dawnego wigoru. Powinna go już odzyskać - ale tak się jeszcze nie stało.

Nelly w żaden sposób nie mogła uniknąć spotkania z Björnem. Skrzyżowała ręce na zapiętym zakiecie garsonki. Nie chciała, żeby zobaczył - na wypadek, gdyby już było coś widać.

- Cześć, Nelly, nareszcie! Mam wrażenie, jakbyśmy się nie widzieli od wieków.

- E tam, zdefiniuj mi, co to są wieki - odparła i chciała go wyminąć, żeby nie dotknąć.

Jednak Björne nie dał się powstrzymać i złapał ją w objęcia.

- Chodź tutaj. Stęskniłem się za tobą.

Ręce Nelly zwisały sztywno wzdłuż boków, gdy ją przytulił do swojej piersi. Nie była w stanie wywinąć się z uścisku *extra large*. Jej nos znalazł się koło jego szyi i kiedy nabrała tchu, żeby z całej siły go odepchnąć, stało się to, co przeczuwała. Co absolutnie nie powinno się stać.

Ta okropna słabość; musi się oprzeć temu impulsowi! Nie zdążyła.

Wszystko stało się w ułamku sekundy.

Wciągnęła jego zapach, a on został przekształcony w doznanie zmysłowe, przed którym nie była w stanie się obronić. Mięśnie jej rąk zwiotczały i zamiast odsunąć się, znów przytknęła nos do jego szyi i znów wciągnęła zapach. Był... cudowny. Kręcąc nosem, wachała po całej szyi, wokół jabłka Adama, w dołku pod nim, z drugiej strony, pod uchem. Jej ręce powędrowały po jego plecach. Zatrzymały się, dotknęła dłońmi jego łopatek, a potem mocno przycisnęła go do siebie. Odsunęła nos od szyi, rozwarła wargi i poszukała jego ust. Dotknęła i bez ceregieli wepchnęła w nie swój język. Macała, smakowała, dotknęła jego języka. Było to rozkoszne; chciała go pić, już,

natychmiast. Po chwili ich języki się zestroiły. Załaskotało ją aż w kręgosłupie. Otworzyła oczy i przejrzała go na wylot. Szczęście.

Jego oczy promieniowały niezmaconym szczęściem. Miłością. Przerywając pocałunek, powiedziała:

- Oj ej ej. Chłopie, musimy pogadać. Oj, musimy. Ale najpierw zapragnęła jeszcze więcej.

Vesna pędziła swoim czerwonym potworem z prędkością, na jaką się tylko mogła odważyć. Isabella siedziała obok, ale ciągle odwracała się do Jonasa, który manipulował przy swojej komórce.

- Nie mogę się dodzwonić do Bjornego. Wiem, że miał do niej iść. Musiało stać się coś poważnego, że nie odbiera.

Vesna zerknęła na niego w tylne lusterko.

- A Nelly? Gdzie ona jest?

- Nie wiem. Też nie odbiera. Cholera jasna.

Vesna wcisnęła gaz do dechy, niemiecka maszyna przyśpieszyła płynnie, nieubłaganie. Kilka ryzykownych wyprzedzeń, przejazdów na czerwonym świetle i po kilku minutach wyjechali z centrum na trasę do Norrtalje.

Przejeżdżali przez most Stocksund, gdy Jonas poczuł przebłysk. Na lewo, pod przyczółkiem mostu stała willa, w której kiedyś mieszkali szaleńcy z Klustret. Po drugiej stronie, na prawo, znajdowało się willowe przedmieście Stocksund, gdzie się wychował u mamy Marie i taty Matsa. Dopiero co minęli Muzeum Historii Naturalnej, gdzie Gry Oda spędziła tyle lat. A po drugiej stronie mostu, z lewej, znajdował się szpital Danderyd, gdzie życie nieustannie zamieniało się miejscami ze śmiercią. W tym kręgu nastąpiło niesamowicie wiele wydarzeń, jak się okazało, związanych ze sobą. Odbywało się to jakby w osobnym świecie, we własnym habitacie. Na ziemi jest nieskończona liczba miejsc, z każdym z nich wiążą się niepojęte przygody, zagadki i równoległe żywoty. Pomyślał, że właściwie wszystko to jest małe i błahe. I że wszystko się ze sobą wiąże.

Nelly przerwała pocałunek. Opierając rękę o pierś Björnego, odsunęła go. Spojrzała na drzwi do pokoju Gry Ody.

- O, nie! - powiedziała.

- Co się stało?

- *Shit*, zaskoczyły mnie moje uczucia do ciebie. Znokautowały.

- No i? To chyba dobrze, nie?

- Cholera jasna!

Podbiegła, szarpnęła drzwi i wbiegła do środka. Björne za nią. Stanęli przy łóżku Gry Ody. Nelly zerwała koc, prześcieradło, przewróciła poduszki. Łóżko było puste.

Rurki aparatu tlenowego zwisały u wezłowia. Na podłodze, koło stojaka na kroplówkę, leżał wenflon, wokół którego rosła kałuża. Nelly szarpnęła drzwi do ubikacji. Tu też pusto. I wtedy dostrzegli. Powiewającą firankę. Otwarte okno.

Samochód aż zarzuciło, gdy Vesna ostro zahamowała przed głównym wejściem. Jonas wyskoczył z samochodu. Zatrzasnął drzwi, gdy z góry doszedł go jakiś dźwięk. Podniósł wzrok na front budynku.

Ciało płynęło w powietrzu, biała szpitalna koszula powiewała jak skrzydło. Gry Oda spadała z wyciągniętymi rękami i twarzą do ziemi. Spadła kilka metrów od Jonasa, wydając krótkie plaśnięcie, jakby ktoś spuścił z dużej wysokości namokłą gąbkę.

Za późno.

Spojrzał na martwe ciało leżącą na ziemi.

Nie potrafił się przemóc, żeby podejść. Szlaban opadł. Wiedział, że Gry Oda nie żyje. Nie pozostało już nic do zrobienia. Przeklinał się

w myślach, że był taki tępy. Stał, wpatrując się w ciało i breję wokół niego. Jego myśli znieruchomiały.

Isabella podeszła i objęła go ramieniem. Vesna stanęła z drugiej strony i zrobiła to samo. Nic nie mówiły.

Z gmachu szpitala wybiegli pracownicy i gapie. Po chwili nadbiegli również Nelly i Björne. Przecisnęli się do Jonasa i towarzyszących mu kobiet.

- Przepraszam. Nie zdążyłam - powiedziała Nelly.

- Jak widzisz, ja też nie - odparł Jonas.

W milczeniu patrzyli na zamieszanie wokół Gry Ody. Gdy ekipa ratunkowa przybiegła ze swoim wyposażeniem, podeszli bliżej, chociaż oboje wiedzieli, że nie da się jej przywrócić życia.

Ratownicy jakby czuli, że Nelly i Jonas są bliskimi ofiary, bo odsunęli się, żeby ich dopuścić.

Gry Oda leżała na brzuchu. Miała rozbitą lewą stronę czaszki, twarz zmasakrowaną, ale prawe oko otwarte i chociaż martwe, w tym jednookim spojrzeniu była nadzieja. Patrzyło całkiem pogodnie. Kałuża krwi powoli rosła. Zakrwawiona koszula szpitalna była związana tylko na karku, odsłaniając pomarszczone plecy. Nad samymi majtkami zobaczyli duże znamię.

Jonas poszukał ręką dłoni Nelly i ścisnął mocno.

Był to stary, wyblakły tatuaż przedstawiający motyla.

Jonas i Nelly stali objęci i przyglądali się, jak lekarze podejmują bezsensowną próbę ratowania Gry Ody. Ciało ułożone na noszach podskoczyło gwałtownie przy pierwszej i jedynej próbie defibrylacji, podjętej z obowiązku, chociaż kobieta była bezspornie martwa. Ktoś głośno podał godzinę.

Po chwili zabrali ciało do gmachu szpitala. Jonas i Nelly zostali przed kałużą krwi. Björne, Vesna i Isabella trzymali się na uboczu.

Nelly i Jonas w gruncie rzeczy nie zdążyli poznać Gry Ody. Prawie nic nie wiedzieli o jej życiu. Jednak autentycznie ją polubili i to im wystarczało. Teraz poczuli się oszukani. Pojawiło się tyle pytań. Kim właściwie była? W jakim stopniu ich poszukiwania wynikały z intuicji, a w jakim były efektem grubej manipulacji? A może synchroniczności? Na przyspieszonych obrotach przewijali w myślach wszystkie wydarzenia.

Dozorca rozwinął gruby szlauch i puścił wodę, żeby do studzienki kanalizacyjnej spłukać to, co zostało z Gry Ody. Zmieszana z piaskiem i żwirem woda pod ciśnieniem szybko spłynęła czerwono-brązowym błockiem. Groteskowy widok. Cała sytuacja wydawała się absurdalna.

Przez kilka długich minut nic nie mówili. W końcu milczenie przerwała Nelly.

- O czym myślisz? - spytała.

- Przecież wiesz - odparł Jonas.

- Owszem, ale to niesprawiedliwe. Niby jak mieliśmy to przewidzieć? Że ona też była... Kto by to pomyślał? Jakąś cholerną babą--motylem. A Ray i ona? Co ty na to?

- Też nie wiem. Znów zamilkli.

- Wiesz, co ja myślę? - odezwał się Jonas.

- Wiem - odparła.

- No co?

- Ray twierdził, że żyje w nas jego spirala DNA. Ale ty w to nie bardzo wierzysz, co?

- Mniej więcej. I myślę o tym, co naprawdę odróżnia człowieka od zwierzęcia.

- Wola - uzupełniła Nelly.

- Właśnie. Swojego postępowania nie możemy zwać na dziedziczność, niesprzyjające okoliczności albo zagadkowy los. Wola to najważniejsza zdolność człowieka. Dzięki niej, żeby nie wiem co, zawsze możemy wykaraskać się z każdego gówna. Możemy zerwać ze złym wzorcem, możemy go naprawić.

- Jeśli tylko zechcemy
- A my zechcemy, prawda? Oboje. Wygasimy Raya. Spławimy Gry Odę.
- Tak jest. Nigdy nie dopuszczę do siebie tych szaleństw - powiedziała Nelly, rozładowując ironię śmiechem pełnym ulgi. - Gdyby moja spirala DNA okazała się choćby w najmniejszym stopniu nieposłuszna, osobiście wyrwę ją zardzewiałymi obcęgami.
- Zamienimy to wszystko w coś pozytywnego, prawda?
- Bądź tego pewien, jak tego, że masz obwisły tyłek. Jonas uśmiechnął się do swojej siostry.
- On miał nadzieję. Ona - wiedzę. To kombinacja nie do pokonania.



## **MEKSYK. PIĘDZIESIAT SZEŚĆ LAT WCZEŚNIEJ, LISTOPAD, LASY JODŁOWE NA WYSOKOSCI TRZECH TUSIĘCY METRÓW W SIERRA MADRE.**

Olbrzymie jodły kołysały się dumnie na wietrze, najstarsze miały pięćdziesiąt metrów wysokości. Zaokrąglone wierzchołki górskie porastał delikatny las, od setek tysięcy lat rozwijający się w harmonii z monarchiami. Idealny habitat, jeszcze nie zagrożony wyrębem ani zniszczeniem środowiska.

Para młodych ludzi zarzuciła plecaki na ramiona, żeby ruszyć w drogę powrotną w dół. Czuli się zmęczeni i przytłoczeni powagą chwili. Potem się rozejdą, nie było nawet mowy o tym, żeby stało się inaczej. Mieli odmienne plany życiowe.

Ciałem Gry Ody, zawsze gibkim i pełnym energii, wstrząsał szloch i niepokój. Czowała, jak z jej sutków spływa mleko. Jej organizm nie zgadzał się z tym, co się stało i protestował, jak tylko mógł. Jednak umysł wiedział swoje.

Goran również był poruszony, chociaż nie okazywał tego aż tak wyraźnie. Po czarnym zaroście spływały łzy żalu nie tylko po tym, co się stało, ale również w związku z wieloma innymi rzeczami. Musiał to przerwać, pójść dalej, zamknąć rozdział życia pod znakiem środków pobudzających i zwodniczego przekonania o nieśmiertelnej młodości. Poznał ją - ją i jej naćpanych przyjaciół - w Indiach raptem parę miesięcy temu, chociaż teraz wydawało mu się, że od tamtej chwili minęła cała wieczność. Przygoda się skończyła.

Potrzebowali go w ojczyźnie. Prawdziwe było życie toczące się na Bałkanach, a nie narkotyczne wizje „wyższego stopnia człowieczeństwa”. Chciał uczestniczyć w budowie prawdziwie idealnego społeczeństwa.

Powietrze było pomarańczowe od motyli, które tu przyleciały. Wszystkie naraz. Pod koronami drzew schroniło się wiele milionów monarchów. Niektóre żyły zwyczajnym, krótkim motylim życiem w Meksyku. Jednak większość nigdy tu nie była. Urodziły się gdzieś w USA i stanowiły długowieczne super pokolenie, które odgrywało główną rolę w ponadpokoleniowej wędrówce na trasie między Kanadą a Meksykiem.

Magiczne miejsce, czarowna chwila. Mieli pewność, że o tym siedlisku nie wie jeszcze żaden entomolog. To ich tajemnica i odpowiedź na naukową zagadkę, która oby pozostała nieznaną jeszcze przez wiele lat. W tutejszych górach były wprawdzie jakieś wsie, ale mieszkańcy nie interesowali się naukowo monarchami. Liczyły się one jedynie w ich wierzeniach, w których każdy motyl uosabiał duszę zmarłego człowieka. Miejscowi ludzie okazywali wielki szacunek monarchom i ich środowisku naturalnemu. Gdy wchodzili do lasu zamieszkanego przez motyle, nasłuchiwali głosów swoich najbliższych znajdujących się na tamym świecie.

Wiara Gry Ody była silna.

Postępują słusznie.

Zawiesiła chłopcu na szyi kartkę z jego imieniem. Takim samym, jakie dostali inni chłopcy-motyle. Ci, którzy przeżyją, przekażą swoje właściwości następnym pokoleniom bez względu na to, dokąd trafią. Może okaże się, że ocaleje tylko ich synek. Ani przez moment nie wątpili, że jest wybrany. Przeżyje najsilniejszy.

Z każdym kolejnym pokoleniem wszczępienie było udoskonalane i coraz bardziej zintegrowane z ludzkimi cechami dziedzicznymi. Tak powiedziano i tak miało być. Ich mały wspaniały Ray będzie doskonały. Jego intuicja zmieni świat. Kiedyś podziękuję im za to.

Spojrzeli w górę. Ledwo go było widać między gałęziami, gdzie wisiał na szelkach. Każdą gałąź wielkiego drzewa pokrywały motyle,

które przygotowywały się do zimowania. Chłopca obsiadł wielki rój motyli ze złożonymi skrzydłami. Utworzyły grono, które miało już długość pięciu metrów. Będą tu siedziały i dojrzewały do kopulacji. W najbliższym czasie będą wydzielać całe mnóstwo imagoriny. Ranka na plecach chłopca i zadrapania na jego rączkach i nóżkach zaczną wchłaniać cenne opary z najbardziej płodnych spośród żyjących na świecie motyli wędrownych. Jego krew stanie się krwią motyla.

Uparte krzyki dziecka ucichły. Teraz było to tylko przeciągłe popiskiwanie.

Gry Oda spojrzała na Gorana. Wierzyła w legendę. Chciała w nią wierzyć i nawet sama próbowała stać się jej częścią. Przecież nauka przyniosła dowody na jej prawdziwość, czyż nie? Prawda, że postąpili słusznie?

Goran patrzył pusto przed siebie. Kiedyś ją kochał, pragnął jej -jednak nigdy nie potrafił jej zrozumieć. Upewnił się, że linka przyczepiona do szelek jest dobrze widoczna i powoli odszedł.

Podnieconym, łamiącym się głosem, jakby chciała przekonać samą siebie, a jednocześnie zapobiec hiperwentylacji spowodowanej stresem, powiedziała:

- On przeżyje. Ray zobaczy wszystko. Pewnego dnia powróci tu. A po nim jego dzieci i ich dzieci. Znajdą wszystko, czego będą poszukiwały. Dziś im to dajemy. Imago.

Wesprzyj akcję, którą dla ocalenia monarchów prowadzi Światowy Fundusz na rzecz Przyrody:

[www.worldwildlife.org/species/monarch-butterfly](http://www.worldwildlife.org/species/monarch-butterfly)